

Beverly Barton
Grzech niewiedzy

What she doesn't know
tłumaczył Jan Hensel

Prolog

Bluszcz oplatał komin, lgnąc do starej zwietrzałej cegły. Walący się dom stał zaszyty w cedrowym gaju, jego zszarzałe od wiatru i deszczu drewno tylko częściowo pokrywały resztki białej farby. Większość chałup dzierżawców zburzono dawno temu wraz z chatami niewolników, które wzniesiono bliżej głównej rezydencji. Została tylko ta jedna ruina, prawie zupełnie zagarnięta przez przyrodę. Jolie podслуchała rodzinne opowieści o tym, jak jej pradziadek Desmond ulokował tu w latach dwudziestych swoją kochankę i że niektórzy mężczyźni członkowie rodu wykorzystywali to miejsce do potajemnych schadzek z kobietami lekkich obyczajów. Dawne erotyczne grzeszki niewiele ją obchodziły, interesował ją natomiast pewien współczesny chłopak. Maximillian Devereaux. Sandy powiedziała jej, że jej starsza siostra Felicia oddała mu swój wianek w tym właśnie domku. Jolie nie chciała w to uwierzyć, ale Sandy nigdy by jej nie okłamała. Były najlepszymi przyjaciółkami, od pieluch. A Jolie podkochiwała się w Maksie od prawie równie dawna. On oczywiście nie zwracał na nią uwagi. Była przekonana, że traktuje ją jak dziecko, co zresztą miało swoje dobre strony, zważywszy że nie powinna się z nim zadawać. Ale teraz miała czternaście lat. Była prawie kobietą – zaledwie o cztery lata młodszą od Maksa.

Nieodwzajemniona miłość potrafi zabołec – zabołec jak diabli.

Jolie nie powinna tu być. Szpiegowanie nie należało do jej zwyczajów. Ani kłamanie. Powiedziała mamie, że pójdzie prosto do domu Sandy, który znajdował się o kilometr od Belle Rose. Mama nie miała nic przeciwko ich przyjaźni. Rodzina Wellsów mieszkała w Sumarville w Missisipi od tak dawna jak Desmondowie. Przed wojną secesyjną przodkowie Jolie po kądzieli byli właścicielami plantacji, a potem zasilili szeregi „zubożałej arystokracji Południa”, jak mawiała ciocia Clarice. Minęły lata, zanim Jolie zrozumiała, co to znaczy. Rodzice jej matki mogli się pochwalić szlachetnym urodzeniem i drzewem genealogicznym sięgającym niemal do samego Adama, ale byli biedni jak mysz kościelna. Posiadali tylko ziemię i wielki murszejący dom.

Jednak jej matka wyszła dobrze za męża. Przodkowie ojca dzierżawili przed laty część plantacji, lecz pradziad Royale rozkręcił własny interes i dzięki roztważnym inwestycjom jego syn i wnuk stali się zamożnymi ludźmi. Jolie rzadko myślała o swoim bogactwie, chociaż zdarzało jej się usłyszeć, jak inni mówią o niej „rozpieszczona smarkula” albo „zadzierająca nosa księżniczka”. Ale mama zwróciła jej uwagę, że niektórzy po prostu jej zazdroszczą – bogactwa i pochodzenia. A ciocia Clarice przypominała jej, że zawsze trzeba patrzeć, z czyich ust pochodzi obmowa. Desmondowie oraz – jak w jej przypadku – ich potomkowie nigdy nie przejmowali się tym, co wygadywało o nich pospólstwo.

Jolie nie potrafiła tak naprawdę wyjaśnić, co sprawiło, że wybrała tę zarośniętą

ścieżkę przez las między posiadłościami Desmondów i Wellsów, a nie wysypaną żwirem drogę. Rozmarzyła się, choć mama uznawała to za głupią stratę czasu. Jednak ciocia Clarice powiedziała jej, żeby fantazjowała, ile tylko może, póki jest młoda. Jolie zastanawiała się, czy to znaczy, że gdy ludzie stają się dorośli, przestają marzyć.

Podkradając się do domku, zastanawiała się, co zobaczy, kiedy zajrzy przez brudną szybę do środka. Maksa z Felicią? Czy będą się kochać? Wiedziała, że gdyby przyłapała ich razem, pękłoby jej serce i wydrapałaby Felicii te jej wielkie brązowe oczy.

Nikt nie wiedział, co czuła do Maksa. Nawet Sandy. Nie podzieliła się swoją najgłębszą, najmroczniejszą tajemnicą absolutnie z nikim. Gdyby mama kiedykolwiek to odkryła...

– Ten chłopak jest taki sam jak jego matka – mawiała nieraz Audrey Royale. – A wszyscy wiemy, że Georgette Devereaux była nowoorleańską dziwką. Nigdy nie zrozumieć, jak udało jej się nakłonić do ślubu biednego starego Philipa i wmówić mu, że ten bękart jest jego synem.

Jolie nie obchodziło, czy Max rzeczywiście był bękartem, a jego matka prostytutką. Gdyby Max choć raz na nią spojrział – naprawdę spojrział – i zobaczył, kogo ma tuż pod bokiem, byłaby najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. Gdyby Max pokochał ją tak, jak ona jego, sprzeciwiłaby się matce, żeby być z nim. Sprzeciwiłaby się całemu światu.

Podeszła do rozklekotanych schodków prowadzących na ganek i usłyszała śmiech. Dźwięczny kobiecy chichot mieszający się z głębszym męskim głosem. Zastygła w bezruchu. Więc jednak ktoś był w środku. Max i Felicia? Znała Maksa od tylu lat, a nigdy nie słyszała, żeby się śmiał. Ale jeśli uprawiał seks, może bawił się tak dobrze, że zaczął się śmiać.

To co? Zajrzysz tam czy nie? – zapytała samą siebie. Masz dość odwagi, żeby przekonać się na własne oczy, co się tam dzieje?

Drobnymi, niezdecydowanymi kroczkami ruszyła w stronę skrzydła domu, z którego dobiegał śmiech. Gałązki i suche liście trzeszczały pod jej stopami, gubiąc się w głośniejszym chórze natury. W lesistej okolicy ćwierkały ptaki, biegały wiewiórki, pasikoniki skakały wśród źdźbeł trawy. Kiedy zbliżała się do okna po lewej stronie, bicie serca tętniło jej w głowie. Bała się tego, co zobaczy, lecz młodzieńcza ciekawość pchała ją do przodu i wreszcie stanęła przed oknem. Wspięła się na palce, przycisnęła nos do pękniętej szyby i zajrzała do środka. Zamrugwała kilka razy, wyteżając wzrok. Nie mogąc dostrzec niczego poza zarysami dwóch ciał wijących się na metalowym łóżku w głębi izby, uniosła dłoń, osłoniła oczy przed promieniami popołudniowego słońca i zajrzała ponownie.

Zaparło jej dech w piersiach. Szok, złość, zaskoczenie i rozczarowanie zlały się

w jedno, bombardując jej młody umysł i serce, a mimo to nie potrafiła oderwać wzroku od obrzydliwej sceny. Ojciec, którego uwielbiała, ujeżdżał leżącą pod nim nagą czarnowłosą kobietę. Jego blade pośladki unosiły się i opadały rytmicznie, gdy gził się z tą okropną dziwką. Gorące łzy napłynęły Jolie do oczu. Jak tatuś mógł zdradzać mamę w ten sposób? I to z tą kobietą? Z Georgette Devereaux!

Z wysiłkiem odwróciła się od okna, od widoku, którego nie zapomni aż do śmierci, i szlochając głośno, popędziła przez las. Co robić? Nie może powiedzieć mamie. Ale musi się komuś zwierzyć. O Boże, czy Max wie? Czy zdaje sobie sprawę, kim jest jego matka? Nowoorleańską dziwką!

Z mętlikiem gorączkowych myśli w głowie biegła i biegła przed siebie, aż dotarła do wysypanej żwirem drogi. Zdyszana, bez tchu w obolałych płucach, przystanąła, żeby się zastanowić. Dokąd pójść? Do kogo się zwrócić? Do ciotki Clarice. Ona będzie wiedziała, co trzeba zrobić z tatusiem i tą okropną kobietą. Ciotka Clarice rozumiała sprawy serca. Jolie słyszała o tym z niejednych ust. To dlatego że starsza siostra jej matki znalazła i utraciła miłość wiele lat temu i wciąż pozostała wierna pamięci zmarłego narzeczonego.

Kiedy doszła do kutej żelaznej bramy otwierającej się na podjazd do wzniesionej w 1846 roku rezydencji pośrodku plantacji, zgięła się wpół i wzięła głęboki oddech. Koniuszkami palców otarła łzy z policzków. Na wszelki wypadek, gdyby spotkała mamę lub ciotkę Lisette, musiała sprawiać wrażenie całkowicie spokojnej, jak gdyby nic się nie stało. Ciotka Clarice wróci do domu później; była sobota, a w soboty zamykała swój butik w mieście dopiero o szóstej.

Jolie postanowiła, że zaszyje się w swoim pokoju i nie będzie nikomu wchodzić w drogę. Mama i ciotka Lisette prawdopodobnie w ogóle jej nie zauważą. Przez cały tydzień darły koty; Jolie nie miała pojęcia o co, bo ilekroć widziały ją w pobliżu, natychmiast milkły. W domu nie będzie dziś nikogo innego, może z wyjątkiem Lemara Fuqui, ale on na pewno będzie zajęty trawnikiem. Tata pożyczył mu pieniądze na rozkręcenie własnej firmy ogrodniczej, a w zamian za to Lemar zobowiązał się przyjeżdżać do Belle Rose w każdą sobotę i dbać o park. Jediną osobą ze służby mieszkającą na plantacji była siostra bliźniaczka Lemara, Yvonne, która prowadziła dom od tak dawna, jak Jolie sięgała pamięcią, podobnie jak jej matka Sadie przed nią. Ale Yvonne w soboty po południu zawsze wybierała się na zakupy do miasta.

A jak wytłumaczę mamie, że nie poszłam do Sandy? Sandy nie było w domu. Nie, to kłamstwo można zbyt łatwo sprawdzić. Powiem, że rozboleła mnie głowa, więc wróciłam zażyć aspirynę i położyć się na chwilę.

Podeszła do tylnej werandy i zobaczyła starą niebieską półciężarówkę Lemara zaparkowaną po północnej stronie rezydencji. Na pace stały nowe krzewy liliowe, którymi jej matka kazała zastąpić te zwiedłe w zeszłym roku. Jolie rozejrzała się dookoła za wysokim, szczupłym Murzynem, który zawsze witał ją uśmiechem i

miętowym cukierkiem. Może zrobił sobie przerwę i, jak to miał w zwyczaju, pije w kuchni mrożoną herbatę. Lubiła Lemara. Był jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich знаła. Podobnie jak ciocia Clarice i Lisette traktowała jego i jego siostrę jak członków rodziny, choć mama uważała ich tylko za lojalnych służących.

Idąc w stronę tylnego wejścia, zauważyła na trawie i schodkach kilka ciemnych, częściowo zaschniętych czerwonych plamek. Dziwne. Może Lemar rozlał jakiś środek chemiczny, którego używał w ogrodzie. Weszła do domu. Minęła sień i ruszyła w głąb długiego korytarza. Nagle ogarnęło ją niepokojące uczucie. Coś było nie tak. Po chwili zdała sobie sprawę, że wokół panuje nienaturalna cisza. Ciocia Lisette zawsze puszczała jakąś muzykę, śpiewała albo nuciała. A gdy zostawała sama z mamą, często się kłóciły. Zwłaszcza ostatnio. Teraz nie było słychać ani muzyki, ani śpiewu, ani krzyków.

– Mamusiu!

Cisza.

– Ciociu Lisette!

Cisza.

– Lemar, jesteś tu? Widziałam twój samochód za domem!

Cisza.

– Mamo, gdzie jesteś? – krzyknęła.

Coś było nie w porządku.

– Ciociu Lisette! Odezwij się, proszę!

Żadnej odpowiedzi. Boże! O Boże!

Jolie popędziła w głąb korytarza, wołając matkę. Pośpiesznym piruetem, wbiegła na szerokie kręte schody. Po paru krokach spojrzała w górę. Ciocia Lisette! Imię odbiło się echem w jej głowie.

Półnagie ciało Lisette Desmond leżało na półpiętrze; poła zwiewnego jedwabnego szlafroka rozsunała się, ukazując krągłą białą pierś i smukłe blade udo. Jolie zmusiła się do ruchu. Wspięła się prędko po schodach, mimo że nogi ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Zbliżywszy się do nieruchomego ciała, spojrzała na rozrzucone w nieładzie pukle platynowych blond włosów, poplamione czerwienią. Krew!

Ciocia nie żyła. Mimowolnym, automatycznym gestem Jolie uniosła dłoń i zakryła usta.

– Mamo! – krzyknęła. Cisza.

Pomyślała, że śpi i ma koszmary sen. To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe. Ciocia Lisette żyje.

Odwróć się i wracaj na dół. Znajdź mamę. Ona powie, że wszystko jest w porządku. Gdy tylko zobaczysz jej twarz, przekonasz się, że jesteś bezpieczna. Obudzisz się z tego koszmarne snu.

Niczym w transie Jolie odwróciła się od ponurego widoku i uciekła na dół.

Biegała z pokoju do pokoju, szukając matki, wołając ją raz za razem. Nie znalazła nikogo.

Otworzyła drzwi jedyne niesprawdzonego pomieszczenia, niedawno odremontowanej przestronnej kuchni z oknami wychodzącymi na tylny ogród. Powiodła wzrokiem od ściany do ściany i spojrzała w dół. Na lśniącej drewnianej podłodze zauważyła stopy, a potem łydki. Ogarnął ją lodowaty strach. Weszła do środka i zbliżyła się powoli do okrągłego stołu. Leżąca pod nim w zupełnym bezruchu, z nienagannie uczesanymi złotymi włosami Audrey Desmond-Royale wpatrywała się martwymi oczyma w sufit. Pośrodku jej czoła czerwieniła się pojedyncza rana postrzałowa.

Jolie padła na kolana i chwyciła matkę za rękę. Była ciepła. Może nie umarła. Może jeszcze żyje!

Zadzwoń po karetkę! Szybko!

Kiedy wstała, usłyszała coś za plecami. Kroki? Właśnie odwracała twarz w kierunku intruza, gdy coś ostrego ukłuło ją w biodro. Mimo bólu padła na podłogę i odturlała się, próbując się schować. Parę sekund później poczuła kolejne ukłucie w barku, a potem przeszywający ból w plecach. Wiedziała, że to nie sen. Ktokolwiek zamordował mamę i ciocią Lisette, zamierzał zabić również ją. Na ułamek sekundy przed utratą przytomności zrozumiała, że została postrzelona. Trzykrotnie...

Rozdział 1

Max Devereaux rzucił marynarkę na krzesło i przeszedł przez sypialnię. Zatrzymał się na moment przed drzwiami do łazienki, pochylił i rozwiązał buty. Zdjął je, a potem pośpiesznie pozbył się skarpet. Zwykle nie rozrzucał ubrań po pokoju; zbierał je po sobie, mimo że miał służbę. Ale dziś nic go to nie obchodziło. Był potwornie zmęczony i pękała mu głowa. Przez ostatnie tygodnie – od zawału Louisa – sypiał po trzy, cztery godziny na dobę. Jego matka nie odstępowała męża na krok, więc musiał nie tylko zadbać o interesy Royale'ów i Devereaux, ale również dopilnować, by w rezydencji Belle Rose wszystko przebiegało bez zakłóceń. Teraz wyglądało na to, że wkrótce przejmie te obowiązki na stałe. Po południu lekarze oświadczyli, że szanse, by Louis przeżył kolejny dzień, są nikłe.

Max jedną ręką poluzował krawat, a drugą otworzył drzwi łazienki. Nie miał czasu do stracenia. Ogoli się, weźmie szybki prysznic, zmieni ubranie i czym prędzej wróci do Okręgowego Szpitala Ogólnego. Nie może dopuścić, by matka lub siostra były same w chwili śmierci Louisa. Zostawił je z ciocią Clarice, ale ona też była kłębkim nerwów. I ten cholerny wazeliniarz Nowell Landers, który kręcił się koło niej od kilku miesięcy. Biedaczka nie zdawała sobie sprawy, że facet chce ją wykorzystać, i nie słuchała rad tych, którzy próbowali ją ostrzec. Wszyscy w Sumarville wiedzieli, że Clarice Desmond dostała lekkiego bzika, odkąd pewnego upalnego sobotniego popołudnia przed dwudziestoma laty wróciła ze swego sklepiku do domu i zobaczyła ciała siostr, siostrzenicy i Lemara Fuqui w kałużach krwi. Tylko najgorszy, pozbawiony skrupułów męt mógłby wykorzystać dobrotliwą, słodką, nieźrównoważoną Clarice. Ale, do diabła, nie miał czasu zająć się Nowellem Landersem – nie teraz, kiedy Louis umierał, a matka była bliska załamania.

Rozebrał się do slippek i odkręcił kran z gorącą wodą. Otwierając szafkę nad umywalką, zerknął na własne odbicie i zarechotał ponuro. Wyglądał kiepsko, przypominał raczej bezdomnego włóczęgę niż biznesmena. Ale czego miał się spodziewać? Całą noc przesiedział w szpitalu, rano, wciąż w tym samym pomiętym ubraniu, pojechał do biura, a po południu znów zjawił się na oddziale intensywnej terapii i siedział do wieczoru przy łóżku człowieka, którego kochał i podziwiał.

Rozprowadził po policzkach krem do golenia i szybkimi pociągnięciami jednorazowej maszynki pozbył się dwudniowego zarostu. Wciąż z maleńkimi wysepkami piany na twarzy odkręcił prysznic, zdjął czarne bokserki i wszedł pod letni natrysk. Kiedy się mył, poczuł, jak nabrzmiwa mu członek. Od tygodni był zbyt zajęty, żeby choćby raz zobaczyć się z Earthą, nie mówiąc już o pójściu z nią do łóżka.

Perspektywa śmierci bliskiej osoby miała na niego dziwny wpływ. Sprawiała, że pragnął się upewnić, iż życie toczy się dalej, potwierdzić swoją witalność we

wszystkich obszarach ważnych dla mężczyzny.

Właśnie wychodził spod natrysku, gdy zadzwonił telefon. Nie zważając, że jest nagi, wypadł z łazienki i, zostawiając mokre ślady na podłodze sypialni, pobiegł do aparatu. Serce waliło mu jak młotem, kiedy podnosił słuchawkę; instynktownie czuł, że to będą złe wiadomości.

– Devereaux, słucham.

– Max.

Cholera jasna! Instynkt go nie zawiódł. Słyszał ledwo powstrzymywany płacz w głosie młodszej siostry.

– Mallory, kochanie, czy wszystko...

– Tatusz nie żyje, Max – wykrztusiła przez łzy Mallory Royale.

– Już jadę, kochanie. Bądź silna... ze względu na mamę. Dobrze? Możesz to dla mnie zrobić?

– Uhm... tak... m... mogę.

– Powiedz mamie, że wszystkim się zajmę, jak tylko dojadę na miejsce.

– Max?

– Tak?

– Ciocia Clarice powiedziała, że powinieneś zadzwonić do Jolie.

– Dobrze. Przekaż jej, że tym też się zajmę. Ale później.

Łagodnym ruchem odłożył słuchawkę, wziął głęboki oddech i z wysiłkiem przełknął ślinę. Kiedyś, wiele lat temu nienawidził Louisa Royale'a, lecz z biegiem czasu jego uczucia względem mężczyzny, którego obwiniął o śmierć ojca, uległy diametralnej zmianie.

Philip Devereaux był dobrym człowiekiem. Uczynił z Georgette Clifton uczciwą kobietę i przyjął dziecko, którego się spodziewała, jako swoje. Max nie wiedział, czy Philip był jego biologicznym ojcem, ale nie miało to już dla niego znaczenia. Mógł zrobić badania genetyczne, lecz nikt w hrabstwie i tak by nie uwierzył, że jest prawowitym Devereaux, o ile nie wydrukowałby wyników na pierwszej stronie „Sumarville Cronicle”. Między nim a Philipem, który jak jego ojciec był piegowatym rudzielcem, trudno było się dopatrzeć jakichkolwiek podobieństw. Max tłumaczył sobie, że synowie bywają podobni do matek. W jego przypadku tak właśnie było.

Udawał, że nie obchodzi go, że snobistyczni członkowie miejscowej elity patrzają na niego z góry. A gdy został spadkobiercą Louisa Royale'a i jego prawą ręką, pojawiły się pogłoski, iż to właśnie on – Maximillian Devereaux, diabelskie nasienie – zabił siostry Desmond i Lemara Fuquę. Chłopak chciał zrobić miejsce dla swojej matki jako drugiej żony Royale'a, mówiono.

Śmierć żony Maksa, zamordowanej niespełna trzy lata po ich ślubie, tylko podsyciła stare plotki. Nikt, rzecz jasna, nie przejmował się faktem, iż nie znaleziono żadnych dowodów przeciw niemu. Ludzie po prostu uwielbiali

przedstawić go jako łotra.

Susząc rękami włosy i wciągając pośpiesznie dżinsy i bawełniany T-shirt, myślał o sprawach, które będzie musiał załatwić. Pogrzeb będzie ważnym wydarzeniem w stanie Missisipi. Na pewno zjawi się gubernator, stary przyjaciel Louisa. Podczas studiów należeli do tego samego bractwa.

Dom Pogrzebowy Trendalla zadba o szczegóły. W Sumarville działały tylko dwa domy pogrzebowe: Trendalla dla białych i Jardiena dla czarnych. Bo w Missisipi, nawet w XXI wieku pochówek wciąż podlegał segregacji rasowej.

Max włożył portfel do tylnej kieszeni, przypiął do paska telefon komórkowy i zbiegł po schodach do holu. Złapał z antycznej, bogato rzeźbionej komody kluczyki do samochodu i dopadł frontowych drzwi. Wklepując kod systemu alarmowego, zastanawiał się, czy wpaść po drodze do domku Yvonne i zawiadomić ją o śmierci Louisa. Nie, po prostu zadzwoni do niej i powie, żeby przyszła do rezydencji i przygotowała wszystko na powrót rodziny. Yvonne była związana z Belle Rose od urodzenia. Wychowała się na plantacji wraz z bratem i siostrami Desmond, a jej matka służyła tu jako gospodyni.

Niespełna pięć minut po telefonie siostry Max gnał w swoim porsche w kierunku miasta. Miał nadzieję, że Mallory poradzi sobie ze wszystkim do jego przyjazdu. Skończyła wprawdzie osiemnaście lat, ale była niedojrzała jak na swój wiek. Mama i Louis za bardzo ją rozpieszczali. Max podejrzewał, że ojczym rozpuszczał młodszą córkę tak bezwstydnie, bo jego starsza kompletnie się od niego odcięła.

Mknąc po drogach hrabstwa Desmond, układał sobie w głowie listę spraw do załatwienia. Z niechęcią pomyślał o rozmowie z Jolie Royale, którą będzie musiał powiadomić o śmierci ojca. Gdy zamordowano jej matkę, Jolie miała czternaście lat. Louis wywiózł córkę z Belle Rose i od tej pory Max nie zamienił z nią słowa. Odrzucała wszystkie zaproszenia ojca i ciotki Clarice, twierdząc, że jej noga nie postanie w Belle Rose, dopóki mieszka tam „ta kobieta”. Ta kobieta, czyli Georgette Clifton-Devereaux-Royale.

*

Yvonne wyjęła z pieca świeży bochenek kukurydzianego chleba i przełożyła go z formy na talerz. Od powrotu do Sumarville po ośmioletnim pobycie w Memphis Theron co czwartek przyjeżdżał do niej na kolację. Yvonne chciała, żeby wprowadził się na stałe, ale syn wyśmiał ten pomysł.

– Mam trzydzieści osiem lat, mam, i jestem samodzielny, odkąd wyjechałem do college'u – powiedział. – Poza tym wiesz, że nigdy nie zamieszkałbym na starej plantacji. Belle Rose może być domem dla ciebie, ale nie dla mnie.

Nie miała synowi za złe tego, jak zapatrywał się na fakt, że mieszka w domku użyczonym jej przez Louisa Royale'a – tym samym, który zajmowała jej matka przez wszystkie te lata, gdy pełniła obowiązki gospodyni w rezydencji Desmondów. Theron należał do nowego pokolenia czarnych. Był nowoczesnym

Afroamerykaninem; nienawidził wszystkiego, co wiązało się z dawnym życiem, wszystkiego, co w jakikolwiek sposób sugerowało podległość wobec białych. Istniały jednak rzeczy, których Theron nie wiedział i których nie potrafiłby w ogóle pojąć. Desmondowie byli jej rodziną. Dopóki żyje Clarice, Yvonne nigdy jej nie opuści. Jak mogłaby wytłumaczyć synowi głęboką więź emocjonalną łączącą ją z Clarice? Czy zaakceptowałby jej oddanie dla białej kobiety, nawet gdyby wyznała mu szczerą prawdę?

– Kolacja wygląda wspaniale – powiedział Theron i odsunął dla matki krzesło. – Jesteś najlepszą kucharką w całym hrabstwie.

Yvonne uśmiechnęła się skromnie, siadając, i podniosła białą lnianą serwetkę leżącą na śnieżnym obrusie. Zawsze uwielbiała ładne rzeczy: eleganckie nakrycia, porcelanę, kryształ. Chociaż jej dom wydawał się skromny w porównaniu z wieloma innymi, była z niego dumna. Siostry Desmond nauczyły ją, jak powinna zachowywać się dama.

– Bycie prawdziwą damą nie ma nic wspólnego z kolorem skóry – powiedziała jej kiedyś Clarice.

Gdy jedli chleb, smażone ziemniaki i kurczaka z ochrą, Theron rozprawiał o planach kandydowania na urząd prokuratora okręgu Desmond, a kiedyś może nawet na gubernatora. Yvonne z entuzjazmem reagowała na wszystkie jego pomysły. Była dumna z jedyne go syna, który od dziecka wykazywał bystrość przerastającą jej najśmielsze oczekiwania. Gdyby jej mąż żył, też byłby dumny. Ale Ossie umarł, kiedy Theron miał zaledwie dziesięć lat. Yvonne wciąż za nim tęskniła, lecz mężczyznę, którego pokochała, widziała w jego synu. Wysokim, barczystym i przystojnym, o promiennym uśmiechu, który rozgrzewał jej serce.

Oszczędzała i przyjmowała pomoc finansową Clarice, by wysłać Theron na studia, a on sam starał się nie mniej, ucząc się i jednocześnie pracując na pełny etat. Wyrzeczenia nie poszły na marne. Theron skończył studia z wyróżnieniem i wkrótce po otrzymaniu dyplomu magistra prawa został zatrudniony przez prestiżową kancelarię w Atlancie. Przepracowawszy tam kilka lat, przyjął jeszcze lepszą posadę w Memphis, więc zaskoczyło ją, kiedy przed trzema miesiącami wrócił do Sumarville i otworzył samodzielną praktykę.

– Zdaję sobie sprawę, że muszę tu pomieszkać przez rok albo dłużej, zanim przystąpię do realizacji swoich planów. – Theron podniósł dzbanek z mrożoną herbatą i napełnił sobie szklanekę. – Ale mam zgodę, żeby kandydować, gdy tylko uznam to za stosowne. A kiedy już wyrobię sobie markę i ludziska się na mnie poznają, same głosy Afroamerykanów wystarczą, żeby mnie wybrano.

– Masz wspaniałe ambicje, synu. – Yvonne położyła mu dłoń na ramieniu. – Ale jeśli odgrzebiez tę okropną sprawę morderstwa sióstr Desmond, niczego nie zyskasz. Zrazisz tylko do siebie wielu białych.

Mięśnie na ramieniu Theron naprężyły się. Nerwowym gestem cofnęła rękę.

– Do licha, mamó! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie obchodzi mnie, co pomyśli banda białych snobów z okolicy. Jeżeli zdołam udowodnić, że wujek Lemar nie zamordował Audrey Royale i Lisette Desmond, aby potem popełnić samobójstwo, wszyscy nasi – uderzył się pięścią w pierś – i porządni, nieuprzedzeni biali zaczną mnie szanować za to, że rozwiązałem sprawę morderstwa sprzed dwudziestu lat.

Od kiedy powiedział jej, że zamierza uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby wznowić śledztwo i oczyścić dobre imię wuja, Yvonne modliła się, aby zmienić zdanie. Jeśli doprowadzi do ponownego otwarcia sprawy, w całym hrabstwie rozpęta się piekło – i to zarówno wśród czarnych, jak i wśród białych. Nigdy nie zapomni, jak napięte były stosunki rasowe dwadzieścia lat temu, kiedy lokalna policja orzekła że Lemar Fuqua zamordował Audrey i Lisette, a potem się zastrzelił.

Wszyscy, którzy znali Lemara mówili, że nie był zdolny do zabójstwa, a ona zgadzała się z nimi całym sercem. Jej brat był dobrym, łagodnym człowiekiem. I uwielbiał siostry Desmond. Bawili się jako dzieci, dorastając razem w Belle Rose. Kiedy Lemara uznano za mordercę, ze wszystkich sił starała się przekonać władze, że to pomyłka i że trzeba szukać sprawcy gdzie indziej. Jednak obrzydliwa plotka, która rozeszła się po miasteczku niczym pożar, utwierdziła wszystkich w przekonaniu o winie Lemara. Ludzie mówili, że kochał się w Lisette i wpadł w szal, gdy zaręczyła się z Parrym Cliftonem. Samo wspomnienie międzyrasowego romansu wystarczyło, by podsycić lęk, gniew, podejrzliwość i nienawiść, które od dawna istniały między białymi i czarnymi.

– Wiem, że nie chcesz przyjąć do wiadomości tego, co mam do powiedzenia, ale jestem twoją matką i powinienes mnie chociaż wysłuchać – zauważyła Yvonne.

– Znam już wszystkie argumenty przeciwko ponownemu otwarciu sprawy. Rozumiem twoje obawy, ale uwierz mi: wiem, jak o siebie zadbać. – Wziął matkę za rękę i czule uściskał jej dłoń. – Zdaję sobie sprawę, że w okolicy wciąż żyją ludzie popierający Ku-Klux-Klan, ale czasy, gdy mogli zamordować bezkarnie Murzyna, dawno minęły.

– Nie Ku-Klux-Klan mnie martwi. – Yvonne zajrzała głęboko w jasnobrązowe oczy syna, takie same jak jej własne. – Wiemy, że Lemar nie był mordercą, a to znaczy, że rzeczywisty sprawca wciąż może żyć w Sumarville. I poczuje się zagrożony twoją inicjatywą. Jeśli uzna, że istnieje niebezpieczeństwo, że odkryjesz prawdę, zrobi wszystko, by cię powstrzymać.

– I dobrze. – Theron uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły talerze. – Jeśli śledztwo w sprawie morderstwa sióstr Desmond wykurzy zabójcę z ukrycia, tym lepiej dla mnie.

– Ale dlaczego teraz, synu? – nie ustępowała Yvonne. – Minęło dwadzieścia lat, a...

– Wiesz, że od lat chciałem udowodnić niewinność wujka Lemara. Musiałem tylko poczekać na odpowiedni moment, by mieć pewność, że lokalne władze nie będą w stanie mnie powstrzymać. Teraz jestem bogatym, szanowanym prawnikiem o szerokich kontaktach politycznych. Odpowiedni moment właśnie nadszedł. Dlatego wróciłem do domu. Czas przystąpić do działania.

*

Jolie Royale zamknęła drzwi swojego mieszkania. Torebkę i klucze rzuciła na stolik w holu i chwiejnym krokiem weszła do salonu. Zrzuciła czerwone pantofle na ośmiocentymetrowym obcasie i boso podreptała przez beżowy dywan. Randka z Gene'em Naughtonem, maklerem giełdowym z Atlanty, z którym spotykała się od ponad miesiąca, zakończyła się nieprzyjemnym zgrzytem. Gene dał do zrozumienia, że ich związek powinien wejść w następną fazę, co dla niego oznaczało seks. Ona uważała go raczej za przyjaciela niż kochanka. Choć był atrakcyjny jak na czterdziestopięciolatka, nie wzbudzał w niej niepokonanego pożądania. Może spodziewała się zbyt wiele; może zawsze szukała w związkach więcej, niż mogła w nich znaleźć. Nie należała do wybrzydzących dziewic, ale lista jej kochanków nie była długa. Raczej dość krótka. Nie licząc dziewczęcych zauroczeń, zakochała się tylko dwa razy – a w każdym razie tak jej się wtedy wydawało. Jej pierwszym kochankiem był zabójczo przystojny Włoch o imieniu Arturo. Miała dwadzieścia jeden lat, studiowała w Instituto Marangoni w Mediolanie i pokochała Artura do szaleństwa. Romans nie trwał długo, znacznie krócej niż rozpacz Jolie, gdy nakryła go w łóżku z inną. Pięć lat później, kiedy pracowała w Nowym Jorku, zauroczył ją Paul Judd, młody, zdolny aktor marzący o wielkiej karierze. Zajął jej ponad rok, nim zdała sobie sprawę, że zakochała się nie w nim, ale w mężczyźnie, za jakiego go uważała.

Jolie weszła do kuchni i wyjęła z lodówki puszkę dietetycznej coli. Otworzyła wieczko i napiła się, wracając do salonu. Zagłębiwszy się w miękką, obitą adamaszką sofę, wymacała między poduszkami pilot i włączyła telewizor. Na ekranie pojawiło się studio programu informacyjnego. Wyłączyła dźwięk, a potem podniosła nogi i położyła stopy na szklanym blacie stolika z kutego żelaza.

Co się z nią dzieje? Dlaczego po prostu nie zaprosiła Gene'a do domu? Jaki grzech by popełniła, idąc do łóżka z porządnym facetem, który chciał, aby ich związek rozwinął się w coś bardziej intymnego? Przecież, jak mawiała Cheryl, „seks z facetem nie oznacza od razu małżeństwa”. Problem w tym, że Jolie nie była jak Cheryl Randall. Cheryl, która pracowała jako jej osobista asystentka, odkąd sześć lat temu przeprowadziła się do Atlanty i otworzyła własną firmę projektancką, traktowała mężczyzn jak chusteczki higieniczne. Jolie nie miała w sobie takiej bez troski. Traktowała poważnie życie zarówno osobiste, jak i zawodowe. Pozycję czołowej projektantki odzieży dziecięcej w kraju osiągnęła nie tylko dzięki talentowi, ale również ciężkiej pracy, determinacji, powadze i

skupieniu.

Ale czy sukces zawodowy był wszystkim, czego pragnęła od życia? Czy nie chciała i nie potrzebowała czegoś więcej? Zegar biologiczny trzydziestoczteroletniej kobiety tyka coraz szybciej, więc jeśli chce mieć męża i dzieci... Czy rzeczywiście zależy jej na mężu? Może. Gdyby znalazła właściwego mężczyznę. Mężczyznę, z którym chciałyby spędzić resztę życia i którego darzyłaby głębokim uczuciem, niepodobnym do czegokolwiek, czego dotąd doświadczyła. Czy żądała zbyt wiele? Pewnie tak. Większość ludzi po prostu godzi się na to, co dostępne, na przypadkowe zauroczenie, które daje złudzenie miłości aż po grób.

Dopijając colę, zachichotała na myśl o własnej naiwności. Miłość nie trwa wiecznie.

Okej, może trafiło się to garstce szczęściarzy. Ale co z całymi rzeszami innych? Większość jej znajomych była po rozwodzie albo po kilku nieudanych wieloletnich związkach. Ona przynajmniej nie popełniła takiego błędu; nigdy nie wyszła za mąż ani nie zamieszkała z facetem pod jednym dachem. Zawsze za bardzo ceniła niezależność.

Kilku mężczyzn mówiło jej, że skrywa się za obronną tarczą i wysyła negatywne wibracje, odrzucając facetów, zanim zdążą się do niej zbliżyć. Nie zachowywała się świadomie jak „zimna, niedostępna suka” – tak wyraził się o niej pewien znajomy parę lat temu – ale może właśnie taka była. Może mimo wieloletniej terapii nigdy do końca nie pozbiierała się po urazie, jaki przeżyła dwadzieścia lat temu. Przecież wciąż miała koszmarne sny, w których widziała martwe ciała mamy i ciotki Lisette i czuła piekące użądlenia kul przeszywających jej ciało. Jakie szczęście, że zabójca myślał, że umarła.

Przestań! Przestań natychmiast! Nie rozdrapuj starych ran tylko dlatego, że dzwoniła do ciebie ciotka Clarice i powiedziała, że Louis Royale miał rozległy zawał. To nie powód, by dręczyć się bolesną przeszłością, o której najlepiej zapomnieć.

Jakie to ma znaczenie, że człowiek, którego nie widziała od dwudziestu lat, umiera? Przestała myśleć o Lousie Royale'u jako o swoim ojcu dawno temu. Wykreśliła go ze swego życia. Jej ojciec umarł w dniu, w którym sprowadził do domu tę kobietę, niespełna rok po pochowaniu pierwszej żony.

Postawiła pustą puszkę na stoliku, wstała i ruszyła do sypialni, zbierając po drodze porzucone pantofle. Powinna wziąć proszek nasenny. Unikała łykania tabletek, ale w tym tygodniu zrobiła to już dwa razy, a dziś robi po raz trzeci. Sięgnęła za plecy, chwytając za suwak sukienki, zanim jednak zdążyła go rozpiąć, zadzwonił telefon. Boże, żeby to nie był Gene. Nie zerwała z nim ostatecznie, mimo że powinna. Kończenie romansu, nim jeszcze się zaczął, stało się jej znakiem firmowym. Czego, do cholery, tak bardzo się obawia?

Usiadła na brzegu łóżka i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Proszę z Jolie Royale.

Poznała ten głos mimo upływu lat. Głęboki baryton, wyraźny południowy akcent i władczy ton.

– Przy telefonie.

– Jolie, tu Max Devereaux. Przykro mi, ale dziś wieczorem umarł twój ojciec.

Milczała, nie wiedząc, jak zareagować. Nikt, a już na pewno nie Max Devereaux, nie zrozumiałby, gdyby powiedziała, że Louis Royale umarł dzisiaj, ale jej ojciec nie żył od dziewiętnastu lat – od dnia, w którym ożenił się z Georgette.

– Słyszałaś mnie? – zapytał Max ostrym tonem.

– Tak, słyszałam. Powiedziałeś, że Louis Royale umarł dziś wieczorem.

– Ceremonię wystawienia ciała zaplanowano na sobotę wieczorem, a pogrzeb na niedzielę po południu, ale mogę przesunąć terminy, jeśli...

– Nie. Nie ma potrzeby, żebyś zmieniał plany z mojego powodu.

– Przyjedziesz na pogrzeb, prawda?

– Nie... nie wiem.

– Do cholery, kobieto! To był twój ojciec. Skoro nie potrafiłaś okazać mu odrobiny miłości i szacunku za życia, powinnaś przynajmniej zjawić się na pogrzebie.

– Idź do diabła, Max!

Trzasnęła słuchawką, a potem rzuciła się na materac. Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, gdy skuliła się, próbując zapanować nad emocjami. Nagle wybuchła płaczem. Łzy żalu, samotności i bezsilności polały się z jej oczu. Płakała za siebie. Za matkę. Za ciotkę Lisette. I tak, również za ojca.

Rozdział 2

Bywały dni, gdy Eartha Kilpatrick nienawidziła wszystkiego w Sumarville, i wtedy odnosiła się do bliźnich mało przyjaźnie. W wieku trzydziestu dziewięciu lat czuła się zmęczona życiem, które miało się nijak do tego, co sobie kiedyś wymarzyła. Niechciana ciąża, kiedy była jeszcze nastolatką, a potem małżeństwo z prawdziwą gnidą wprowadziły jej życie na złe tory. Wychowywanie dwójki dzieci po rozwodzie też nie było łatwe. Ani opieka nad ojcem, który umarł cztery lata temu, a cierpiał na alzheimera od pięćdziesiątego roku życia. Chociaż pewnie powinna być wdzięczna za błogosławieństwa losu. Odziedziczyła po rodzicach zajazd Sumarville i objęła dyрекcję jedyne go hotelu w miasteczku, gdy choroba uniemożliwiła ojcu prowadzenie interesu. Jej obie córki wyjechały do college'u, zdobywszy stypendium. Miała też interesującego faceta, mimo że nie afiszowali się ze swoim związkiem.

Mijając wielkie lustro w hotelowym holu, zerknęła na swoje odbicie i uśmiechnęła się ukradkiem. Inaczej niż wiele kobiet zbliżających się do czterdziestki nie straciła figury. Mężczyźni wciąż uważali ją za atrakcyjną. Na przykład Max Devereaux. Oczywiście, znała ograniczenia ich związku. Przyjaźń i seks. Od początku był z nią zupełnie szczerzy. Facet sparzył się strasznie na pierwszym i jedynym małżeństwie. W dodatku plotki, że zamordował żonę, wciąż wypływały od czasu do czasu na powierzchnię. Choć zdawała sobie sprawę, że Max nie jest święty, nie wierzyła, żeby był zdolny do morderstwa.

Eartha weszła do restauracji i skierowała się do baru. Rozejrzała się wokół, kontrolując pracowników, którzy zmiatali podłogę i ustawiali stoliki, przygotowując salę do jutrzejszego śniadania. Przy barze, który zostanie zamknięty za pół godziny, siedziało dwóch klientów. Stali bywalcy, mężczyźni w średnim wieku, którzy nie chcieli wracać do domu i swoich żon.

– Co podać, szefowo? – spytał RJ. Sutton, nowo zatrudniony młody barman.

Uśmiechnęła się. Cholerny z niego przystojniak i jeśli nie myliła jej intuicja, zepsuty do szpiku kości. Gdyby była o kilka lat młodsza, kusiłoby ją, żeby sprawdzić, jak bardzo jest niegrzeczny. Może właśnie dlatego nie potrafiła się oprzeć Maksowi – zawsze miała słabość do łobuzów.

– Whisky z wodą. – Patrzyła, jak RJ. bierze z półki butelkę jacka danielsa. Był wysoki, szczupły i barczysty, a gęste blond włosy sięgały mu prawie do ramion.

Napełniwszy szklanekę, odwrócił się i postawił przed nią drinka. Właśnie zaczęła mówić „dziękuję”, gdy zauważyła, jak jego wzrok wędruje w stronę drzwi.

– Kłopoty wróciły – oznajmił.

Obejrzała się przez ramię i stęknęła, widząc Parry'ego Cliftona, który z rozczochraną ciemną czupryną i w rozchełstanej koszuli wprowadzał do restauracji kobietę dwa razy od siebie młodszą. Cóż, nie trwało to długo, pomyślała. Wynajęła

pokój wujowi Maksa i jego najnowszej „przyjaciółce” przed niespełną godziną.

– Facet przychodzi tu parę razy w tygodniu – zauważył R. J. – Dlaczego nie wywali go pani na zbity pysk? Przecież musi pani wiedzieć, że kobiety, które tu przyprowadza, to prostytutki.

– W Sumarville nie ma prostytutek. Są tylko tanie dziwki. No, może powinno się mówić dziwki za dwadzieścia dolców. – Wypiła kilka łyków whisky i zwróciła się twarzą do Parry'ego, który właśnie podszedł. – Zamykamy za parę minut. Może powinienesz zabrać znajomą do Wody Ognistej. Są otwarci do pierwszej.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – Parry klapnął na barowy stołek i usadził swoją towarzyszkę na stołku obok. – Uważaj, bo Candy gotowa pomyśleć, że nie jesteśmy tu mile widziani.

Eartha skrzywiła się.

– Podaj panu Cliftonowi i jego towarzysze drinki, a potem zamknij bar – poleciała Suttonowi, po czym wstała, obeszła salę, sprawdzając każdy stolik, i ruszyła do kuchni.

Sącząc leniwie whiskacza, dokonała inspekcji całego pomieszczenia, upewniając się, że wszędzie panuje nienaganny porządek. Musiała zajmować się nudnymi, przyziemnymi obowiązkami, choć tak naprawdę pragnęła – pragnęła od zawsze – uciec do Nashville. Idiotka z niej! Była za stara na rozpoczynanie kariery piosenkarskiej. Straciła swoją szansę ponad dwadzieścia lat temu na tylnym siedzeniu starego mercury'ego należącego do ojca Trenta Kilpatricka.

W piątkowe i sobotnie wieczory, gdy w restauracji odbywały się występy na żywo, zawsze śpiewała kilka numerów dla zebranych gości. I za każdym razem, gdy słyszała brawa, udawała, że jest w Grand Ole Opry.

– Pani Eartho? – R. J. uchylił kuchenne drzwi i zajrzał do środka. – Telefon do pani.

– Kto dzwoni?

– Pan Devereaux.

– Już odbieram.

Dlaczego Max dzwonił do niej w czwartkowy wieczór o jedenastej? Serce podeszło jej do gardła. Boże, może umarł stary Royale. Biedny Max bardzo ciężko przeżyje śmierć ojczyzna. Po prostu ubóstwiał drugiego męża mamy.

Wróciła do sali restauracyjnej, weszła za bar, odstawiła szklanekę i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Jest tam mój wujek? – spytał Max.

– Tak.

– Zrób mi przysługę, dobrze? Poproś któregoś ze swoich ludzi, żeby zawiózł wujka Parry'ego do Belle Rose. Mama go potrzebuje.

– Czy pan Royale?...

- Louis zmarł kilka godzin temu.
- Tak mi przykro. Jeżeli mogę jakoś pomóc...
- Po prostu sprowadź wujka Parry'ego do domu tak szybko, jak się da – urwał, westchnął głośno i dodał pośpiesznie: – I dopilnuj, żeby nie wziął ze sobą żadnej panienki.
- Nie martw się, dopilnuję.
- Dzięki, Eartho.
- Nie ma za co, Max. Dla ciebie wszystko – zapewniła i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo ostatnie zdanie było prawdziwe. Dla ciebie wszystko. Pilnowała się, żeby nie zakochać się w Maksie, tłumaczyła sobie, że w jego sercu nie ma miejsca na miłość. Był gorącym kochankiem potrafiącym zaspokoić kobietę, ale jego serce – o ile w ogóle je miał – pozostawało zimne.
- Zamykamy dzisiaj trochę wcześniej – powiedziała Eartha, spoglądając na dwóch facetów przy barze. Obaj szybko dopili drinki i wyszli.
- Stracisz klientów, jeśli będziesz robić takie numery – przestrzegł ją Parry.
- Panie Clifton, mój barman R.J. zawiezie pana do domu. – Zerknęła na Candy.
- Czy pan Clifton zadbał o panią?
Kurewka zarumieniła się i skinęła głową.
- Tak. Zawsze biorę pieniądze przed... – Chrząknęła. – To znaczy, z wyprzedzeniem.
- Świetnie. – Eartha wyszła zza baru, podeszła do Parry'ego i położyła mu rękę na ramieniu. – Właśnie dzwonił Max. Pan Royale zmarł kilka godzin temu. Max czeka na pana w domu.
- Louis nie żyje? – W przekrwionych oczach Parry'ego załśniły łzy. – Biedny stary drań. Będzie mi go brakowało.
- R.J., zostaw to wszystko. Dokończ za ciebie. – Z kieszeni spodni wyjęła kluczyki do swojego samochodu i rzuciła je barmanowi. – Zawieź pana Cliftona do Belle Rose. Odeskortuj go do samej rezydencji i zaprowadź prosto do Maksa.
- Mam własny wóz – powiedział Parry.
- Pański samochód będzie tu bezpieczny – odparła. — Pił pan, więc nie powinien pan prowadzić. Max, pani Royale i Mallory potrzebują pana w jednym kawałku. Tylko tego by im brakowało, żeby miał pan wypadek.
- Parry wzruszył ramionami, a potem westchnął z rezygnacją i spojrzał na barmana.
- Wiesz, chłopcze, gdzie jest Belle Rose, prawda?
- Tak, proszę pana – odpowiedział R.J. – Chyba wszyscy wiedzą.
- Mam nadzieję, że Louis zadbał o moją siostrę i dzieciaki w testamencie – wymamrotał Parry. – Czuję, że niedługo zobaczymy Jej Wysokość pannę Jolie Royale. Wróci na stare śmieci, żeby przejąć Belle Rose.
- Kiedy R.J. wyprowadził Cliftona z restauracji, Eartha zajęła się zmywaniem

brudnych szklanek, a potem wytarła do czysta blat baru. Jolie Royale. Ledwo ją pamiętała. Pulchna blondynka. Zarozumiała i rozpuszczona jak dziadowski bicz. Księżniczka hrabstwa Desmond. Parę miesięcy po śmierci pierwszej żony pan Royale wywiózł ją z miasta. Ludzie mówili, że dziewczyna przeżyła masakrę w Belle Rose tylko po to, by postradać zmysły i skończyć w domu wariatów. Oczywiście później dowiedzieli się, że Jolie nigdy nie siedziała u czubków; ojciec wysłał ją do ekskluzywnej szkoły z internatem w Wirginii.

Kiedyś Eartha zapytała o nią Maksa. Rzucił jej wściekle spojrzenie i odparł: – Z nikim nie rozmawiam o Jolie.

*

Parry Clifton chrapał jak pociąg towarowy toczący się z łoskotem po torach. Gadał non stop przez pierwszy kwadrans, a potem ucichł i zasnął. I całe szczęście, pomyślał R.J. Czuł do Parry'ego instynktowną antypatię. Stary pijak i dziwkarz przypominał mu ojca. R.J. miał sześć lat, kiedy umarła jego matka i został na łasce i niełasce starego. Nauczył się nie wchodzić mu w drogę i dzięki temu rzadziej dostawał manto. Nie miał pojęcia, czy Jerry Sutton umarł, czy wciąż żyje, i nie obchodziło go to. W wieku piętnastu lat uciekł z domu i od tego czasu nie zatrzymał się nigdzie na dłużej. Przez siedem ostatnich lat podróżował od miasta do miasta, chwytając się każdej roboty. Kiedy przed trzema tygodniami trafił do Sumarville, poszczęściło mu się. Barman u Earthy Kilpatrick właśnie zwolnił się z pracy. Prawdziwy uśmiech losu.

Z przodu zamajaczyła wielka żelazna brama Belle Rose. Rezydencję na starej plantacji widział już z szosy, mimo że stała na końcu długiego, obsadzonego szpalerem drzew podjazdu. Już parę dni po przybyciu do Sumarville R.J. zorientował się, że władzę w okolicy trzyma kilka starych rodzin. Nie poznał jeszcze wszystkich aktorów w tym przedstawieniu, ale wiedział, że Louis Royale był najbogatszym i najbardziej szanowanym człowiekiem w hrabstwie, a jego pasierb Max Devereaux dysponował władzą należną księciu.

Podjechał do bramy i zauważył kamery. Będzie musiał się przedstawić, zanim wpuszczą go na teren posiadłości. Opuścił boczną szybę i powiedział:

– Wiozę pana Cliftona.

Po chwili brama się otworzyła. R.J. wrzucił bieg i ruszył po podjeździe w kierunku domu, którego majestatyczny ogrom wręcz przytłaczał. Smukłe kolumny podpierały wysoki na dwie kondygnacje portyk dzielący oba skrzydła budowli. Front i boczne mury okalała wspiana weranda, a na poziomie pierwszego piętra wieńczyły ją bliźniacze balkony ozdobione kunsztownymi białymi barierkami. R.J. wiedział, jacy ludzie mieszkają w takich domach. Zdarzało mu się pracować dla bogatych snobów, którzy żyli w luksusie i dusili się od oddychania zbyt rozrzedzonym powietrzem. Ci siedzący na szmalu, wpatrzeni w historię przodków zarozumiałcy uważali się za lepszych od reszty śmiertelników.

R.J. zatrzymał samochód przed domem, wyskoczył z wozu, okrążył maskę i otworzył drzwiczki od strony pasażera. Pan Clifton siedział z głową odrzuconą do tyłu i rozdziawionymi szeroko ustami. Wciąż chrapał.

R.J. potrząsnął nim. Clifton przestał chrapać, zamrugał powiekami, otworzył z wysiłkiem szaroniebieskie oczy i łypnął na niego z wyrzutem.

– Jest pan w domu, panie Clifton.

– W domu?

– W Belle Rose.

Parry Clifton wygramolił się z auta, uderzając się przy tym w głowę.

– Cholera!

R.J. objął go w pasie i postawił na nogi. Gdzie się podziewa Max Devereaux, do jasnej cholery? Przydałaby mu się pomoc. Clifton miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył co najmniej sto kilo. Co za szczęście, że musieli pokonać tylko sześć schodków.

Kiedy w końcu udało mu się na w pół zanieść, na w pół wprowadzić faceta na werandę, otworzyły się ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i pojawił się Max Devereaux. Szybko ocenił sytuację i widząc stan wuja, aż stęknął.

– Wyglądasz żałośnie – powiedział, a potem zwrócił się do Suttona: – Dziękuję, że go przywiozłeś.

– Nie ma sprawy. Spał przez większość drogi.

Max objął wuja w pasie i wtaszczył do domu. W drzwiach przystanął, obejrzał się przez ramię i rzucił:

– Przekaż Earcie podziękowania.

– Jasne – odparł R.J.

Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Czego zresztą oczekiwał? Był tylko służącym, który wykonał swoją robotę. A Max Devereaux, dziękując, zrobił i tak więcej niż większość ludzi jego pokroju.

R.J. ruszył po schodkach do samochodu, ale zanim postawił nogę na ostatnim stopniu, wydało mu się, że słyszy płacz. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Płacz dochodził gdzieś z boku. Donośne, rozpaczliwe łkanie. I co?, pomyślał. Pan domu właśnie wyzionął ducha. To naturalne, że rodzina go opłakuje. Ale co, do ciężkiej cholery, robił ktoś – sądząc po głosie, kobieta – na zewnątrz w taki gorący, parny wieczór?

Wskakuj do cholernej bryki i wracaj do miasta. Ktokolwiek tam płacze, nie powinno cię to w ogóle obchodzić. Nie twój zakichany interes.

Zamiast pójść za głosem rozsądku, wszedł z powrotem po schodkach i ruszył w stronę bocznej werandy, skąd dochodził płacz. Zobaczył kobietę wtuloną w jedną z kolumnienek. Jej czarne włosy lśniły w świetle księżyca. Wiedział, że wdanie się z nią w rozmowę może oznaczać tylko kłopoty, ale nie potrafił tak po prostu odejść i jej zostawić.

– Hej tam. Wszystko w porządku?

Podskoczyła z zaskoczenia, mimowolnie zakrywając dłonią usta.

– Kim pan jest?

– Nazywam się R.J. Sutton – odpowiedział. – Pracuję w zajeździe Sumarville.

Pani Eartha poprosiła, żebym odwiózł do domu pana Cliftona.

– Czy wujkowi Parry'emu coś się stało?

„Wujkowi Parry'emu”? To oznaczało, że kobieta jest siostrzenicą Cliftona, czyli siostrą Maksa Devereaux.

– Nie. Po prostu trochę za dużo wypił.

Zrobiła niepewny krok w jego kierunku i zdał sobie sprawę, że jest bardzo młoda. Zaledwie nastolatka. Ale piękna. Oszałamiająco piękna.

– Usłyszałem, jak panienka płacze – powiedział.

– Mój ojciec umarł dziś wieczorem.

– Pan Royale. Tak, słyszałem. Bardzo mi przykro.

– Znał pan mojego tatę?

– Nie miałem tej przyjemności.

– Był wyjątkowym człowiekiem.

– Na pewno.

Gdy podeszła bliżej, tak że dzielił ich niecały metr, poczuł zapach jej perfum. Subtelnych i na pewno bardzo drogich. Pomyślał, że jest dla niego nie tylko o wiele za młoda, ale także z zupełnie innej ligi. Panna Royale mieszkała w wielkim wspaniałym domu i obracała się wśród elity stanu Missisipi.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał, choć rozsądek podpowiadał mu, żeby się wycofał i zostawił tę damę jakiemuś rycerzowi w lśniącej zbroi.

– To bardzo miłe z pana strony, panie...?

– R.J. Sutton.

– Ach, tak, już mi pan mówił. Przepraszam, R.J. Cześć. – Uśmiechnęła się niewyraźnie. – Jestem Mallory. Mallory Royale.

Popatrzyła na niego oczyma tak ciemnymi, że zdawały się niemal czarne. Lekceważąc dzwonek ostrzegawczy w głowie, wyciągnął rękę i otarł łzę z jej policzka.

– Mallory! – rozległ się za ich plecami chropawy baryton.

R.J. zeszywniał. Cholera jasna! Max Devereaux właśnie zobaczył, jak dotykam jego młodszej siostry. Przełknął z wysiłkiem ślinę. Ostatnią rzeczą jakiej w tej chwili pragnął, była konfrontacja z tym facetem.

– Jestem tutaj, Max – odpowiedziała. – Rozmawiam z panem Suttonem.

R.J. raczej wyczuł obecność Maksa, niż go zobaczył. Specjalnie stał do niego tyłem, obawiając się tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby odwrócił do niego twarz.

– Musiałam się stamtąd wyrwać – tłumaczyła bratu Mallory. – Nie mogę

patrzeć, jak mama cierpi.

R.J. poczuł, jak Max zbliża się do nich, a potem zobaczył jego cień padający na Mallory.

– Było mi bardzo miło panią poznać, panno Royale. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci pani ojca. – R.J. zaczął się wycofywać, unikając kontaktu wzrokowego z Maksem.

– Panie Sutton! – zawołał za nim Devereaux.

Jasny gwint! Jeszcze minuta i byłby w samochodzie. Przystanął i odwrócił się twarzą do nowego gospodarza Belle Rose.

– Tak?

– Proszę chwilę poczekać. – Max spojrzał na siostrę. – Wracaj do środka i dotrzyмай matce towarzystwa. Nie powinna być sama.

Mallory skinęła głową i ruszyła w stronę domu. Max podszedł do R. J.

– Nigdy więcej nie zbliżaj się do mojej siostry – powiedział. – Czy to jasne?

– Tak – odparł R.J.

Nie czekał, aż Max powie więcej. Nie był głupcem. Potrafił rozpoznać groźbę. Mallory Royale mogła być najładniejszą lalą, jaką widział, i mogła wzbudzać w nim najdziksze żądze, ale nie zamierzał narażać się na mordobicie dla żadnej kobiety. A był pewien, że Max Devereaux nie rzuca słów na wiatr.

*

– Chcę zadzwonić do Jolie. – Clarice miętoszyła nerwowo trzymaną w dłoni chusteczkę.

– Max już z nią rozmawiał – powiedziała Yvonne.

– Ale nie zgodziła się przyjechać do domu, a musi. Po prostu musi.

– Jeśli nie odezwie się do jutra, znów zadzwonimy. – Yvonne objęła Clarice w pocieszającym geście. – Uspokój się i przestań się zamartwiać. Nie możesz zmusić dziewczyny do przyjazdu, jeśli nie będzie tego chciała.

Yvonne obawiała się o zdrowie psychiczne Clarice. Jej przyjaciółka, nerwowa i wrażliwa jak wszystkie kobiety z rodziny Desmondów, stała się przesadnie melancholijna i sentymentalna po śmierci narzeczonego w Wietnamie, a odkąd dwadzieścia lat temu znalazła w Belle Rose martwe ciała siostr, zaczęła zdradzać oznaki niezrównoważenia. Wszyscy sądzili, że biedaczka zwariowała. Ale Clarice nie była szalona. Po prostu radziła sobie z okropną tragedią na własny sposób – wycofując się z rzeczywistości.

– Clarice, kochanie. – Nowell Landers ujął drobną dłoń Clarice w swoje masywne dłonie. – Yvonne ma rację. Za bardzo się denerwujesz. Nie mogę na to patrzeć.

Clarice wyrwała się Yvonne i przytuliła do Nowella. Landers zjawił się w miasteczku przed sześcioma miesiącami. Przyjechał na harleyu i wynajął pokój w zajęździe Sumarville. Następnego dnia przyszedł do Clarice z wizytą. Twierdził, że

dobrze znał jej zmarłego narzeczonego.

– Kumplowaliśmy się w woju – opowiadał. – Byłem przy Jonie, kiedy umierał.

To wystarczyło. Z miejsca zdobył zaufanie Clarice, a wkrótce także jej serce. Yvonne, choć miała pewne wątpliwości co do intencji Nowella, musiała przyznać, że potrafił uszczęśliwić Clarice, która w jego towarzystwie była radosna jak przed trzydziestoma sześcioma laty, zanim straciła narzeczonego. Tylko czasem zastanawiała się, co nieokrzesany emerytowany wojak widział w kruchej, niezrównoważonej psychicznie sześćdziesięciolatce. Clarice miała pieniądze, ale na pewno nie tyle, by ktoś chciał się z nią dla nich ożenić.

– Może zaprowadzę cię na górę i położę do łóżka? – zasugerowała Yvonne.

– Jestem potrzebna tutaj. – Clarice uniosła głowę z ramienia Nowella i powiodła wzrokiem po pokoju, spoglądając na płaczącą Georgette, smętną Mallory i cichego, wycofanego Maksa.

– Wszyscy niedługo idą spać – powiedziała Yvonne. – Dzisiaj nie ma już nic do zrobienia. Poza tym Max wszystkim się zajmie.

– Oczywiście. Max jest taki dobry. – Clarice poklepała Nowella po policzku. – Tak bym chciała, żebyście się z Makssem polubili.

– Nie martw się mną i Makssem – odparł Nowell. – Przekona się do mnie, kiedy wreszcie zrozumie, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Panie Landers, naprawdę uważam, że powinnam zaprowadzić Clarice do łóżka. – Yvonne spojrzała na niego błagalnie.

– Oczywiście. – Nowell obrócił Clarice i wsunął jej rękę w dłoń Yvonne. – Przyjdę tu z samego rana. Ale gdybyś mnie potrzebowała, poproś Yvonne, żeby do mnie zadzwoniła bez względu na porę.

– Jesteś taki dobry i kochany, zupełnie jak... – zdawało się, że myśli Clarice rozplynęły się w pustce, jakby nagle zapomniała, co chciała powiedzieć.

Nowell pocałował ją w policzek, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Clarice odprowadziła go wzrokiem pełnym uwielbienia.

Jeśli ten mężczyzna złamie jej serce, pomyślała Yvonne, Max wdepcze go w ziemię. Już ja tego dopilnuję.

Yvonne wiedziała, że nikt nie zrozumie, dlaczego jest taka oddana Clarice Desmond. A już najmniej jej własny syn. Ale też nikt nie znał ich tajemnic. Sekretów, które połączyły je ze sobą na zawsze.

Rozdział 3

Trzymając tacę ze śniadaniem na otwartej dłoni, Max otworzył drugą ręką drzwi do sypialni matki. Yvonne przygotowała tylko tosty i kawę. Georgette była typem niejadka. Pewnie dzięki temu mimo pięćdziesięciu sześciu lat udało jej się utrzymać młodzieńczą figurę. Wczesnoporanne słońce sączyło się przez szpary w okiennicach. Max wszedł do pokoju i postawił tacę na jednym z krzeseł w stylu Ludwika XV stojących po obu stronach kominka. Wystrój sypialni został zmieniony trzy lata temu według instrukcji projektanta wnętrz z Memphis. Max wciąż pamiętał, z jakim entuzjazmem matka powitała to przedsięwzięcie.

– Dzień dobry – powiedziała Georgette, siadając na łóżku. Było to wielkie żelazne łoże udrapowane czerwono-złotym tiulem i zasłane jedwabną pościelą Desmondów.

– Spałaś choć trochę? – zapytał Max.

Georgette odgarnęła pukle czarnych włosów z nadal pięknej twarzy. Była dumna ze swej urody, podobnie jak z włosów farbowanych przez wprawnego fryzjera tak, że wyglądały zupełnie naturalnie.

– Niewiele. A ty?

– Może parę godzin.

Spojrzała na tacę.

– Przyniosłeś moją poranną kawę?

– Tak. I kilka tostów. Powinnaś coś zjeść.

Postawił jej tacę na kolanach i zdjął z porcelanowego talerza haftowaną serwetkę okrywającą cztery grzanki lekko posmarowane masłem. Ze srebrnego dzbanka nalał czarnej kawy do porcelanowej filiżanki. Porcelana i srebro były w rodzinie Desmondów od sześciu pokoleń.

– Przeszkadzałoby ci, gdybyśmy porozmawiali, kiedy będziesz jadła? – zapytał.
– Musimy podjąć wiele decyzji.

Georgette podniosła filiżankę do ust i napiła się ulubionej mieszanki kawy, którą co miesiąc sprowadzano specjalnie dla niej z Nowego Orleanu.

– Rozumiem, że z niektórymi sprawami nie można zwlekać. Ale tak bardzo boję się zmierzyć z realnością śmierci Louisa.

– Chcesz pojechać dziś ze mną do Trendalla?

– Litości, nie! Nie zniósłabym tego. Proszę, kochanie, sam zajmij się wszystkimi szczegółami – odparła, potrząsając energicznie głową.

Spodziewał się takiej odpowiedzi. Kochał matkę szczerze i mocno, ale też jak nikt inny zdawał sobie sprawę z jej słabości. Nie była kobietą silną emocjonalnie i w przykrych sprawach życia codziennego zdawała się na innych. Gdy chodziło o zapewnienie bytu i ważne decyzje, polegała na swoich mężach, najpierw na Philipie, a potem na Louisie. Max wiedział, że teraz, kiedy Louis odszedł, będzie

musiał wziąć te obowiązki na siebie.

– Biorąc pod uwagę liczbę osób, które trzeba zaprosić, myślę, że najlepiej urządzić ceremonię wystawienia ciała w sobotę wieczorem, a pogrzeb w niedzielę po południu – powiedział.

– Oczywiście, kochanie – odparła Georgette, łamiąc grzanekę na pół. Włożyła do ust mały kawałek tosta i spojrzała synowi w oczy. – Zadzwońisz do niej jeszcze raz?

Nie musiał pytać, kogo miała na myśli.

– Nie widzę powodu. Ciocia Clarice na pewno do niej zatelefonuje.

– Myślisz, że przyjedzie na pogrzeb?

– Nie wiem.

– Złamała mu serce. Zawzięta, mściwa dziewczyna.

– Już nie jest dziewczyną mamó. Ma trzydzieści cztery lata. – Max nigdy nie wziąłby Jolie w obronę, ale sądził, że ją rozumie. Nienawidziła Georgette, tak jak on nienawidził kiedyś Louisa. Tyle że on zamieszkał w domu ojczyma i przekonał się do niego, a Jolie nigdy nie dała jego matce żadnej szansy. Louis wielokrotnie błagał, by przyjechała do Belle Rose, ale za każdym razem odmawiała.

– Dom należy teraz do niej. – Dłoń Georgette zdrząła lekko. – Jestem pewna, że Louis zapisał jej Belle Rose. Pewnie nas stąd wykurzy, gdy tylko się dowie, że ma do tego prawo.

– Dlaczego uważasz, że Louis zostawił dom Jolie? – Max przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

– Wiele lat temu powiedział mi, że Belle Rose należy się Jolie, bo to dom jej matki, który był w rodzinie Desmondów od wielu pokoleń.

– Mógł zmienić zdanie. – Max nie znał treści testamentu, ale nie potrafił, wprost nie mógł uwierzyć, by ojczym zostawił Belle Rose Jolie. Musiał chociaż podzielić posiadłość między obie córki.

– Nie pozwól, żeby nam wszystko zabrała. – Georgette wyciągnęła do niego rękę. – Ona mnie nienawidzi. Nienawidzi nas wszystkich. Nic nie sprawiłoby jej większej satysfakcji od puszczania nas z torbami.

Max usiadł na łóżku i wziął matkę za rękę.

– Louis nie zostawiłby cię bez grosza. Byłaś miłością jego życia. Jestem pewien, że dobrze o ciebie zadbał. I o Mallory.

– O ciebie też, kochanie. Byłeś dla Louisa jak syn.

Miała rację. Pod wieloma względami stał się dla Louisa synem, którego nigdy nie miał. Z każdym mijającym rokiem obaj coraz bardziej zbliżali się do siebie. Ale nie łączyły ich więzy krwi; nie był biologicznym dzieckiem Louisa, inaczej niż Jolie i Mallory.

Max nie zamierzał wspominać matce, że gdyby nawet Louis zostawił ją bez grosza – czego na pewno nie zrobił – on sam był teraz bogaty i mógł zapewnić

Georgette i Mallory życie na poziomie, do którego przywykły. Pewnie nie pamiętała, że odziedziczył po ojcu akcje w przedsiębiorstwach z Missisipi i Luizjany i dzięki sprytnym posunięciom rynkowym zamienił te praktycznie bezwartościowe udziały w sporą fortunę. Georgette nigdy nie zaprzętała sobie głowy takimi przyziemnymi sprawami jak interesy. Poza tym dawała jasno do zrozumienia, że nie chce rozpamiętywać przeszłości, a to oznaczało również pierwszego męża, który popełnił samobójstwo i uczynił z niej wdowę. Biedny Philip. Czyżby sprzeniewierzył pieniądze w spółkach, które prowadził w hrabstwie Desmond z Louistem, żeby pokryć wydatki rozrzutnej żony? Jeśli tak, to okazał się głupcem. Żadna kobieta nie jest warta takiego ryzyka.

Max pocałował matkę w policzek, uścisnął jej rękę, a potem wstał.

– Przestań się martwić. Ja zajmę się pogrzebem. A jeśli Jolie wróci i zacznie sprawiać problemy, nią też się zajmę.

Georgette westchnęła ciężko.

– Musisz porozmawiać z Garlandem.

– Zadzwoń dziś do niego i umówię się na oficjalne odczytanie testamentu po pogrzebie.

W oczach Georgette zalśniły łzy.

– O, Boże, gdyby ktoś usłyszał naszą rozmowę, pomyślałby, że liczyły się dla nas tylko jego pieniądze. Ale to nieprawda. Wiesz, że nie. Kochałam Louisa bardziej niż kogokolwiek... tylko...

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją. – Zjedz śniadanie. Przed wyjściem przyślę do ciebie Mallory.

– Tak, kochanie. Naprawdę nie chcę być dzisiaj sama.

Gdy Max wyszedł na korytarz, zobaczył ciotkę Clarice opuszczającą swoją sypialnię. Jak zawsze wyglądała elegancko z ułożonymi w loki srebrzystymi włosami i w okularach w złotych oprawkach na nosie. Białe lniane spodnie i luźna jedwabna bluzka leżały na niej jak ulał.

– Max. Tak się cieszę, że jeszcze nie wyszedłeś.

Wziął głęboki oddech. Wiedział, co powie, jeszcze zanim się odezwała.

– Dzień dobry, ciociu Clarice.

– Jak się dzisiaj miewa Georgette?

– Jakoś sobie radzi – odparł.

– Zajrzę do niej później.

– Na pewno sprawisz jej przyjemność.

– Max?

– Tak?

Clarice oblizwała dolną wargę, a potem przygryzła ją nerwowo.

– Chciałabym, żebyś przesunął termin pogrzebu, jeżeli Jolie odmówi przyjazdu do domu. W razie konieczności powinieneś pojechać po nią do Atlanty.

– Słucham? – Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Chyba nie oczekujesz, że przywiozę ją do Belle Rose wbrew jej woli.

– Nie, oczywiście, że nie, ale musimy coś zrobić. Jeśli Jolie nie przyjedzie na pogrzeb Louisa, będzie tego żałować do końca życia.

Max położył dłonie na jej ramionach. Zadarła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Zadzwoń do Jolie i powiedz, że jej potrzebujesz – zasugerował. – Gdyby postanowiła przyjechać do domu, to najprędzej dla ciebie. Tylko pamiętaj, że jeśli wróci, będą kłopoty.

– Całkiem dobrze radzisz sobie z kłopotami – odparła. – Jesteś bardzo silnym, władcym mężczyzną Max. Myślę, że poradziłbyś sobie ze wszystkim, włącznie z Jolie.

– Muszę lecieć – mruknął w odpowiedzi.

– Tak, tak. Jedź, drogi chłopcze.

Ruszył w stronę krętych schodów, lecz nim zszedł, zatrzymał się na chwilę.

– Kiedy będziesz rozmawiać z Jolie, przekaz jej, że po pogrzebie zostanie odczytany testament Louisa.

– Przekażę. Ale nie sądzę, żeby była zainteresowana pieniędzmi po Louisie. Wiesz, że jest całkiem majątną młodą damą.

– Przekaż jej to mimo wszystko.

Clarice utrzymywała kontakt z siostrzenicą i często ją odwiedzała, zwłaszcza po przeprowadzce Jolie do Atlanty. Max wiedział tylko to, co ciotka im mówiła – że Jolie osiągnęła sukces jako projektantka mody. Ale czy fakt, że nie potrzebowała pieniędzy Louisa, miał jakiegokolwiek znaczenie? Jeśli, jak podejrzewała Georgette, Louis zapisał jej Belle Rose, to czy istniała choćby najmniejsza szansa, że Jolie nie wyrzuci z domu wszystkich oprócz ciotki Clarice? Max nie znał kobiety, którą stała się Jolie, lecz jeżeli żądza zemsty była w niej równie silna jak nienawiść, to wszyscy mieli się czym martwić.

*

Jolie nie odbierała telefonów od Clarice przez cały ranek. Cztery telefony w ciągu czterech godzin. Cholera, ciotka była naprawdę uparta. Wcześniej czy później będzie musiała z nią porozmawiać i wyjaśnić, że nie przyjedzie do Missisipi na pogrzeb Louisa. Oczywiście wiedziała, jaką taktykę przyjmie Clarice. Zagra na jej poczuciu winy i wyrzutach sumienia, tak jak próbowała tego w przeszłości.

– Jeśli nie przyjedziesz do domu, pożałujesz tego. Nie robię się coraz młodsza, tak jak twój ojciec – mówiła. – Powinnaś się z nim pogodzić i wybaczyć mu, póki nie jest za późno. Proszę, przyjedź do Belle Rose. Potrzebuję cię.

Teraz było już za późno na wybaczenie Louisowi i pogodzenie się z nim. Miała wrażenie, że jakaś część jej istoty rzeczywiście tego żałuje – mała dziewczynka i nastolatka, córka, która kiedyś uwielbiała ojca. Przed wydarzeniami tego

straszego dnia! Zanim zobaczyła go w łóżku z Georgette Devereaux. Zanim matka została zamordowana, a Jolie zaczęła się zastanawiać, czy Georgette nie była w jakiś sposób zamieszana w masakrę w Belle Rose. Może wynajęła kogoś do zabicia rywalki? Może wysłała syna, aby dokonał ohydnych morderstw? Nawet teraz, po tylu latach, nie potrafiła znieść myśli, że Max mógł się dopuścić potrójnego zabójstwa. Jako czternastolatka myślała, że jest w nim szaleńczo zakochana, a jednak łatwiej jej było uwierzyć w jego winę niż w winę Lemara Fuqui? Dlaczego? Ponieważ Lemara знаła całe życie; praktycznie należał do rodziny. Był miły, łagodny i przyjazny. Prawie wszyscy w Sumarville – bez względu na rasę – lubili go.

Do dziś nie mogła pojąć, dlaczego lokalne władze z taką skwapliwością orzekły, że doszło do podwójnego morderstwa i samobójstwa.

Odsunęła na bok blok rysunkowy i ołówek, opadła na miękkie oparcie biurowego krzesła i zamknęła powieki. Ostatniej nocy wzięła proszek nasenny, a i tak dręczyły ją koszmary. Okropne strzępy wspomnień. Na wpół ukształtowane myśli. Przerazenie i ból. Uwięzione w mrocznej pułapce wczorajszej tragedii.

– Kawa. Czarna i mocna – usłyszała kobiecy głos.

Zatrzepotała gwałtownie powiekami i drgnęła nerwowo w reakcji na niespodziewany dźwięk.

– Boże, Cheryl, aleś mnie wystraszyła.

– Przepraszam. Pukałam, zanim weszłam. – Cheryl Randall, wysoka, szczupła blondynka z włosami spiętymi w kucyk, wyciągnęła rękę z jaskrawoczerwonym kubkiem w dłoni. – Nie przyszłaś na lunch, więc pomyślałam, że może potrzebujesz zastrzyku kofeiny.

Jolie wzięła kubek.

– Dzięki.

– Twoja ciotka znowu dzwoniła – oznajmiła Cheryl. – Nie wierzy, że nie ma cię w biurze. Kazała ci przekazać, że jeśli nie odbierzesz jej następnego telefonu, pošle jakiego Maksa, żeby ściągnął cię do domu. – Zachichotała. – Nie miałam pojęcia, że ludzie wciąż mówią takie rzeczy.

– Jakże?

– W stylu „ściągnę cię do domu”.

Jolie upiła łyk kawy i uśmiechnęła się do Cheryl.

– To dlatego że jesteś Jankeską.

Cheryl parsknęła śmiechem.

– Powiesz mi, co jest grane? Dlaczego unikasz rozmowy z ciotką? Przecież wiem, że ją uwielbiasz.

Jolie bardzo lubiła Cheryl, która pochodziła z Nowego Jorku i od dwóch lat była jej osobistą asystentką. Nie podzieliła się z nią jednak szczegółami tragicznych wydarzeń sprzed lat; podała tylko najistotniejsze fakty. Były raczej kumpelkami

wymieniającymi się opowieściami o facetach niż prawdziwymi przyjaciółkami, które nie mają przed sobą tajemnic.

– Wczoraj wieczorem umarł mój ojciec i...

– Och, Jolie, tak mi przykro.

– Dzięki. Ale nic mi nie jest. Od dawna nie był częścią mojego życia. Mówiłam ci, że nie widziałam się z nim, od kiedy skończyłam czternaście lat.

– To o co chodzi? – Cheryl rozsiadła się na kanapie w kącie. – Dlaczego nie chcesz rozmawiać z ciotką?

– Zamierza mnie przekonać, żebym przyjechała do domu na pogrzeb.

– No i? – Cheryl popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Nie chcę wracać do Sumarville. Ani teraz, ani w ogóle.

– Nawet na pogrzeb ojca?

– Zwłaszcza na pogrzeb ojca.

– Musi się za tym kryć niezła historia...

– Tak, ale nie zamierzam ci jej opowiadać ani dziś, ani w najbliższej przyszłości.

Cheryl wzruszyła ramionami.

– Mogłabyś przynajmniej powiedzieć, kim jest ten cały Max, który ma cię ściągnąć do domu.

– Max jest moim przyszywanym bratem. Jego matka wyszła za mojego ojca niecały rok po śmierci mojej matki. Powiedzmy po prostu, że w porównaniu z moją złą macochą wszystkie bajki o strasznych wiedźmach wyglądają niemal anielsko.

– Aha.

Jolie zgromiła Cheryl wzrokiem.

– Nie patrz na mnie jak jakiś bazyliśzek – powiedziała Cheryl. – Więc nienawidzisz macochy i nigdy nie wybaczyłaś ojcu, że się z nią ożenił. Maksa też nienawidzisz?

Jolie obląła się rumieńcem. Jej uczucia do Maksa były skomplikowane, może nawet bardziej niż w przeszłości.

– Nie wiem. Chyba go nie nienawidzę, ale...

– Między wami coś było. Kazirodczy romansik w południowym stylu?

– Nie bądź śmieszna! Ponosi cię wyobraźnia. Kiedy ostatni raz widziałam Maksa, miałam czternaście lat i nigdy nie łączyło nas nic romantycznego. Chodził wtedy ze starszą siostrą mojej najlepszej przyjaciółki. Zresztą nawet gdyby coś było, nie miałyby to nic wspólnego z kazirodztwem. Nie jesteśmy spokrewnieni, a nasi rodzice nie byli wtedy małżeństwem.

Cheryl popatrzyła Jolie prosto w oczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że prawie krzyczysz?

– Co?

– Czternastoletnia dziewczyna może się zadurzyć – powiedziała Cheryl. – Tylko żartowałam z tym kazirodztwem, więc to żaden wstyd, jeśli przyznasz, że...

– Moje zauroczenie Maksem Devereaux skończyło się w dniu, kiedy uświadomiłam sobie, że podejrzewam go o morderstwo.

Cheryl aż wstrzymała oddech.

– O morderstwo? A kogo miałby zamordować?

– Moją matkę i ciotkę.

*

Nie ma jeszcze powodów do paniki. W końcu trudno zakładać, że Jolie Royale przyjedzie do Sumarville na pogrzeb Louisa. A jeśli nawet, to pobędzie tu parę dni i wróci do Atlanty. Żaden problem.

Miałem farta – cholernego farta – przez dwadzieścia lat. Może parę osób wskazało mnie jako podejrzanego, ale szeryf nigdy nie wziął tych sugestii pod uwagę. Wytypował już sprawcę – Lemara Fuquę. Jego śmierć uznano za samobójstwo. Pogłoska o romansie Fuqui i Lisette Desmond wystarczyła, by Lemar stał się głównym, a w końcu jedynym podejrzanym.

Jolie też miała zginąć. Wpakowałem w nią trzy kule. Dlaczego, do cholery, nie umarła? Kiedy była w szpitalu, nie mogłem się do niej dostać i dokończyć roboty. Louis warował przed jej drzwiami dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet teraz oblewa mnie zimny pot, gdy wspomnę, jak się bałem, kiedy odzyskała przytomność. Na początku nie mogła sobie niczego przypomnieć, potem stopniowo odzyskiwała pamięć, aż wreszcie potrafiła odtworzyć każdy szczegół dnia, w którym została postrzelona. Przysięgała, że nie widziała napastnika, nie miała pojęcia, czy to mężczyzna, czy kobieta, biały czy Murzyn.

Ale kto zaręczy, że nie wyparła tego jedyne go wspomnienia? Może wizyta w Sumarville przywołała ten zapomniany szczegół?

Jeżeli Jolie wróci, będę ją obserwować. Najmniejszy sygnał, że zna prawdę, i dokończę to, co zacząłem dwadzieścia lat wcześniej. Tym razem dopilnuję, żeby nie przeżyła.

Rozdział 4

Yvonne stała dyskretnie z tyłu, w milczeniu obserwując żałobników. Nikt nie mógł jej odmówić prawa do uczestnictwa w ceremonii wystawienia ciała, bo od lat była gospodynią rodziny. Poprosiła Theronę, żeby przyszedł złożyć kondolencje, ale nie dał ostatecznej odpowiedzi. Syn na pewno jej nie zawiedzie; tak rzadko prosiła go o cokolwiek. Jeśli się nie pojawi, Clarice będzie przykro, bo zawsze bardzo lubiła Theronę. Dopóki był dzieckiem, cieszyły go jej czułe słowa i gesty, teraz wydawał się nimi zażenowany. Yvonne nie chciała, żeby syn zapomniał o przeszłości swojego ludu, i modliła się, by nadal robił to, w co wierzy, ale miała nadzieję, że nauczy się wybaczać. Może powinna wyznać mu sekrety ze swojej przeszłości. Może dzięki temu zrozumiałby ją, a także w pewnym sensie samego siebie. Ale co by było, gdyby prawda tylko podsyciła jego gniew?

Kolejni żałobnicy podchodzili do połączanej trumny otoczonej wiązkami kwiatów. Georgette wybuchała płaczem za każdym razem, gdy ktoś składał jej kondolencje. Ale nawet wstrząsana łkaniem prezentowała się bardzo dostojnie w granatowym kostiumie, ze sznurem pereł wokół szyi, modnie uczesanymi kruczoczarnymi włosami i nienagannym makijażem. Stojąca obok matki Mallory wyglądała jak jej młodsza wersja, tylko oczy miała jasne – niebieskie jak ojciec. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się znaleźć gdziekolwiek, byle nie tutaj. Była niedojrzała jak na swoje osiemnaście lat i rozpuszczona jak dziadowski bicz. Louis przelał na nią całe uczucie, jakim kiedyś darzył Jolie, i pozwalał jej dosłownie na wszystko.

Yvonne spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Byli już w połowie zaplanowanej na trzy godziny ceremonii, a Jolie wciąż się nie pojawiła. Clarice nie rozmawiała z siostrzenicą osobiście, ale zostawiła jej liczne wiadomości. Yvonne starała się przygotować ją na ewentualność, że Jolie nie wróci do domu nawet na pogrzeb ojca. Lecz Clarice nieugięcie obstawała przy przekonaniu, że jednak przyjedzie.

Max, który też stał przy matce, emanował władcą energią. Yvonne wyczuła w nim wyjątkową siłę, odkąd pierwszy raz go zobaczyła. Ten cichy, zamknięty w sobie chłopiec dorastał, słuchając okropnych plotek na temat matki i swojego nieprawego pochodzenia. Niełatwo było go polubić, ale zdawał się nie przejmować tym, co sądzą o nim inni. Ludzie albo go podziwiali, albo się go bali. Yvonne należała do tych pierwszych. Przez lata przyglądała się, jak dojrzewa i staje się prawą ręką Louisa Royale'a, z jakim oddaniem opiekuje się matką, siostrą, a nawet Clarice. Traktował swoje obowiązki poważnie. W ciągu ostatnich pięciu lat, kiedy zdrowie Louisa zaczęło szwankować, Max przejął większość zadań związanych z prowadzeniem interesów i opieką nad rodziną.

Bez względu na to, co sądzą inni, Yvonne darzyła Maksa najwyższym szacunkiem. Członkowie stanowej socjety zaakceptowali go tylko dzięki naciskom

i wpływom Louisa. Max zawsze był outsiderem, wyrzutkiem w którego żyłach nie płynęła prawdziwa błękitna krew. Doskonale rozumiała uprzedzenia, czy to dotyczące koloru skóry, czy też braku odpowiedniego rodowodu.

Nigdy też nie traktowała poważnie głupich pogłosek, jakoby Max, wówczas osiemnastoletni, zamordował siostry Desmond, żeby jego matka mogła wyjść za Louisa. Wierzyła w niewinność Maksa równie mocno jak w niewinność Lemara. Plotki przycichły niespełna rok po masakrze w Belle Rose, ale pojawiły się znowu przed dziewięcioma laty, gdy żona Maksa, Felicia, zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Jej ciało zostało odnalezione wiele miesięcy później na mokradłach w pobliżu rzeki. Zabójcy Felicii nigdy nie złapano, a Sumarville przez całe lato aż huczało od plotek.

– Niezły cyrk – powiedział Theron, podchodząc do matki. – Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał pogrzeb.

Pogrążona w myślach Yvonne nie zauważyła zbliżającego się syna. Westchnęła cicho i chwyciła go za ramię.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

– Zrobiłem to tylko dlatego, że mnie prosiłaś. Gdyby nie to, trzymałbym się od tej szopki z daleka.

– Chodź. Chcę, żebyś porozmawiał z Clarice i złożył kondolencje Georgette, Mallory i Maksowi.

Theron rozejrzał się po bogato udekorowanej sali.

– Więc Jolie nie przyjechała. Mądra dziewczyna.

– Nie ma jeszcze ósmej – odparła Yvonne. – Wciąż jest szansa, że...

– Po co miałyby wracać? Co jej tutaj zostało?

– Rodzina.

– Tylko Clarice. Jestem pewien, że macochy, przyszywanego brata i przyrodniej siostry nie uważa za rodzinę.

– Pewnie nie. Nie mogła się pogodzić, że Louis ożenił się z Georgette tak szybko po śmierci Audrey. Ale powinna przebaczyć ojcu i przynajmniej przyjechać od czasu do czasu z wizytą.

– Louis Royale dokonał wyboru.

Yvonne westchnęła.

– Ty i Jolie jesteście pod tym względem tacy sami. Oboje nie potraficie wybaczać.

Poprowadziła syna przez tłum zgromadzonych w sali ludzi. Mimo klimatyzacji w pomieszczeniu panowała straszliwa duchota.

– Tam jest Clarice. – Yvonne przesunęła się do syna i dodała szeptem: – Zachowuj się jak należy. Zrozumiano? Ona cię uwielbia i powinieneś jej okazać szacunek.

Clarice rozpromieniła się na widok Theron. Wyciągnęła do niego rękę. Yvonne

szturchnęła syna w żebra. Theron ujął drobne białe dłonie Clarice w swoje potężne ciemne ręce.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała Clarice. – Odkąd wróciłeś do Sumarville, nie złożyłeś mi ani jednej wizyty.

– Przepraszam, ale byłem bardzo zajęty zakładaniem kancelarii.

Clarice oswobodziła jedną dłoń z jego uścisku i położyła ją na ramieniu wysokiego muskularnego mężczyzny stojącego obok.

– Nowell, to syn Yvonne, Theron. Jest błyskotliwym prawnikiem i niedawno wrócił do Sumarville. – Spojrzała na Theron. – Mój drogi chłopcze, poznaj Nowella Landersa, mojego przyjaciela. – Zachichotała cicho, a potem zakryła dłonią usta, uświadamiając sobie, że śmiech nie pasuje do sytuacji. – A właściwie, jak by to określiła moja mama, mojego adoratora.

Theron skinął głową Landersowi.

– Miło mi pana poznać.

Nowell objął Clarice potężnym ramieniem.

– Mnie również. Wiele o tobie słyszałem zarówno od twojej matki, jak i od Clarice. Są z ciebie bardzo dumne.

– Obawiam się, że przesadzają. Wie pan, jakie potrafią być matki i... przyjaciółki rodziny.

Yvonne pociągnęła syna za rękaw.

– Powinieneś porozmawiać z Maksym i...

– Oczywiście. Prowadź.

– Będziemy musieli stanąć w kolejce – powiedziała. – Zaczyna się w korytarzu, ale wcześniej wychodziła aż na ulicę.

– Jeśli staniemy na końcu, będziemy musieli czekać ze dwadzieścia minut.

– Zachowuj się! Dwadzieścia minut cię nie zbawi.

Wyszli na korytarz. Kilka osób popatrzyło na nich z dezaprobatą, ale kiedy kilka innych uśmiechnęło się i zamieniło z Yvonne kilka słów, pozostali jakby się rozluźnili. Nieczęsto się zdarzało, żeby Afroamerykanie przekraczali próg Domu Pogrzebowego Trendalla.

– Co jest grane z tym facetem i Clarice? – zapytał Theron.

– Słyszałeś, co powiedziała. Nowell jest jej adoratorem.

– Czyli że chodzą na randki?

Yvonne przytaknęła.

– Czego od niej chce? Nikt mu nie powiedział, że wszystkie pieniądze w rodzinie należały do Louisa Royale'a?

– Mów ciszej. Ktoś może usłyszeć.

– A nie sądzisz, iż wszyscy w Sumarville i tak śmieją się za jej plecami? Faceci nie „adorują” takich zbzikowanych staruszek jak Clarice, chyba że myślą, że zyskają dzięki temu sporo szmalu.

– Cii... – upomniała go matka, a potem zniżyła głos. – Max jest tego samego zdania i muszę przyznać, że sama mam wątpliwości. Ale Clarice nie chce słyszeć o niczym, co stawiałoby Nowella w złym świetle.

Theron już miał odpowiedzieć, gdy nagle utkwiał wzrok przed siebie, zahipnotyzowany tym, co zobaczył. Yvonne obejrzała się przez ramię. Tuż za nimi miejsce w kolejce zajęły Sandy Wells i Amy Jardien. Sandy i Amy były lekarkami i współzałożycielkami kliniki opiekującej się ubogimi. Nie tak dawno przyjaźń między białą a czarną kobietą byłaby tu niemożliwa. Chyba że Murzynka byłaby służącą białej. Yvonne zastanawiała się, co ojciec Sandy sądzi o jej zażyłości z córką czarnego przedsiębiorcy pogrzebowego z Sumarville. Na samą myśl o Roscoe Wellsie przeszedł ją dreszcz. Ten stary rasista i były członek Ku-Klux-Klanu oświadczył niedawno, że nigdy nie popierał dyskryminacji czarnych, i z dnia na dzień stał się propagatorem postępowych stosunków rasowych. Yvonne nigdy nie uwierzyła w jego przemianę, ale inni owszem. Nawet niektórzy Afroamerykanie głosowali na niego w wyborach do stanowego senatu.

– Witam, pani Carter – powiedziała Sandy Wells. – Jak się pani miewa?

Yvonne zmusiła się do uśmiechu. Wiedziała, że powinna być miła dla doktor Wells, która zawsze odnosiła się do niej grzecznie i przyjaźnie, ale nie potrafiła stłumić instynktownej niechęci. Bez względu na to, jak dobrą kobietą jest Sandy Wells, splodził ją szatan. I bez względu na to, z jakim przekonaniem Roscoe Wells deklarował tolerancję rasową, Yvonne nigdy nie uwierzy w ani jedno jego słowo.

– Dobrze, pani doktor – odparła. – A pani?

– Również, tylko żal mi rodziny Louisa. Jak się trzyma Georgette?

– Jest roztrzęsiona, ale Max dobrze się nią opiekuje.

– Oczywiście. Max jest jak skała, prawda? Taki silny mężczyzna.

Yvonne pokiwała tylko głową. Podejrzewała, że Sandy Wells podkochuje się w byłym szwagrze, i to od dawna. Może nawet kochała się w nim, gdy jej starsza siostra Felicia jeszcze żyła. Sandy podniosła wzrok na Theron.

– Słyszałam, że wróciłeś do Sumarville. Pamiętasz mnie z czasów, kiedy odwiedzałam Jolie w Belle Rose i bawiliśmy się razem?

Theron skinął głową.

– Tak, pamiętam ciebie... i twojego brata.

Sandy zniżyła głos.

– Czy Jolie przyjechała do domu na pogrzeb?

– Jeszcze nie – odparła Yvonne. Widząc, że Theron wpatruje się w Amy Jardien, a ona w niego, uznała, że powinna ich sobie przedstawić. – Theron, prawdopodobnie nie pamiętasz najmłodszej córki pana Nehemiaha Jardiena, Amy. Teraz jest lekarką.

Theron wyciągnął rękę do młodej kobiety, która przekrzywiła lekko głowę i uśmiechnęła się ciepło. Była urocza; miała kawową skórę i duże czarne oczy, które

zabłyśły, gdy wymieniała z nim uścisk dłoni.

– Jestem Theron Carter, doktor Jardien – powiedział, akcentując słowo „doktor”.

– Tak, wiem. Wszyscy mówią o twoim powrocie do Sumarville. Cieszę się, że wreszcie cię poznałam. – Amy zwilżyła nerwowo pełne wargi.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił.

– Przepraszam, ale wyłamie się z kolejki – powiedziała Sandy. – Widzę, że mój brat stoi bliżej.

Yvonne zmusiła się do kolejnego uprzejmego uśmiechu, a potem przez chwilę przypatrywała się w milczeniu Theronowi i Amy, którzy kontynuowali rozmowę. Byli sobą wyraźnie zauroczeni. W innych okolicznościach zostawiłaby ich samych. Mężczyzna nie potrzebuje towarzystwa matki, kiedy próbuje wywrzeć wrażenie na młodej damie. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli odwróci głowę w stronę, gdzie ustawiła się już kolejka.

Każdy mięsień w jej ciele naprężył się, gdy go dojrzała i usłyszała jego tubalny głos kaznodziei. Zastygła w bezruchu, choć najchętniej rzuciłaby się do ucieczki. Roscoe Wells, siwowłosa, o ogorzałej twarzy ozdobionej sumiastym wąsem, nawet w domu pogrzebowym nie przestawał być politykiem. Przebijał się przez tłum, ściskając dłonie i pozdrawiając swoich wyborców.

Yvonne wstrzymała oddech, modląc się, żeby nie odezwał się do niej. Gdy przystanął na chwilę i spojrzał na nią, pomyślała, że zaraz zacznie krzyczeć. Wells uśmiechnął się – ten potwór uśmiechnął się do niej – a potem sprężystym krokiem ruszył dalej i zniknął w drzwiach do głównej sali, ignorując długą kolejkę żałobników. On nie czekał w kolejkach, nie dostosowywał się do reguł rządzących innymi. W końcu był Wellsem, a korzenie jego rodziny wrosły w glebę Sumarville równie głęboko jak korzenie rodu Desmondów.

Theron położył jej dłoń na ramieniu.

– Mamo, nic ci nie jest?

Wzięła głęboki oddech.

– Nie, nic. Czemu pytasz?

– Bo spojrzałaś na Wellsa takim wzrokiem, że facet powinien zamienić się w sopel lodu. Cieszę się, że umiesz rozpoznać przynajmniej jednego farbowanego lisa.

– Tata uważa, że Wells tylko udaje zmianę poglądów – powiedziała Amy. – Ale ludzie uważają, że szczerze odpokutował za dawne grzechy.

– Stary drań nigdy się nie zmieni – mruknął Theron. – Dziwię się, że niektórzy z naszych mu zaufali.

Amen, przytaknęła w duchu Yvonne. Gdyby społeczność afroamerykańska wiedziała o nim tyle co ona, nie wybrano by go nawet na hycła.

*

Max mknął czarnym porsche z Belle Rose w stronę miasta. Nocne niebo

rozpościerało się nad jego głową niczym aksamitny baldachim nabijany brylantami. Przed wyjazdem upewnił się, że nikt nie wymaga jego opieki. Mallory uciekła do swojego pokoju, gdy tylko wrócili do domu. Ale czego miał się spodziewać? Była jeszcze dzieckiem, rozpieszczoną dziewczynką zupełnie nieprzygotowaną do radzenia sobie z tragedią. W ciągu nadchodzących tygodni będzie potrzebowała prawie tyle samo uwagi co matka. Dzięki Bogu, mógł liczyć na Yvonne. Tylko ona miała dość siły, by mu pomagać. Podała Georgette łagodny środek nasenny, a potem położyła ją do łóżka. Kiedy zaś Nowell Landers opuścił Belle Rose, bez mrugnięcia zajęła się Clarice.

Pewnie powinien zostać w domu, położyć się łóżka i modlić o sen. Ale napięcie narosło w nim do tego stopnia, że w pewnym momencie poczuł się w czterech ścianach starej rezydencji jak w potrzasku. Musiał się wyrwać choćby na parę godzin, uciec gdzieś, gdzie nikt na nim nie polegał i nikt go o nic nie prosił. Przez parę ostatnich lat znajdował ten azyl w ramionach Earthy Kilpatrick. Czasami zastanawiał się, dlaczego z nim wytrzymała, dlaczego pozwalała mu wpadać i znikać z jej życia, nie żądając niczego poza seksem. Podejrzewał, że połowa miasta wie o ich związku, ale niewiele go to obchodziło. Eartha też nie przejmowała się plotkami. Była dobrą dziewczyną z charakterem i zasługiwała na znacznie więcej, niż mógł jej dać. Od początku był z nią zupełnie szczery. Uprzedził, że nie ma zamiaru powtórnie się żenić. A jeśli chodzi o kolejną miłość – prędzej ludzie zaczną jeździć w piekle na łyżwach, niż on się zakocha.

Max zatrzymał samochód na parkingu przed zajazdem Sumarville. Letnie nocne powietrze było ciężkie od tej wilgoci. Pot zrosił mu czoło i wsiąkał w białą koszulę. Z oddali dobiegł łoskot pociągu towarowego, który właśnie przetoczył się przez most nad potokiem Owassa. Max postawił dach i zamknął auto. Gdy wszedł do recepcji hotelu, zegar na ścianie pokazywał 12.23.

Rozpoznał faceta za kontuarem. R.J. Sutton. Młody. Jakieś dwadzieścia cztery lata, może mniej. Przystojny na proletariacki sposób. Na przedramieniu nosił z dumą wytatuowanego skorpiona, a w jego lewym uchu lśnił złoty kolczyk. Czy tak bym wyglądał jako dwudziestoparolatek – pomyślał Max – gdyby Philip Devereaux nie ożenił się z mamą, zanim się urodziłem?

– Dobry wieczór, panie Devereaux. – Chłopak kiwnął głową z uśmiechem. – Czym mogę służyć?

– Pani Kilpatrick mnie oczekuje.

Było to kłamstwo, ale Max nie lubił się nikomu tłumaczyć, a już na pewno nie jakiemuś zarabiającemu nędzne grosze przybłędzie. Będzie musiał pogadać z Earthaną temat tego szczeniaka. Coś w wyglądzie smarkacza sprawiało, że Maksowi ciarki przechodziły po grzbiecie. Instynkt podpowiadał mu, że jeśli chłopak zostanie w mieście na dłużej, wynikną z tego kłopoty. A ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował, były dodatkowe kłopoty.

Idąc korytarzem prowadzącym do pokoi na parterze, Max odszukał klucz do apartamentu Earthy. Gdy jej córki wyjechały z miasta, przeniosła się z mieszkania do hotelu. Dała mu klucz ostatniej zimy. Dziś wieczorem w domu pogrzebowym ścisnęła go za rękę, powiedziała, że bardzo jej przykro z powodu Louisa, i posłała mu to spojrzenie, które oznaczało, że ma na niego ochotę. Nie wiedział, czy Eartha ma innych kochanków. Mało go to obchodziło, ale przypuszczał, że choć była w życiu z wieloma facetami, należała do kobiet, które biorą sobie po jednym po kolei.

Wsunął klucz do zamka. Eartha nie zamknęła zasuwki, więc drzwi ustąpiły, ledwie je pchnął. Zostawiła też światło w saloniku, małą lampkę przy sofie. Uśmiechnął się. Czyżby liczyła na jego przyjście? Drzwi do sypialni były otwarte na oścież. Wezbrało w nim podniecenie. Wszedł cicho do pokoju. W półmroku dostrzegł tylko zarys ciała pod kołdrą. Lewa ręka leżała na poduszce, a długie rude włosy spływały aż na krawędź łóżka. Zdjął buty i skarpetki, usiadł na materacu i zsunął z niej kołdrę. Eartha zwinęła się w kłębek, mrużąc przez sen. Max położył się i wziął ją w ramiona. Drgnęła, uchyliła powieki i otworzyła usta jak do krzyku. Delikatnie położył dłoń na jej wargach, pocałował w szyję, a potem szepnął do ucha:

– To ja.

Od razu się rozluźniła. Powiodł dłonią po jej szyi i w dół do krągłej piersi.

– Max – szepnęła, zbliżając usta do jego ust.

Całował ją namiętnie, a ona ocierała się o niego rytmicznie. Potem odsunęła się lekko, wyszarpnęła mu koszulę ze spodni i rozpięła wszystkie guziki. Sięgnął pod krótką koszulę nocną i położył dłoń na smukłym biodrze. Drugą ręką nadal pieścił jej pierś.

– Myślałam, że już nie przyjedziesz – szepnęła. Obsypując wilgotnymi, gorącymi pocałunkami jego umięśniony tors, rozpięła mu spodnie. Z gorączkową namiętnością pozbyli się reszty ubrania. Eartha ześlizgnęła się w dół jego ciała, ujęła w dłoń nabrzmiały członek i zaczęła masować go łagodnie. Max zamruczał z rozkoszy. Ułożywszy się tak, aby wciąż sięgał do jej piersi, przywarła wargami do jego męskości w najintymniejszej pieśszczocie.

Była w tym po prostu niesamowita! I w odróżnieniu do wielu kobiet nie miała żadnych oporów; przeciwnie, zdawała się to lubić.

Jęknął głośno, coraz mocniej pragnąc spełnienia. Eartha nie przerywała, doprowadzając go aż na sam szczyt.

Oszołomiony przeżył rozkosz, przymknął powieki i kilka razy odetchnął głęboko. Eartha usiadła na nim okrakiem, a potem wtuliła w niego smukłe ciało.

– Prześpij się – szepnęła, całując go czule. Obudzę cię za parę godzin. Pokochamy się, zanim będziesz musiał wracać.

Kąciki jego ust uniosły się w słabym uśmiechu. Poklepał Earthę po nagim pośladku, a ona zsunęła się z niego i nakryła ich kołdrą.

*

Jolie jechała ulicami Sumarville, rozglądając się dookoła. W ciągu dwudziestu lat niewiele się tu zmieniło. Większość starych budynków odremontowano, tylko kilka zburzono, by wznieść na ich miejscu nowe, bez wątpienia zgodnie z wytycznymi lokalnego Towarzystwa Historycznego. Po latach spędzonych w Nowym Jorku i Atlancie Sumarville wydawało jej się maleńką mięsciną. Panowała tu leniwa atmosfera charakterystyczna dla małych miasteczek – o pierwszej piętnaście nad ranem na ulicach nie było ani śladu życia.

Zaparkowała przed zajazdem Sumarville. Była zmęczona, ale nie żałowała, że nie zdecydowała się na podróż samolotem. Potrzebowała tych długich godzin za kierownicą, żeby zebrać w sobie odwagę i przygotować się do bitwy. Ciocia Clarice i Yvonne powitają ją z otwartymi ramionami. Ale tylko one. Georgette i Max najchętniej by ją zastrzelili, gdy tylko znajdzie się w zasięgu ognia. Nie martwiła się wrogością z ich strony. Czego poza wrogością mogła oczekiwać?

Musiała jednak przyznać, że interesuje ją przyrodnia siostra. Czy Mallory nienawidzi jej tak samo jak Georgette i Max? Prawdopodobnie. Ale to bez znaczenia. W końcu Mallory była przede wszystkim siostrą Maksa, nie jej.

Jolie wzięła walizkę z tylnego siedzenia samochodu, zatrzasnęła drzwiczki, włączyła alarm i ruszyła w stronę frontowego wejścia do hotelu. Młody, przystojny niczym model mężczyzna siedział na krześle za kontuarem. Miał zamknięte oczy i lekko rozchylone wargi. Odchrząknęła głośno. Chłopak otworzył powieki, przeciągnął się leniwie, a potem uśmiechnął się szeroko. Ciekawe, ile serc już złamał, pomyślała.

Wstał i zbliżył się do kontuaru.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym wynająć pokój.

– Na jedną noc?

– Nie, na dwie – odparła.

– Płaci pani kartą czy gotówką?

– Kartą.

Otworzyła torebkę i wyjęła z portfela jedną ze swoich platynowych kart kredytowych. Chłopak wziął ją od niej i przeczytał nazwisko.

– Jolie Royale.

Pokiwała głową.

– Jest pani córką pana Louisa Royale'a? – zapytał.

– Tak. Starszą córką.

Wpisał ją do rejestru gości i podał klucz.

– Pokój 207. Schodami po lewej.

– Wciąż nie macie windy?

– Nie, psze pani. Niestety.

Jolie wzięła klucz, podniosła walizkę i ruszyła w stronę schodów.

– Panno Royale!

– Tak?

– Przykro mi z powodu śmierci pani ojca.

– Dziękuję.

Zdała sobie sprawę, że będzie musiała przywyknąć do przyjmowania kondolencji. Ludzie będą po niej oczekiwać żałoby. Nienawidziła dostosowywać się do oczekiwań innych. Ile pokoleń jej rodziny każdą chwilę poświęcało na układanie życia według reguł narzucanych przez społeczność, bezustannie martwiąc się tym, co pomyślą sąsiedzi?

Jolie miała w nosie opinię mieszkańców Sumarville, ale ciocia Clarice będzie się na to zapatrywała inaczej. Chyba powinna zagrać rolę prawdziwej damy z Południa – była to dłużna swojej rodzinie, rodowi Desmondów.

Wspięła się po schodach na piętro, znalazła pokój 207, otworzyła drzwi i weszła do środka. Wystrój wnętrza bardzo miło ją zaskoczył. Pokój był umeblowany prosto, ale bardzo gustownie i utrzymany we wzorowym porządku.

Rzuciła walizkę na łóżko po lewej, zdjęła sandały i sukienkę i padła na tapczan po prawej. Wpatrując się w sufit, pomyślała o pogrzebie ojca. Nie czuła żalu i nie zamierzała udawać, że jest inaczej. Przyjechała na pogrzeb i to będzie musiało wystarczyć. W końcu nie zjawiała się tu ze względu na ojca, którego straciła dawno temu, ale by sprawić przyjemność cioci Clarice.

I dowiedzieć się, czy Belle Rose należy teraz do niej.

– A jeśli tak? – zapytała na głos. Uśmiechnęła się na myśl o słodko-gorzkiej zemście.

Rozdział 5

Jolie nie była zaskoczona, że Sumarville nie zmieniło się przez dwadzieścia lat, ale z jakiegoś powodu oczekiwała, że Belle Rose wyda jej się inne. Tymczasem wyglądało identycznie jak w dniu, gdy ojciec wyprawił ją w świat. Ten sam podjazd prowadzący od szosy, ta sama wysoka brama z kutego żelaza, te same drzewa w parku, nawet trawniki, krzewy i kwiaty były łudząco podobne do tych, które zapamiętała. Dom też wyglądał jak przed laty. Majestatyczna pamiątka po minionych dniach, pomyślała, patrząc na rezydencję przez zamkniętą bramę. Wolą się nie zastanawiać, co Georgette zrobiła z wnętrzem domu, który należał do rodziny Desmondów od czasów wojny secesyjnej. Na samą myśl o tym, że ta kobieta jest gospodynią w domu jej matki, może nawet sypia w łóżku Audrey Royale, aż skręcało ją w żołądku.

Nagle zapragnęła przejechać przez bramę i wrócić do domu. Wspomnienia z dzieciństwa przemykały jej przed oczyma niczym sceny z niemego filmu. Siedzi na kolanach ojca, który czyta jej książkę. Patrzy na matkę wchodzącą wieczorem do jej pokoju, żeby utulić ją do snu. Gra na fortepianie na cztery ręce z ciocią Lisette. Bawi się w ogrodzie z Theronem Carterem. Siedzi przy kuchennym stole z ciocią Clarice, zjadając się słodowymi ciasteczkami, które upiekła Yvonne.

Jolie westchnęła i wsiadła do samochodu. Mogła wrócić do Belle Rose, ale nie do domu; nigdy nie zdoła wskrzesić tamtych szczęśliwych, wolnych od trosk dni sprzed...

Kiedy została wypisana dwadzieścia lat temu ze szpitala i ojciec przywiózł ją do domu, przez całe tygodnie nie opuszczała swojego pokoju, bo ilekroć wchodziła na schody, przed oczami stawał jej widok martwej cioci Lisette, a na dole zatrzymywała się przed kuchennymi drzwiami, bojąc się zajrzeć do środka. Bardzo chciała przypomnieć sobie coś na temat zabójcy, lecz jej umysł odmawiał współpracy. Trzy miesiące po masakrze w Belle Rose, gdy poszła popływać w stawie na terenie plantacji, ktoś próbował ją utopić.

Ktoś obawiał się, że coś sobie przypomni.

Tamtego dnia Jolie wykradła się z domu. Desperacko szukała samotności, bo czuła, że była bezustannie obserwowana. Ciocia Clarice, Yvonne albo ojciec zawsze mieli ją na oku.

Włożyła wtedy pod sukienkę dwuczęściowy kostium kąpielowy – najnowszy model, który sprzedawał się w butik cioci Clarice jak świeże bułeczki. Lipcowe słońce prażyło bezlitośnie, więc chłodna woda była bardzo orzeźwiająca. Przepłynęła trzy długości stawu, ciesząc się swobodą, której nie zaznała od miesięcy. Żadnych przykrych wspomnień. Żadnych spojrzeń. W pewnej chwili usłyszała, jak ktoś skacze do wody. Myślała, że to Sandy albo Theron, więc nie poczuła niepokoju. Dopiero gdy czyjaś ręka chwyciła ją za stopę i szarpnęła pod

wodę, zdała sobie sprawę, że morderca wrócił, by dokończyć dzieła. Jakimś cudem zdołała się uwolnić. Dopłynęła do brzegu, wyskoczyła z wody i popędziła w stronę lasu. Nie obejrzała się za siebie ani razu aż do chwili, gdy dobiegła do Belle Rose i zobaczyła Yvonne wieszającą wypraną pościel na sznurkach w ogrodzie.

Kiedy opowiedziała, co się stało, Yvonne i ciocia Clarice natychmiast poszły do szeryfa. Próbowaly go przekonać, że zabójca wciąż przebywa na wolności i zagraża jej życiu, ale szeryf nie uwierzył w „histeryczne brednie niezrównoważonego dziecka”. Ojciec potraktował sytuację poważnie i postanowił natychmiast wywieźć Jolie z miasta – ze względu na jej bezpieczeństwo. Wtedy jeszcze ufała w szczerą intencję, więc nie protestowała, gdy wysłał ją do swojej kuzynki Jennifer i jej męża, pułkownika Paula Deana Underwooda. Na jesieni została przyjęta do prywatnej szkoły z internatem w Wirginii, a sześć miesięcy później Louis ożenił się z Georgette Devereaux i sprowadził ją wraz synem do Belle Rose. Jolie już nigdy nie wróciła do domu. W czasie wakacji wybierała się do tej części świata, gdzie akurat mieszkali Jennifer i Paul Dean. Kiedy miała dwadzieścia cztery lata, oboje zginęli w katastrofie lotniczej i właśnie wtedy straciła prawdziwą rodzinę.

Wykręciła i ruszyła z powrotem w stronę miasteczka. Kiedy jednak mijała starą drogę, która biegła wzdłuż granicy plantacji nieopodal stawu, przyhamowała i niewiele myśląc, wjechała na wyboje. Czując przymus zmierzenia się z demonami przeszłości, zaparkowała wóz, otworzyła drzwiczki i wysiadła. Jeśli dobrze pamiętała, staw znajdował się za lasem, niecałe pół kilometra w linii prostej. Czy ścieżka, którą wydeptała przed laty z Theronem i trójką Wellsów, wciąż tam jest?

Nigdy nie zapomni, jak się oburzyła, gdy Garland Wells, wtedy szesnastolatek, powiedział czternastoletniemu Theronowi, że jest już za duży i nie wypada mu się bawić i pływać z młodymi panienkami. Tymi panienkami były dwunastoletnia Felicia Wells, jej dziesięcioletnia siostra Sandy i jej rówieśnica Jolie.

Chociaż rozglądała się uważnie dookoła, nie mogła odnaleźć starej ścieżki. Pewnie już dawno zarosła. Przez te wszystkie lata nie biegały tędy dziecięce nóżki, które zdeptałyby roślinność. Odgarniając gałęzie i stąpając po obumarłych liściach, Jolie przedzierała się naprzód. Zorientowała się, że idzie we właściwym kierunku, gdy usłyszała szmer źródła, które zasilalo swoimi wodami staw. Często jako dziecko piła jego chłodną wodę.

Kiedy zbliżała się do źródła, nogawką spodni zaczepiła o krzak wrzośca. Zakłęła pod nosem, bo próbując się wyplątać, boleśnie ukuła się w palec. Podniosła dłoń do ust i zlizwała krew. Szła dalej, aż dotarła do ujścia strumienia. Nad brzegiem stawu stał wspaniały czarny arab i pił orzeźwiająca wodę. Osiodłany koń oznaczał, że w pobliżu musi być jeździec. Ukryta za drzewem i gęstymi krzakami Jolie mogła rozejrzeć się niepostrzeżenie. Powiodła wzrokiem dookoła i po chwili dostrzegła ciemnowłosego mężczyznę stojącego po kostki w wodzie. Patrzyła, jak

zdejmuje koszulę, rzuca ją na ziemię, pochyla się i oblewa wodą twarz. Krople spływały po jego szerokich plecach i muskularnym torsie. Jolie wstrzymała oddech. Mężczyzna był równie wspaniały jak koń.

Przyszła nad staw w nadziei, że przypomni sobie szczegóły dnia, w którym ktoś po raz drugi próbował ją zamordować. Mimo długich lat terapii nie zdołała wydobyć z pamięci niczego, co rzuciłoby nowe światło na oba ataki. Albo prawda na zawsze ukryła się w głębokich pokładach podświadomości, albo rzeczywiście nie było niczego do pamiętania. Jeśli powrót do domu uwolni ją wreszcie od poczucia winy za to, czego nie wiedziała, to ta wycieczka do piekła będzie warta swojej ceny.

Mężczyzna odwrócił się, wyszedł z wody i usiadł na wilgotnej ziemi. Jego mokre ciemne włosy lśniły w słońcu. Jolie zapało dech w piersiach. Rozpoznała go. Nie był już szczupłym osiemnastolatkiem, którego obraz nosiła w pamięci; był teraz barczystym, silnie umięśnionym i zniewalająco przystojnym dojrzałym mężczyzną.

Maximillian Devereaux.

Serce zatrzepotało jej na jego widok. Była to reakcja nieprzypominająca niczego, co kiedykolwiek czuła przy innych mężczyznach. Jakby znowu miała czternaście lat i młodzieńcze hormony rozpałały jej ciało.

Nagle Max zaniósł się głośnym szlochem. Jolie z ponurą fascynacją patrzyła, jak płacze, a jego potężne ciało drży od niepohamowanego żalu. Opłakiwał jej ojca. Dziwne – ale zazdrościła mu tej zdolności. Sama nie potrafiła uronić po Louisie Royale'u ani jednej łzy.

Było jasne, że Max przyszedł nad staw, by mógł dać upust frustracji i bólowi z dala od wzroku innych. Poczowała dziwny przypływ sympatii. Wydawał się taki samotny, całkowicie, żałośnie samotny.

Nie mogła dopuścić, by się zorientował, że widziała go w chwili słabości. Będzie musiała zmierzyć się z Makssem już wkrótce, a kiedy stanie z nim twarzą w twarz, to niejako członek rodziny, lecz jako wróg. Jeżeli – jak podejrzewała – ojciec zapisał Belle Rose Georgette albo Mallory, Jolie zamierzała podważyć testament. Wynajmie dobrego adwokata i będzie ich ciągać po sądach do końca życia, ale nie dopuści, żeby dom przodków jej matki znalazł się w łapskach tej dziwki.

Spojrzała ostatni raz na Maksa, odwróciła się i odeszła, starając się poruszać szybko i bezszelestnie. Kiedy znów spotka Maksa, będzie musiała dopilnować, żeby nie zdał sobie sprawy, że ją pociąga fizycznie. Na pewno spróbowałby to wykorzystać przeciwko niej.

A nie powinna zapominać, że – choć wydawało się to mało prawdopodobne – Max mógł być sprawcą masakry w Belle Rose.

*

Kościół metodystów był wypełniony po brzegi, tłumy ludzi wylewały się aż na schody i dziedziniec. Ostre popołudniowe słońce świeciło przez witraże, rozciągając pod sklepieniem tęczę barw, a melancholijny jęk organów rozbrzmiewał nad zebranymi, zagłuszając szuranie nóg i szepty. Powietrze przesycił zapach kwiatów. Wieńce otaczały trumnę, a rząd wiązanek i bukietów ciągnął się od ołtarza aż do przedsionka. Max był pewien, że jeszcze nigdy nie było w hrabstwie Desmond pogrzebu, który mógłby się równać z dzisiejszą ceremonią. Przybyło wiele ważnych osobistości Południa, wśród nich gubernatorzy trzech stanów, kilku kongresmanów i senatorów. Żaden człowiek nie miał w Missisipi takiego poważania jak Louis Royale. Był szanowany przez wszystkich, którzy go znali, i kochany przez rodzinę i przyjaciół. Kilka osób składających Georgette, Mallory i Maksowi kondolencje spytało, dlaczego Jolie nie pojawiła się w tak ważnym dniu. Georgette pozostawiła udzielenie wyjaśnień synowi, a on powiedział po prostu, że Jolie została zawiadomiona i spodziewają się jej lada chwila.

Otoczył matkę ramieniem, delikatnie odciągnął od trumny i zaprowadził do jednej z ław zarezerwowanych dla najbliższej rodziny. Kiedy usiadła, chciał odejść, ale złapała go za rękę.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła. Pochylił się, uściskał jej dłoń i szepnął:

– Muszę się zająć pewnymi sprawami. – Zerknął na siostrę, która siedziała na lewo od matki nieruchoma niczym rzeźba. – Mallory jest tuż obok, a ja wrócę, gdy tylko będę mógł.

Georgette pokiwała głową lecz Max czuł drżenie jej rąk. Jego biedna matka będzie kompletnie zagubiona bez Louisa. Popatrzył na Mallory, która odwzajemniła spojrzenie z obojętnym wyrazem twarzy.

– Zaopiekuj się matką, dopóki nie wrócę. – Kiedy nie zareagowała, powiedział: – Mallory!

– Słyszałam – mruknęła.

Max powiódł wzrokiem po dwóch pierwszych ławach. Jego matka i siostra siedziały ramię przy ramieniu w pierwszej ławie na lewo od ołtarza. Wujek Parry, na szczęście trzeźwy, obejmował Mallory i od czasu do czasu klepał ją pocieszająco po plecach. Garstka krewnych Louisa okupowała drugą ławę; niektórych Max nie widział wcześniej na oczy. Ciocia Clarice siedziała w pierwszym rzędzie po prawej wspólnie z Nowellem Landersem. Yvonne Carter zajęła miejsce za nimi, a jej lśniące orzechowe oczy były czujne jak zawsze. Podejrzał, że nie ufa Nowellowi tak jak on i również nie może wpłynąć na przyjaciółkę, by zakończyła niebezpieczną znajomość. Max darzył Yvonne najwyższym szacunkiem za jej troskę o Clarice. Nie miał pojęcia, jak silne jest ich wzajemne przywiązanie, ale wiedział, że to, co je łączy, daleko wykracza poza zwykłą więź między panią i służącą. Nawet gdy Yvonne obsługiwała Clarice i opiekowała się nią, zachowywały się tak, jakby były siostrami.

Siedzący w drugiej ławie po prawej krewni Desmondów – choć żaden nie nosił tego nazwiska – zadzierali wysoko arystokratyczne nosy. Stopień ich pokrewieństwa z rodem Clarice można by określić jako dziesiątą wodę po kisielu.

Idąc w stronę wyjścia, Max dostrzegł Wellsów – ojca i syna. Roscoe, były członek Ku-Klux-Klanu, zmienił poglądy, aby przystosować się do nowych czasów i zyskać głosy wyborców. Mimo że dobiegał siedemdziesiątki, starał się utrzymać władzę nad obojgiem dzieci, z których żadne nie zwracało na niego większej uwagi. Garland, przez przyjaciół nazywany Garem, choć podobny do ojca – tak samo niski i krępy, i mający równie głośny zaraźliwy śmiech – nie odziedziczył jego ogromnego temperamentu i był o wiele lepszym człowiekiem.

Sandy siedziała dwa rzędy za ojcem i bratem, a dzielący ich dystans wiele wyjaśniał. Sandy była nieodrodną córką swojej nieżyjącej matki, przyjazną, otwartą osobą, która wzięła na siebie ciężar wyrównania krzywd wyrządzonych przez ojca przed jego „nawróceniem”. Max – tak jak wszyscy, którzy ją znali – lubił Sandy i chwilami żałował, że nigdy nie odwzajemni uczucia, jakim go darzyła. Od lat wiedział, że się w nim podkochuje, a w każdym razie tak jej się zdaje. Była zupełnie inna niż Felicia. Gdyby zakochał się w młodszej córce Wellsa zamiast w starszej, jego życie byłoby o wiele prostsze. I znacznie szczęśliwsze. Ale oszalał na punkcie Felicii, a ona wykorzystała to przeciwko niemu. Zanim zniknęła niedługo przed trzecią rocznicą ślubu, nie tylko przestał ją kochać, ale wręcz znienawidził. Felicia była córką swojego ojca – egoistyczną i wredną manipulantką.

Kiedy mijał Sandy, wstała i wyciągnęła do niego dłoń. Przystanął i objął ją, przyjmując czuły pocałunek w policzek, po czym uwolnił się z uścisku i ruszył dalej. Zbliżała się druga i chciał porozmawiać z McCoyem Trendallem, aby się upewnić, że wszystkie jego instrukcje zostaną wykonane. Louis zasługiwał na to, co najlepsze. Dopilnowanie, by jego pogrzeb stał się niezapomnianą ceremonią, było ostatnią rzeczą, jaką mógł zrobić dla ojczyma.

Sprowadził samolotem zespół kobziarzy, którzy mieli odegrać *Amazing Grace* tuż przed kazaniem pastora. Czarny chór Kościoła baptystów w Sumarville będzie śpiewał na zmianę z białym chórem metodystów. Gubernator Missisipi wygłosi eulogię.

Znalazł McCoya w westybulu.

– Mamy wszystko pod kontrolą – zapewnił Trendall. – Obiecuję, że wszystko przebiegnie bez wpadek.

– Czy nagłośnienie na zewnątrz działa? – Max spojrzął na tłum na schodach i chodniku.

– Działa bez zarzutu. Sam sprawdzałem.

Max pokiwał głową, uścisnął McCoyowi dłoń i ruszył pośpiesznie przez tłum do męskiej toalety. Na szczęście była wolna. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i

notes i wybrał numer.

– Tu Maximillian Devereaux – powiedział. – Dzwonię, by sprawdzić, czy...

Głos po drugiej stronie zapewnił go, że nowoorleański jazz-band, który wynajął na stypę w Belle Rose, jest już na miejscu. Odetchnął. Louis uwielbiał jazz; często jeździli razem do Nowego Orleanu na męskie wieczorki.

Max zerknął w lustro nad umywalką. Poprawił przekrzywiony krawat, odetchnął głęboko i otworzył drzwi. Za kilka godzin, kiedy skończy się cała pompa i zamieszanie, będzie musiał się zmierzyć z realnością śmierci Louisa.

Właśnie szedł boczną nawą do przedniej ławki, gdy usłyszał szmer wśród zebranych. Ciarki przeszły mu po plecach, a instynkt przestrzegł go, że coś jest nie tak. Pomruki stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu usłyszał wyraźnie, jak ktoś mówi „Jolie”. Ścisnęło go w żołądku. Zatrzymał się przy trzecim rzędzie ław i powoli obejrzał się przez ramię. Przełknął z wysiłkiem ślinę i zaklął pod nosem.

Nawą główną kroczyła wysoka kobieta w prostym beżowym kostiumie. Nie przypominała pulchnej nastolatki, jaką zapamiętał, ale rozpoznałby ją wszędzie. Była ładząco podobna do matki i ciotek. Nieodrodna córka Desmondów. Jasne włosy uczesane w kok, kwadratowy podbródek, pełne wargi i otaczająca ją aura wyższości. Tylko oczy miała po Royale'ach. Były intensywnie niebieskie jak oczy Louisa i Mallory.

Więc córka marnotrawna wreszcie wróciła, zapewniając sobie wielkie wejście. Wszyscy w kościele patrzyli tylko na nią.

Musisz to zrobić, czy tego chcesz, czy nie, upomniał samego siebie. Wszyscy tego po tobie oczekują.

Odwrócił się i ruszył w stronę Jolie Royale, która nawet na niego nie spojrzała. Szła prosto do trumny ojca. Lada chwila zobaczą ją jego matka i ciotka Clarice. Ich reakcje będą krańcowo różne, ale równie dramatyczne.

Max przyspieszył i stanął dokładnie przed Jolie, zagradzając jej drogę do ołtarza. Zatrzymawszy się, spojrzała mu prosto w oczy z prowokacyjną miną.

– Jolie, jestem Max Devereaux, twój przybrany brat. – Nie dotknął jej; gdyby to zrobił, nie mógł zaręczyć, że jego dłonie nie oplotą się wokół jej smukłej szyi i nie zaczną jej dusić.

Spiorunowała go wzrokiem, a w jej oczach błysnęła nienawiść.

– Wiem, kim jesteś.

– Chciałabyś pożegnać się z ojcem? – spytał. – Jeśli tak, mogę ci towarzyszyć.

– Miło z twojej strony, że to proponujesz. Ale myślę, że poradzę sobie bez twojej pomocy – odparła lodowatym tonem.

– Jak sobie życzysz. – Zszedł jej z drogi i dodał: – Usiądziesz oczywiście razem z rodziną i pojedziesz z nami na cmentarz.

Jej wargi wygięły się w lekkim uśmiechu, który zniknął tak szybko, że Max pomyślał, że mu się tylko przywidział.

– Oczywiście.

– I przyjdiesz na stypę w Belle Rose?

Tu ją miał. Dostrzegł niepewność w jej oczach. Jeśli zjawi się w Belle Rose, będzie musiała potraktować jego matkę z należytą uprzejmością a wiedział, jak bardzo było to jej nie w smak.

– Nie planowałam tego...

– Może powinnaś zmienić plany – powiedział, a potem nachylił się i szepnął jej do ucha: Garland Wells odczyta dziś wieczorem testament Louisa. Nie chcesz się przekonać, czy tata zapisał Belle Rose tobie czy mojej matce?

Rozdział 6

Jolie zdołała jakoś przetrwać nabożeństwo. Siedząc między ciocią Clarice a Yvonne, czerpała siłę z ich miłości i troski. Ciocia Clarice wciąż powtarzała: „Wiedziałam, że przyjedziesz”. Hołdy składane Louisowi były prawdopodobnie zasłużone, lecz adresowane do niej kondolencje pastora uznała za zbędne. Ona pogrzebała ojca dawno temu. Gdyby ktoś zapytał, dlaczego nie uroniła nad grobem żadnej łzy, odpowiedziałyby bez żenady. Choć z drugiej strony, nikt nie miał prawa żądać od niej wyjaśnień. To, co myśleli mieszkańcy tej zapadłej miejsciny, zupełnie jej nie obchodziło. I tak wyjedzie zaraz po odczytaniu testamentu.

Na szczęście Dom Pogrzebowy Trendalla zapewnił rodzinie dwie czarne limuzyny, więc Jolie nie musiała jechać na cmentarz w towarzystwie Georgette i jej dzieci. Szofer zatrzymał wóz, wysiadł i otworzył im drzwiczki. Yvonne wyszła pierwsza, a za nią Nowell Landers, który pomógł wysiąść cioci Clarice. Jolie wahała się przez moment, nim dołączyła do reszty. Do tej pory nie zastanawiała się, gdzie pochowają ojca. Czy Louis Royale spocznie przy boku pierwszej żony w grobowcu rodziny Desmondów, czy też gdzieś indziej? Dziwne, że miało to dla niej znaczenie. Bo co za różnica? Może było to ważne dla jego nowej rodziny, ale jej nie powinno obchodzić.

Orszak nie zatrzymał się przy grobowcu Desmondów. Idąc przy boku cioci Clarice, popatrzyła na ciemnozielony namiot rozstawiony nad otwartą mogiłą. Była to kwatera Royale'ów, gdzie spoczywały doczesne szczątki rodziców Louisa. Monumentalny kamień nagrobny strzeżony przez stojące po bokach figury aniołów górował nad głęboką jamą. Kiedy podeszły bliżej, Jolie odczytała inskrypcję na nagrobku. Wyryte w szarym marmurze nazwisko ojca, a pod nim data narodzin. Jej serce zamarło, gdy obok dostrzegła nazwisko Georgette Royale.

Dołączywszy do Clarice i Yvonne, usiadła na składanym krześle w drugim rzędzie. Nowell Landers stał za plecami cioci, a jego potężna, opalona dłoń spoczywała na jej ramieniu. Druga rodzina Louisa zajmowała krzesła w pierwszym rzędzie – Georgette, jej dzieci i nawet jej brat Parry.

– Nasze serca pogrążone są dzisiaj w żalu – rozpoczął mowę wielebny Arnold. Wychwalał Louisa pod niebiosa, wyliczał jego osiągnięcia, a na koniec złożył kondolencje rodzinie.

Dwadzieścia lat temu leżała w szpitalu zawieszona między życiem a śmiercią i nie mogła być na pogrzebie matki i ciotki. Od tego czasu unikała pogrzebów jak ognia, znajdując rozmaite wymówki. A teraz znalazła się na pogrzebie ojca, którego nie widziała od dwudziestu lat. Będzie musiała dotrwać do końca ceremonii. Jakoś jej się uda. Choć nie wiedziała jak.

Wielebny Arnold zakończył przemowę i ustąpił miejsca Kaplicznikom, którzy przystąpili do odprawiania masońskich rytuałów pogrzebowych, by pożegnać

brata, który sprawował kiedyś funkcję ich Potentata.

Jolie przyglądała się ubranej na czarno wdowie. Jej łzy wydawały się szczere. Czyżby Georgette naprawdę kochała męża, a nie tylko jego pieniądze i pozycję? Dziwne, pomyślała Jolie, że rozważam teraz taką możliwość, skoro nigdy przedtem nie przyznałam drugiej pani Royale tego prawa.

Ale nawet jeśli Georgette kochała Louisa, niczego to nie zmieniało. Zaangażowali się w cudzołożny związek jeszcze za życia Audrey i wzięli ślub dziewięć miesięcy po jej śmierci. Oba czyny były niewybaczalne.

– Biedna Georgette – wyszeptła Clarice. – Nie przeżyłaby tej straty, gdyby nie Max. Będzie dla niej podporą. Zaopiekuje się nami wszystkimi jak Louis.

Słowa ciotki nie zaskoczyły Jolie. W ciągu ostatnich paru lat nasłuchiwała się wielu pochwał pod jego adresem. Max zrobił to, powiedział tamto. Ten wspaniały Max.

Wspomnienie Maksa orzeźwiającego się przy stawie tego ranka przemknęło jej przed oczyma. Skrzywiła się. Dość tych głupich fantazji, upomniała się w duchu. Nie da się omotać czarowi Maksa, który, jak się zdaje, działa na wszystkie kobiety, stare czy młode. Nie była już czternastoletnią smarkulą przeżywającą pierwsze zauroczenie. Max Devereaux był dla niej *persona non grata*. Jeśli o nią chodzi, facet był diabłem wcielonym.

Kobziarze przyszli z kościoła, by wziąć udział w masońskich obrzędach, a teraz grali nad świeżo przysypaną mogiłą. Żałosny jęk szkockiej muzyki niósł się po cmentarzu i osiadał w duszy. Max pomógł matce i siostrze wsiąść do limuzyny, a potem zerknął na Jolie. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Lodowaty błysk w jego oczach zmroził ją do szpiku kości. Czy był to błysk niewinności, czy tylko ostrzeżenie?

– Chodź, kochanie – powiedziała do niej Clarice z wnętrza limuzyny. – Musimy jechać prosto do Belle Rose, żeby powitać gości.

Jolie pokiwała głową i pośpiesznie wsiadła do auta. Wolałaby przejść boso po rozżarzonych węglach albo połknąć potłuczone szkło, niż uczestniczyć w stypie. Oczywiście mogła się wymówić, pójść do hotelu i wrócić dopiero na odczytanie testamentu. Ale jak wytłumaczyłaby to cioci? Nie, już za późno, żeby się wycofać. Skoro wróciła do Sumarville, musi wrócić także do Belle Rose.

*

Więc Jolie Royale jednak przyjechała. W dodatku jest tak podobna do matki i ciotek, że wszyscy natychmiast ją rozpoznali. Wyrosła na piękną kobietę, równie urodziwą jak Lisette, najładniejsza z sióstr. W rzeczy samej, podobieństwo wręcz uderzające.

Po co przyjechała? Przecież odcięła się od Louisa, Sumarville i Belle Rose dawno temu. Bez wątplenia liczy na spadek, może nawet na spory kawałek tortu po Royale'u.

Niech ją diabli porwą! Ludzie zaczną znowu mleć ozorami, rozpamiętywać masakrę w Belle Rose. Mówią że syn Yvonne, Theron, chce wetknąć kij w mrowisko i wznowić stare śledztwo. Trzeba go powstrzymać, zanim podniesie się prawdziwy smród. Pewnie niełatwo będzie go załatwić, ale da się zrobić. Jolie Royale to zupełnie inna sprawa. Nie da się wykluczyć, że przypomniała sobie coś ważnego o morderstwie. Czy dlatego postanowiła wrócić? Nie udało mi się jej zabić mimo dwóch prób. Trzecia musi się powieść.

Tamte morderstwa były konieczne. Nie miałem innego wyboru. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zabić ich wszystkich. Po prostu weszli mi w drogę. Nie mogli przeżyć po tym, co zobaczyli.

*

Yvonne krążyła po pokojach, nie rzucając się w oczy. Oprócz kilku bliskich przyjaciół rodziny goście ignorowali ją. Taki już los służby. Dawno przestało jej przeszkadzać, że ludzie z zewnątrz traktują ją jako zwykłą gospodynię. Nauczyła się akceptować zarówno blaski, jak i cienie swojego życia – coś, do czego jej syn nigdy by nie przywykł. Theron nie miał żadnych ograniczeń, żadne wstydlive wydarzenia nie plamiły jego przeszłości, żadne zobowiązania nie kępowały go w osiągnięciu wyznaczonych celów. Oby tylko próba uwolnienia Lemara od winy za masakrę w Belle Rose nie zrujnowała jego politycznej kariery. Modliła się o to z całego serca.

Yvonne zatrudniła firmę cateringową z Vicksburga, z której pomocy korzystała już przy wielu okazjach. Ale choć zawsze była zadowolona z jej usług, osobiście czuwała nad wszystkim, począwszy od podawanych potraw, aż po wygląd i pracę kelnerów. Była dobra w swoim fachu. Clarice powiedziała kiedyś, że z takimi zdolnościami organizacyjnymi mogłaby szefować dużej korporacji. Nawet teraz na myśl o tej uwadze Yvonne uśmiechnęła się lekko.

Na stypę przysłała ponad połowa osób, które uczestniczyły w nabożeństwie, więc dom niemal pękał w szwach. Wprawdzie część gości zdążyła już wyjść, ale co kilka minut w drzwiach stawali nowi. Po przetoczeniu się takich tłumów rezydencja zmieni się w prawdziwą stajnię Augiasza, ale Yvonne przewidująco wynajęła dodatkową pomoc do sprzątania.

Clarice powiedziała jej, że powinna dołączyć do reszty rodziny na odczytanie testamentu. Yvonne podejrzewała, że Louis zapisał jej niedużą sumę, aby się odwdzińczyć za lata lojalnej służby. Miała też nadzieję, iż zostawił Clarice dość pieniędzy, by mogła przeżyć stare lata na przyzwoitym poziomie. Z pieniędzy za sprzedany dwadzieścia lat temu butik pozostało niewiele. Yvonne wiedziała, jaka to suma, co do centa. Nie miały przed sobą żadnych tajemnic. Ani teraz, ani w przeszłości.

Przechodząc przez salonik na tyłach rezydencji, usłyszała głos Clarice. Był lekko wzburzony, o oktawę wyższy niż normalnie.

– Musisz tu zostać – błagała. – To idiotyczne, że zatrzymałaś się w zajeździe, skoro w Belle Rose jest dla ciebie aż nadto miejsca. W końcu to twój dom. Twój pokój wciąż jest taki jak dawniej. Niczego w nim nie zmieniono.

– Nie ma sensu, żebym wymeldowywała się z hotelu – odparła Jolie. – I tak za parę dni wracam do Atlanty. Może nawet jutro, jeśli nic mnie nie zatrzyma.

– Przecież to oczywiste, że będziesz musiała zostać na dłużej. Louis na pewno zostawił ci należną część majątku.

– Wątpię. Miał nową rodzinę i o nią przede wszystkim musiał zadbać. Jestem pewna, że to ich potrzeby postawił na pierwszym miejscu.

Clarice objęła siostrzenicę.

– Wciąż masz w sobie tyle goryczy. – Pokręciła smutno głową. – Audrey też taka była. Nie umiała wybaczać. Nie potrafiła zrozumieć ludzkich ułomności. Musisz to przemóc. Nie wiesz, że ostatecznie nienawiść zwróci się przeciwko tobie?

– Przykro mi, że nie rozumiesz, dlaczego czuję to, co czuję, ale nie mogę zaakceptować ani tego, że Georgette zajęła w tym domu miejsce mojej matki niecały rok po jej śmierci, ani tego, że w łóżku ojca zajęła je, kiedy mama wciąż żyła.

– Ciii! – Clarice przyłożyła palec do ust. – Ktoś może usłyszeć.

Yvonne wiedziała, że jeśli rozmowa zabrnije jeszcze dalej, będzie miała później kłopoty z uspokojeniem Clarice. Wszyscy w domu starali się obchodzić z nią jak najłagodniej, żeby była szczęśliwa i uśmiechnięta. Po prostu nie miała dość siły, by radzić sobie ze stresem. Wszyscy w Belle Rose to rozumieli. Dokładnie z tego powodu Max nie przepędził Nowella Landersa, gdzie pieprz rośnie. Dlaczego Jolie zachowywała się inaczej?

– Clarice, pan Landers cię szuka – powiedziała Yvonne, podchodząc. Niewinne kłamstwo, żeby załagodzić sytuację.

– Nowell mnie szuka? – Clarice zatrzepotała rękami niczym podłotek. Yvonne nie widziała, żeby jej przyjaciółka reagowała w ten sposób na mężczyznę od czasów Jonathana.

– Chodź, zaprowadzę cię do niego. – Miała nadzieję, że Nowell Landers nie obnaży jej kłamstwa.

– Ale nie przekonałam jeszcze Jolie, żeby została w Belle Rose. Zatrzymała się w hotelu i mówi, że za parę dni wyjeżdża. – Clarice przytuliła Jolie do siebie. – Teraz, kiedy wreszcie wróciła do domu, nie możemy pozwolić, żeby uciekła.

– Zróbmy tak: ty pójdziesz poszukać pana Landersa, a ja porozmawiam z Jolie – zaproponowała Yvonne. – Co ty na to?

– Tak, oczywiście. Wspaniały pomysł. – Clarice pocałowała Jolie w policzek, a potem uwolniła ją z objęć i pogroziła jej palcem. – Posłuchaj Yvonne. Zrozumiano? Nie zawiedziesz nas, prawda, moje dziecko?

Jolie uśmiechnęła się słabo.

– Obiecuję, że posłucham, co Yvonne ma do powiedzenia.

To wystarczyło, by spacyfikować Clarice, która tanecznym krokiem zniknęła w tłumie żałobników, szukając swojego adoratora.

– Chcesz zaczerpnąć świeżego powietrza? – zwróciła się Yvonne do Jolie.

– To znaczy?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy wymknąć się na tylny ganek. Jest nadzieja, że żaden z gości nie zabłąkał się aż tak daleko.

– Zamierzasz wygłosić jedną ze swoich słynnych moralizatorskich mów?

Yvonne uśmiechnęła się lekko.

— Więc pamiętasz nauki, jakich udzielałam tobie i Theronowi w dzieciństwie. – Westchnęła. – Tak, właśnie to chodzi mi po głowie. Nie sądzisz, że już najwyższy czas?

*

Georgette wpadała na przemian w żalorny płacz i nerwowe rozedrganie. Max próbował ją przekonać, żeby poszła na górę do swojego pokoju, ale odmówiła. Matka, dumna z faktu, że była żoną Louisa Royale'a, wykorzystywała każdą okazję, by udowodnić światu, że jest warta tej godności. Teraz pragnęła pokazać wszystkim, że szczerze boleje nad jego stratą. Max nie wątpił, że naprawdę kochała Louisa. Jej miłość była tak silna, że graniczyła z obsesją. Wydawało się, jakby potrzebowała Louisa do życia tak samo jak powietrza.

Max kochał Felicię i powodowany tą miłością długo tolerował jej bezwstydne wybryki. Ale uczucie tak głębokie i intensywne, że przysłania człowiekowi cały świat – a właśnie takie łączyło jego matkę i Louisa – wręcz go przerażało.

– Louisowi bardzo by się to spodobało – powiedziała Georgette. – Uwielbiał wspaniałe przyjęcia.

– To prawda – przyznał Parry. – I nie żałował na nie grosza. Zawsze podziwiałem sposób, w jaki umiał korzystać z pieniędzy.

– Mój mąż był bardzo szczodry. – Georgette chwyciła Maksa za ramię. – Kręci mi się w głowie. Chyba powinnam usiąść.

– Oczywiście, mamo.

Utorował im drogę między grupkami rozmawiających kobiet i poprowadził matkę w stronę stojącego w kącie fotela. Pomógł jej usiąść i przykląkł obok.

– Jesteś pewna, że nie chcesz pójść na górę i trochę odpocząć?

Potrząsnęła głową.

– A może chcesz coś do picia? Znajdę Yvonne i poproszę, żeby zaparzyła ci miętę.

– Tak, Max, chętnie. Filiżanka miętę. I dopilnuj, żeby wsypała trzy łyżeczki cukru. Uwielbiam słodką miętę.

– Yvonne zawsze o tym pamięta – powiedział. – Kawa czarna. Mięta bardzo

słodka.

Rozejrzył się dookoła, szukając Mallory. Widział ją tylko raz po powrocie z cmentarza i podejrzewał, że schowała się w swoim pokoju. Musiał sprawdzić, jak się czuje. Od śmierci Louisa była cicha i przygaszona. Pewnie tak jak matka zastanawiała się, jak poradzi sobie bez ojca. W końcu była jego ukochaną córeczką. Kiedy znajdzie Yvonne i poprosi ją o miętę dla Georgette, pójdzie na górę i postara się przekonać siostrę, żeby zeszła na dół i dotrzymała matce towarzystwa.

W połowie drogi do kuchni natknął się na Parry'ego, który pił kolejnego drinka. Wuj chwycił go za ramię.

– Poczekaj.

Max zatrzymał się i posłał wujowi karcące spojrzenie.

– Kiedy w końcu wywalisz z domu tę bandę snobów i skupimy się na tym, co najważniejsze? – zapytał Parry niezrażony.

– A co to takiego?

– Testament Louisa. Musimy wiedzieć, czy nie zostaniemy stąd wykopani. – Nachylił się, chuchając Maksowi w twarz oparami alkoholu. – Jeżeli zapisał cokolwiek Jolie, powinieneś wynająć jakiegoś sprytnego prawnika, który specjalizuje się w podważaniu testamentów. Dziewucha nie zasługuje na złamanego centa.

Wujek Parry wiele razy przysparzał im wstydu. Należał jednak do rodziny i pomimo swoich wybryków potrafił być uroczy.

– Zrobisz coś dla mnie, wujku?

– Jasne. Wał, chłopie.

– Idź na górę, poszukaj Mallory i namów ją, żeby zeszła na dół i zajęła się matką.

– Masz to jak w banku. – Poklepał siostrzeńca po plecach i oddalił się chwiejnym krokiem.

Max wszedł do kuchni. W pomieszczeniu kręciło się wiele osób, ale Yvonne wśród nich nie było. Czyżby również uciekła na górę?

– Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie jest pani Carter? – zapytał obsługę uwijającą się, żeby nadażyć z dostarczaniem kolejnych tac z jedzeniem i napojami.

– Pani Carter jest na tylnym ganku – odparła młoda kobieta w białej bluzce i czarnych spodniach. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego zalotnie.

– Dziękuję.

– Zawsze do usług, panie Devereaux.

Ignorując subtelne zaproszenie do flirtu, Max przeszedł z kuchni do przylegającej do niej sieni. Otworzył drzwi i wyszedł na ganek. Yvonne i Jolie siedziały na szerokiej poręczy przy kolumnie.

– Rozważ to. Choćby ze względu na Clarice – prosiła Yvonne. Jolie pokręciła głową.

– Ciocia będzie szczęśliwa, dopiero gdy zamieszkać tu na stałe. A o tym nie ma mowy.

– Więc zostań chociaż na parę dni. Na pewno możesz ukrywać niechęć do drugiej rodziny ojca przez tak krótki czas.

– „Niechęć” to za łagodne słowo. Nienawidzę Georgette. I nie ufam Maksowi. Obawiam się, że nie umiałabym maskować tak silnych uczuć nawet ze względu na ciocię Clarice.

– A Mallory? Przecież nie możesz nienawidzić siostry.

– To tylko siostra przyrodnia. Ale masz rację, nie żywię do niej nienawiści. Po prostu żał mi jej, że ma Georgette za matkę.

Max miał dwie możliwości. Mógł wrócić do domu albo ujawnić swoją obecność. Wybrawszy to drugie, chrząknął znacząco. Obie kobiety spojrzały w jego stronę. Yvonne zsunęła się z poręczy. Jolie siedziała dalej bez ruchu, utkwivszy w nim wzrok.

– Yvonne, mama chciałaby napić się mięty – powiedział. – Mogłabyś ją dla niej zaparzyć? Jest w głównym salonie.

– Tak, oczywiście – odparła Yvonne i zerknęła na Jolie. – Zachowuj się, jak należy. Pamiętaj, że pochodzisz z rodu Desmondów.

Weszła do domu, a Max ruszył wolno w stronę Jolie. Zanim podszedł, zeskoczyła z poręczy i skierowała się do drzwi. Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek.

– Nie tak prędko – powiedział. Chciała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

– Puszczaj.

– Jeszcze nie. Nie, dopóki...

Uniosła wolną rękę i zamachnęła się. Był szybszy. Po chwili trzymał ją za oba nadgarstki. Spojrzeli na siebie z nieskrywaną wrogością.

– Moja matka nie zasługuje na twoją nienawiść, a siostra na współczucie.

Próbowała się oswobodzić, ale bez skutku.

– Widzę, że do twoich grzechów mogę teraz dodać podsłuchiwanie – burknęła.

– Mam gdzieś, co o mnie myślisz – odparł, ściskając mocniej jej nadgarstki. – Ale jeśli skrzywdzisz moją matkę lub siostrę, pożałujesz.

– Grozisz mi?

– Po prostu daję ci do zrozumienia, że będę bronił tego, co moje.

– Jakie to szlachetne. Powiedz mi, Max, czy eliminowanie przeszkód na drodze do szczęścia twojej matki podpada pod obronę tego, co twoje?

Wredna suka! Właśnie oskarżyła mnie o morderstwo. Uwolnił ją z uścisku.

– Nauczyłaś się ostro grać, co?

– Żyjemy w świecie, w którym przetrwa najsilniejszy. Ja przetrwałam. Więc módl się, żeby ojciec nie dał mi władzy nad twoją rodziną, bo jeśli to zrobił... – uśmiechnęła się złośliwie.

– A więc wojna? – spytał, choć znał odpowiedź. Nic nie sprawiłoby Jolie Royale większej przyjemności od zniszczenia jego matki.

*

O ósmej wieczorem Garland Wells zgromadził rodzinę w gabinecie Louisa. Yvonne podała bezkofeinową kawę i mrożoną herbatę. Kiedy ruszyła do drzwi, Gar przypomniał jej, że ma zostać.

Jolie z trudem ukrywała zniecierpliwienie. Chciała mieć to już za sobą im szybciej, tym lepiej. Testament Louisa mógł zaważyć na jej przyszłości. Za chwilę dowie się, czy ojciec wyrzucił ją ze swojego życia, czy też dał jej władzę, by mogła się zemścić.

Gar usiadł na skórzanym fotelu za antycznym biurkiem Louisa Royale'a.

– Wygląda na to, że wszyscy zainteresowani są obecni.

– Czy to oznacza, że każdy w tym pokoju został wspomniany w testamencie? – zapytał Parry Clifton.

– Tak – odparł Wells.

Jolie wstrzymała oddech, gdy Gar zaczął czytać ostatnią wolę jej ojca, przerywając od czasu do czasu, by wyjaśnić bardziej zawile fragmenty. Louis Royale pozostawił większość majątku do równego podziału między troje dzieci – Jolie, Mallory i Maksa. Zapisał im także wszystkie udziały w swoich firmach i spółkach z zastrzeżeniem, że Max ma zarządzać rodzinnym biznesem, tak jak to czynił już od kilku lat. Georgette i Clarice zapewnił fundusze powiernicze na tyle wysokie, by do końca życia nie musiały się o nic martwić. Yvonne otrzymała sto tysięcy dolarów.

– Co do mojego szwagra Parry'ego Cliftona, proszę, aby mój przybrany syn Maximillian Devereaux zadbał o swojego wujka, jak uzna za stosowne, przekazując mu niezbędne fundusze.

– Wredny stary sukinsyn – mruknął Clifton.

– Zamknij się, Parry! – zgromiła go Georgette.

– Powinnaś być równie wściekła jak ja – odparował. – Louis powinien zostawić wszystko tobie i doskonale o tym wiesz. Dałaś mu dwadzieścia lat życia, a on tak ci się odwdzięcza – marnym groszem!

Max wstał, chwycił wujka za ramię i syknął:

– Siedź cicho albo wyrzucę cię za drzwi.

Parry popatrzył mu w oczy i pokiwał niechętnie głową.

– Jak sobie życzysz, siostrzeńcze. Wygląda na to, że ty tu teraz rządysz.

Max zwrócił się do Gara.

– Czytaj dalej.

– Jest jeszcze kilka darowizn dla instytucji charytatywnych – powiedział Wells – ale jedyny ważny zapis dotyczy Belle Rose.

Zapadła cisza. Jolie zastanawiała się, czy to grzech modlić się o coś, co się stanie

narzędziem zemsty.

– Plantacja Belle Rose była własnością rodziny mojej pierwszej żony, Audrey Desmond, od pokoleń – przeczytał Gar Wells. – Po naszym ślubie zarówno ona, jak i jej siostry przekazały mi rezydencję wraz z ziemią, abym przywrócił posiadłość do dawnej świetności. Rozważywszy sprawę dokładnie i zgodnie ze swoim sumieniem, doszedłem do przekonania, iż jedyną sprawiedliwą i słuszną rzeczą jest zapisanie Belle Rose – domu, mebli i sprzętów, a także ziemi – mojej starszej córce Jolie Desmond Royale.

Rozdział 7

– Wielki Boże, nie! – Georgette chwyciła się za serce. – To skandal! – Parry Clifton skoczył na równe nogi, zaciskając pięści.

– Tata zapisał jej nasz dom? – Mallory posłała Jolie nienawistne spojrzenie. – Jak mógł zrobić coś takiego?

Jolie milczała, powtarzając w myślach słowa, które odczytał przed chwilą Garland Wells. Belle Rose należało do niej. Ojciec zachował się jednak jak powinien.

– Och, kochanie, Louis ofiarował ci wielki dar – powiedziała Clarice. Była wyraźnie poruszona, miała zarumienioną twarz i łzy w oczach.

Jolie poczuła na sobie wzrok Maksa i nie potrafiła się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. Podczas gdy jego rodzina skarżyła się na niesprawiedliwość Louisa, on siedział sztywno z morderczym błyskiem w oczach. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Proszę o spokój – powiedział Gar, a gdy skargi nie umilkły, dodał podniesionym głosem: – Zapis jest obwarowany pewnymi warunkami.

Parry Clifton nie przestawał kląć, Georgette wybuchła płaczem, a Mallory ruszyła obrażona do drzwi. Max chwycił ją, nim zdążyła złapać za klamkę, i pchnął z powrotem na fotel. Potem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał matce.

– Otrzyj łzy – powiedział łagodnie, jakby mówił do dziecka. Odwrócił się w stronę wuja. – Zamknij się i siadaj. Natychmiast! – warknął głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Parry zamilkł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Usiadł w fotelu obok Georgette, skrzyżował ręce na piersiach i wydał dolną wargę w niemym geście protestu.

– Mów dalej – poprosił Max, zwracając się do Wellsa. – Co to za warunki?

Gar odchrząknął.

– Louis zostawił Belle Rose Jolie z zastrzeżeniem, że jego żona Georgette będzie miała prawo mieszkać tu do końca życia.

Serce Jolie zamarło. Pieprzony sukinsyn. Znów zrobił ją na szaro. Najpierw dał jej to, czego najbardziej pragnęła, a zaraz potem związał jej ręce, żeby nie mogła zniszczyć życia jego ukochanej Georgette.

– Również Mallory Royale i Maximillian Devereaux mogą mieszkać w Belle Rose, jak długo będą chcieli. – Gar wziął głęboki oddech, czekając na kolejny wybuch oburzenia.

Ale Jolie nie miała zamiaru zniżać się do poziomu Cliftonów. Niech zobaczą, jak bardzo brakuje im klasy. Ona pochodziła z rodu Desmondów i musiała zachowywać się tak, jak jej przodkowie – dumnie i godnie. Potrzebowała czasu do namysłu. Porozmawia z prawnikiem i podejmie odpowiednie decyzje. Poradzi

sobie z nieznośną sytuacją, w jakiej postawił ją ojciec.

– To znaczy, że nie musimy opuszczać Belle Rose? – Georgette otarła łzy chusteczką.

– Tak, mam – odparł Max.

– Nie może nas wyrzucić, mimo że jest właścicielką. Zgadza się? – Mallory spojrzała na Jolie z triumfalnym uśmiechem.

– Tak – potwierdził Gar. Clarice wstała z fotela.

– Czyż to nie wspaniale? – oznajmiła z emfazą. – Wszystko ułożyło się wprost znakomicie. Powinniśmy uczcić mądrość i dobroć Louisa.

Jolie wpatrywała się w ciotkę, nie wiedząc, czy pozwolić jej cieszyć się iluzją wspólnego harmonijnego życia, czy też sprowadzić ją na ziemię. Biedna Clarice. Może rzeczywiście jest tak szalona, jak wszyscy sądzą. Jeśli choć przez chwilę pomyślała, że ona zamieszka razem z rodziną Georgette, to naprawdę żyła w krainie fantazji.

Max pomógł matce wstać.

– To był długi dzień. Powinnaś się położyć. – Zwrócił się do siostry: – Mallory, zaprowadź matkę na górę.

– Z chęcią. – Mallory wciąż się uśmiechała, wyraźnie usatysfakcjonowana.

Parry Clifton ruszył do drzwi. Max zawołał do niego:

– Nie jedź dzisiaj do miasta. Nie chcę znowu wyciągać cię z aresztu. Parry poczerwieniał. Burknął coś pod nosem i wyszedł z pokoju za Georgette i Mallory. Clarice złapała Jolie za ramię, a potem skinęła na Maksa.

– Musisz pojechać z Jolie do miasta, żeby sprowadzić jej samochód i bagaże. – Uśmiechnęła się do siostrzenicy. – Twój pokój już na ciebie czeka. Przewietrzyliśmy go z Yvonne i oblekliśmy świeżą pościel.

– Nie zostanę tu na noc – odparła Jolie.

– Czemu?

– Nie jest gotowa do powrotu do Belle Rose – powiedziała Yvonne, kładąc dłoń na ramieniu Clarice. – Jeszcze nie dziś.

– Ale to jej dom. Louis zapisał go jej w testamencie. – Clarice popatrzyła na Jolie, nic nie rozumiejąc.

– Nie zmuszaj Jolie do czegoś, do czego nie jest jeszcze gotowa – poradziła Yvonne. – Pozwól jej do tego dojrzeć.

– Cóż, pewnie masz rację... – Ramiona Clarice uniosły się i opadły, gdy westchnęła głęboko. – Tylko że...

Yvonne spojrzała na Jolie.

– Odprowadzę Clarice do pokoju, a potem razem pojedziemy do miasta. Zabierzesz swoje rzeczy i przenocujesz u mnie – zaproponowała.

Był to kompromis, na który Jolie mogła się zgodzić. Spędzi noc na plantacji, tyle że nie w samej rezydencji.

– Dziękuję, Yvonne, chętnie skorzystam z twojej gościny.

– Więc postanowione. – Yvonne poklepała Clarice po plecach. – Będziesz ją miała w pobliżu i będziecie się mogli zobaczyć z samego rana.

– Tak... – powiedziała Clarice. – Myślę, że to dobre wyjście.

– Poczekaj na mnie na tylnym ganku. Niedługo przyjdę. – Yvonne wzięła Clarice pod rękę i poprowadziła do drzwi.

Jolie pokiwała głową.

Gar Wells został w pokoju i rozmawiał z Maksem. Kiedy ruszyła w ich stronę, odwrócił się do niej.

– Miło cię znowu widzieć, Jolie – powiedział, wyciągając dłoń. – Tylko szkoda, że w takich okolicznościach.

Uścisnęła jego rękę i aż wstrzymała oddech ze zdumienia, gdy ją objął i przytulił z wylewną czułością. Na szczęście szybko uwolnił ją z objęć i cofnął się o dwa kroki.

– Ja też cieszę się, że cię widzę – powiedziała. Nie mogła winić Gara za treść testamentu. Musiał wykonywać polecenia klienta. – Gdzie Sandy? Widziałam ją w kościele, ale potem zniknęła.

– Miała nagły przypadek i musiała pojechać do szpitala zaraz po mszy – wyjaśnił Gar. – Wzięła mój samochód. Dzwoniła jakąś godzinę temu, więc spodziewam się jej lada chwila. Zostań jeszcze chwilę. Sandy bardzo chce się z tobą spotkać.

– Ja też, ale naprawdę muszę lecieć. Powiedz jej, że zadzwonię.

Gar skinął głową.

– Jasne. – Powiódł wzrokiem od Jolie do Maksa i odchrząknął. – Gdyby któreś z was miało jakieś pytania o... o cokolwiek, co dotyczy testamentu Louisa, jestem do waszej dyspozycji. Po prostu dajcie mi znać.

– Na pewno wkrótce się odezwę – powiedziała Jolie.

Gdy zostali sami, Max przysiadł na biurku i skrzyżował ramiona na piersiach.

– I co teraz? – rzucił.

Nie daj mu się wyprowadzić z równowagi, upomniała samą siebie. Nie okazuj zdenerwowania i rozczarowania.

– Zabiorę rzeczy z hotelu i przenocuję u Yvonne – odparła. Wargi Maksa zadrgały, jakby chciał się uśmiechnąć.

– A potem?

– Dlaczego miałabym się dzielić planem bitwy z wrogiem? – Zmusiła się do uśmiechu.

Uniósł brwi i spojrzał jej w oczy.

– To znaczy, że nie widzisz żadnych szans na kompromis. Nie zamierzasz...

– Zaakceptować warunku, że twoja rodzina ma prawo pozostać w Belle Rose?

– To był nasz dom przez dziewiętnaście lat. Jedyne dom, jaki Mallory

kiedykolwiek miała. Naprawdę wyrzuciłabyś z Belle Rose własną siostrę?

– Mallory jest moją przyrodnią siostrą, ale niczego nie jestem jej winna. Nawet jej nie znam.

– A czyja to wina? – Max wyprostował się i odszedł od biurka. – Gdybyś zadała sobie choć trochę trudu, mogłabyś ją poznać. Zresztą nawet teraz nie jest za późno. Będzie to wymagać trochę wysiłku z twojej strony, ale Mallory to dobra dziewczyna. Tylko trochę rozpieszczona, tak jak ty kiedyś. Pod wieloma względami jesteście bardzo podobne.

– Wątpię. Moja matka pochodziła z rodziny Desmondów. – Ledwie to powiedziała, pożałowała, że nie ugryzła się w język. Mallory nie mogła nic poradzić na to, kim jest jej matka.

Max zacisnął szczęki, aż mięśnie zadrgały mu pod skórą.

– Dwadzieścia lat poza Sumarville, a ledwie wróciłaś, od razu wcielasz się w starą rolę. Potężni Desmondowie lepsi od wszystkich innych. – Prychnął z niesmakiem. – Zdajesz sobie sprawę, że ciocia Clarice jest teraz jedyną osobą w hrabstwie noszącą nazwisko Desmond? Szlachetnie urodzeni wymierają w szybkim tempie i robią miejsce dla nas, silniejszych i twardszych kundli.

– Wielka szkoda! – wycedziła z pasją.

Podszedł do niej, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Instynkt podpowiadał jej, że powinna uciekać. Nie, nie da mu tej satysfakcji. Jeśli myśli, że się go boi... Rzeczywiście się bała, ale nie da tego po sobie poznać.

Zatrzymał się, gdy dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów.

– Nie prowokuj mnie, panienko Jolie, bo możesz skończyć, leżąc na łopatkach i błagając o litość.

Był cholernie dobry w wyprowadzaniu ludzi z równowagi. Wiele lat temu na pewno odwróciłaby się i uciekła. Ale teraz była już inną Jolie. Niełatwo było ją przestraszyć.

– Na twoim miejscu nie zakładałabym się o to, kto będzie błagał o litość – wycedziła, wbijając palec w jego pierś.

Kiedy cofała dłoń, złapał ją za nadgarstek. Opanowała chęć wyszarpięcia ręki. Zamiast tego zadarła głowę i przysunęła się bliżej, tak że jej usta znalazły się tuż przy jego podbródku. Stali tak, niemal stykając się ciałami, czując na twarzach ciepło oddechu przeciwnika – i żadne nie zamierzało ustąpić ani o milimetr.

Jolie pomyślała, że jeśli Max za chwilę nie ustąpi, zacznie krzyczeć. Jej nerwy naprężyły się do granic wytrzymałości, czuła, że eksploduje przy najmniejszej prowokacji.

Nagłym ruchem Max objął ją za szyję. Zadrżała, jakby był pierwszym mężczyzną, który jej kiedykolwiek dotknął. Jej wargi rozchyliły się w cichym westchnieniu.

Nie wiedziała, kto wykonał pierwszy ruch – i w ostatecznym rachunku było to

bez znaczenia. Puścił ją i odsunęli się od siebie, jakby popełnili śmiertelny grzech. Przez ułamek sekundy Max Devereaux był niebezpiecznie blisko pocałowania jej. A ona, niech jej Bóg wybaczy, pragnęła tego. Odwróciła się i z trudem powstrzymując się od biegu, wyszła z pokoju. Nie waży się na niego obejrzeć!

*

Max nie wiedział, co naprawdę zaszło między nim a Jolie, ale cokolwiek to było, wcale mu się nie podobało. Wyszła dobre pięć minut temu, a wciąż czuł się, jakby dostał obuchem prosto między oczy. Była ostatnią kobietą na świecie, którą chciałby uznać za atrakcyjną. A atrakcyjna to mało powiedziane. Była szałowa, po prostu fantastyczna. Co myślał, kiedy jej dotknął? Równie dobrze mógłby skoczyć z dwudziestometrowego urwiska.

Chciał ją pocałować. I nie tylko pocałować. Pragnął posiadać tę kobietę. Ale ledwie jej dotknął, wiedział, że popełnił cholerny błąd. Widział w jej oczach pożądanie i przyzwolenie. Gdyby ją pocałował, nie odepchnęłaby go.

– Ty jeszcze tu? – Garland Wells stanął w drzwiach do gabinetu. – Sandy właśnie przyjechała. Przywitaj się z nią, zanim odjedziemy.

– Jasne – odparł Max i wyszedł z pokoju. Sandy stała w korytarzu.

– Przykro mi, że nie zdążyłam na stypę – powiedziała. – Miałam pacjenta z pękniętym wyrostkiem. – Uścisnęła dłoń Maksa, a potem popatrzyła na niego i na brata. – No i jak wszystko wypadło?

– Louis zrobił to, co uznał za najlepsze – odparł Max – próbował zadbać o wszystkich. Ale ostatecznie przywiązał moją rodzinę do Jolie na resztę naszych dni.

– No cóż. – Popatrzyła na brata. – Gdzie jest Jolie?

– Yvonne zawiozła ją do miasta, żeby wzięła swoje walizki i samochód – odparł Gar.

– To znaczy, że wraca do Belle Rose?

– Dzisiaj będzie nocować u Yvonne – wyjaśnił Max. – Co zrobi jutro, nie wiadomo.

– Wy tłumacz mi – poprosiła Sandy – w jaki sposób Louis przywiązał was do Jolie.

– Zapisał jej Belle Rose. – Max zacisnął pięści. Żałował, że nie może niczego rozwalić i przynajmniej częściowo wyładować frustracji.

– Mój Boże. Czy to znaczy, że wszyscy się wyprowadzacie?

– O, nie. To by było zbyt proste. Louis zostawił Belle Rose Jolie, ale pod jednym warunkiem. Mama, Mallory i ja mamy prawo mieszkać w rezydencji. Poza tym podzielił cały majątek po równo między Mallory, Jolie i mnie.

Mallory, która właśnie zbiegła po schodach, zatrzymała się, widząc brata.

– Co to, kolejna narada prawna? Mam nadzieję, że zastanawiacie się, jak dopilnować, żeby Jolie nigdy więcej nie przekroczyła progu tego domu.

Max popatrzył na siostrę. Przebrała się z ciemnozielonego kostiumu w drelichowe szorty i żółty T-shirt z napisem DZIEWCZYNY Z POŁUDNIA.

– Myślałem, że jesteś już w łóżku – mruknął.

– Nie mogłam zasnąć – wyjaśniła. – A zanim zapytasz, tak, dałam mamie proszek nasenny i zostałam przy niej, dopóki nie usnęła.

– Cześć, Mallory. – Sandy pomachała jej ręką.

– Siema.

Max zauważył w jej dłoni kluczyki do samochodu.

– Dokąd się wybierasz?

– Na przejażdżkę. Muszę się stąd na chwilę wyrwać. Pomyślałam, że pojeżdżę po okolicy. Odetchnę świeżym powietrzem. Ucieknę od... Chcę przestać myśleć o śmierci taty. I o tym, jaka mama jest nieszczęśliwa. I jak ja się nad sobą użalam.

– Wolalbym, żebyś nie wychodziła – powiedział Max. – Jest już po dziewiątej.

– Pojadę, chyba że mnie zwiążesz. – Posłała mu spojrzenie, które mówiło „nawet-nie-próbuj-mnie-powstrzymać”.

– No dobrze, jedź – rzekł z rezygnacją. – Ale jeśli nie wrócisz do jedenastej, zacznę cię szukać.

– Do północy, okej? Przecież masz na głowie ważniejsze sprawy niż pilnowanie, kiedy wrócę. Nasza kochana siostrzyczka pewnie właśnie knuje jakąś diabelską intrygę, żeby zetrzeć nas na proch. – Mijając Gara, musnęła go po policzku. – Zacznij wkuwać przepisy spadkowe, zanim staniesz oko w oko z wyszczekanyim adwokatem z Atlanty.

Ruszyła do drzwi i zniknęła na werandzie, a minutę później Max usłyszał warkot jej żółtej corvetty.

*

R. J. przebywał w Sumarville wystarczająco długo, by wiedzieć, gdzie można się zabawić. Wiedział, gdzie można zagrać w pokera i gdzie odbywają się walki kogutów, znał też numer, pod który trzeba zadzwonić, żeby kupić na parę godzin kobietę. Życie jest piękne, gdy ma się w kieszeni dwieście dolców wygranych w karty, temperament ogiera i nadzieję, że sobie ulżysz jeszcze tej nocy. R.J. lubił kobiety doświadczone, ale nie profesjonalistki. Jeszcze nigdy nie płacił za seks. Nie musiał; kobiety łągły do niego jak muchy do miodu.

Jechał Main Street swoim dżipem, a wiatr rozwiewał jego długie włosy. Czuł się szczęśliwy. Cholernie szczęśliwy. Był młody, zdrowy i wolny jak ptak.

No dobra, gdzie w niedzielny wieczór znaleźć w Sumarville fajną laskę? Przechodzone kurwy, które obstawiały pigalak, nie interesowały go. Szukał młodej, słodkiej laleczki, która miałaby dość doświadczenia, żeby wiedzieć, co robi.

Kto wie, może mu się poszczęści i poderwie jakąś córkę pastora sączącą wiśniową colę i marzącą o facecie, który porwie ją na dziką jazdę.

Skręcił w Walnut Street i ruszył w stronę jednego z niewielu lokali otwartych w

niedzielę wieczorem, miejsca spotkań okolicznych nastolatków. Zaparkował, wyskoczył z dżipa, przeczesał ręką włosy i wszedł do baru. Zamówił hamburgera, frytki i colę. Obsługująca go dziewczyna, cała w uśmiechach, robiła wszystko, żeby zwrócić jego uwagę. Niewiele brakowało, żeby się rozebrała i rzuciła na niego z okrzykiem „Weź mnie, przystojniaku!” Była całkiem niezła, ale nie w jego typie. Trochę za chuda i za płaska. Puścił do niej oko, uznawszy, że niewinny flirt nie zawadzi.

Czekał na zamówienie przy kontuarze, żeby się upewnić, że wszystkie cizie w lokalu dobrze go sobie obejrzą a potem znalazł wolny boks, postawił tacę na stoliku i usiadł. Sącząc colę, błędził wzrokiem po sali, taksując towar. Trzy ładne lale wyraźnie miały na niego chętkę. Dwie blondyny i ruda. Co wybrać – lody waniliowe czy truskawkowe?

Mógł wykonać pierwszy ruch, ale dziewczyna, jakiej szukał, sama powinna go zaczepić. Zaczął więc jeść. Pewien, że zanim skończy, któraś z dziewczyn podejdzie i się przedstawi.

Kątem oka zauważył, że jedna z blondynek idzie w jego stronę; ta bardziej cycata, z serduszkciem wytatuowanym na ramieniu.

– Cześć – rzuciła zalotnie i usiadła naprzeciwko niego. – Jestem Jamie Gambrell. Nie widziałam cię tu wcześniej. Musisz być nowy.

– Siemanko, Jamie. – Błysnął czarującym uśmiechem. – Jestem R.J.

– Czekasz na kogoś? Na dziewczynę? – spytała.

– Wolę fruwać solo – odparł. – Wtedy łatwiej poznawać nowych ludzi. – Wziął Jamie za rękę. – Powiedz, ile masz lat?

Zachichotała.

– Dziewiętnaście. – Sięgnęła do przewieszanej przez ramię wyszywanej koralikami torebki i wyciągnęła prawo jazdy. – Możesz sprawdzić.

R.J. wziął dokument. Zwykle potrafił rozpoznać lewe papiery. To prawko wyglądało na autentyk. No, no. Więc Panna Cycata jest legalna. Ma dziś szczęście. A będzie go miał jeszcze więcej.

Oddał jej prawo jazdy.

– Nie ma żadnego krzepkiego chłopaka, który miałby do ciebie prawo?

– Był – przyznała – ale zerwaliśmy parę tygodni temu.

– To co, ślicznotko, przejedziesz się ze mną?

– Dokąd?

– Jutro mam wolne – odparł. – Moglibyśmy skoczyć do Nowego Orleanu i dobrze się zabawić.

– Do Nowego Orleanu? Nie zalewasz? Jeny, byłoby bomba, ale jeśli nie wrócę o pierwszej do chaty, stary wyśle po mnie patrol.

– Zapomnijmy o Nowym Orleanie. Może pojeździmy po okolicy i znajdziemy jakieś miłe miejsce, żeby zaparkować i popatrzeć na księżyc.

– Ale przed pierwszą odstawisz mnie do domu.

– Spoko, nie ma problemu.

R.J. wstał i objął Jamie w talii. Pomachała do przyjaciółek, które filowały na nich z głębi sali.

– Na razie – zawołała i przytuliła się do niego.

Byli w połowie drogi do dżipa, kiedy zobaczył Mallory Royale. Siedziała w kanarkowożółtej corvette, zalewając się łzami. Dama w tarapatkach – potrzebowała silnego męskiego ramienia, żeby się wypłakać.

Pamiętaj, upomniał się w duchu, ta mała ma starszego brata, który już cię ostrzegął, żebyś się do niej nie zbliżał. Jasne, ale odkąd to bał się starszych braci, ojców, chłopaków, nawet mężów? Tyle że Max Devereaux to nie jakiś tam zwyczajny starszy brat.

Pomyślał, że chyba mu odbiło. Właśnie wyrwał niezłą cizję, która bez oporów rozłoży nogi, ledwie zaparkują w jakimś ustronnym miejscu. Dlaczego, do ciężkiej cholery, zachciało mu się amorów z tamtą księżniczką? Bo lubił wyzwania, a Jamie była łatwą zdobyczą.

R.J. przystanął i uwolnił się z objęć blondyny.

– Widzę tam przyjaciółkę. Wygląda na to, że mnie potrzebuje. – Pchnął Jamie w stronę baru. – Może wrócisz do koleżanek i spikniemy się innym razem.

– Co? – Jamie stanęła jak wryta. – Chcesz powiedzieć, że przyjaźnisz się z Mallory Royale?

– No, kumplujemy się.

– Myślałam, że jesteś nowy w Sumarville.

– Jestem tu dość długo, żeby poznać parę osób. – Klepnął ją w pupę. – No, idź. Później cię złapię.

Jamie obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę baru, a R.J. podszedł do corvetty. Stał przy drzwiczkach od strony kierowcy.

– Potrzebuje pani towarzystwa, panno Royale?

Mallory wyglądała na zaskoczoną. Chyba nie usłyszała, jak nadchodził.

– Pan Sutton?

– Mów mi R.J. – Pochylił się i koniuszkami palców otarł łzy z jej policzka. – Sprawiasz wrażenie dziewczyny, która potrzebuje przyjaciela.

Mallory przełknęła ślinę. Świeże łzy załśniły w jej oczach.

– Nie wiem, czego potrzebuję.

Otworzył drzwiczki.

– Przesiądź się – powiedział.

Popatrzyła na niego i bez słowa przesunęła się na fotel pasażera. R.J. usiadł za kierownicą.

– Wiem, czego potrzebujesz – oświadczył. – Mnie.

Rozdział 8

Pleasant Hill należało do rodziny Wellsów od sześciu pokoleń, a dom na plantacji, wzniesiony w 1840 roku przez niewolników, był najstarszą taką budowlą w hrabstwie Desmond, starszą nawet od rezydencji w Belle Rose. Garland zawsze kochał ten dom, choć nie zawsze podobało mu się, że jest synem Roscoe'a Wellsa, znienawidzonego przez wielu ludzi. Przebywanie pod jednym dachem ze zdeklarowanym rasistą nie było łatwe ani dla niego, ani dla jego siostry Sandy. W „nawrócenie” ojca nie uwierzyło żadne z nich. Sandy, odkąd wyjechała do college'u, nigdy już nie wróciła do domu, a Garland po ukończeniu studiów prawniczych zamieszkał w Pleasant Hill z ojcem, który czuł się bardzo samotny. Felicia była jego ukochaną córką. Z wyglądu podobna do matki – i równie piękna – charakter odziedziczyła po ojcu. Czasami Gar wzdragał się na myśl o złej krwi, która krąży w jego żyłach – niczym jad przekazywany z pokolenia na pokolenie. Jakimś sposobem Sandy uniknęła genetycznego piętna, lecz Felicii nie udało się od niego uciec. Jeśli chodzi o siebie, Gar miał poważne wątpliwości.

Nie łudził się, że ojciec – stary rasista – naprawdę się nawrócił, ale pragnął wierzyć, że jeśli zmienił się choć odrobinę, to pod jego wpływem. Gar uważał się za nowoczesnie myślącego obywatela Missisipi. Twierdził, że praprawnukowie ciemnieńców muszą współżyć na równych prawach z potomkami ciemnieńonych.

Sandy zatrzymała lexusa na podjeździe, ale nie zgasiła silnika. Garland spojrzał na siostrę. Smukła, ciemnowłosa i ciemnooka, była atrakcyjna, choć nie tak jak Felicia. Ale niedostatki urody z nawiązką nadrabiała inteligencją i charakterem. Nie miał wątpliwości, że najmłodsze dziecko Wellsów było znacznie bardziej udane od rodzeństwa. On uważał się za porządnego faceta, ale brakowało mu dobrego serca Sandy. A Felicia, niech jej dusza spoczywa w pokoju, była po prostu zwykłą suką.

– Nie wstąpisz na chwilę? – zapytał.

– Prędeż piekło zamarźnie – fuknęła.

– Mogłabyś wpaść chociaż się przywitać – nie ustępował. – W końcu to twój ojciec. I nie robi się coraz młodszy.

– Próbowałeś tej taktyki już wiele razy. Nie udało się przedtem, nie uda się teraz ani w przyszłości. Umyłam ręce od tego starego potępieńca dawno temu. Przykro mi, że się z nim męczysz, ale sam tego chciałeś.

Gar pokiwał głową i cmoknął siostrę w policzek. Otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu, ale po chwili zajrzał z powrotem do środka.

– Pod pewnym względem jesteś taka sama jak Jolie. Obie nie potraficie wybaczyć ojcom ich grzechów.

– Jolie zawsze była bystra. – Kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu. – Szkoda, że nie udało mi się z nią porozmawiać po pogrzebie. – Westchnęła. –

Boże, pamiętam czasy, kiedy byliśmy dziećmi. Byliśmy sobie takie bliskie. Kochałam Jolie znacznie bardziej niż Felicię. Była jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

– Jeśli odnowisz tę przyjaźń, zrobisz sobie wroga z Maksa. Będziesz musiała wybrać stronę, po której staniesz.

Sandy pokiwała głową.

– Wiem.

– Nie mamy szczęścia w miłości, co?

Zatrzasnął drzwiczki. Gdy Sandy odjeżdżała, stał na podjeździe, obserwując jej pośpieszną ucieczkę. Nie zazdrościł siostrze. Choć jako adwokat Louisa Royale'a i Maksa Devereaux nie musiał dokonywać wyboru, gdy znowu zobaczył Jolie, zdał sobie sprawę, jak trudno mu będzie stanąć w tej sprawie przeciwko niej. Sandy będzie jeszcze trudniej. Przez te wszystkie lata utrzymywała kontakty z Jolie, nawet odwiedziła ją kilka razy w Atlancie. Ale kochała Maksa. Biedaczka kochała się w nim, odkąd sięgał pamięcią. Nigdy nie zapomni, jak dzielnie zniosła jego ślub z Felicia. Niech to, była nawet druhną.

Max nie odwzajemniał jej uczuć i nic nie zapowiadało, że to się zmieni. Gar dobrze rozumiał, jak bolesna jest nieodwzajemniona miłość. Czasem zdawało mu się, że cała trójka dzieci Wellsa została przeklęta w chwili narodzin.

Dwuskrzydłowe frontowe drzwi otworzyły się i światło z sieni zlało się z blaskiem lamp nad wejściem. Gar wziął głęboki oddech, a potem odwrócił się twarzą do ojca. Roscoe wciąż ubrany w białą koszulę i czarne spodnie od garnituru wskazał głową nikiące w mroku czerwone światła lexusa.

– Cholernie jej spieszo z odjazdem, co? – Odchrząknął i splunął w pobliskie krzewy. – A można by pomyśleć, że matka dobrze ją wychowała. Powinna wstąpić na chwilę i spytać, jak się miewam.

Gar już dawno nauczył się nie reagować na podobne komentarze ojca. Wspiął się po schodach na zwieńczony portykiem ganek i położył mu dłoń na ramieniu.

– Zażyłeś lekarstwo? – spytał.

– Tak, połknąłem wszystkie cholerne pigułki, które przygotowała mi Mattie. Ta baba jest po prostu nie do wytrzymania. Wywaliłbym ją znowu, ale wiem, że to na nic. Znowu byś ją zatrudnił, jak pięć razy wcześniej.

Gar lekko pchnął ojca w stronę drzwi.

– Mattie jest uczciwą kobietą, która sumiennie wykonuje swoją pracę. Trudno by ją było zastąpić. Dobre gospodynie nie rosną na drzewach.

– Kiedy byłem młody, rodziny takie jak nasza mogły przebierać w czar... – Roscoe parsknął śmiechem. – Od lat staram się wyrzucić to słowo ze swojego słownika i nie używać go nawet w domu. Nie chcę, żeby mi się wymknęło w nieodpowiednim momencie. Mógłbym stracić czarny elektorat. – Weszli do domu. – Chciałem powiedzieć, że kiedy byłem dzieckiem, można było przebierać w

czarnych kobietach do prac domowych. Ludzie z takimi pieniędzmi jak my mieli po cztery, pięć służących. A w czasach mojego ojca mężczyźni z jego pozycją mogli sobie poużywać z tymi dziewczuchami, ile wlezie.

Gar zamknął frontowe drzwi.

– Te czasy dawno minęły, tato.

– Jakbym nie wiedział. – Roscoe westchnął głośno.

– Idziesz spać? – Gar ruszył w stronę schodów. Nie ma sensu wychowywać ojca.

Nie ma sensu wymagać niemożliwego.

– Poczekaj.

Gar obejrzał się przez ramię.

– Potrzebujesz czegoś?

– Tak. Muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło dzisiaj w Belle Rose – odparł Roscoe. – Jak Louis podzielił majątek? I jak długo panną Jolie Royale zostanie w naszych stronach?

Gar westchnął z rezygnacją. Mógł się powołać na tajemnicę adwokacką, ale Roscoe wiedział równie dobrze jak on, że jutro wieczorem testament Louisa będzie już powszechnie znany.

– Louis podzielił wszystko między Maksa, Mallory i Jolie. Ustanowił fundusze powiernicze dla Georgette i Clarice. A Yvonne zapisał sto tysięcy dolarów.

– No, no, teraz zaczniesz jeszcze bardziej zadzierać nosa – skomentował Roscoe. – Ta kobieta zawsze miała się za lepszą, niż jest.

– O kim mówisz? – spytał Gar.

– O Yvonne Carter! – Roscoe wypowiedział nazwisko z wyraźną pogardą.

– Nie wiem, skąd coś podobnego przyszło ci do głowy, tato. Yvonne jest poczciwą, porządną kobietą i...

– Wiem o tej wiedźmie więcej niż inni. – Roscoe skwitował temat machnięciem ręki. – Ale nieważne. Powiedz lepiej, co Louis zrobił z Belle Rose.

– Całą posiadłość zapisał Jolie.

Roscoe wydał z siebie niski, przeciągły gwizd.

– No, no, szykuje się niezły burdel. Dziewczyna wykopie wszystkich na zbity pysk. Oprócz Clarice.

– Nie może. Testament zawiera warunek, że Georgette, Max i Mallory mają prawo mieszkać w Belle Rose, jak długo chcą. Jolie nie może ich wyrzucić.

Roscoe parsknął śmiechem.

– A niech mnie. Ale może to i dobrze. Jolie nie zamieszka z Georgette pod jednym dachem, więc pewnie spakuje manatki i wróci do Atlanty, gdzie jej miejsce.

– Co cię to obchodzi?

Roscoe poskrobał się w brodę.

– Osobiście nie robi mi to żadnej różnicy. Ale Max jest moim zięciem i nie

chciałbym, żeby miał kłopoty.

– Tak, jasne. – Gar ruszył po schodach na górę. Zachodził w głowę, dlaczego ojciec pragnie się pozbyć Jolie z Sumarville. Jaki był prawdziwy powód? Ani przez chwilę nie uwierzył, że ojcu chodzi o Maksa. Czyżby stary drań już zapomniał, że kiedy zginęła Felicia, pierwszy oskarżył Maksa, że ją zamordował?

*

R.J. zjechał żółtą corvetta z autostrady i skręcił na szosę biegnącą wzdłuż rzeki. Kilka tygodni temu, kiedy zwiedzał hrabstwo, znalazł idealne miejsce do zaparkowania. Wypróbował je już parę razy i odkrył, że kobiety, które tam przywiózł, uważały starą polanę piknikową za bardzo romantyczną. Co jest z dziewczynami, że muszą udawać, że seks to to samo co miłość i romans? Oczywiście, już dawno nauczył się, jak wykorzystywać wiedzę o kobiecych słabościach do własnych celów. Księżycowa poświata, romantyczna muzyka i kilka umiejętnie dobranych słów zwykle załatwiały sprawę. Niesamowite, ale wystarczy powiedzieć kobiecie, że jest piękna i do żadnej innej nie czuło się tego co do niej, a już rozkłada nogi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Mallory.

– Nigdy tu nie byłeś? Żaden z twoich chłopaków nie zabrał cię do parku nad rzeką?

– Nie przesiaduję na parkingach. Chłopcy zabierają mnie do kina albo do restauracji, albo przychodzą do domu na kolację. A jeśli chcemy być sami, w Belle Rose jest mnóstwo miejsc, w których można się schować.

R.J. zatrzymał corvette między dwoma rozpadającymi się betonowymi stolikami przy piaszczystej drodze.

– Wątpię, żebym był w Belle Rose mile widziany.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem typem faceta, z którym twoja rodzina pozwoliłaby ci się umawiać.

Mallory odwróciła się do niego. Jej twarz oświetlił księżyc i R. J. poczuł wzrastające podniecenie. Kurczę, ale była śliczna. Z tymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami wyglądała trochę egzotycznie. Odpiął pas, pochylił się i odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. Powolnym ruchem zsunął palce na szyję, pieszcząc ją łagodnie, i wiedział, że trafił w dziesiątkę, gdy westchnęła cicho.

– Założę się, że wszyscy faceci mówią ci, jaka jesteś ładna, co?

Pokiwała głową.

– Tatuś mówi, że jestem jego śliczną lalczką. – Nagle ścisnęło ją w gardle, a łzy napłynęły do oczu.

Kurde! Nie przywiózł jej tu, żeby wysłuchiwać historyjek o jej ojcu. Chodziło mu o pocieszenie, które i jego by uszczęśliwiło. Dobry seks pomaga w każdej sytuacji, prawda? A on nie był samolubny. Postarałby się, żeby jej też było dobrze.

Wysiadł z corvetty, okrzyknął maskę i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Twój stary miał rację. Jesteś zupełnie jak lalczka. Tylko lepsza, bo żywa.

Uśmiechnęła się. Aż zaszumiało mu w głowie. Odpiął jej pas, chwycił za rękę i pociągnął.

– Chodź. Pospacerujemy nad rzeką. Jeśli chcesz porozmawiać, to w porządku, nie ma sprawy – zapewnił, choć jego myśli krążyły wokół znalezienia miękkiej trawy, na której można by położyć tę ślicznotkę i dobrać się jej do majtek. – A jeśli potrzebujesz ramienia, na którym można się wypłakać – poklepał się po lewym barku – to mam jedno wolne.

Podeszła do niego, prosto w czekające na nią rozchylone ramiona. Jedną ręką zatrzasnęła drzwiczki samochodu, a drugą objął jej talię. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy spojrzała mu w oczy. Tak, była jego. Musiał ją tylko poprowadzić we właściwym kierunku. Powoli. Ostrożnie. Żeby się nie spłoszyła. Pocałował ją czule w czoło – gest obliczony na to, żeby poczuła się bezpiecznie, ale zarazem pierwszy fizyczny kontakt, żeby później, kiedy posmakuje jej warg, nie była zaskoczona.

Odchyliwszy głowę, spojrzał w nocne niebo.

– Zobacz, jaki księżyc. Za parę dni będzie pełnia.

Mallory uniosła wzrok.

– Kiedy byłam mała, siadywaliśmy z tatą na werandzie i patrzyliśmy w gwiazdy. Znał ich nazwy i lokalizacje. – Chwyciła się kurczowo jego ramienia. – Nikt tego nie rozumie. Kocham matkę, ale... nie tak, jak kochałam tatę. On zawsze się mną opiekował, a mama sama wymaga opieki.

Pchnął ją łagodnie w stronę rzeki. Gdy przechadzali się po brzegu, Mallory wciąż gadała, wylewając swoje żale, a R.J. starał się sprawiać wrażenie uważnego i współczującego słuchacza. Uznał, że dziewczyna doceni, że okazał się taki troskliwy i przejęty.

– Max po prostu nie rozumie, że nie mogę być taka silna jak on – powiedziała. – Wciąż mi powtarza, że matka mnie potrzebuje, że powinnam się nią zająć. Ale niby jak? Samo siedzenie w jej towarzystwie, słuchanie płaczu i skarg doprowadza mnie do szaleństwa. Kurczę, przecież to ja jestem dzieckiem, a ona matką. Czy to nie ona powinna się mną zajmować, a nie na odwrót?

– Tak, zwykle tak bywa – przyznał R.J. – Ale czasami nasze matki nie dorastają do takich wymagań.

Mallory przystanęła, a jej wzrok powędrował w stronę ciemnej, wielkiej Missisipi, która nigdy nie zasypia.

– Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jak przeżywam śmierć taty. Max nie jest tak naprawdę jego synem. Tylko ja jestem jego prawdziwą córką.

– Słyszałem, że masz starszą siostrę – powiedział R.J. – Nie uważasz, że ona

czuje to samo?

Mallory wyrwała mu się z objęć.

– Nie nazywaj jej moją siostrą. Jolie znienawidziła tatę za to, że ożenił się z moją mamą. A ja nienawidzę jej. Tak jak Max. Jolie pewnie się cieszy, że tata nie żyje – powiedziała i wybuchła płaczem.

W instynktownym odruchu, bez wyrachowania i chęci zdobycia kolejnych punktów, R.J. objął ją i pogładził łagodnie po plecach.

– Nie krępuj się, płacz. Wyrzuć to z siebie.

Nie pamiętał, kiedy zachował się tak opiekuńczo wobec drugiej osoby. Bóg mu świadkiem, naprawdę chciał ukoić jej ból. Po raz pierwszy w życiu R.J. Sutton postawił na pierwszym miejscu potrzeby innego człowieka.

Niech to diabli! Sprawy przybrały nie taki obrót, jaki sobie zaplanował, ale wieczór nie był całkiem zmarnowany. Położył fundamenty, które przydadzą się w przyszłości, może w przyszłym tygodniu, kiedy Mallory będzie mniej rozmowna i bardziej skora do miłości. Gdy R.J. czegoś pragnął – a Mallory pragnął naprawdę mocno – potrafił być cierpliwy.

*

Zegar na kominku wybił dziesiątą, dźwięki kolejnych uderzeń rozbrzmiewały w całym domu. Jolie położyła walizki na fotelu w kącie sypialni, niedużego pokoiku wypełnionego antykami, z których kilka należało w przeszłości do Desmondów. Subtelny motyw splecionych winorośli ozdabiał wezłowie metalowego łóżka, niegdyś własności prababki Jolie. Wysoka komódka z lśniącego, gładko wypolerowanego mahoni. Lustro w połączanej ramie, w którym mignęło Jolie jej własne odbicie.

Zrzuciwszy buty na obcasach, podwinęła spódnicę, ściągnęła rajstopy i zaczęła rozpinąć żakiet.

Yvonne zapukała do drzwi, a potem zawołała:

– Jolie?

– Tak?

– Zrobiłam herbatę. Przynieść ci ją tutaj czy wypijesz ze mną na ganku?

Jolie wolałaby się położyć do łóżka, ale wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała pogadać z Yvonne. Lepiej mieć to już za sobą.

– Już idę.

Wyszła z pokoju. Yvonne stała przy frontowych drzwiach, trzymając w dłoniach dwie szklanki mrożonej herbaty.

– Ochłodziło się i powiał wietrzyk – rzekła z uśmiechem. – Wyjdźmy na zewnątrz i posiedzmy trochę.

– Jasne. – Jolie wzięła podaną przez Yvonne szklanekę, a potem boso ruszyła na ganek.

– Może siądziesz na huśtawce – zaproponowała Yvonne, sadowiąc się na

jednym z bujanych foteli. – Uwielbiałaś ją, kiedy byłaś małą dziewczynką.

Jolie podeszła do huśtawki i usiadła. Kiedy podniosła do ust szklanę, zauważyła światła samochodu, który z rykiem silnika zjechał z drogi na długi podjazd. Gdy ferrari zatrzymało się przed domem, Yvonne uśmiechnęła się, wstając z fotela.

– To Theron. – Podbiegła do schodków przywitać się z synem. – Nie spodziewałam się ciebie.

– Pomyślałem, że powinienem wpaść i spytać, czy nie jesteś na mnie zła, że nie przyszedłem po południu do Belle Rose.

– Nie jestem zła – odparła – tylko zawiedziona. Clarice cały czas dopytywała się, gdzie jesteś.

Wzrok Theron powędrował w stronę Jolie. Gdy tylko ją rozpoznał, uśmiechnął się szeroko.

– Widzę, że nie tylko ja czuję awersję do Belle Rose.

Jolie odstawiła szklanę na parapet i ruszyła powitać Theron. Był jej przyjacielem z dzieciństwa, bardziej kimś w rodzaju starszego brata czy ulubionego kuzyna niż synem gospodyni. Ale kiedy Gar Wells go ostrzegł, żeby trzymał się z daleka od niej, Sandy i Felicii, oboje zaczęli sobie uświadamiać ogrom dzielących ich różnic nie tylko w kolorze skóry, ale i w zajmowanej pozycji społecznej. Potem Theron wyjechał do college'u, a ją wysłano do szkoły w Wirginii i ich kontakty zupełnie się urwały.

Gdy Theron wyciągnął ku niej dłoń, rozłożyła ramiona i objęła go, ośmielając do równie czulej reakcji.

– Nigdy bym nie pomyślał, że wrócisz do Belle Rose – powiedział, trzymając ją za ręce i przyglądając się jej od stóp do głów. – Mała Jolie zupełnie dorosła. Prawdziwa Desmondówna.

– Jestem Desmondówna – odparła.

– W połowie Desmondówna i w połowie Royale'ówna. – Przypatrywał się jej jeszcze przez chwilę. – Wyglądasz jak Lisette.

– Dziękuję. Była piękną kobietą.

– Bez dwóch zdań.

Yvonne podała Theronowi swoją szklanę.

– Za chwilę wracam. Należę sobie herbaty i przyniosę ciasteczka.

Theron zwrócił jej szklanę.

– Nie, dziękuję.

– Ale ciasteczka przyniosę. Jolie na pewno chętnie je zje do herbaty.

Gdy matka weszła do domu, Theron parsknął śmiechem.

– Myśli, że ciągle jesteśmy dziećmi. Wydaje nam polecenia i karmi słodyczami.

– Cieszę się, że przyjechałeś – wyznała Jolie. – Jestem pewna, że musiałabym wysłuchać jednej z jej słynnych mów.

Theron ruszył za Jolie w stronę huśtawki i usiadł obok niej.

– W takim razie uratowałem cię od losu gorszego od śmierci. Nikt, ale to nikt nie dorównuje mamie w mowach umoralniających. Czasami czuję się przy niej, jakbym ledwo odrósł od ziemi.

– Yvonne zamierza mnie przekonać, żebym pogodziła się z hołotą, którą mój ojciec sprowadził do Belle Rose. Ona i ciocia Clarice chcą, żebym grała fair i zachowywała się jak dama.

Theron zachichotał.

– Tylko mi nie mów, że Jolie Desmond mogła nie wyrosnąć na damę.

– Jestem damą, ale na swój sposób – odparła. – Nie przestrzegam wszystkich konwenansów, jak robiły to siostry Desmond... ciocia Clarice wciąż ich przestrzega. Żyję tak, jak chcę, i nie spowiadam się przed nikim. I obawiam się, że narobię zamieszania, które może się wielu ludziom nie spodobać.

– Mówisz zupełnie jak Theron. – Yvonne otworzyła drzwi i wyszła na ganek. – Mój syn ma podobne plany.

– Och, mamó, nie zaczynaj znowu.

Jolie spojrzała mu w oczy.

– Co dokładnie chodzi ci po głowie?

– Ty pierwsza – odparł Theron. – Co zamierzasz zrobić? Podważyć testament Louisa?

– Na początek.

– Litości, dziewczyno, po co ci to? – zapytała Yvonne. – Dostałaś jedną trzecią majątku i całe Belle Rose. Czego jeszcze pragniesz?

Theron gwizdnął i klepnął się w kolano.

– Odziedziczyłaś Belle Rose? Niech Bóg ma w opiece Georgette Devereaux!

– Chciałabym, żeby tak było – odparła Jolie. – Niestety, nie mogę zmusić ani jej, ani jej dzieci, żeby opuścili rezydencję. Ojciec zawarł w testamencie klauzulę, że mają prawo zostać w Belle Rose tak długo, jak będą chcieli.

– W takim razie potrzebujesz adwokata, który sprawi, że klauzula zniknie.

Jolie uśmiechnęła się szeroko.

– Nie znasz przypadkiem bystrego prawnika, który zgodziłby się mnie reprezentować?

– Natychmiast dajcie spokój z tymi niedorzecznościami. – Yvonne postawiła szklankę i talerzyk słodowych ciasteczek na wiklinowym stoliku, po czym odwróciła się i zgromiła ich wzrokiem. – Z waszych konszachtów nie może wynikać nic dobrego. – Wbiła wzrok w Jolie. – Powinnaś uszanować wolę ojca w tej sprawie.

– On nie szanował mojej woli, a już na pewno nie uszanował pamięci mojej matki, kiedy ożenił się z Georgette.

– Zapamiętajcie moje słowa: jeśli postanowicie wcielić swoje plany w życie,

czekają was same kłopoty. – Yvonne pokręciła smutno głową.

– Coś mi się zdaje, że twoja mama nie mówi tylko o podważeniu testamentu – powiedziała Jolie. – Jaki łajdacki pomysł chodzi ci po głowie?

– Coś, co może cię wzburzyć – odparł Theron. – Nie chcę skrzywdzić mamy ani ciebie czy cioci Clarice, ale najwyższy czas, żebyśmy poznali prawdę.

– Prawdę o czym? – spytała, mimo że знаła odpowiedź. Chodziło o prawdę o dniu, w którym zamordowano jej matkę i ciotkę. Dniu, w którym Lemar Fuqua stracił życie, a ją ktoś postrzelił i potem zostawił, żeby się wykrwawiła na śmierć.

– Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby doprowadzić do ponownego otwarcia śledztwa w sprawie masakry w Belle Rose. Zamierzam udowodnić, że to nie Lemar był zabójcą, że wujek też był ofiarą.

Nagle Jolie zdała sobie sprawę, że jej powrót do Sumarville był wyrokiem losu. Wahala się, czy przyjechać na pogrzeb ojca, czy po prostu wysłać z Atlanty prawnika, który zająłby się jej sprawami. W ostatniej chwili coś kazało jej ruszyć w podróż. Przez dwadzieścia lat starała się zostawić przeszłość za sobą, wymazać z pamięci wspomnienie tamtego strasznego dnia, pogodzić się z faktem, że nigdy nie zdoła sobie przypomnieć niczego więcej na temat tamtych potwornych wydarzeń. Ale po tych wszystkich latach najbardziej cierpiała z powodu tego, czego nie wiedziała.

– Zawrzyjmy umowę – zaproponowała. – Jeżeli pomożesz mi zdobyć pełną kontrolę nad Belle Rose, zostanę w Sumarville i zrobię wszystko, żeby ci ułatwić udowodnienie, że Lemar nie zabił mojej matki i cioci Lisette. Przecież wiesz, że zawsze wierzyłam w jego niewinność.

Theron wziął głęboki wdech.

– Zdajesz sobie sprawę, że prawdziwy zabójca może wciąż żyć i mieszkać w Sumarville? Jeżeli tak jest, to nie spodoba mu się, że wznawiamy śledztwo.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Ostrzegasz mnie, że morderca może się okazać niebezpieczny, zwłaszcza dla mnie.

– To, o czym mówicie, to nie przelewki – upomniała ich ponownie Yvonne.

– Mama ma rację – przyznał Theron. – Nie dość, że będziemy mieli przeciwko sobie całe miasto i ludzi, którzy woleliby o wszystkim zapomnieć, to jeszcze możliwe, że narazimy własne życie.

Czy miała odwagę zostać w Sumarville i zmierzyć się z demonami przeszłości przy tak wysokiej stawce?

– Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa – odparła.

– To jak? Umowa stoi? – Theron wpatrywał się w nią w napięciu. Spojrzała mu w oczy.

– Jasne, że tak, przyjacielu. Od czego zaczynamy?

– Po pierwsze, jutro z samego rana przeniesiesz się do Belle Rose – poradził. – Wprowadź się, przejmij władzę i potrzyśnij nimi trochę. Ja porozmawiam z Garem

Wellsem i wezmę kopię testamentu, żeby upewnić się, czy rzeczywiście masz prawo robić wszystko z ziemią, domem... i mieszkańcami. Oprócz wywalenia ich na bruk.

Sadystyczna rozkosz ogarnęła Jolie na myśl o zamienieniu życia Georgette w piekło. Jej przeprowadzka do Belle Rose i przyjęcie roli pani na włościach na pewno wyprowadzi Devereaux z równowagi.

– To pierwszy krok ku odzyskaniu pełnej kontroli nad posiadłością. A co ze śledztwem?

– Już się do tego zabrałem. Umówiłem się na rozmowę z prokuratorem okręgowym i szeryfem. Mamy się spotkać jutro po południu – odparł Theron. – Jeżeli mogłabyś ze mną pójść, sama twoja obecność powinna wyrzeć na nich spore wrażenie.

– Podaj mi tylko godzinę i miejsce, a na pewno się zjawię.

– Panno Royale, myślę, że stworzymy wspaniały zespół – uśmiechnął się Theron.

– Jestem tego samego zdania, panie Carter.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Jolie kątem oka zauważyła przerażenie na twarzy Yvonne.

Rozdział 9

Jolie, pochłonięta myślami o zemście, zasnęła dopiero po północy. Perspektywa przeprowadzki do Belle Rose choćby na parę tygodni nie budziła jej entuzjazmu. Pocieszała się nadzieją że jeśli nawet Theron nie znajdzie sposobu, by na mocy prawa usunąć te przybłędy z domu jej przodków, i tak dopnie swego perfidnym zachowaniem. Wcześniej czy później Georgette sama się wyniesie z Belle Rose. Musi tylko uzbroić się w cierpliwość, bo pozbycie się natrętów będzie wymagało czasu i wysiłku.

Przełknęła ostatni kawałek jabłkowo-rodzynkowego placka i popiła go łykiem kawy. Spała dłużej, niż planowała, ale przynajmniej uniknęła kolejnego kazania Yvonne, która bez wątpienia, jak przed laty, codziennie o szóstej trzydzieści wychodziła do Belle Rose. Zostawiła Jolie śniadanie i krótki list.

Dobrze się zastanów, zanim zdecydujesz się wyrzucić rodzinę Twojego ojca z Belle Rose. Obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku to Ty najbardziej na tym ucierpisz, a nie mogę znieść myśli, że odkryjesz swój błąd, kiedy już będzie za późno.

Pocziwa wielkoduszna Yvonne zrobiłaby niemal wszystko, by uniknąć konfliktów. Ale dla Jolie – tak jak dla Theron – cena zachowania pokoju była zbyt wysoka. Miała nadzieję, że wspólnymi siłami uda im się osiągnąć oba cele: ona odzyska pełną kontrolę nad Belle Rose, a on oczyści Lemara z zarzutu popełnienia podwójnego morderstwa.

Rzuciła walizkę na tylne siedzenie samochodu, a potem usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Sięgnęła do torebki po komórkę, wybrała numer domowy Cheryl i przyłożywszy telefon do ucha, wrzuciła wsteczny bieg. Cheryl odebrała po piątym sygnale.

– Halo?

– Cieszę się, że cię złapałam, zanim wyszłaś do pracy.

– Jolie?

– Tak. Słuchaj, nie wracam dzisiaj do Atlanty. Zostaję tu na parę tygodni, więc musisz mnie zastąpić w robocie.

– Stało się coś złego?

– Właściwie nie. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby rozwiązać pewien drobny problem.

Minęła zakręt na brukowanej drodze i jej oczom ukazały się tyły rezydencji. Gdy przyjechała wczoraj do Sumarville, czuła się trochę dziwnie i nie na miejscu. Teraz ogarnęło ją nagłe poczucie swojskości.

Wracała do domu. Przeprowadzała się. Przejmowała rządy!

Czy rzeczywiście jest gotowa porzucić życie w Atlancie i zrezygnować z codziennych kontaktów w biurze i bezpośredniego doglądania interesów, żeby

naprawić niesprawiedliwości sprzed dwudziestu lat? Dlaczego po prostu nie pozwolić Georgette zostać w Belle Rose? I jakie miało teraz znaczenie, czy Lemar został wrobiony w morderstwo? Czy dobrze robi, odsuwając na bok własne sprawy tylko po to, żeby dokuczyć macosze?

I czy rzeczywiście ma w sobie dość odwagi, by zmierzyć się z myślą, że skoro Lemar był niewinny, gdzieś w pobliżu może się czaić prawdziwy morderca, który nie zawaha się przed niczym, żeby powstrzymać ją i Theroną przed wznowieniem śledztwa?

– Urządę domowe biuro tak szybko, jak się da – powiedziała do Cheryl. – Będę zarządzać firmą z Belle Rose, dopóki... – Dopóki nie przepędzę Georgette z posiadłości mojej matki. Dopóki Theron nie przekona prokuratora okręgowego, żeby wznowił dochodzenie. – Mam nadzieję, że zabawię tu nie dłużej niż kilka tygodni, ale liczę się z koniecznością zostania na miesiąc... albo dwa. – Boże, proszę, tylko nie tak długo!

– Miesiąc albo dwa?! – wykrzyknęła Cheryl. – Co się, do cholery, dzieje? Nie chciałaś nawet pojechać na pogrzeb, a teraz mówisz, że zamieszkas z macochą. Co jest grane?

– Muszę kończyć – oznajmiła Jolie, parkując samochód na tyłach domu. – Jutro zadzwonię i wprowadzę cię we wszystkie szczegóły. W tej chwili przygotowuję się do objęcia swojej własności.

*

Cała rodzina, nawet wujek Parry, siedziała już przy stole, gdy Mallory zeszła do jadalni. Jej matka obstawała przy tym, by wszystkie posiłki podawano w jadalni – Clarice przekonała ją, że wymagają tego zasady etykiety. Chociaż Mallory bardzo kochała starą zbzikowaną ptaszynę, jak nazywał ją wujek Parry, wolałaby, żeby matka nie przywiązywała tak wielkiej wagi do opinii Clarice Desmond. Raz nawet poskarżyła się ojcu, że ciotka Clarice, która tak naprawdę nie była jej ciotką ani żadną krewną, ustala wszystkie reguły. Tata przytulił ją wtedy i przypomniał, że mama czuje się niepewnie, bo urodziła się w biedzie, a najbardziej na świecie pragnie stać się wytworną damą z Południa.

Co za idiotyzm! Myślała tak wtedy i nie zmieniła zdania do dziś. Czy to ważne, co sądzą inni? Royale'owie są przecież bogaci, a jej ojciec należy do najbardziej wpływowych ludzi w Missisipi. Poza tym to wiek XXI, a nie XIX. Drzewa genealogiczne, przodkowie walczący w wojnie secesyjnej, tradycje z czasów, o których wszyscy dawno zapomnieli, nie mają już znaczenia. Liczą się pieniądze i władza. Dlaczego matka nie potrafiła tego pojąć? Max to rozumie. Tata nauczył go, że gdy chodzi o kogoś z dostatecznie rozległą władzą, ludzie są w stanie przymknąć oko na pochodzenie i wady charakteru. Teraz, kiedy taty zabrakło, Max zajmie jego pozycję.

– Nie powinnaś schodzić na śniadanie w pidżamie, zwłaszcza tak nieskromnej –

skarciła ją Georgette.

Nieskromnej? Prześwitująca bluzka byłaby nieskromna. Albo stringi. Albo bikini z małymi trójkącikami ledwo zasłaniającymi sutki. Mallory ziewnęła, przeciągnęła się i spojrzała na swoje satynowe bokserki i podkoszulek. Już chciała odpowiedzieć matce, ale poczuła na sobie wzrok Maksa. Spojrzała na brata i widząc jego surową minę, ugryzła się w język. Max miał rację – matka zasługiwała na szacunek. A teraz, po śmierci taty, była jeszcze bardziej krucha niż zwykle.

– Pójdę na górę i włożę coś innego – zaproponowała Mallory.

– Nie trzeba, kochanie – odparła Georgette. – Dzisiaj przymkniemy na to oko.

– Dziękuję, mamo.

Mallory znów spojrzała na Maksa. Jego wargi zadrgały, a kąciki ust uniosły się lekko. Prawie się do niej uśmiechnął. Biedny Max. Rzadko się uśmiechał, zwłaszcza ostatnio.

– To kiedy spotykasz się z Garem, żeby zrobić coś z testamentem? – zapytał Parry siostrzeńca, po czym wpakował do ust łyżkę mamałygi.

Mallory wyczuwała napięcie przy stole. Emanował nim Max. Matka. I ciocia Clarice. Pomyślała, że najlepiej by było, gdyby Jolie Royale znikła z powierzchni ziemi. Dlaczego tata zapisał jej jedną trzecią majątku? Dlaczego zostawił jej Belle Rose? Jolie była dla niego okrutna, traktowała go jak trędowatego, ani razu nie przyjechała z wizytą.

– Myślę, że Gar powinien powiedzieć sędziemu, z jaką pogardą i nienawiścią Jolie odnosiła się do taty, odkąd ożenił się z mamą. – Mallory podeszła do bufeciku, gdzie na srebrnych platerach czekało jej śniadanie. – Ona nie ma prawa do niczego, a już najmniej do Belle Rose. To nasz dom, nie jej.

– Według prawa dom należy do niej – zauważył Max. – Louis go jej zapisał, a plantacja była własnością rodziny jej matki.

– I co z tego? – Parry przełamał biszkopt i polał obie połówki miodem. – Ten dom zawaliłby się dawno temu, gdyby Louis nie wpompował mnóstwa pieniędzy w renowację. Powinien był zapisać go Georgette.

– Nie, nie powinien – zaprotestowała Georgette. – Nie czułabym się dobrze ze świadomością, że Belle Rose jest moje. Ale cóż, miałam nadzieję, że zapisze rezydencję Mallory.

Mallory nałożyła na talerzyk dwa plasterki bekonu, nałala sobie szklanekę soku pomarańczowego i wróciła do stołu.

– Zgadzam się z wujkiem Parrym. Tata powinien był zapisać dom tobie, mamo. W końcu byłaś jego żoną. – Usiadła na krześle obok brata. – Postaracie się odebrać Jolie Belle Rose, prawda?

Clarice chrząknęła. Wszystkie oczy powędrowały w jej stronę. O, cholera! Mallory na śmierć zapomniała, że Jolie jest siostrzenicą Clarice, prawdziwą siostrzenicą, i że to do jej rodziny należała kiedyś rezydencja.

– Przepraszam, ciociu – powiedziała. – Ale tak to odczuwam.

– Oczywiście masz prawo do swojej opinii. – Clarice złożyła lnianą serwetkę i położyła ją obok talerza. – Ale zanim powźmiecie jakiegokolwiek kroki, żeby podważyć testament Louisa, zastanówcie się nad tym, że Jolie może rozważać dokładnie to samo.

– Co? – pisnęła Georgette.

– Nie śmiałyby – oburzył się Parry.

– Po co miałyby to robić? – zapytała Mallory.

– Nasza rodzina ma prawo mieszkać w Belle Rose. – Max podniósł filiżankę i napił się kawy. Mówił spokojnie, nie zdradzał żadnych emocji. Taki właśnie był jej brat. Nigdy nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Czasami zastanawiała się, czy w ogóle jest podatny na ludzkie uczucia jak wszyscy pozostali.

– Kurwa mać! Z tą mściwą suką wszystko jest możliwe. – Parry zaczął rozdrabniać widelcem jajecznicę. – Ale grubo się myli, jeśli sądzi, że uda się jej nas przepędzić.

– Parry, hamuj się. Taki język! – zgromiła brata Georgette. – I to przy Mallory.

– Nie przejmujcie się mną. – Mallory uśmiechnęła się szeroko. Matka często traktowała ją, jakby wciąż miała dziesięć lat.

– Nie podoba mi się, że mówisz o Jolie w taki sposób. – Clarice zgromiła Parry'ego wzrokiem. – Nie podzielam opinii mojej siostrzenicy na temat Georgette, ale rozumiem, dlaczego czuje to, co czuje. Jestem przekonana, że gdybyście dali jej szansę poznać was bliżej, zdałaby sobie sprawę, jak bardzo się myliła przez te wszystkie lata. A wtedy nie byłoby potrzeby podważania testamentu Louisa.

Biedna ciocia Clarice. Zawsze wszystkim życzliwa. Chyba nie było osoby, której by nie lubiła. Ale czy nie zdawała sobie sprawy, że już za późno na bratanie się z Jolie? Kiedyś Mallory gorąco pragnęła poznać starszą siostrę, marzyła nawet, że zostaną przyjaciółkami. Ale to było, zanim się dowiedziała, co Jolie myśli o drugiej rodzinie ojca.

*

Jolie weszła do domu tylnymi drzwiami. Przystanąła w sieni i zajrzała do kuchni. Yvonne zajęta zmywaniem nie zauważyła jej, więc Jolie odkaszlnęła, by zwrócić na siebie uwagę.

– Jolie! – Yvonne wytarła dłonie w fartuch i pośpieszyła w stronę otwartych drzwi. – Dlaczego zakradasz się tylnym wejściem?

– Chcę zrobić rodzinie niespodziankę. Jedzą śniadanie?

– Tak, wszyscy są w jadalni.

– Najlepsza pora, żeby się przywitała i poinformowała ich, że się wprowadzam.

– Theron nie powinien ci tego doradzać. Uważam, że popełniasz ogromny błąd.

Jolie wzruszyła ramionami.

– Nie sędzę.

– Pozwól chociaż, żebym ich uprzedziła, że jesteś – poprosiła Yvonne.

– Nie ma potrzeby. Sama się zapowiem.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do jadalni. Dobiegły ją głosy. Nieznajome. Wtem usłyszała głęboki baryton, który doskonale znała.

– Louis postawił nas wszystkich w trudnej sytuacji. Ale jestem pewien, że uważał, że tak będzie najlepiej – mówił Max. – Wiecie, jaki był. Zawsze troszczył o wszystkich i starał się postępować sprawiedliwie.

– A czy to sprawiedliwe, że zostawił Belle Rose Jolie? – zapytała Mallory.

Jolie uznała, że to najlepszy moment, by ujawnić swoją obecność. Weszła do jadalni pewnym krokiem, jakby wszyscy oczekiwali, że zjawi się na śniadaniu.

– Tak, myślę, że to sprawiedliwe, że tata zostawił mi Belle Rose – oznajmiła z uśmiechem. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Wszyscy oprócz Maksa. Wspaniałe uczucie zobaczyć przerażenie na twarzy Georgette, wrogą minę Parry'ego, zaskoczenie Mallory i gniew w oczach Maksa, kiedy wreszcie zwrócił ku niej wzrok. – niesprawiedliwe wydaje mi się raczej to, że dał wam prawo mieszkania tutaj bez względu na to, jak mogłabym się na to zapatrywać.

– Jolie! – Clarice poderwała się z krzesła. – Nie mieliśmy pojęcia, że tu jesteś.

Ruszyła w jej stronę z otwartymi ramionami. Jolie uściśnęła ciotkę i podeszła do bufetu, a Clarice z radosnym uśmiechem na twarzy wróciła do stołu. Jolie sięgnęła po talerz. Napelniła go bekonem, jajecznicą i smażonymi kartoflami, a na koniec dołożyła dwa kawałki biszkoptu. Do porcelanowej filiżanki nalała kawy i dodała solidną porcję śmietanki. Poznawała porcelanę i srebra; należały do jej rodziny od ponad stu lat.

Jolie nie była głodna, ale jakie to miało znaczenie? Zamierzała rozpocząć przejście władzy w Belle Rose od przełamania się chlebem ze śmiertelnymi wrogami. Mierziła ją perspektywa stołowania się w towarzystwie tej bandy, ale postanowiła jadać z nimi każdy posiłek. To na pewno pozbawi wszystkich apetytu.

– Co za tupet – wycedził Parry z ledwie powstrzymaną wściekłością. – Nikt nie zapraszał cię na śniadanie.

Jolie postawiła talerz i filiżankę na stole.

– No, no, wujku Parry, mówisz takim tonem, że ktoś gotów pomyśleć, że mnie nie lubisz. – Usiadła koło Clarice. – Poza tym, trudno, nie potrzebuję zaproszenia, żeby zjeść śniadanie we własnym domu.

– Oczywiście. Jesteś tu mile widziana. – Georgette spojrzała na Jolie i uśmiechnęła się. – Bardzo nam miło, że zechciałaś zjeść z nami śniadanie.

– Na litość boską, mamó, daruj sobie południową etykietę – mruknęła Mallory, łypiąc na Jolie spođe łba. – Co tu robisz? O co ci chodzi?

W innych okolicznościach Jolie doceniłaby ikrę Mallory. Ale fakt, że były przyrodnymi siostrami, nie mógł przysłonić tego, co liczyło się naprawdę: Mallory

była jedną z nich – wrogiem.

– Gdzie twoje maniery, siostrzyczko?

– Odwal się – fuknęła Mallory i pokazała jej język. Dziecinny gest. Jolie parsknęła śmiechem.

– Zachowuj się – upomniał Max siostrę pozbawionym emocji tonem, po czym przeniósł wzrok na Jolie. – Czy zechcesz nam powiedzieć, co tu właściwie robisz?

Jolie sięgnęła po widelec i wzięła do ust kęs jedzenia. Przełknąwszy, posłała Maksowi drapieżny uśmiech.

– Jak to co? Jem śniadanie.

– Pomińmy to, co oczywiste. Co tu robisz? – powtórzył Max.

Wszystkie oczy skupiły się na niej. O tak, zaniepokoiła wszystkich. Nawet chłodnego i opanowanego Maximilliana. Nienawidził jej tak samo jak reszta jego rodziny, tylko lepiej maskował swoje uczucia.

Podniosła do ust filiżankę i napiła się wyśmienitej kawy Yvonne. Spoglądając na Maksa znad złoconego brzegu naczynia, odrzekła:

– Postanowiłam z wami zamieszkać.

– Nie możesz się tu wprowadzić! – zawołała Mallory.

– Natychmiast dzwońcie do Gara! – krzyknął Parry.

– Zamierzasz z nami zostać? – Policzki Georgette oblał rumieniec. – Witamy cię z otwartymi ramionami. Jesteś córką Louisa, a to zawsze był twój dom. – Zerknęła na syna. – Max, wnieś bagaże Jolie. – Znów zwróciła się do Jolie. – Pewnie zechcesz zająć swój stary pokój?

Mallory zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

– Do diabła, mamó, przestań w tej chwili! Dlaczego jesteś dla niej tak cholernie uprzejma? Ona nie ma prawa tu być. To nasz dom.

Gdy nikt nie zareagował, Mallory obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

– Max – syknął Parry – zrób coś, do cholery.

Max wstał, obszedł stół i chwyciwszy Jolie za ramię, poderwał ją z krzesła. Spiorunowała go wzrokiem, ale nie próbowała się wyrwać. Był wściekły, choć tylko lekko pulsująca żyła na szyi zdradzała kipiącą w nim złość. Prowokowanie Maksa w tym momencie byłoby jak drażnienie grzechotnika. Ale Bóg jej świadkiem, uwielbiała go drażnić.

– Musimy porozmawiać – oświadczył. – Na osobności. W gabinecie.

Jolie popatrzyła znacząco na swój nadgarstek.

– Chcesz mnie tam zawlec siłą?

– Jeśli to konieczne.

Sprawdziłaby go, gdyby uważała, że blefuje. Ale nie miała wątpliwości, że poderwałby ją z ziemi i wyniósł z jadalni, gdyby nie poszła z nim po dobroci.

– W takim razie zgadzam się. Porozmawiajmy na osobności. – Próbowała uwolnić rękę.

Nie puścił jej od razu, jakby rozważał wszystkie dostępne opcje, chcąc rozstrzygnąć, która jest najlepsza. W końcu rozluźnił uchwyt na tyle, by zdołała się wyrwać, i szerokim gestem wskazał jej drogę. Jolie ruszyła w stronę drzwi, a Max podążył za nią.

– Wykop ją stąd na zbity pysk – zawołał Parry.

– Parry, opanuj się – upomniała go Clarice. – Twoje uwagi są nie na miejscu.

Jolie, nie zatrzymując się, spojrzała na Maksa i spytała:

– Czy to właśnie zamierzasz zrobić – wykopać mnie stąd na zbity pysk?

– Chciałbym – odparł szczerze – ale masz prawo mieszkać w tym domu. Nie rozumiem tylko, dlaczego ci na tym zależy.

Jolie otworzyła drzwi i weszła do gabinetu ojca. Nawet teraz, po śmierci Louisa, w obitym boazerią pokoju unosił się jego duch. Wydawało się, że lada chwila ojciec wrócił i usiadł za masywnym biurkiem albo z fajką w dłoni zagłębił się w którymś z wielkich foteli. Przeniosła się w przeszłość do czasów, kiedy była ukochaną córeczką tatusia. Potrząsnęła głową, próbując się uwolnić od natrętnych obrazów z przeszłości. Ale wiedziała, że jeśli tu zostanie, będzie musiała zmierzyć się ze wspomnieniami.

– Siedzimy czy stoimy?

– Słucham? – zapytała roztargniona. Max wzruszył ramionami.

– Postoimy.

Skinęła głową. Max wyglądał, jakby czuł się w tym pokoju równie swojsko jak jej ojciec. Ciocia Clarice mówiła jej, że stał się dla Louisa prawdziwym synem. Jakże szczęśliwa musiała być z tego powodu Georgette.

– Dlaczego się wprowadzasz? – zapytał.

– Szczerze?

– Byłoby miło.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego wprowadzam się do Belle Rose? – Roześmiała się kpiąco. – Ponieważ mam prawo. I nikt nie może mi przeszkodzić.

Rozdział 10

Max miał ochotę złapać Jolie i potrząsnąć nią z całej siły. Pamiętał ją jako dziewczynkę biegającą bosą po Belle Rose, jeżdżącą na oklep na swojej klaczy, pływającą w stawie w gorące letnie dni. Była buntowniczą, niesforną nastolatką – bardzo podobną do Mallory. Obie zostały rozpieszczone przez ojca, który je uwielbiał. Wiele razy słuchał, jak Louis opowiada o Jolie, zawsze z mieszaniną radości i smutku. Złamała mu serce, zrywając z nim wszelkie kontakty. Max uważał ją za niewdzięczną córkę, która nie dorosła na tyle, by zrozumieć ludzką słabość i nauczyć się wybaczać. Im bardziej kochał Louisa, tym bardziej nienawidził Jolie.

Teraz wróciła do domu, ale nie po to, by uszczęśliwić starego ojca – było już za późno. Przyjechała, żeby się zemścić. I najwyraźniej wciąż nie zważała na uczucia innych.

– Zdajesz sobie sprawę, że psując wszystkim nastrój, sama narażasz się na ból?

Jolie wzruszyła ramionami.

– To cena, którą będę musiała zapłacić.

– Czy twoje życie w Atlancie jest aż tak bezbarwne i pozbawione sensu, że wolisz zostać w Belle Rose i niszczyć życie nam?

– Skąd pomysł, że moja przeprowadzka do Belle Rose ma cokolwiek wspólnego z tobą albo z kimkolwiek innym, kto tu mieszka? – Jolie usadowiła się w fotelu, zachowując się jak u siebie w domu.

– Podaj choć jeden powód oprócz tego, który właśnie wymieniłem. – Max oparł się o biurko i skrzyżował ręce na piersiach.

– Ojej. Taki duży, groźny mężczyzna. – Zakryła dłońmi policzki i otworzyła szeroko oczy, robiąc przerażoną minę. – Czy powinnam się trząść?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki potrafię być groźny.

– Próbujesz mnie zastraszyć? – Spojrzała mu w twarz, niezrażona jego złowrogim tonem.

Nie był przyzwyczajony do takiego oporu. Zwykle jego zabójczy wzrok wystarczał, żeby nawet najtwardszy sukinsyn się wycofał. Miał reputację człowieka, z którym lepiej nie zadzierać. Dlaczego ta wyszczekana baba się nie boi? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że mógł ją udusić gołymi rękami?

Max wyprostował się, podszedł do niej i chwycił poręczkę fotela, w którym siedziała.

– To ostrzeżenie – wycedził lodowatym głosem. – Nie pozwolę ci dręczyć mojej matki i siostry.

Popatrzył jej prosto w oczy i dostrzegł w nich determinację. Wojna była nieunikniona. Instynkt podpowiadał mu, że Jolie nie ustąpi ani o milimetr. Szykowała się walka do samego końca, na śmierć i życie.

Zadarła hardo głowę, tak że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie, a czubki nosów prawie się zetknęły.

– A jak zamierzasz mnie powstrzymać? Zabijając mnie? Słyszałam różne plotki, wiesz? Że zamordowałeś żonę. I że zabiłeś moją matkę, żeby twoja mogła wyjść za tatę i zamieszkać w Belle Rose. Powiedz, Max, próbowałeś mnie już zabić?

*

Zbyt późno uświadomiła sobie, że przesadziła. Szaroniebieskie oczy Maksa rozbłysły gniewem, twarz oblała się rumieńcem. Wydał nozdrza i zaczął sapać niczym rozjuszony byk. Chciała się odezwać, przyznać, że posunęła się za daleko, lecz zanim zdążyła wydusić z siebie słowo, złapał ją, uniósł z fotela i potrząsnął nią mocno kilka razy. Jęknęła z bólu, gdy jego potężne dłonie wpiły się w jej ramiona. Natychmiast rozluźnił uchwyt i potrząsnął nią jeszcze raz, ale z mniejszą siłą. Łzy stanęły jej w oczach, ale zmusiła się do zachowania spokoju, nie chcąc okazać lęku. Ich spojrzenia się spotkały, a to, co ujrzała w jego oczach, kompletnie ją zaskoczyło. Ból, ogromny.

Czyżby zraniła go bezmyślnymi oskarżeniami? Czy to możliwe, że Max Devereaux jest zdolny do zwykłych ludzkich uczuć?

– Niech cię diabli! – Jego pierś uniosła się i opadła ciężko.

– Max, ja...

Puścił ją tak nagle, że o mało nie straciła równowagi.

– Wprowadzasz się do Belle Rose na własne ryzyko.

– Kolejna groźba? – Dlaczego nie potrafi trzymać języka za zębami? Co jest w Maksie takiego, że chciała go drażnić? Czy to dlatego że chociaż go nienawidzi i gardzi jego matką i całą tą cholerną rodziną, nigdy nie otrząsnęła się z nastoletniego zauroczenia? Spójrz prawdzie w oczy, upomniała się w duchu. On jest cholernie atrakcyjny, ale to ostatni facet na świecie, który powinien cię pociągać.

– Postępuj tak dalej, *chere*, a wkrótce się przekonasz – odparł, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jolie wypuściła długo powstrzymywany oddech, czując, że ledwo uniknęła pełnej siły jego gniewu. Wcześniej czy później dojdzie między nimi do czołowego zderzenia. Miała nadzieję, że później. Potrzebowała czasu, żeby zebrać siły, przygotować się. Jako kobieta interesu stoczyła już wiele bitew. Pokonała gorszych sukinsynów niż Max, lecz jeszcze nigdy nie skrzyżowała miecza z przeciwnikiem zdolnym do morderstwa.

Ale czy Max rzeczywiście był mordercą? Czy naprawdę wierzyła, że to on ponosił winę za masakerę w Belle Rose? A co z nierozwiązaną sprawą śmierci Felicii? Dwadzieścia lat temu broniłaby Maksa z całych sił. Ale była wtedy młoda, naiwna i beznadziejnie zakochana w przystojnym milkliwym chłopaku. Teraz była starsza i mądrzejsza i nie ufała ludziom tak łatwo jak kiedyś. To, że Max nadal ją

pociąga, nie znaczyło jeszcze, że może opuścić gardę. Nie miała powodu, by wierzyć w jego niewinność, żadnej racjonalnej przesłanki, by nie traktować go jako głównego podejrzanego.

*

– No i co powiedział? – dopytywał się Parry, chodząc w tę i z powrotem po pokoju siostry. – Ma jakiś plan, żeby się jej pozbyć? Skontaktował się z Garem?

Georgette leżała na szezlongu w saloniku przylegającym do sypialni, którą dzieliła z mężem, i popijała leniwie mrożoną herbatę. Ignorując Parry'ego, rozejrzała się po bogato urządzonej wnętrze. Gdy tylko minie dość czasu, będzie musiała zmienić wystrój. Teraz każdy przedmiot w tym pokoju przypominał jej Louisa.

– Słuchasz mnie? – zapytał Parry.

Najchętniej powiedziałaaby, żeby zostawił ją w spokoju. Jeszcze nie doszła do siebie po porannych wydarzeniach. Ale wiedziała, że brat nie przestanie jej nagabywać, dopóki mu nie odpowie. Parry był czasem jak komar brzęczący koło ucha. Potrafił doprowadzić człowieka do szału. Oczywiście, kochała go. Dorastali razem w Nowym Orleanie bez matki, która umarła, kiedy byli mali, i z wiecznie pijanym ojcem, musieli więc sobie pomagać, żeby utrzymać się przy życiu. Georgette wstydziła się przeszłości i modliła się, by nikt nigdy się nie dowiedział, że była dziwką od trzynastego roku życia. Kiedy miała osiemnaście lat, jeden z klientów, Philip Devereaux, który odwiedzał Nowy Orlean kilka razy w roku, zakochał się w niej. Lubiła Philipa, ale nie była w stanie pokochać żadnego mężczyzny. Nie wtedy. Miłość poznała dopiero wiele lat później, kiedy spotkała Louisa.

– Odpowiedz, kobieto! – warknął Parry. – Jolie Royale nieźle nam nabruździ. Louis był hojny i bardzo cię kochał, ale ta dziewczyna oznacza kłopoty. Chce nas wykurzyć z Belle Rose i nie spocznie, dopóki nie odbierze nam wszystkiego, co mamy.

– Nie może... Louis mnie zabezpieczył... zadbał o nas wszystkich. Zapisał moim dzieciom dwie trzecie majątku.

– Max musi ją wykończyć – mruknął Parry, jakby nie usłyszał słów siostry. – Chętnie mu pomogę pozbyć się ciała. Może ją wrzucić do rzeki. Nadałaby się na pokarm dla rybek.

– Chyba oszalałeś! Natychmiast daj spokój tym nedorzecznosciom. Max nigdy by... Gdyby ktoś cię usłyszał, znów podniosłyby się te okropne plotki, które krążyły po śmierci Felicii.

– Myślisz, że twój syn zabił swoją niewierną małżonkę?

– Nie, na pewno nie. Max to dobry człowiek. Może ma gwałtowny temperament, ale potrafi nad nim zapanować.

– Rzeczywiście jest opanowany... na co dzień. Ale widziałem go już o krok od

utruty kontroli, ty zresztą też. Kiedy tak zamyka się w sobie i milknie, nie zastanawiasz się, czy przypadkiem nie odziedziczył po ojcu skłonności do zła?

– Philip Devereaux był ucieleśnieniem dobroci – odparła Georgette. – Nie miał żadnych skłonności do zła.

Parry zarechotał.

– Do diaska, Georgie, nie miałem na myśli Philipa. Mówiłem o biologicznym ojcu Maksa.

– Philip był...

– Philip był facetem, który się z tobą ożenił i zrobił z ciebie porządną kobietę, ale oboje wiemy, że nie spłodził twojego syna.

Georgette nie zamierzała dłużej tego słuchać. Jak Parry śmiał odgrzebywać tak zamierzchną przeszłość. I to teraz, gdy rodzina powinna trzymać się razem, żeby pokazać się w jak najlepszym świetle ludziom z okolicy. I Jolie.

– Przestań wreszcie – nakazała bratu. – Co by było, gdyby ktoś cię usłyszał? Zabroniłam ci wspominać o czymkolwiek, co ma związek z naszym życiem sprzed przyjazdu do Sumarville. Obiecałeś, że dochowasz tajemnicy.

– Nigdy nie pisałem o tym słowem. Nikomu. Nawet gdy... nawet gdy za dużo wypilem. W każdym razie, o ile pamiętam. – Znów zarechotał. – Kurczę, chyba nie myślisz, że chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, co wyrabiałem jako dzieciak.

Georgette wzięła brata za rękę. Jego dłoń była gładka, ze starannie wymanikiurowanymi paznokciami. Dłoń człowieka, który od lat nie pracował fizycznie. Ale ona знаła go lepiej. Pod wypolerowaną powłoką, jaką pokazywał światu, kryła się szumowina z rynsztoku.

– Max pojechał do biura – powiedziała. – W porze lunchu spotka się z Garem, żeby rozważyć dostępne opcje. Ale dopóki nie znajdziemy lepszego sposobu rozwiązania sprawy, postaramy się, żeby Jolie czuła się w Belle Rose mile widziana. Wyrażam się dostatecznie jasno? To córka Louisa i nie pozwolę, żeby ktokolwiek w tym domu źle ją traktował.

– Mówisz serio. – Parry przypatrywał się jej ze zdumieniem. – Wiesz co, Georgie? Przez te czterdzieści lat w którymś momencie zmieniłaś się w damę. Prawdziwą damę.

*

Jolie wróciła do Sumarville, ale to jeszcze nie powód do paniki. Nawet jeśli zostanie na dłużej, co za różnica? Nie pamięta, że mnie widziała tamtego dnia. Nie ma pojęcia, co zrobiłem. Gdyby było inaczej, wydałaby mnie wiele lat temu. Jeżeli istniały jakiegokolwiek dowody łączące mnie ze sprawą, na pewno już dawno ich nie ma. Na szczęście władze skwapliwie uwierzyły, że Lemar Fuqua zamordował siostry Desmond, a potem popełnił samobójstwo. Nie szukali dalej, nawet przez myśl im nie przeszło, by sprawdzić, kto jeszcze mógł mieć motyw i możliwość dokonania morderstwa. A Louis Royale, zaaferowany stanem zdrowia Jolie,

zupełnie się nie interesował, kto zabił jego żonę i szwagierkę. Może w głębi duszy cieszył się, że Audrey nie żyje, i dziękował Bogu, że ktoś usunął jedyną przeszkodę stojącą między nim a kobietą, którą kochał.

Szczyście nie opuszczało mnie przez dwadzieścia lat. Wystarczy, że będę postępował tak jak zawsze. Nie mam się czego bać. Niczego z wyjątkiem wspomnień z tamtego krwawego dnia. Wspomnień niedających spokoju. Wspomnień, które mnie prześladowają. Nie chciałem nikogo zabijać. Dlaczego podsłuchałem, jak o mnie rozmawiają? Dlaczego wcześniej nie zdałem sobie sprawy, jaka z niej wredna suka? To wszystko przez nią. Zmusiła mnie. To wszystko przez nią. Nie dała mi wyboru. Przeklęta kobieta. Miałem nadzieję, że jej dusza smaży się w piekle, ale odkąd zobaczyłem Jolie, wiem, że zły duch Lisette powrócił, by mnie dręczyć.

Patrz, do jakiego stanu się doprowadziłeś. Ręce ci drżą i kręci ci się w głowie. Dlaczego tak się denerwujesz? Bo Jolie wróciła, a to jedyna osoba, która była tam tego dnia.

Przysięga, że nie widziała, kto do niej strzelał. A co, jeśli sobie przypomni? Co, jeśli...

Spokojnie. Nie trać zimnej krwi. Po prostu czekaj. Wcześniej czy później Jolie wróci do Atlanty i na tym się skończy.

*

Clarice spotkała się z Nowellem w altanie. Jak zwykle miał na sobie dzinsy i bawełnianą koszulę. Sięgające do ramion włosy były spięte w kucyk, a czoło pokrywały kropelki potu. Ona też trochę się pocila, zwłaszcza pod piersiami.

Wiedziała, że ludzie opowiadają okropne rzeczy o niej i Nowellu. Nie była tak szalona, jak wszyscy sądzili. Zawsze miała słabe nerwy, a jej stan pogorszył się przed dwudziestu laty, ale valium przynosiło ukojenie. Gdy lekarze z Sumarville odmówili wypisywania recept, znalazła w Nowym Orleanie doktora, który zrozumiał jej problem. Lek utrzymywał duchy na dystans, tylko czasami w snach wspomnienia wracały. Odór śmierci. Wpatrujące się w nią niewidzące oczy. Słabnące tętno Jolie.

Nie myśl o tym! Nie wracaj do tego strasznego dnia. Jolie przeżyła, a teraz wróciła do domu; to wystarczający powód, żeby się cieszyć.

Nowell wziął ją w ramiona i przytulił. Uwielbiała jego łagodny dotyk, pomimo kontrowersyjnego wyglądu był dżentelmenem. I nigdy nie traktował jej jak wariatki, inaczej niż wielu innych. Ludzie uważali ją za nieszczęśliwą. Przeżyła tyle tragedii, mówili. W młodości straciła narzeczonego, a potem znalazła martwe ciała sióstr i czarnoskórego ogrodnika. Nic dziwnego, że jest niespełna rozumu.

Clarice przywarła do Nowella, chłonąc jego energię i witalność i wierząc w to, co niemożliwe – że ją kocha. Wszyscy ją przed nim ostrzegali. Czasami sama dziwiła się, dlaczego mężczyzna taki jak on mógłby się nią interesować.

– Jak długo możesz zostać?

– Długo – odparła. – Georgette myśli, że ucinam sobie popołudniową drzemkę.

– Mam coś dla ciebie.

Wciąż obejmując ją jednym ramieniem, drugą ręką sięgnął za siebie. Kiedy wręczył jej piękną żółtą różę, westchnęła rozmarzona.

– Czy wszystko w porządku? – spytał. – Kiedy zadzwoniłaś i poprosiłaś, żebyśmy się spotkali, wydawało mi się, że słyszę niepokój w twoim głosie. – Pocałował ją w koniuszek nosa. – Nie chcę, żebyś się martwiła. Powiedz, co jest nie tak, a ja to naprawię.

– Gdybyś tylko mógł – szepnęła.

Ten wspomniały mężczyzna uczynił ją szczęśliwą, ale przecież nie był cudotwórcą. Nie mógł wymazać przeszłości, nie potrafił zmienić biegu dawnych wydarzeń. A tylko cud mógłby wszystko naprawić. Tylko interwencja Boga zdołałaby usunąć napięcie między Jolie a drugą rodziną Louisa i zmienić nienawiść i nieufność w miłość i zrozumienie.

– Czy chodzi o testament Louisa Royale'a? – spytał Nowell. – Czy w tym problem?

Tak, Nowell byłby zainteresowany ostatnią wolą Louisa. Jeśli wezmą ślub, jak chciał, podzielił się spadkiem. Ludzie uważali, że Nowellowi zależy tylko na jej pieniądzach. Niektórzy mieli ją za znacznie bogatszą, niż była; inni myśleli, że jest bez grosza. Jej majątek nie mógł się równać z fortuną Louisa Royale'a, ale nie groziła jej również bieda. Z funduszem zapisanym przez Louisa dodanym do własnych oszczędności była milionerką.

Usiedli na ławeczce w altanie. Patrząc w jego piękne ciemne oczy, Clarice zastanawiała się, czy tylko udaje oddanie i uwielbienie.

– Louis zostawił mi fundusz w wysokości miliona dolarów – powiedziała.

– Clarice, kochanie, jesteś bardzo bogatą kobietą.

– Na pewno bogatszą niż przedtem.

– Wiedziałem, że Louis o ciebie zadba. Był dobrym człowiekiem.

– Tak, rzeczywiście. Bardzo dobrym. – Pogłaskała Nowella po gładko ogolonym policzku. Był taki włochaty. Na ramionach, na nogach, na piersi. Jonathan też był bardzo owłosiony. Kiedy Nowell przyjechał do Sumarville, nosił brodę i wąsy. Ale gdy poprosiła, żeby się ich pozbył, zrobił to natychmiast i od tej pory zawsze był gładko ogolony. – Kochanie, kilka razy prosiłaś mnie, żebym za ciebie wyszła, a ja odkładałam to na później. Ale po śmierci Louisa zrozumiałam, że to głupota czekać na szczęście. Nie mamy żadnej gwarancji, że dożyjemy jutra.

– Czyżbyś mówiła to, co myślę, że mówisz?

Pokiwała głową.

– Tak, wyjdę za ciebie, jeśli nadal tego chcesz.

Przytulił ją, pocałował namiętnie, a potem szepnął do ucha:

– Postaram się, żebyś była ze mną szczęśliwa. Obiecuję. Nigdy nie pożałujesz, że za mnie wyszłaś.

Modliła się, żeby zaufanie, jakim obdarzyła Nowella, nie okazało się pomyłką. Zachowywał się jak zakochany. Czuła miłość w każdym jego dotyku. W każdym słowie.

– Jak myślisz, jak twoja rodzina przyjmie tę nowinę? – zapytał. – Max jasno dał do zrozumienia, że mnie nie lubi i mi nie ufa.

– Mam nadzieję, że przez ten rok zdołasz go do siebie przekonać. Max chce, żebym była szczęśliwa. Kiedy zrozumie, że ty jesteś moim szczęściem, nie będzie dłużej stał nam na drodze.

– Jak to „przez rok”?

– W czasie naszego narzeczeństwa, rzecz jasna. – Zmierzwiała jego szpakowate włosy. – Rok wydaje się odpowiednim okresem.

– Ależ Clarice, miałem nadzieję, że pobierzemy się od razu. – Spojrzał jej błagalnie w oczy. – Nie chcę czekać.

– Cierpliwości. – Pocałowała go w usta. – Nie możemy wziąć ślubu teraz, tak szybko po śmierci Louisa.

– Nie, oczywiście, że nie. Rozumiem. Ale rok to tak długo.

– Przecież chodzi tylko o ceremonię, która zalegalizuje nasz związek. Nie ma potrzeby czekać ze skonsumowaniem naszej miłości – powiedziała, zsuwając dłoń z jego piersi na krocze. – Zmieniłeś mnie w grzesznicę, Jonathanie. Pragnę cię.

Nowell skrzywił się. Nie pierwszy raz nazwała go imieniem innego mężczyzny, i prawdopodobnie nie ostatni. Ale jakie to miało znaczenie, że myliła go z narzeczoną, którego straciła tak dawno? Kiedy pierwszy raz nazwała go Jonathanem, zastanawiał się, czy zna prawdę, ale szybko zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Jak by zareagowała, gdyby był z nią zupełnie szczery, tak jak planował, kiedy przyjechał do Sumarville? Uciekł się do podstępu, bo zrozumiał, że prawda mogłaby ją zniszczyć. Przyjęcie osobowości jedyne go mężczyzny, którego nigdy nie zapomniała, okazało się łatwe. Skoro Clarice chciała Jonathana, da jej Jonathana. Zrobi wszystko – absolutnie wszystko – byle ją przekonać, żeby za niego wyszła. I to szybko.

Rozdział 11

– Radzę ci porozmawiać z Jolie. – Garland Wells zagłębił nóż w steku. – Zawrzyjcie układ: ty nie podważysz testamentu Louisa, jeśli ona zgodzi się na to samo.

Obiad Maksa leżał przed nim nietknięty. Nie, żeby jedzenie w restauracji zajazdu Sumarville było niesmaczne; przeciwnie. Ale od śmierci Louisa Max nie miał jakoś apetytu. Oczekiwał po Garze prawnego poparcia, a nie sugestii, że powinien pójść z Jolie na kompromis.

– Wolałbym nie podważać testamentu, ale matka i Mallory nie zniosą Jolie mieszkającej w Belle Rose. W każdym razie nie długo. Trzeba coś zrobić tak szybko, jak to możliwe.

– Bądź ze sobą szczerzy, Max, chcesz pozbyć się Jolie ze swojego życia tak samo jak pozostali, jeśli nie bardziej.

Gar przeżuł powoli kęs mięsa, przełknął i wytknął Maksa widelcem.

– Sporządziłem dla Louisa testament nie do podważenia. Chciał mieć pewność, że jego życzenia zostaną uszanowane. – Odkroił kolejny kawałek steku. – Wierz mi, starałem się odwieść go od takiego rozwiązania, ale był nieugięty. A wiesz, jaki Louis potrafił być uparty.

– Ale dlaczego? Musiał mieć świadomość, że Jolie nie zniesie mojej matki na terenie Belle Rose i użyje wszelkich środków, by jej się pozbyć.

– Nie może zmusić Georgette do wyprowadzki.

– Nie, ale może tak uprzykrzyć jej życie, że będzie wolała opuścić Belle Rose, niż to znosić.

– Powinieneś dopilnować, żeby matka się nie ugięła i nie dała Jolie tej satysfakcji. Po prostu przeczekajcie. – Gar przełknął następny kęs. – Nawiasem mówiąc, dziś z samego rana zadzwonił do mnie Theron Carter. Prosi o kopię testamentu. Zdaje się, że reprezentuje teraz Jolie.

– Co?

– W ich przymierzu jest coś dziwnego. Theron myśli, że Jolie może dla niego zrobić coś w zamian. Albo interesuje się nią prywatnie. Kiedy byliśmy nastolatkami, miałem czelność powiedzieć mu, że nie powinien przebywać w towarzystwie moich sióstr i Jolie. Znienawidził mnie. Trudno mi go winić. Sam nie potrafię uwierzyć, że zachowałem się tak podle.

– Słyszałem, że Carter chce wznowić dochodzenie w sprawie masakry w Belle Rose – powiedział Max. – Jeśli to prawda, mógł uznać, że przyda mu się pomoc Jolie.

– Cholera! Masz rację. Opinia Jolie, jednej z ofiar i zarazem potomkini Desmondów i Royale'ów, bardzo się liczy dla pewnych ludzi.

– Tylko tego jeszcze nam teraz trzeba: rozdrapywania starych ran. Całe miasto

podzieli się na dwa wrogie obozy. Według rasy. – Max wiedział, że jeśli śledztwo zostanie wznowione, przeszłość wróci. Stare plotki wypłyną na powierzchnię. Plotki, że to on był sprawcą. Plotki o cudzołóżnym romansie Louisa. Wszyscy, którzy go kochali, zostaną zranieni. Jego matka. Mallory. Wujek Parry. Nawet ciocia Clarice. Jak Clarice przeżyje rozpamiętywanie tego okropnego dnia, gdy znalazła zwłoki? Ale Jolie – jeśli rzeczywiście połączyła siły z Theronem Carterem – najwyraźniej nie obchodziło, kogo przy okazji zrani. Dla niej liczyła się tylko zemsta na Georgette i jej dzieciach. Boże, jak ona musi ich nienawidzić!

– Wolałbym, żeby do tego nie doszło. – Gar popił kolejny kęs mięsa łykiem mrożonej herbaty. – To były cholernie mroczne dni w historii Sumarville. Chyba nikt nie pozostał obojętny wobec masakry w Belle Rose. Wydawało się niemożliwe, że coś tak potwornego mogło się wydarzyć tutaj, gdzie ludzie nie zamykali nawet drzwi na noc.

Max pamiętał, że Yvonne błagała wtedy szeryfa, aby wziął pod uwagę innych podejrzanych. Była pewna, że jej brat nie mógł popełnić morderstwa. Wtedy Maksa nie obchodziło, czy Lemar Fuqua był winny, czy nie, nie traktował poważnie opinii Yvonne, bo prawie jej nie znał. Dziękował tylko Bogu, że nie uwzięli się na niego. Był oczywiście przesłuchiwany, podobnie jak wujek Parry, ale na tym się skończyło. Obaj powiedzieli szeryfowi, gdzie byli i co robili tego dnia. Na szczęście nikt nie sprawdził jego alibi.

– Miałeś kiedykolwiek wątpliwości co do winy Lemara Fuqui? – zapytał Max.

– Cóż, właściwie nie. Byłem przekonany, że szeryf Bendall stosował się do odpowiednich procedur. Poprosił nawet o pomoc Biuro Przepływów Kryminalnych. Głównie dlatego że ofiarami były siostry Desmond, a jedna z nich była żoną Louisa Royale'a. – Gar podniósł filiżankę. – Stary Horace Madry, miejski koroner, orzekł podwójne morderstwo i samobójstwo, a facet z Biura poparł jego opinię. Pamiętam, jak tata mówił, że dzięki temu nikt nie będzie mógł się przyczepić i twierdzić, że Lemar Fuqua został niesprawiedliwie oskarżony. – Gar napił się kawy.

– A ja miałem wątpliwości – wyznał Max. – Zawsze dziwiło mnie, że plotki o Lemarze i Lisette zaczęły krążyć dopiero po morderstwie. Gdyby rzeczywiście od lat mieli romans, ktoś dowiedziałby się o tym dużo wcześniej.

– Nigdy nie wierzyłem w te plotki. Lisette nie była zakochana w Lemarze i nie miała z nim romansu.

Max popatrzył mu w oczy. Rysy Gara stężały, a twarz nabrała nagle koloru.

– Skąd możesz mieć taką pewność?

Gar odkasznął i odwrócił pośpiesznie wzrok.

– Oczywiście nie mogę mieć pewności, ale... pamiętam Lisette. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Może dlatego nie chce mi się wierzyć, że była tak rozwiązła, jak mówili.

Max nagle uświadomił sobie prawdę.

– Podkochiwałeś się w niej.

Gar westchnął cicho.

– Tak, chyba tak.

– Może nie była taka, jak gadali. Ludzie opowiadają mnóstwo bzdur. O mojej matce też krążyły paskudne historie.

– A Jolie wciąż w nie wierzy. – Gar wziął nóż i widelec, wykroił kilka kawałków steku, po czym odłożył sztućce na brzeg talerza. – Chciałem cię o coś spytać w związku z Jolie.

– Tak?

– Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym się z nią umówił, dopóki jest w Sumarville. Oczywiście nie zrobię tego, jeśli postanowisz podważyć testament, ale jeżeli...

– Nie zamierzam podjąć decyzji pochopnie – odparł Max. – Ale to, z kim się umawiasz, jest twoją prywatną sprawą.

– Czyli nie masz obiekcji?

Max przyglądał mu się przez chwilę.

– Wiem, że Jolie bardzo przypomina Lisette... ale musisz pamiętać, że nią nie jest. Nie chciałbym, żebyś się sparzył.

Gar wzruszył ramionami.

– Kto wie, może da mi kosza... zwłaszcza jeśli łączy ją coś z Theronem.

Maksowi nie podobało się to przypuszczenie. Wolał, żeby nie wiązała się z nikim w Sumarville. Nie chciał, by cokolwiek zatrzymało ją tu na dłużej. Im szybciej wyjedzie, tym lepiej.

*

Jolie nie rozpoznała sekretarki prokuratora okręgowego, ale co w tym dziwnego? Nie mieszkała w Sumarville od dwudziestu lat i wszyscy, którzy zjawili się w miasteczku później, musieli być dla niej obcy.

– Zapraszam do gabinetu pana Newmana – oznajmiła szczupła blondynka w średnim wieku. – Szef powinien przyjechać w ciągu piętnastu minut. Prosił, żebym przeprosiła państwa w jego imieniu. Napijecie się państwo kawy?

– Dziękuję, panno Cunningham. I nie, dziękuję za kawę. – Theron błysnął szerokim uśmiechem, co wystarczyło, by wywołać uśmiech na twarzy sekretarki. Spojrzał na Jolie, potem na szeryfa. – A wy macie ochotę na kawę?

Zwalisty, czarny jak heban Ike Denton, który od ponad piętnastu lat służył w policji stanu Missisipi, potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję – powiedziała Jolie.

Sharla Cunningham wyszła z gabinetu i, zostawiwszy uchylone drzwi, wróciła do swojego biurka. Jolie zaczęła spacerować po pokoju, przyglądając się przedmiotom wiszącym na ścianach: dyplomowi ukończenia przez Larry'ego

Newmana studiów prawniczych, jego zdjęciom w towarzystwie znanych osobistości, zabytkowej szabli i parze starych pistoletów skałkowych. Ledwo pamiętała Larry'ego. Był od niej sporo starszy, ukończył liceum, kiedy jeszcze chodziła do podstawówki. W jakim wieku jest teraz? Chyba tuż po czterdziestce. Pamiętała, że matka Larry'ego pochodziła z rodziny Martinów i tak jak jej rodzice była nauczycielką. A ojciec nie był chyba policjantem.

Ike usiadł w jednym ze skórzanych foteli stojących koło okazałego dębowego biurka. Przygarbiwszy lekko potężne bary, oparł łokcie na kolanach i nerwowo zastukał podeszwą w posadzkę.

– Specjalnie każe nam czekać – mruknął.

Theron skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się szeroko.

– Nie sądzę. Wie, że wynik spotkania będzie taki sam bez względu na to, czy odbędziemy rozmowę teraz, czy później.

– Jesteś bardzo pewny siebie – zauważyła Jolie. – Wiesz coś, czego my nie wiemy?

– Wiem, że dostaniemy to, po co przyszliśmy. Prokurator okręgowy nie może nam odmówić.

– Skąd ta pewność? – Ike spojrzał na Theroną pytająco.

– Po prostu wiem, jak działa system. I odrobiłem pracę domową. – Theron podszedł leniwie do drzwi i zawołał do panny Cunningham: – Zmieniłem zdanie. Myślę, że jednak napiję się kawy. Czarnej. Z dwoma łyżeczkami cukru.

Sekretarka podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście, panie Carter. – Wstała od biurka i zajrzała do gabinetu szefa. – Czy ktoś jeszcze ma ochotę na kawę?

– Tak – odezwał się Ike. – Czarną poproszę.

– Ja dziękuję. – Jolie spostrzegła, że Theron odprowadził wzrokiem pannę Cunningham, która otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, odwrócił się do nich.

– Dzisiaj z samego rana zadzwoniłem do stanowego prokuratora generalnego. Wspomniałem mu, że córka Louisa Royale'a, jedyna ofiara, która przeżyła masakrę, też pragnie nowego dochodzenia. Bill Sanders zapewnił, że zadzwoni do Larry'ego Newmana i przekona go, żeby pozwolił nam obejrzeć wszystkie akta. A jeśli znajdziemy cokolwiek, co by wskazywało, że masakra w Belle Rose nie była jednak podwójnym morderstwem i samobójstwem, postara się oficjalnie wznowić dochodzenie.

Ike zachichotał pod nosem.

– A niech mnie wszyscy diabli. – Zerknął na Jolie, odchrząknął i powiedział: – Przepraszam, psze pani.

– Nie ma za co – zapewniła go, po czym spojrzała prosto na Theroną. – Daleko zaszedłeś, mój drogi. – Mrugnęła do niego. – Wujek Lemar byłby z ciebie dumny.

– Mam nadzieję. To ze względu na niego zostałem prawnikiem, to dla niego zakuwałem kodeksy, a potem harowałem w kancelariach w Atlancie i Memphis. Wznowienie tego dochodzenia to jeden z najważniejszych celów w moim życiu.

– Spędziłeś dwadzieścia lat, przygotowując się do tego dnia – zauważyła Jolie. – A ja przez dwadzieścia lat uciekałam.

– Teraz nie uciekasz – powiedział Theron.

– To prawda. Zostaję. Muszę załatwić wiele spraw, zanim wyjadę z miasta.

*

Lawrence Newman sięgnął po telefon i wstukał zastrzeżony numer Roscoe'a Wellsa.

– Tak? – Wells odebrał po czterech sygnałach.

– To ja – rzekł Larry.

– Myślałem, że masz spotkanie z synem Yvonne Carter.

– Miałem, to znaczy: mam. Carter pewnie czeka teraz w moim gabinecie. Powiedziałem Sharli, żeby podała kawę i przeprosiła, że się spóźni.

– Po co to odkładać? – Roscoe zarechotał. – Po prostu poinformujesz naszego młodego, przebojowego adwokata, że nie ma powodu, by otwierać sprawę sprzed dwudziestu lat, skoro nie widać żadnych nowych dowodów.

– To nie takie proste.

– Jak to? – warknął Roscoe. – Poinstruowałem cię, co i jak masz zrobić.

– Przed wyjściem z domu odebrałem telefon od Billa Sandersa.

– Hm. I co takiego chciał ci powiedzieć nasz drogi prokurator generalny?

– Żebym pozwolił Carterowi i pannie Royale obejrzeć akta sprawy i nakazał Ike'owi Dentonowi, żeby pomagał im, jak tylko może.

– Kurwa mać! Bill Sanders to ambitny kutas. Przymierza się do kandydowania na gubernatora. Wiedziałeś o tym? Widać ma dość oleju we łbie, żeby zdawać sobie sprawę, że do wygranej w stanie Missisipi potrzebuje głosów czarnych. Wykalkulował, że pomagając Theronowi Carterowi, pozyska część kolorowych wyborców. Wygląda na to, że będę musiał skontaktować się z pewnymi starymi znajomymi.

– Ale rozumiesz, że nie mam w tej sprawie żadnego wyboru – powiedział Larry.

– Rób, co musisz – odparł Roscoe. – A ja zrobię swoje.

Larry rozłączył się, wsunął telefon do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki i opuścił wyludniony o tej porze park Desmondów. Nie miał pojęcia, czy Roscoe Wells był zamieszany w masakrę w Belle Rose, i wołał tego nie wiedzieć. Tamta sprawa wydarzyła się wieki temu i nie miała z nim nic wspólnego. Kiedy popełniono morderstwa, był w college'u. Ale ciężko i długo pracował na to, żeby zająć tak wysoko, i miał dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że w stanie Missisipi, a szczególnie w hrabstwie Desmond, lepiej nie zadzierać z senatorem Roscoem Wellsem. Larry został wybrany na prokuratora okręgu dzięki jego

poparciu. Kurde, był winien facetowi przysługę. Więc jeśli Roscoe mówił: „Skacz”, Larry wiedział, że może tylko zapytać: „Jak wysoko?”

Wetknąwszy palec pod ciasny kołnierzyk, poluzował krawat. Nie miał pojęcia, dlaczego senator tak uparcie się sprzeciwiał, by Theron Carter i Jolie Royale zajrzeli do starych akt, ale instynkt podpowiadał mu, że jeśli Roscoe zainteresował się sprawą to kroją się kłopoty.

*

Dżip z R. J. za kierownicą pojawił się na piaszczystej drodze na tyłach plantacji Belle Rose. Mallory poinstruowała go, jak dojechać na miejsce, i wyznaczyła spotkanie na drugą. Powiedziała także, żeby zabrał kąpielówki. Nikt w domu nie wyraził zaniepokojenia, kiedy wzięła Splendora na długą przejażdżkę. Gdyby Max wiedział, że spotyka się z R.J., wpadłby w furję. Ale czego Max nie wiedział, nie mogło mu zaszkodzić. Zresztą po co robić z igły widły? R.J. nie należał do żadnej dobrej rodziny z okolicy, ale co z tego? Polubiła go. Zeszłego wieczoru okazał się bardzo miły i współczujący, kiedy desperacko potrzebowała kogoś, kto by się o nią zatroszczył. A w dodatku był prawdziwym przystojniakiem. Dziś rano spędziła ponad godzinę przy telefonie, opowiadając najlepszym przyjaciółkom – Lindsey Castle i Ashley Wilson – wszystko na jego temat.

Kiedy R.J. zatrzymał starego dżipa przy drodze obok przygiętego do ziemi ogrodzenia z drutu kolczastego, Mallory pomachała do niego. Nagle poczuła w brzuchu niespodziewane łechtanie. Miała kilku chłopaków – rodzice nie pozwalali jej umawiać się na randki, póki nie skończyła szesnastu lat – ale żaden nie wzbudzał w niej takich uczuć jak R.J. Było w nim coś podniecającego, może nawet odrobinę niebezpiecznego. I był starszy od niej. Co najmniej pięć albo sześć lat, a nie sposób powiedzieć, ile starszy pod względem doświadczenia.

R.J. wyskoczył z wozu. Był wysoki, szczupły, atletycznie zbudowany i wspaniale wyglądał w dżinsach z przyciętymi nogawkami i białym podkoszulku bez rękawów. Dodać do tego gęste blond włosy spięte w krótki kucyk i masz przed sobą wymarzonego kochanka większości dziewczyn. Przeskoczył przez drut, a potem zatrzymał się, czekając, aż do niego podbiegnie. Tak bardzo cieszyła się na jego widok. Z R.J. mogła uciec od żalobnego smutku panującego w domu. Mogła na chwilę zapomnieć, że tata umarł i został pogrzebany zaledwie wczoraj, a matka wydawała się niezdolna do poradzenia sobie z jego śmiercią. Przez całą noc słyszała płacz matki. Kiedy zajrzała do jej pokoju, zastała Maksa siedzącego przy łóżku. Czasami żałowała, że nie jest taka jak on, silna, opanowana, potrafiąca zadbać o siebie i tych, których kocha. Cóż, była inna. Potrzebowała pocieszenia i zapewnień, że jej życie nie skończy się po odejściu taty.

Och, tatusiu! Dlaczego musiałeś mnie opuścić?

Nie powinna myśleć o ojcu, to zbyt bolesne. Tata nie chciałby, żeby się ciągle zamartwiała. Niemal słyszała w uszach jego głos: „Nie płacz, słonko. Cokolwiek

się stało, powiedz tacie, a on to naprawi”.

Odgoniła od siebie wspomnienia, otarła łzy z oczu, i wzięła R.J. za rękę, mówiąc:

– Chodź. Staw jest bardzo blisko. Wziąłeś kąpielówki?

– Będę ich potrzebował?

Rumieniając się jak piwonie, Mallory zachichotała.

– Nie nabijaj się ze mnie w ten sposób.

R. J. objął ją niezobowiązująco. Uwielbiała być blisko niego. Jego dotyk wcale nie wywoływał w niej uczucia zagrożenia. Niektórzy chłopcy, z którymi się spotykała, zdawali się mieć więcej ramion niż osmiornice. Boże, nienawidziła opędzać się od napaleńców, którzy nie rozumieją słowa „nie”. R.J. nie przypominał niedojrzałych oblechów z dobrych rodzin, których aprobował Max. R.J. był lepszy – pod każdym względem.

Poprowadziła go przez gęsty las, pod koronami drzew, które niemal zupełnie zasłaniały niebo.

– Jeszcze kawałek – oznajmiła. – Widzisz, o tam. – Wskazała palcem kierunek.

Popołudniowe słońce migotało na lekko falującej powierzchni wody, tworząc małe świetliste kręgi. Przesycony wilgocią wiatr szumiał wśród drzew i krzewów, nieco łagodząc letni skwar. Parę metrów od brzegu, pod starą wierzbą leżał koc, a na nim duży piknikowy koszyk. Mallory przyszła wcześniej i przygotowała idealną romantyczną scenerię.

– Co to? – zapytał.

– Lunch – odparła. Pomyszkowała w kuchni, kiedy Yvonne doglądała ekipy sprzątającej pokoje na piętrze. A potem ukryła kosz w sieni, pod dolną półką przy tylnych drzwiach.

– Myślisz o wszystkim, co, kotku? Piknik w lesie, staw, w którym można popływać, i... – wziął ją w ramiona – piękna dziewczyna, z którą można spędzić popołudnie. Czego więcej facet mógłby pragnąć?

Uniosła rękę i zarzuciła mu na szyję.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś. Bałam się, że zmienisz zdanie.

– A to czemu? – Trącił jej policzek czubkiem nosa. – Nie ma takiego miejsca na świecie, w którym chciałbym być teraz bardziej niż tutaj.

Serce Mallory zabiło mocniej.

– Chcesz najpierw popływać czy coś zjeść?

Pogłaskał ją po twarzy.

– Nie będę ściemniał. Trochę się palę, żeby wreszcie zobaczyć cię w kostiumie kąpielowym. – Uśmiechnął się i łagodnie ujął ją za podbródek, jednocześnie gładząc kciukiem jej usta. Kiedy westchnęła, jego kciuk zatrzymał się pośrodku jej warg. – Popływajmy, a potem coś przekąsimy.

Jej ciało zareagowało na jego dotyk w sposób, którego w pełni nie pojmowała.

Jak mogła czuć jednocześnie gorąco i zimno? R.J. odchylił kciukiem jej dolną wargę. Nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, oblizła go. Uśmiechnął się. Mallory jęknęła cicho, gdy dreszcz promieniujący ze wzgórzka między jej udami rozlał się po całym ciele.

– M... m... myślę, że powinniśmy już wejść do wody – wyjąkała.

R.J. oswobodził się z jej objęć i cofnął o pół kroku. Kiedy stała, wpatrując się w niego, zdjął przez głowę podkoszulek i pozbył się spodni. Mallory rozdziawiła szeroko usta. Mając na sobie tylko przylegające do ciała czarne kąpielówki, nie mógł przed nią niczego ukryć. Był ponad wszelką wątpliwość podniecony. I to ona go podnieciła! Ta świadomość dała jej dziwne poczucie władzy.

Przestań się na niego gapić, zbesztala się w duchu i pośpiesznie zdjęła szorty i top. Specjalnie na tę okazję wybrała turkusowe bikini, które matka zabroniła jej nosić. Kupiła je podczas wypadu do Memphis. Max kazał jej pozbyć się kostiumu, ale po prostu schowała go na dnie szafy. Teraz cieszyła się, że to zrobiła. Chciała zwalić R.J. z nóg.

– I co ty na to? – spytała.

– Ho, ho!

R.J. omiótł ją pełnym podziwu wzrokiem, zatrzymując się dłużej na ledwo zakrytych piersiach. Nie miała zbyt obfitego biustu, ale jej piersi były jędrne, krągłe i sterczące. Wiedziała, że ma niezłe ciało. Często słyszała komplementy – od koleżanek i mnóstwa chłopaków.

Obracając się powoli, dała mu się dokładnie obejrzeć.

– Podoba się? – zapytała.

– Podoba – odparł.

Uśmiechnięta i szczęśliwa, Mallory pobiegła do stawu i wskoczyła do wody. Chłodne fale obmyły jej ciało, a sutki stwardniały od zimna niczym dwa sterczące kamyczki.

– Wskakuj! – zawołała. – Pościgamy się do drugiego brzegu.

Dołączył do niej, nie czekając na dalsze zaproszenia.

– Co dostanę, jak wygram?

– A co byś chciał? – zapytała.

– Ciebie, Mallory.

Rozdział 12

Larry Newman wkroczył do gabinetu z uśmiechem rasowego polityka, przyklejonym do pociągłej twarzy. Jolie zauważyła, że wygląda bardzo niepozornie. Był średniego wzrostu i średniej budowy. Miał kasztanowe włosy średniej długości i piwne oczy. Sprawiał wrażenie faceta niewyróżniającego się w tłumie. Podał rękę Theronowi, a uściskawszy ją, w tak samo kordialny sposób powitał Ike'a i wreszcie zwrócił się do niej.

– Panno Royale, niech wolno mi będzie złożyć najszczerze kondolencje z powodu śmierci pani ojca. Jego odejście to wielka strata dla Sumarville i całego stanu Missisipi.

– Dziękuję, panie Newman.

Larry omiół wzrokiem pokój, spostrzegł puste filiżanki po kawie i uśmiechnął się, sadowiąc się za biurkiem.

– Spocznijcie państwo. Już zabieramy się do sprawy. Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem zająć się pewnym drobnym problemem w mieście. – Popatrzył na Jolie. – Przyszliście państwo prosić mnie o zgodę na wgląd w akta masakry w Belle Rose, zgadza się?

– Tak. – Kątem oka dostrzegłszy napięte rysy Theron, uświadomiła sobie, że uznał za afront fakt, iż Larry Newman zwrócił się do niej, a nie do niego. – Pan Carter i ja chcielibyśmy uzyskać dostęp do akt policyjnych dotyczących sprawy zabójstwa mojej matki, ciotki i Lemara Fuqui.

– Lemar Fuqua popełnił samobójstwo po zamordowaniu pani matki i ciotki – sprostował Larry. – Nie mogę uwierzyć, że chce pani narażać się na lekturę dokumentów opisujących wszystkie szczegóły zbrodni i oglądać zdjęcia z miejsca przestępstwa. Chyba nie przekonało pani podejrzenie pana Cartera, jakoby ktoś inny niż jego wuj dopuścił się tej okrutnej zbrodni.

– Niech nam pan pozwoli przejrzeć wszystkie dokumenty, a założę się, że znajdziemy coś, co przeoczono – powiedział Theron. – Specjalnie przeoczono.

Prokurator okręgowy pochylił się do przodu i oparł dłonie o blat biurka.

– Czy oskarża pan urząd szeryfa hrabstwa Desmond i Biuro Przestępstw Kryminalnych o zatajenie istotnych materiałów dowodowych w sprawie?

Twarz Larry'ego wyrażała święte oburzenie, ale Jolie wyczuła, że jego reakcja nie była niczym więcej niż tylko grą. Natomiast irytacja Theron nie była udawana.

– Nikogo o nic nie oskarżam – odparł lodowato. – Jeszcze.

– Sądziłam, że zechce pan z nami współpracować – powiedziała Jolie do Newmana. – W końcu, jeśli doszło do poważnego naruszenia zasad sprawiedliwości, to jako prokurator okręgowy powinien pan wznowić dochodzenie i doprowadzić do postawienia w stan oskarżenia prawdziwego mordercy. Jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, a pan okaże nam pomoc, może pan zyskać bardzo

dobrą prasę.

Larry poczerwieniał i odchrząknął nerwowo.

– Nie chciałbym, żebyście tracili państwo czas. Ale jeśli jesteście tak zdecydowani, to, rzecz jasna, proszę obejrzyć akta. – Spojrzał na szeryfa. – Denton, udostępnij panie Royale i panu Carterowi wszystkie dokumenty związane z masakrą w Belle Rose.

– Tak jest – odparł Ike, a kąciaki jego ust wygięły się w ledwo powstrzymywanym uśmiechu. – Z przyjemnością.

– Jutro z samego rana możecie... – zaczął Larry.

– Dzisiaj. – Theron wbił wzrok w prokuratora. Larry znów odchrząknął.

– Po co taki pośpiech? Te akta przez dwadzieścia lat obrastały kurzem. Do jutra nie wyrosną im nagle nóżki i nie uciekną.

– Nigdy nie wiadomo, co się stanie jutro – odparł Theron. – Poza tym, im szybciej zabierzemy się do pracy, tym szybciej będzie można wznowić dochodzenie.

– Hm. Cóż, w takim razie proszę, zaczynajcie już dzisiaj.

– Dziękuję, tak właśnie zrobimy – oświadczył Theron.

Kiedy Jolie ruszyła za Theronem i Ikiem do drzwi, Larry Newman wyszedł z biurka i zawołał:

– Byłbym zobowiązany, bardzo zobowiązany, gdybyście zechcieli skontaktować się ze mną, jeśli znajdziecie coś godnego uwagi. Nie ma potrzeby dzwonić od razu do Billa Sandersa, o ile nie zbierze się dość dowodów, aby wznowić dochodzenie.

Theron posłał prokuratorowi szeroki uśmiech.

– Jasne, Larry. Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby postąpić inaczej po tym, jak bardzo nam pomogłeś.

Jolie ledwo zdusiła narastający śmiech. Parsknęła, dopiero gdy znaleźli się na chodniku.

– Widziałeś jego minę?

– Robi w portki ze strachu, że coś wykopiemy – powiedział Theron. – Jeśli jest tak cholernie pewny, że wujek Lemar był mordercą to dlaczego tak się przejmuje? Wie coś o sprawie.

– Skąd mógłby wiedzieć? – spytał Ike. – Nie był w nią w żaden sposób zaangażowany. Dwadzieścia lat temu musiał być w college'u.

– Nie był w nią zaangażowany do momentu, kiedy skontaktowałem się z Billem Sandersem. Telefon prokuratora generalnego napędził mu stracha. Zdał sobie sprawę, że musi dać nam zgodę na wgląd w akta. A nasz drogi Larry Newman wie, że ktoś nie chce, żebyśmy je przeczytali.

Jolie wzięła Theroną pod rękę.

– Więc uważasz, że ktoś pociąga za sznurki Newmana, ktoś, kto nie chce wznowienia śledztwa?

– Tak, właśnie tak sędzę – odparł.

– Jeśli to prawda, to możemy zawęzić poszukiwania do zaledwie paru osób – zauważył Ike. – Niewielu ludzi ma dość władzy, żeby dyktować warunki prokuratorowi okręgowemu.

– Przychodzą mi do głowy dwa nazwiska. – Theron spojrział na Ike'a i Jolie. – Roscoe Wells... i Max Devereaux.

To nie Max, przemknęło Jolie przez głowę. Zaskoczyła ją ta mimowolna myśl. Dlaczego jej instynkt bronił człowieka, którego powinna bezgranicznie nienawidzić?

*

R.J. leżał wyciągnięty na kocu pod rozłożystą wierzbą. Razem z Mallory harcowali w stawie jak para dzieciaków, a potem zjedli lunch złożony ze smażonego kurczaka, lemoniady i placka brzoskwińskiego. Dobre żarcie, śmiech i piękna dziewczyna. Facetowi trafiają się znacznie gorsze rzeczy. Oczywiście nie znaczyło to, że miał zamiar zadowolić się całowaniem i łagodnymi pieszczotami, na jakie pozwalała Mallory. Pragnął jej tak bardzo, że ledwo się powstrzymywał przed rzuceniem jej na plecy, rozłożeniem jej nóg i wejściem w nią po same jądra. Jednak za każdym razem, gdy wydawało się, że wprowadził ją w odpowiedni nastrój, zaczynała mówić o tatusiu. Niech piekło pochłonie tatusia! Mallory uniosła głowę i popatrzyła na niego.

– O czym myślisz?

Jezu, dlaczego wszystkie zadają to samo pytanie? Dlaczego tak bardzo chcą wiedzieć, co myślą faceci? Gdyby miała choćby blade pojęcie o tym, co chodziło mu po głowie, byłaby zszokowana. No i zawiedziona.

– Myślałem właśnie o tym, jak miło z tobą być.

Uśmiechnęła się, jakby wygrała los na loterii, pochyliła się i pocałowała go w usta. Słodki przelotny całus, który wzbudził w nim apetyt na więcej. Wplótł palce w jej włosy i podtrzymał dłonią głowę, wdzierając się językiem w jej usta namiętym pocałunkiem. Jego druga ręka powędrowała na jej plecy i zsunęła się pod majteczki. Zaczął pieścić pośladek, czując dotyk jej delikatnego ciała i wzrastające pożądanie. Wtem odsunęła się od niego, kładąc kres przyjemności, gdy dopiero zaczął się rozkręcać. Usiadła, objęła się ramionami i spojrziała w niebo.

Kiedy pogłaskał ją po ręce, zadrżała.

– Przepraszam, kochanie. Przestraszyłem cię?

– Nie. Wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził. – Wciąż wpatrywała się w niebo, unikając spojrzenia mu w oczy. – Nie chciałam, żebyś pomyślał, że jestem gotowa... pójść na całość. Za bardzo cię lubię, żeby cię zachęcać, a potem odmawiać.

Z jakiegoś cholernego powodu Mallory obsadziła go w roli dobrego faceta, a granie jej zupełnie nie było w jego stylu. Nigdy nie był dobrym facetem. Zawsze

był draniem, co zresztą intrygowało większość kobiet. A tu nagle Panna Niewinna wzięła go za jakiegoś pieprzonego bohatera. Ufała mu. „Nigdy byś mnie nie skrzywdził”. Jak mogła być tak cholernie naiwna? Nie, nie skrzywdziłby jej fizycznie; nie kręciło go okładanie kobiet pięściami. Ale mógł ją zranić emocjonalnie i o ile nie przestaną się spotykać, prawdopodobnie to zrobi.

W mordę jeża, pomyślał. Przecież sam sobie zapracował na gębę fajnego gościa. Czy nie dał sobie wczoraj wieczorem nad rzeką na wstrzymanie? Czy nie był wyrozumiały i współczujący, żeby zdobyć punkty, które zamierzał wykorzystać później? A dzisiaj przez parę godzin flirtował z nią na całego i nawet zaliczył pierwszą bazę, ale nie popychał jej dalej, niż chciała. Dlaczego, do ciężkiej cholery, jej nie naciskał? Gdyby chodziło o inną laskę, już leżałby na niej i posuwał ją jak szalony. Ale nie Mallory. Dobra, Sutton, tylko nie wpadnij na pomysł, że jest inna od reszty i wyjątkowa. Po prostu ma trochę więcej klasy od zwykłego towaru. I jest znacznie bardziej ufna i niewinna.

– Nie jesteś na mnie zły, prawda? – spytała.

R.J. usiadł obok niej. Nie dotknął jej, nie spojrzał w jej stronę. Zamiast tego wbił wzrok w niebo.

– Nigdy nie mógłbym być na ciebie zły – odparł.

Popatrzyła na niego, dokładnie tak, jak się spodziewała. Boże, była taka przewidywalna! I nie miała pojęcia, że ją buja. Nie była jeszcze gotowa rozłożyć dla niego kolan. Ale to tylko kwestia czasu. Zwykle nawet by nie czekał. Po prostu zakręciłby się koło chętniejszej. Cierpliwość nie należała do jego mocnych stron.

Mallory położyła mu dłoń na ramieniu.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Nie zareagował od razu, rozkojarzony dziwacznym uczuciem, którego nie potrafił nazwać. Kurde balans, jak odpowiedzieć na coś tak obrzydliwie cikliwego?

– Ja też.

Chwyliła go za rękę i uściśniła ją lekko.

– Byłam tak bardzo przerażona, tak bardzo nieszczęśliwa i zagubiona, od kiedy tatuś znalazł się w szpitalu, a lekarze powiedzieli, że jest niedobrze. Nie wierzyłam, że tata może umrzeć. Ale jednak.

R.J. podniósł jej dłoń do ust i pocałował. Mallory westchnęła i położyła głowę na jego ramieniu.

– Max był tak zajęty matką, przygotowywaniem pogrzebu i całą resztą, że nawet nie zauważył, jak bardzo go potrzebowałam. On nie rozumie, co czuję. Rozpadł mi się cały świat. Mój tata nie żyje. Matka popada w coraz głębszą rozpacz na moich oczach. A do tego przyrodnia siostra wprowadziła się do Belle Rose, żeby zmienić nasze życie w koszmar.

– Nie martw się, kochanie. – R.J. musnął wargami jej skroń. – Jestem przy tobie. Zaufaj mi. Będzie dobrze.

– Och, R.J.

Zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewał: odwróciła się w jego stronę, zarzuciła mu ręce na plecy i wtuliła twarz w jego pierś. Objął ją delikatnie i pogłaskał pocieszająco. Jej łzy zrosiły jego nagą skórę.

– Tak. Wyrzuć to z siebie. Wypłacz się. – Pocałował ją w czubek głowy, a potem oparł tam podbródek.

– Proszę, nie opuszczaj mnie. – Chwyciła się go kurczowo. – Nie wyjeżdżaj z Sumarville. Zostań. Proszę, proszę, zostań na zawsze. Tak bardzo cię potrzebuję.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnił.

W końcu, czemu miałby wyjeżdżać z miasta? Przynajmniej na razie. Miał dobrą robotę, porządne lokum i potencjalną kochankę, której niewinność i ufność podniecała go bardziej, niż chciałby przyznać. Będzie musiał uważać, żeby nie dać się zbajerować i nie uwierzyć w te słodkie dyrdymały.

*

– Przepraszam za ten cały bałagan – powiedział Ike Denton. – Wygląda na to, że ktoś bardzo się postarał, by zagrzebać te akta tak głęboko, żeby nikt ich nigdy nie znalazł.

Jolie uklękła obok Theron, który zabrał się do otwierania zardzewiałej kartoteki w piwnicy biura szeryfa, mieszczącego się w budynku sądu.

– Nie mogę uwierzyć, że w Sumarville zaczęto komputeryzować archiwa dopiero sześć lat temu.

– Ja mogę – mruknął Theron. – Sumarville jest jakieś pół wieku do tyłu. Niektórzy z tutejszych wciąż uważają, że żyją w latach pięćdziesiątych. – Kiedy wyszarpnął skrzypiącą szufladę, wszędzie posypał się kurz, a kilka drobnych żuczków uciekło w popłochu, zaszywając się między kartkami.

– Z garstką ludzi i ograniczonym budżetem nie udało nam się wprowadzić do komputera starych akt – wyjaśnił Ike. – Nellie pracuje nad tym, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Dzięki niej mamy już w bazie danych sprawy z ostatniej dekady. Ale musi przyjmować jeszcze zgłoszenia i jako jedyna kobieta na służbie od czasu do czasu jest potrzebna przy przesłuchiowaniu aresztantek.

Theron spojrzał na Ike'a przez ramię.

– Czy w tej piwnicy znajdzie się jakiś stół i parę krzeseł? Byłoby nam dużo łatwiej, gdybyśmy mogli przeglądać dokumenty tutaj zamiast taszczyć je na górę.

– Jest biurko – odparł szeryf. – Przyniosę je, a potem pójdę po krzesła.

– Pomóc ci? – zaoferował się Theron.

– Nie trzeba – zapewnił Ike. – Po prostu zaczniście szukać tych akt.

Theron chwycił plik zakurzonych, lekko wilgotnych tekturowych teczek i podał je Jolie.

– Zacznij od tych, a ja przejrzę następną partię.

Wzięła stertę dokumentów i rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie

mogłaby je rozłożyć. Pojawił się Ike, niosąc przed sobą nieduże kwadratowe biurko z lekko przekrzywionymi nogami. Postawił wysłużony mebel parę metrów od niej.

– Skoczę po krzesła i przyniosę ścierkę, żeby tu trochę posprzątać – oznajmił, zwracając do drzwi.

Jolie rzuciła papiery na biurko, wzbijając w powietrze tuman kurzu. Kichnęła.

– *Gesundheit* – powiedział Theron. Parsknęli śmiechem.

– Chyba oczekiwaliśmy zbyt wiele, myśląc, że akta sprzed dwudziestu lat będą w komputerze – zauważyła.

– To byłoby zbyt proste – odparł Theron.

– Cóż, mogłoby się zdawać, że dokumentacja jedyne podwójnego... a raczej potrójnego morderstwa w Sumarville zasługuje na specjalne traktowanie.

– Kiedy dwadzieścia lat temu ucichły wreszcie wszystkie plotki i opadło napięcie, większość ludzi w Sumarville, zarówno białych, jak i czarnych, wolała zapomnieć o tej tragedii i żyć dalej.

– Nie rozumiem, dlaczego mój tata nie domagał się dokładniejszego śledztwa – powiedziała Jolie. – Przecież wiedział, jakim człowiekiem był Lemar, a mimo to zaakceptował decyzję szeryfa o zamknięciu dochodzenia.

– Myślę, że nawet bardziej niż inni pragnął mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. – Theron rzucił stertę akt na biurko, w powietrzu zawisły szare pyłki kurzu. – Przez pierwsze tygodnie po zabójstwach martwił się tylko tym, czy przeżyjesz. I chociaż miał w tym czasie romans z Georgette, moja mama twierdzi, że śmierć żony mocno go podłamała.

– Szybko mu to przeszło – mruknęła Jolie – i to na tyle, że poślubił inną kobietę.

Usiłowała odczytać wypisany na maszynie nagłówek na pierwszej teście, ale wilgoć za bardzo rozmazała tusz. Otworzyła więc teczkę i pośpiesznie przejrzała raport. Napad na bank. Spojrzała na datę. Dziewiętnaście lat temu. Przewertowała kilka następnych dokumentów, zwracając uwagę na daty.

– Sprawdź daty swoich akt – powiedziała. – Moje są sprzed dziewiętnastu lat.

Theron przekartkował tuzin raportów.

– Te też. Wszystkie z osiemdziesiątego trzeciego.

– Czyli jesteśmy blisko. Rok osiemdziesiąty drugi musi być w szufladzie obok.

Właśnie gdy Theron odwrócił się w stronę kartoteki, zjawił się Ike, niosąc dwa składane krzesła. Z kieszeni jego spodni sterczał rąbek białej szmatki.

– Macie tu krzesła – oznajmił, ustawiając je po przeciwnych stronach biurka, po czym wyszarpnął z kieszeni ścierkę i wytarł nią blat, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

– Jeśli będziecie potrzebować przerwy, wiecie, gdzie są łazienki i gdzie stoi ekspres do kawy i automaty ze słodyczami. – Zerknął na stos butwiejących teczek.

– Znaleźliście już coś?

– Jeszcze nie – odparła Jolie – ale przynajmniej jesteśmy we właściwej dekadzie.

– No, dobra. W takim razie wracam do pracy. Jeżeli będą mógł jakoś pomóc, po prostu dajcie mi znać.

– Dzięki, Ike – powiedział Theron. – Zdajemy sobie sprawę, że jeśli uda nam się znaleźć materiały, które pozwolą wznowić dochodzenie, może ci to utrudnić robotę. Ludzie mogą stracić nad sobą panowanie. Wrócą stare uprzedzenia. A jeżeli zrobi się naprawdę gorąco, z całego kraju zjadą się dziennikarze.

– Nie ma sensu wybiegać tak daleko w przyszłość. – Ike położył dłoń na ramieniu Theron. – Spróbujmy uporać się ze wszystkim po kolei. Wy znajdźcie, co trzeba, żeby otworzyć śledztwo, a wtedy ja zajmę się ewentualnymi niepokojami. – Poklepał Theron po ramieniu. – Pamiętam Lemara całkiem nieźle. Był dobrym człowiekiem. Wszyscy go lubili. Przez jakiś czas spotykał się z moją ciotką LaKorą. Gdy zachodził do naszego domu, dawał mi miętowe cukierki.

Jolie uśmiechnęła się melancholijnie.

– Lemar zawsze miał miętówki dla dzieciaków. – Westchnąwszy cicho, spojrzała na Ike'a. – Czy spotykał się z twoją ciotką tamtej wiosny?

Szeryf pokręcił głową.

– Rok wcześniej. Ciotka zerwała z Lemarem i uciekła z innym facetem.

– A czy któryś z was wie, czy Lemar był z kimś związany w okresie poprzedzającym morderstwa? – zapytała Jolie.

– Jeśli tak, to nawet moja mama o tym nie wiedziała – odparł Theron. – Ale przysięga, że nie miał romansu z Lisette Desmond. Nigdy.

– Yvonne powinna wiedzieć najlepiej. – Jolie otrzepała ręce z kurzu. – Jednego zupełnie nie rozumiem. Skąd w ogóle wzięły się te plotki o Lemarze i ciotce Lisette?

Ike spojrzał na Theron, jakby sondował jego reakcję. Zakasłał parokrotnie, a potem stwierdził:

– Ludzie lubią plotkować. Przyjaźń czarnego mężczyzny i białej kobiety była tu kiedyś karana śmiercią, a nawet dzisiaj niektórzy kręcą nosem na takie rzeczy. Czarni w Sumarville zawsze mówili, że Lemar nie powinien się obnosić z zażyłością z siostrami Desmond, zwłaszcza z Lisette i Clarice.

– Lemar i Yvonne wychowali się w Belle Rose – zaoponowała Jolie. – Byli jak rodzina.

– Tak, wiem, ale... Niech tam, nie ma sensu babrać się w starych plotkach, kiedy są ważniejsze sprawy. – Ike wskazał głową teczkę z aktami.

– Masz rację – zgodził się Theron. – Plotki nie pomogą nam w znalezieniu dowodów.

Kiedy Ike odwrócił się, żeby wyjść, Jolie złapała go za ramię.

– Zrobi pan coś dla mnie, szeryfie Denton? – Wzruszył ramionami. – Proszę powiedzieć, o jaką starą plotkę panu chodziło.

Ike zerknął na Theron.

– Prawdopodobnie nie ma to żadnego związku ze sprawą – odparł. – Ale cóż, ludzie kiedyś gadali, że Lemar i Yvonne są traktowani przez Desmondów jak rodzina, bo faktycznie do niej należą.

– Co? – zapytali Jolie i Theron jednym głosem.

– To tylko plotka. Wiecie, jak ludzie lubią obmawiać innych. Mówili, że pan Sam Desmond i Sadie Fuqua byli... – I wbił wzrok w podłogę.

– Uważali, że moja prababka i pan Sam byli kochankami? – Theron otworzył szeroko oczy. – To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Mama by mi powiedziała, gdyby... kurczę, to by znaczyło, że Lemar i Lisette byli przyrodnim rodzeństwem. – Zaczął krążyć po przesyconej wilgocią i kurzem piwnicy. Nie przestawał kręcić głową jakby usiłował pozbyć się natrętnej myśli. – To nie może być prawda. Historii o białych plantatorach i czarnych służących jest w tych stronach tyle, ile bawełny na polach.

– To była tylko plotka – powtórzył Ike. – Nie warto dawać jej wiary.

Wyszedł pośpiesznie, a Theron wciąż przechadzał się w tę i z powrotem po piwnicy. Jolie zaczęła się zastanawiać nad tym, co usłyszała, rozważając po kolei wszystkie możliwości. Jeżeli to prawda, jeżeli Lemar i Lisette rzeczywiście byli rodzeństwem, to dlaczego mama albo ciocia Clarice nigdy jej o tym nie powiedziały? Dlaczego Yvonne nie powiedziała o tym synowi?

– Nie wierzę w to – stwierdził Theron. – Mama by mi powiedziała. Nie zataiłaby przede mną czegoś takiego.

Przystanął, oparł dłonie na oparciu jednego z krzeseł i spojrzał na akta.

– Samo myślenie o takich bzdurach jest stratą czasu. – Sięgnął po teczki, zebrał je i umieścił z powrotem w kartotece.

Kiedy mocował się z górną szufladą w szafce obok, Jolie zajęła się kartoteką po drugiej stronie. Bez trudu zdołała ją otworzyć, lecz wkrótce przekonała się, że zawiera akta z 1984 roku. Właśnie gdy zamierzała powiedzieć o tym Theronowi, on wyszarpnął wreszcie swoją szufladę. Podeszła do niego, patrząc, jak przegląda pierwsze pliki kartek.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi – oznajmił. – Jest!

– Ty weź pół, a ja wezmę resztę – zaproponowała.

Opróżnił całą szufladę i rzucił teczki na biurko. Zapach pleśni i stęchlizny uderzył Jolie w nozdrza.

– Ale smród. – Fetor nie powstrzymał jej jednak od wzięcia kilku teczek i przejrzenia ich zawartości.

Dwadzieścia minut później Theron odłożył wszystkie akta na miejsce. Z wyrazem zawodu na twarzy odwrócił się do Jolie.

– Nic. Zupełnie nic. – Grzmotnął pięścią w biurko, które zatrzęsło się na rozchwianych nogach. – Wiedziałem, że to nie będzie łatwe, ale... Co będzie, jeśli ktoś zniszczył te dokumenty? Jeśli pozbyto się ich dawno temu?

– Nie możemy się poddać – orzekła Jolie. – Przeszukamy każdą teczką w tej cholernej piwnicy!

*

– Wciąż siedzą w biurze szeryfa? – zapytał Roscoe.

– Tak, proszą pana. Wciąż tam są – odparł Templeton Blair.

Roscoe zadzwonił do starego znajomego, który w dawnych czasach należał do Ku-Klux-Klanu. Ów znajomy znał właściwych ludzi, z którymi można się skontaktować w razie pewnego rodzaju kłopotów. Polecił mu Templetona Blaira, eksperta od radzenia sobie z nieprzyjemnymi sytuacjami.

– Już prawie dziewięta. Co jest, do cholery? Zamierzają zostać tam na noc?

– A jeśli znajdą to, czego szukają?

– Nie znajdują. I w tym problem. – Roscoe od dwudziestu lat płacił byłemu szeryfowi Aaronowi Bendallowi za milczenie. Co miesiąc posyłał mu czek. Popenił gruby błąd, ufając, że Bendall pozbędzie się akt. Rzecz jasna, zabrał je z biura szeryfa, ale ich nie zniszczył. Zatrzymał kopie i oryginały wszystkich dokumentów dotyczących masakry w Belle Rose i pochował je w sobie tylko znanych sejfach.

– Jeśli w piwnicy jest coś, czego nikt nie powinien znaleźć, dlaczego nie puścił pan całego budynku z dymem wiele lat temu? – spytał Templeton.

– Miałem swoje powody – odparł Wells. Nie było potrzeby podpalać policyjnego archiwum. Przynajmniej wtedy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś zacznie węszyć koło tej sprawy, i to po tylu latach.

– Kiedy mam się zająć...

– Jak najszybciej. Najpierw wyeliminuj z gry tego zarozumiałego sukinsyna. To powinno dać Jolie Royale do myślenia. Ale jeśli nie przestanie wtykać nosa tam, gdzie nie trzeba, nią też będziesz się musiał zająć.

– Rozumiem. Proszę się nie martwić, sprawa jest w dobrych rękach.

Roscoe trzasnął słuchawką. Do wszystkich diabłów! Czemu Theron Carter wrócił do Sumarville? Dlaczego nie został w Memphis w tej swojej ekskluzywnej kancelarii prawniczej? I jeszcze Jolie Royale! Kto by pomyślał, że Louis zapisze jej Belle Rose? Roscoe stawiał raczej na to, że zostawi plantacją Georgette. Facet miał kompletnego fioła na punkcie tej nowoorleańskiej kurewki.

Kiedy Theron i Jolie nie znajdują akt i zorientują się, że brakuje właśnie tych konkretnych dokumentów, domyśla się, że ktoś pozbył się ich celowo. Ale to ich nie powstrzyma. Będą kopać dalej. Dowiedzą się, że Bendall wciąż żyje, i postarają się go odszukać. A na to nie mógł pozwolić.

Roscoe kopnął kosz na śmieci przy biurku. Kosz przeleciał łukiem na drugi koniec pokoju, rozsypując po podłodze papierzyska.

Rozległo się pukanie.

– Tato, nic ci nie jest? Wydawało mi się, że słyszałem jakiś hałas. – Gar

otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku, synu – odparł Roscoe. – Po prostu przewróciłem kosz ze śmieciami.

– Nie przejmuj się. Zaraz posprzątam.

Gar schylił się, żeby podnieść kosz:

– Zostaw to cholerstwo – zagrmiał Roscoe. – Mattie się tym zajmie. Płacę jej za to, żeby po mnie sprzątała.

– W porządku – powiedział Gar. – Czy czegoś potrzebujesz? Chciałbym już się położyć.

Czy czegoś potrzebował? Jeszcze jak, do cholery! Potrzebował zniszczyć te piekielne akta. Powinien się zorientować, że kroi się coś niedobrego, kiedy tylko Theron wrócił do Sumarville. Gdyby parę miesięcy wcześniej nasłał kogoś, żeby włamał się do policyjnego archiwum i zniszczył trochę starych papierów, brak dokumentów o Belle Rose można by łatwo wytłumaczyć. Przekupienie Dentona nie wchodziło w grę. Facet był zbyt uczciwy. Gdyby można było go przekupić, Roscoe już dawno by to zrobił.

– Czy coś jest nie tak, tato?

– He?

– Wydajesz się rozkojarzony.

– Myślałem właśnie o przemówieniu, które przygotowuję. Idź spać, synu. Niczego mi nie trzeba.

Garland powiedział dobranoc, a potem wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Udany chłopak, pomyślał Roscoe o synu. Trochę zbyt naiwny jak na polityka i popełnił w życiu parę błędów, w tym jeden bardzo poważny. Ale mimo to był dobrym człowiekiem. Stał przy jego boku, kiedy inni go opuścili. Roscoe zrobiłby wszystko, żeby chronić syna. W jego obronie gotów był nawet zabić. Nie ma powodu, żeby ludzie kiedykolwiek poznali prawdę. Już on tego dopilnuje.

Rozdział 13

Nowell wszedł za Clarice do swojego mieszkania i zamknął drzwi. Clarice była trochę oszołomiona, nie odczuwała takiej mieszaniny podniecenia i niepewności od dnia, w którym po raz pierwszy kochała się z Jonathanem. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata, mieszkała w Memphis i pracowała w butik. Pewnego deszczowego wtorku do sklepu wszedł młody żołnierz na przepustce, który szukał prezentu urodzinowego dla matki. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Jonathan był przystojny i szarmancki. Po prostu oszalała na jego punkcie. Zareczyli się już po dwóch tygodniach i tego samego wieczoru kochali się po raz pierwszy. To były najszczęśliwsze dni jej życia. Trzy krótkie tygodnie. Pięć miesięcy i setki miłosnych listów później Jonathan zginął w wietnamskiej dżungli.

Nowell objął Clarice w pasie i przywarł piersią do jej pleców. Pieszcząc nosem jej szyję, szepnął:

– Kocham cię, kocham cię nad życie.

Odwróciła się powoli; ciepło jego uścisku spowijało ją niczym miękki kokon. Spojrzała mu w oczy, a to, co w nich dostrzegła, upewniło ją, że słowa, które wypowiedział, były prawdziwe. Nigdy nie powinna była w niego wątpić. Choć pojawił się w jej życiu tak nagle. Po prostu przyszedł pewnego dnia do Belle Rose i poprosił ją o spotkanie.

– Nazywam się Nowell Landers – powiedział – i byłem przyjacielem Jonathana Lenza. Służyliśmy razem w Wietnamie. Byłem przy nim, kiedy umierał.

Od czasów Jonathana nie spodobał jej się tak bardzo żaden mężczyzna, nic więc dziwnego, że wciąż znajdowała łączące ich cechy. Ten sam wzrost, podobna budowa, to samo przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu. A jednak różnili się od siebie na tyle, że zwykle nie miała problemu z ich rozpoznawaniem. Tylko czasem, kiedy była z Nowellem sam na sam – jak teraz – pragnęła, by okazali się tym samym człowiekiem. Oczywiście było to niemożliwe. Jonathan nie żył.

– Wyglądasz na zmartwioną. Rozchmurz się. – Nowell rozmasował kciukiem jej zmarszczone czoło.

– Przepraszam, myślałam właśnie o... nieważne – wspięła się na palce i pocałowała go lekko, zaledwie musnęła wargami jego usta.

– Myślałaś o Jonathanie, prawda?

Wzięła Nowella za rękę.

– Nie bądź zazdrosny. Kochałam Jonathana, ale opuścił mnie już dawno temu.

– Wciąż go kochasz.

– Ja... tak. Ale ciebie też kocham. A nigdy nie sądziłam, że znowu znajdę miłość.

– Już dobrze, kochanie. – Ujął jej twarz w potężne dłonie. – Nie przeszkadza mi, jeżeli kochasz nas obu. Twoje serce jest dostatecznie duże.

– Jesteś taki dobry. Taki wyrozumiały. – Ścisnęła jego dłoń. – Myślałam, że

przyprowadziłeś mnie tu, żeby mnie zbałamucić.

– Chcę się z tobą kochać – rzekł z uśmiechem – ale tylko jeśli ty też tego chcesz.

– Chcę – zapewniła. – Bardziej niż czeokolwiek na świecie.

Objął ją czule. Westchnąwszy z rozkoszy, zaplotła mu ręce wokół szyi i oparła głowę na jego ramieniu. Przeniósł ją przez salon do sypialni, a potem położył na nakrytym brązową kapą łóżku.

– Nie byłam z mężczyzną od lat – wyznała. – Od czasu...

– Z nikim? Z nikim od czasów Jonathana?

– Tak... aż do teraz.

– Boże, Clarice.

Zaskoczyły ją i jednocześnie głęboko wzruszyły łzy w jego oczach. Płacz tak bardzo nie pasował do tego potężnego, silnego mężczyzny. Wyciągnęła do niego ramiona.

– Kochaj się ze mną.

Był namiętny, a zarazem bardzo delikatny, jakby chciał jej okazać, jak wiele dla niego znaczy.

– Kocham cię – wyszeptał, kiedy zdjął jej bluzkę i odpiął sprzączkę stanika.

Czy nie powinnam czuć choćby odrobiny wstydu? – zastanawiała się. Nie powinnam się martwić, że będzie zawiedziony, gdy zobaczy moje chude sześćdziesięcioletnie ciało? Ale nie czuła ani wstydu, ani niepewności, gdy zdejmował z niej kolejne części garderoby, pieszcząc ją, całując i zasypując komplementami. Kiedy była już naga, wstał i sam się rozebrał. Był wysoki, barczysty i bardzo owłosiony. Spojrzała na jego męskość. Tam też wyglądał jak Jonathan. Choć mało doświadczona, wiedziała o mężczyznach dość dużo, by zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy są równie szczerze obdarzeni przez naturę.

– Jeśli nie przestaniesz tak na mnie patrzeć – wychrypiał – nie będę w stanie dłużej czekać. A chcę czekać. Chcę kochać się z tobą bardzo, bardzo długo.

Clarice przełknęła ślinę, pobudzona obietnicą rychłej rozkoszy.

Nowell osunął się na nią. Jego wargi przebiegły po jej szyi i zatrzymały się na piersiach. Zadrzała z rozkoszy. Pokrywał pocałunkami każdy centymetr jej ciała, a ona pieściła jego owłosiony tors i potężne bicepsy, jego członek. Kiedy ujęła w dłoń jego męskość, westchnął chrapliwie, lecz nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją powstrzymać. Dziwne, jakie wszystko było znajome, jego smak, dotyk, brzmienie jego ciężkiego oddechu. Uprawianie miłości musi być jak jazda na rowerze, pomyślała, nigdy się jej nie zapomina.

Kiedy język Nowella dotarł do intymnego zakątka między jej udami, wypchnęła biodra do góry na spotkanie jego ust. Zanim zorientowała się, co się dzieje, jej ciało drżało oblewane falami rozkoszy. Ledwie zdążyła uspokoić oddech, uniósł lędźwie i wszedł w nią. Powoli, ostrożnie, centymetr po centymetrze zanurzał się coraz głębiej. Oplotła nogami jego biodra i po chwili poruszali się w jednym rytmie.

Wreszcie wydał z siebie głośny, niemal zwierzęcy okrzyk.

– Kocham cię, Ricie. – Zsunął się z niej i położył obok.

Nie protestowała, gdy przyciągnął ją do siebie i przytulił. Leżała z bijącym dziko sercem, z głową wypełnioną chaotycznymi myślami. Nazwał ją Ricie, a tylko Jonathan tak ją nazywał. Tylko on. Czy to możliwe, że Jonathan podzielił się czymś tak intymnym nawet z towarzyszem broni? Nie, nie zrobiłby tego. A to oznacza, że... Och, Clarice, nie wolno ci tak myśleć. To szaleństwo. Zaakceptuj Nowella za to, kim jest, i bądź wdzięczna, że znowu znalazłaś miłość. Nie żądaj niemożliwego.

*

Zmęczona, brudna i lekko oszołomiona po wypiciu Bóg wie ilu kaw Jolie opadła głową na blat biurka.

– Okej, poddaję się – jęknęła. – Przeszukaliśmy każdy centymetr tej piwnicy, każdą kartotekę, każdą półkę, zajrzeliśmy we wszystkie zakamarki. Nie ma tu żadnych akt dotyczących masakry w Belle Rose.

Theron odchylił się na krzesło i splótł dłonie za głowę.

– Albo ktoś je zabrał, prawdopodobnie wiele lat temu, albo zostały zniszczone. To zresztą bez znaczenia. Bez tych akt...

– Nie mów tak. – Jolie uniosła głowę i popatrzyła na niego. – Musi istnieć jakiś inny sposób, żeby doprowadzić do wznowienia śledztwa. Zniknięcie dokumentów jest bardzo znaczące.

– Ale czego dowodzi? – spytał. – Niekompetencji? Wszędzie giną dokumenty. Nie mamy żadnego dowodu, że zostały wyniesione albo zniszczone.

– W takim razie musimy wykombinować, jak zebrać dowody. Odszukać szeryfa Bendalla, jeśli jeszcze żyje. Porozmawiać z jego podwładnymi. Minęło dopiero dwadzieścia lat. Większość z nich prawdopodobnie wciąż mieszka w pobliżu. No i jest jeszcze dokumentacja Biura Przepływów Kryminalnych. Detektyw, który przyjechał do Sumarville, musiał napisać jakiś raport. Trzeba się tylko dowiedzieć, jak się nazywa i gdzie teraz mieszka.

– Jestem za bardzo zmęczony, żeby dzisiaj o tym myśleć. – Theron spojrzął na zegarek. – Kurczę, dochodzi jedenasta. – Wstał. – Wracajmy do domu. Przyjdziesz tu jutro i spróbujemy uporać się z tym bajzłem. Zaplanujemy nową strategię.

Jolie podniosła się z krzesła.

– Nie jestem przyzwyczajona do długiego siedzenia. Bolą mnie całe plecy.

Kiedy ruszyli w kierunku schodów, Theron położył jej dłoń na ramieniu.

– Weź długą gorącą kąpiel, połóż się do łóżka i dobrze się wyśpij. Z samego rana wykonam kilka telefonów i dowiem się, gdzie przebywają ludzie, którzy brali udział w śledztwie. Gdy tylko zdobędę jakieś informacje, dam ci znać.

– To już jest jakiś plan – odparła.

Na gorze pożegnali się z funkcjonariuszami pełniącymi służbę, wyszli z budynku

i ruszyli do swoich samochodów. Gdy Jolie otwierała drzwiczki swojego escalade, Theron zawołał:

– Ike miał rację, kiedy powiedział, że ktoś naciska Larry'ego Newmana. Prawdopodobnie ta sama osoba doprowadziła do zniknięcia akt. A ponieważ nie mamy pojęcia, czy wyparowały wiele lat temu, czy niedawno...

– Co sugerujesz?

– Jeśli dokumenty zniknęły niedawno, to podejrzewam, że stoi za tym Roscoe Wells albo Max Devereaux.

– A jeśli usunięto je dwadzieścia lat temu? – Wstrzymała oddech. Znała odpowiedź, ale chciała ją usłyszeć z ust Theron.

– W takim wypadku stawiałbym albo na Roscoe'a, albo... – zawahał się na ułamek sekundy – na Louisa Royale'a.

– Po co tata miałby... O, mój Boże. Żeby chronić Georgette.

– Albo jej syna.

*

Georgette nie mogła zasnąć. Bała się i była taka samotna. Z Louistem nigdy nie czuła lęku. Znał ją, doskonale rozumiał i kochał bezwarunkowo. Teraz, gdy Louis odszedł, mogła liczyć na Maksa. Ale jej syn nie znał kobiety, którą kiedyś była, więc nie mógł jej wesprzeć w walce z potworami zamieszkującymi jej duszę.

Pokój tonął w mroku. Georgette zapaliła nocną lampkę, wstała z łóżka i, otuliwszy się w jedwabny szlafrok, podeszła do przeszklonych drzwi na balkon.

Jako młoda dziewczyna oddawała swoje ciało każdemu mężczyźnie, który zapłacił właściwą cenę, ale marzyła o domu takim jak ten, o służbie gotowej na każde skinienie i o pieniądzech, które zaspokajałyby wszystkie jej zachcianki. I o księciu, który po nią przyjedzie. Philip Devereaux był jej księciem. Korzystał z jej usług przez kilka lat, zawsze gdy odwiedzał Nowy Orlean, i zakochał się w niej. Oddała mu kawałek swojego serca i rękę i zamieszkała z nim w Sumarville. Jego dom był ładny, o niebo lepszy od innych, które znała, ale nie mógł się równać z Belle Rose.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła Louisa Royale'a, wiedziała, że jest zupełnie niepodobny do innych mężczyzn. A gdy pierwszy raz jej dotknął, zrozumiała, że była mu przeznaczona, że nikomu nie mogłaby się oddać tak jak jemu. Oddała Louisowi całe serce, kochała go tak mocno, że przeszło to jej najśmielsze wyobrażenia. A on kochał ją – ciałem, sercem, a nawet duszą.

– Ale ja nie mogłam ci dać mojej duszy, prawda, kochanie? – wyszeptwała Georgette, wychodząc na balkon. – Gdy się kogoś zabije, gdy odbierze się komuś życie, traci się duszę.

Rozdział 14

Theron włączył silnik swojego ferrari, opuścił boczną szybę, żeby pozbyć się dusznego, gorącego powietrza, które zebrało się w samochodzie w czasie popołudnia, i ustawił klimatyzację na niższą temperaturę. We wstecznym lusterku widział, jak półterenowy wóz Jolie wyjeżdża z parkingu. Wystawiła rękę za okno i pomachała mu na pożegnanie. Zabawne, że przyjaźń zawarta w dzieciństwie i niekultywowana od wielu lat pozostała tak silna. Odkrycie, że mają wspólny cel – naprawienie niegodziwości z przeszłości – musiało ich do siebie zbliżyć. Ale czy był to jedyny powód jego więzi z Jolie? „To tylko plotka. Wiecie, jak ludzie lubią obmawiać innych. Mówili, że pan Sam Desmond i Sadie Fuqua byli...” Słowa Ike'a pobrzmiwały w jego głowie raz za razem niczym zacinająca się płyta. Nie chciał uwierzyć, że Sam Desmond spłodził bliźnięta jego babki, a jego matka była przyrodnią siostrą panien Desmond. Czasem zastanawiał go jasny odcień skóry matki i orzechowe oczy, które po niej odziedziczył, uznał jednak, że domieszka białej krwi, która krążyła w jego żyłach, pochodziła sprzed wielu pokoleń.

Jeśli była to prawda, dlaczego matka mu o tym nie powiedziała? I dlaczego nigdy wcześniej nie słyszał tej plotki?

Theron sięgnął po komórkę, wyjął z kieszeni koszuli kartkę z zapisanym dziś rano numerem i wstukał kolejne cyfry. Powiedziała, że do północy może dzwonić.

Odebrała po piątym sygnale.

– Halo.

– Amy, przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...

– Nie szkodzi, jest przed dwunastą. Jeszcze się nie położyłam.

Podobał mu się jej głos. Był łagodny, miękki, trochę za wysoki, jak u małej dziewczynki. Ale Amy Jardien nie była dziewczynką. Była stuprocentową kobietą. Piękną, inteligentną i wykształconą. Taką, jakie lubił.

– Pewnie już za późno, żebyśmy do siebie wpadł.

Roześmiała się dźwięcznie.

– Obawiam się, że tak.

Theron zasunął szybę, wrzucił tylny bieg i wyjechał z parkingu. Trzymając telefon między uchem i barkiem, ruszył w stronę Main Street.

– A co powiesz na jutrzejszy wieczór? – spytał.

– Mianowicie?

– Może zjesz ze mną kolację? Powiedzmy, około wpół do siódmej?

– O szóstej zaczynam obchód. Ale jeśli pasuje ci wpół do ósmej, to jesteśmy umówieni.

– W takim razie wpół do ósmej. – Skręcając z Main w Oak Avenue, Theron zauważył z tyłu światła samochodu. Paręnaście sekund później nieznajomy skręcił w tę samą ulicę. – Masz jakieś preferencje co do kuchni? Lubisz włoską? Chińską?

A może domową?

– Wybór zostawiam tobie – odparła. – Nie jestem wybredna i obawiam się, że widać to po moich biodrach.

– Mnie się podobają. – Uśmiechnął się, słysząc, jak wzdycha. – Skoro już o tym mowa, wszystko mi się w tobie podoba. I to bardzo.

– No, no, panie Carter, nie zdawałam sobie sprawy, że taki z pana komplementarz. Chociaż powinnam się spodziewać, skoro jest pan adwokatem.

– Amy?

– Tak?

Theron znowu skrzył, tym razem z Oak Avenue w Pinewood, ulicę, przy której wynajmował mieszkanie w bliźniaku. Instynktownie zerknął we wsteczne lustro. Ani śladu reflektorów. Poczul ulgę. Dlaczego w ogóle tak się przejął? Chyba nie sądził, że ktoś go śledzi?

– Mieszkasz w Sumarville całe życie, więc zastanawiałem się... – Zawahał się. Czy powinien pytać o stare plotki? – Nie, nieważne.

– Nad czym się zastanawiałeś?

Theron zatrzymał wóz na podjeździe przy domu.

– Słyszałem dzisiaj plotkę... starą plotkę. O mojej babce.

– Tak?

– Ike Denton wspomniał, że... Czy słyszałaś, żeby ludzie mówili, że moja mama jest córką Sama Desmonda?

Amy wzięła głęboki oddech.

– Amy?

Theron rozpiął pasy, otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.

– Chodzi ci o to, że nie wiesz, czy to prawda, czy kłamstwo? – odparła w końcu. – Jeśli prawda, to czy matka nie powiedziała ci o tym?

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Zatrzasnąwszy drzwiczki samochodu, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać klucza do mieszkania.

– Nie, nigdy nie słyszałam tej plotki. Chociaż czekaj, pamiętam, jak moja matka powiedziała kiedyś coś, co wydało mi się dziwne.

– Co to było? – Ruszył chodnikiem w kierunku frontowych drzwi.

– Podслуchałam, jak rodzice rozmawiali wkrótce po masakrze w Belle Rose, i mama powiedziała, że gdyby chodziło o kogo innego, nigdy by w to nie uwierzyła, ale Lisette Desmond była kobietą, która wzięłaby na kochanka nawet własnego brata. Zastanawiałam się, o co jej chodzi, bo Desmondówny nie miały brata.

– Mój Boże!

– Nie powinienes wyciągać pochopnych wniosków – zaznaczyła Amy. – Zapytaj matkę. Powie ci prawdę.

Theron już miał wsunąć klucz do zamka, gdy usłyszał podjeżdżający samochód i obejrzał się przez ramię. Ciemny sedan zaparkował na krawężniku tuż przed

domem.

– Amy, poczekasz chwilę? – zapytał. – Zaraz...

Z wozu wysiadło trzech mężczyzn. Białych.

– Amy, zadzwoń na policję i powiedz, żeby posłali radiowóz na Pinewood 118-B.

Trzej biali faceci o wyglądzie chuliganów wychowanych w przyczepach campingowych ruszyli w stronę domu. To oznaczało kłopoty. Duże kłopoty.

– Theron, co się dzieje?

– Zrób, co mówię!

Cholerny klucz był do góry nogami!

Nie rozłączając rozmowy, przypiął komórkę do pasa i odwrócił się twarzą do nieznajomych. Nie miał czasu, żeby otworzyć drzwi, wejść do środka i zaryglować się w domu.

– Dobry wieczór – powiedział jeden z mężczyzn, najwyższy z całej trójki.

– Witam – odparł Theron, zbierając w sobie odwagę. – W czym mogę pomóc?

Nie starali się ukryć twarzy, nie zrobili niczego, by mu przeszkodzić w późniejszym rozpoznaniu. To mogło oznaczać dwie rzeczy: albo wcale nie chcieli go skrzywdzić, albo zamierzali go zabić.

*

Jolie zatrzymała się przed zamkniętą bramą, opuściła szybę, wyciągnęła rękę i wstukała szyfr, który podała jej ciocia Clarice. Zdążyła się nauczyć kodów alarmowych do bramy i do domu. Kiedy ojciec zainstalował w Belle Rose system zabezpieczający przed wtargnięciem na teren plantacji? Na pewno nie natychmiast po morderstwach, musiał to zrobić, kiedy już wyjechała z Sumarville. Czyżby się obawiał, że ktoś może skrzywdzić jego rodzinę?

Podjeżdżając do rezydencji, zauważyła, że na parterze wciąż palą się światła. Czyżby ktoś zostawił zapalone światło specjalnie dla niej? Może ciocia Clarice?

Zaparkowała samochód na podjeździe. Jutro powie Maksowi, żeby zrobił w garażu miejsce dla jej auta. Nie obchodziło jej, czyj wóz trzeba będzie stamtąd usunąć. Najchętniej pozbyłaby się mercedesa Georgette, ale podejrzewała, że Max prędzej wystawi na zewnątrz własne porsche. Zamknęła samochód i nadal z kluczami w dłoni wspięła się po schodkach na frontową werandę.

Ledwie wsunęła klucz do zamka, usłyszała głos:

– Wracasz do domu dość późno, co?

Drgnąwszy nerwowo, Jolie odwróciła się w poszukiwaniu mężczyzny, który się odezwał. Wrzuciła klucze do kieszeni lnianego żakietu i ruszyła wzdłuż werandy. Z nogą na nodze, w niedbałej pozie starego domownika, na jednym z bujanych foteli siedział Max. Jego błękitna koszula była rozpięta i zwisała luźno na biodra. Zmierzyła go wzrokiem od mokrych włosów – najwyraźniej właśnie wziął prysznic – aż po bosa stopy.

– Czekasz na mnie, najdroższy braciszku?

– Być może.

Nie widziała wyraźnie jego oczu, więc czuła się trochę niepewnie. Odkryła, że najłatwiej przewidzieć reakcje Maksa, przyglądając się jego stalowoniebieskim oczom.

Zdjęła pomięty żakiet, powiesiła na oparciu drugiego bujanego fotela i usiadła.

– Czy wszyscy już śpią?

– Moja matka i Mallory są w swoich pokojach – odparł. – Wujek Parry kilka nocy w tygodniu spędza poza domem. A ciocia Clarice jeszcze nie wróciła z randki z Nowellem Landerssem.

– Nie lubisz Landersa, prawda?

– Nie ufam mu.

– Czemu? – Jolie zaczęła się bujać.

– Chcę czegoś od cioci Clarice. Nie potrafię tylko dojść, czego. Prawdopodobnie pieniędzy.

– A nie przyszło ci do głowy, że po prostu jest tym, za kogo się podaje, i pragnie samej Clarice?

– Nie wiedziałem, że jesteś romantyczką.

Raczej wyczuła, niż usłyszała rozbawienie w jego głosie.

– Nie jestem romantyczką, w każdym razie nie do końca. Ale nie jestem również przesadnie podejrzliwa. Nie kwestionuję motywów wszystkich dookoła... chyba że dają mi do tego powód.

Odrzucił głowę w jej stronę i światło z okna padło na jego twarz. Zauważyła, że się uśmiecha.

– Może przejmiesz opiekę nad ciotką, skoro zostajesz w Belle Rose.

– Nie sądzę, żeby Clarice potrzebowała opiekuna. Jest trochę bardziej zbzikowana niż większość ludzi, ale nie jest wariatką.

– Wcale nie powiedziałem, że jest wariatką. Ale stanowi łatwy łup dla oszusta, który twierdzi, że był przy śmierci jej ukochanego Jonathana.

Gdyby miała trochę mniej oleju w głowie, przysięgłaby, że Maksowi naprawdę zależy na cioci Clarice. Ale było to niemożliwe. Max Devereaux jest bezdusznym draniem.

– Może Landers naprawdę był przy śmierci Jonathana.

Max pokręcił głową.

– Jakiś miesiąc temu Louis poprosił, żebym sprawdził Nowella Landersa. W oddziale Jonathana nie było nikogo o tym nazwisku. Żaden Nowell Landers nie służył w Wietnamie w tym samym czasie co Jonathan.

– Ach, tak. – Popatrzyła mu w oczy. – Powiedziałeś jej o tym? Czy ciotka wie, że Landers ją okłamał?

– Powiedziałem. A ona stwierdziła, że to musi być pomyłka, że mam złe

informacje.

– A rozmawiałeś o tym z Landersem?

– Jeszcze nie. Byłem zajęty pilniejszymi sprawami. Chorobą, a potem śmiercią Louisa, by wymienić dwie najważniejsze.

No tak, Max był prawą ręką Louisa Royale'a, synem, którego jej ojciec zawsze pragnął, a nigdy nie miał. Jego następcą w świecie polityki i biznesu Południa, osobą, która przejmie jego pozycję i wpływy.

– Biorąc pod uwagę, jak bardzo się do siebie zbliżyliście, dziwię się, że nie nazywałeś go „tata”.

– Miałem dziewiętnaście lat, kiedy ożenił się z moją matką – odparł Max spokojnym, pozbawionym emocji tonem. – Poza tym ojcem zawsze będzie dla mnie Philip Devereaux.

– Hm. Pamiętam Philipa. Był cichym, nieśmiałym człowiekiem. Bardzo pocziwym. – Wychyliła się przez poręcz fotela i spojrzała Maksowi w oczy. – Co się stało z nienawiścią którą czułeś do mojego ojca? Przecież zawsze uważałeś, że gdyby nie poinformował policji, że Philip zdefraudował pieniądze w ich spółkach, Devereaux nie popełniłby samobójstwa.

Max milczał przez chwilę. Wokół rozbrzmiewało monotonne brzęczenie cykad, przypominając Jolie letnie wieczory z dzieciństwa, gdy siedziała z rodziną na ganku lub uganiała się za robaczkami świętojańskimi po ogrodzie. Lecz oprócz znajomego letniego chóru słyszała oddech Maksa. Nagle ogarnęła ją przemożna chęć, by go dotknąć; położyć dłoń na jego piersi, poczuć miarowe bicie jego serca.

– Zrobiłem dla Louisa to, czego ty odmówiłaś mojej matce – powiedział Max dziwnie łagodnym głosem.

– Co? – Wyczuwała promieniującą od niego aurę żalu i cierpienia, ale było to doznanie tak subtelne, że może przeżywała je tylko w wyobraźni.

– Dałem mu szansę. Zdobyłem się na to, by go poznać, przekonać się, jaki jest naprawdę. Kiedy nasi rodzice wzięli ślub i matka błagała, żebym przeniósł się z nimi do Belle Rose, zgodziłem się. Zrobiłem to dla niej. Ale z każdym mijającym rokiem nienawiść, jaką żywiłem do Louisa, zmieniała się najpierw w rezerwę i szacunek, potem w sympatię, aż wreszcie... Jedynym niegodnym postępkim Louisa było zaangażowanie się w romans z moją matką, gdy twoja wciąż żyła.

– I kiedy żył jeszcze Philip Devereaux.

– Nie, ich romans zaczął się dopiero po jego śmierci.

– Skąd wiesz?

– Matka i Louis powiedzieli mi o tym.

– I uwierzyłeś?

– Tak. Louis nigdy mnie nie okłamał. Nigdy.

– Okłamywał moją matkę za każdym razem, gdy zdradzał ją z Georgette.

Jolie wstała z fotela, podeszła do skraj ganka i oparła się o jedną z kolumn

podpierających balkon na piętrze. Cały gniew i ból, i okropne poczucie zdrady, jakie ogarnęły ją gdy przez brudną szybę zajrzała do leśnej chatki, powróciły nagle z całą mocą. Powrócił też obraz, równie wyraźny jak wtedy – nagie pośladki ojca unoszące się i opadające między rozłożonymi udami Georgette Devereaux.

– Widziałam ich – wyszeptła zdławionym głosem.

– Kogo? – zapytał Max.

– Twoją matkę i mojego ojca. W starej chacie w lesie. Wiesz, w tej, do której zabierałeś kiedyś Felicię.

Max podniósł się z fotela i stanął za jej plecami. Czuła jego żar, jego przemożną męską obecność.

– Widziałaś, jak Louis i moja matka się kochają? – zapytał.

– Tak. Widziałam ich. Widziałam, jak się pieprzą... w dniu masakry w Belle Rose. I kiedy odzyskałam przytomność w szpitalu, powiedziałam o tym tacie.

Potężne dłonie zacisnęły się na jej barkach, lecz jego dotyk był niezwykle delikatny.

– Ile lat wtedy miałaś? Czternaście? Musiałaś przeżyć nieprawdopodobny wstrząs. – Zacisnął dłonie odrobinę mocniej i przyciągnął ją łagodnie do siebie. – Pobiegnąłeś prosto do domu, żeby... co chciałeś zrobić? Powiedzieć wszystko matce? I wtedy znalazłaś ich ciała. Właśnie wtedy zostałeś postrzelony i ledwo uszłaś z życiem.

Jego ciepły oddech muskał jej kark. Był tak blisko. Tak bardzo blisko. Łzy stanęły jej w oczach, płacz ścisnął gardło. Odetchnęła głęboko.

– Była sobota – powiedziała. – Tata powinien być w domu z moją matką, a nie gzić się w leśnej chacie z Georgette! – Odwróciła się nagle, wrywając mu się. Spojrzała na niego pałającym wzrokiem. – Gdyby tamtego dnia mój ojciec był w domu z żoną, tak jak powinien, mógłby powstrzymać mordercę. Mógł ocalić życie mamie, cioci Lisette i...

Chwyił jej ramiona z brutalną siłą, jego palce wpiły się w jej skórę.

– Obwiniałaś ich przez te wszystkie lata, obwiniałaś o to, co się stało tamtego dnia w Belle Rose.

– Tak, obwiniałam ich. Gdyby nie byli wtedy razem, gdyby tata był tutaj... Gdyby Georgette trzymała się od niego z daleka, gdyby zostawiła go w spokoju, tata nigdy by nie... on kochał moją mamę.

Popatrzyli sobie w oczy. Jolie zdała sobie nagle sprawę, że nie może odwrócić spojrzenia. Jego wzrok działał jak zaklęcie, z którego nie sposób się wyrwać.

– Jestem pewien, że kochał twoją matkę, kiedy brali ślub – powiedział Max, a w jego głosie zabrzmiała dziwnie zmysłowa nuta. – Ale w małżeństwie bywa różnie. Ludzie się zmieniają. Uczucia się zmieniają.

– Ale nie powinno tak być. Jeśli naprawdę się kogoś kocha...

– Louis nie kochał Audrey Desmond w sposób, w jaki kochał moją matkę.

Nigdy nie widziałem dwojga ludzi zakochanych w sobie tak namiętnie, jak Louis i Georgette. Kiedyś powiedziała mi, że są sobie potrzebni jak powietrze, którym oddychają. Masz choćby przybliżone pojęcie, jakie to uczucie? Wiesz, co mężczyzna i kobieta, którzy pragną siebie tak bardzo, zrobiliby, żeby być razem?

– Nie. – Wszystkie nerwy w ciele Jolie krzyczały na alarm. — A ty wiesz? Właśnie tak było z tobą i Felicią?

– Nie! Ta suka nie kochała nikogo oprócz siebie samej. – Max przesunął dłonie w dół i w górę jej nagich ramion.

Żar eksplodował w niej, gdy ich ciała się zetknęły. Mimowolnie uniosła rękę, położyła mu na piersi i poczuła dudniące bicie jego serca. Popatrzyli sobie w oczy. Max pochylił głowę.

Zadzwoił telefon. Max zeszytniał. Jolie wstrzymała oddech. Telefon wciąż dzwonił.

– To w domu – powiedział Max. – Lepiej odbiorę.

Pokiwała głową. Puścił ją, odwrócił się i pośpiesznym krokiem ruszył do przeszklonych drzwi prowadzących do salonu. Gdy tylko zniknął jej z pola widzenia, zaczęła chwytać nerwowo powietrze. Boże drogi, co się przed chwilą stało? Czy Max próbował ją pocałować? I, co ważniejsze, czy chciała, żeby ją pocałował?

– Jolie! – zawołał Max od drzwi. Odwróciła się z wysiłkiem.

– Tak?

– To Yvonne. Wpadła w histerię. Zdaje się, że Theron miał wypadek. Policja właśnie ją zawiadomiła.

– Dobry Boże, nie!

– Powiedziałem Yvonne, że nie może prowadzić w takim stanie i że zawieziemy ją do szpitala.

– Tak, oczywiście. – Jolie podniosła żakiet z fotela i ruszyła w stronę Maksa. Czowała się jak w transie.

Stała w drzwiach salonu i patrzyła, jak Max pośpiesznie wkłada skarpetki i buty, które musiał tu zostawić, zanim wyszedł na ganek. Zapiął guziki koszuli i wepchnął poły w dzinsy, po czym chwycił Jolie za ramię, zaciągnął w głąb pokoju i zamknął drzwi na werandę. Zachwiała się lekko, gdy ją puścił.

– Pojedziemy twoim wozem – powiedział, otwierając mahoniowy sekretarzyk, z którego wyciągnął długopis i kartkę papieru i zaczął coś pisać.

– Co robisz?

– Piszę liścik, żeby matka, Mallory i ciocia Clarice wiedziały, gdzie jesteśmy.

Zostawiwszy notatkę na blacie sekretarzyka, złapał Jolie za rękę i pociągnął za sobą na korytarz.

– Daj mi klucze – rozkazał.

– Dlaczego?

– Nie dyskutuj, tylko daj mi te cholerne klucze. Szkoda czasu.

Wyjęła klucze z kieszeni i podała mu.

– Czy to był wypadek samochodowy?

– Co? – Przy frontowym wyjściu Max wprowadził szyfr do alarmu, po czym wypchnął Jolie na zewnątrz i, używając jej kluczy, zamknął za nimi drzwi.

– Wypadek Therona – czy to stłuczka samochodowa?

– Nie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Policja powiedziała Yvonne, że Theron został pobity... prawie skatowali go na śmierć.

Rozdział 15

Jolie nienawidziła szpitali, odkąd spędziła ponad miesiąc w Okręgowym Szpitalu Ogólnym w Sumarville dwadzieścia lat temu. Szpitalne zapachy, odgłosy, specyficzna atmosfera, wszystko to przywodziło na myśl śmierć i cierpienie. Wolałaby być gdziekolwiek indziej, byle nie tu. Choć budynek został zmodernizowany, zachował oryginalny charakter, wzbudzając w Jolie upiorne wrażenie swojskości.

Max pojechał zaparkować samochód, a ona z Yvonne popędziły na ostry dyżur. Dowiedziały się, że Theron został zabrany na salę operacyjną zaraz po przywiezieniu. Po chwili Max do nich dołączył i poprowadził korytarzem do najbliższej windy.

– Max, proszę, dowiedz się, co się stało – Yvonne trzymała się kurczowo ręki Jolie. – Policjant, który dzwonił... nie pamiętam jego nazwiska... powiedział, że Theron został strasznie pobity. – Jęknęła, usiłując zapanować nad sobą i nie wybuchnąć histerycznym płaczem.

– Wszystkim się zajmę – zapewnił ją Max. – Gdy tylko dojdziemy do poczekalni przy chirurgii, porozmawiam z pielęgniarką i dowiem się, jak poważne są obrażenia. – Położył dłoń na ramieniu Yvonne i poklepał ją pocieszająco. – Potem skontaktuję się z komisarzem Harperem i wypytam dokładnie, co się stało.

– Dziękuję – wyszeptała łamiącym się głosem.

Rozsunęły się drzwi windy. Jolie starała się dotrzymać kroku Yvonne, która ruszyła pośpiesznie za Maksem na korytarz, a potem do niewielkiej poczekalni na oddziale chirurgii. Dwie bliźniacze sofy stały przy ścianach po obu stronach drzwi, a przy dużym oknie z zaciągniętymi aluminiowymi żaluzjami ustawiono stolik i kilka krzeseł.

– Zostańcie tu – powiedział Max – a ja spróbuję się czegoś dowiedzieć. W tym momencie w drzwiach pojawił się policjant.

– Pani Carter? – zapytał młody czarnoskóry funkcjonariusz. Yvonne drgnęła, odwracając się do niego.

– Tak, to ja.

– Bardzo mi przykro z powodu pani syna – powiedział. Jolie przeczytała nazwisko na plakietce na jego piersi: T. CURRY.

– Czy mógłby pan powiedzieć, co się wydarzyło? Czy Therona naprawdę pobito? Gdzie to się stało? Kto mógł zrobić coś tak...

– Daj panu Curry'emu dojść do głosu. – Max położył dłoń na jej plecach.

Jego dotyk powinien był uruchomić w niej mechanizm ostrzegawczy, ale tak się nie stało. Z jakiegoś powodu łagodny dotyk jego ręki wydawał się całkiem naturalny. Jakby byli starymi przyjaciółmi. Albo kochankami.

Curry potrząsnął głową, unikając wzroku Yvonne, po czym spojrzał na Maksa.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie od pani doktor Jardien o jedenastej dwadzieścia pięć...

– Od Amy Jardien? – spytała Yvonne.

– Tak, proszę pani – potwierdził policjant. – Pan Carter zadzwonił do niej ze swojego telefonu komórkowego i aparat wciąż był włączony, kiedy do tego doszło. Powiedział jej, żeby zadzwoniła natychmiast na policję, ale nie wyjaśnił, o co dokładnie chodzi. Po chwili pani Jardien usłyszała szamotaninę, obelgi, kilka rasistowskich wyzwisk... była pewna, że słyszy kilka głosów. Co najmniej dwa, może trzy, oprócz głosu pana Cartera.

– O, mój Boże. – Yvonne splotła dłonie w modlitewnym geście. Max wskazał głową drzwi.

– Może wyjdziemy na zewnątrz, panie Curry.

– Nie! – Yvonne chwyciła go za ramię. – Chcę usłyszeć resztę. Chcę wiedzieć, co się stało.

– Jesteś pewna? – spytał Max. – Mógłbym...

– Tak, jestem pewna – odparła. Policjant potarł dłonią podbródek.

– Kiedy przyjechaliśmy, pan Carter leżał na chodniku przed drzwiami swojego domu. W pierwszej chwili myśleliśmy, że nie żyje... – Curry odchrząknął – ale był tylko nieprzytomny. Od razu nie mieliśmy wątpliwości, że został pobity. Był zakrwawiony i... Karetka przyjechała parę minut po nas i natychmiast przewieźliśmy go do szpitala.

– A co z tymi, którzy go napadli? – zapytał Max. – Złapaliście ich?

Curry pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Kiedy się zjawiliśmy, w pobliżu nie było już żywego ducha, tylko kobieta, która mieszka w domku obok. Usłyszała hałasy i wyjrzała przez okno. Powiedziała, że zobaczyła trzech białych mężczyzn biegnących do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Nie była w stanie opisać żadnego z nich ani samego pojazdu. Latarnia stoi dopiero na rogu po drugiej stronie ulicy, więc miała ograniczoną widoczność. Poza tym pani Fredericks nosi okulary, a nie zdążyła ich założyć. Dopiero co wstała z łóżka, żeby sprawdzić, co to za hałasy.

– Obawiałam się, że może dojść do czegoś podobnego – powiedziała Yvonne. – Mówiłam mu – spojrzała na Jolie – obojgu wam mówiłam, na co się narażacie.

– Czego się obawiałaś? – zapytał Max. – Czym Theron i Jolie narażili się na niebezpieczeństwo?

– Yvonne, nie możesz mieć pewności, że między jednym a drugim jest jakiś związek – zauważyła Jolie.

– Oczywiście, że jest! – wybuchła Yvonne. – Tylko nie myślałam, że dojdzie do tego tak szybko.

– Czy mogłyby mi panie wyjaśnić, o co chodzi? – spytał policjant. – Możliwe, że to pomoże nam w śledztwie.

Yvonne podeszła do stolika przy oknie i usiadła na jednym z krzeseł. Zamknęła oczy i złożony ręce na kolanach, zaczęła poruszać bezgłośnie wargami. Modli się, pomyślała Jolie.

Spojrzała na Curry'ego.

– Theron jest przekonany, że jego wuj, Lemar Fuqua, nie był sprawcą masakry w Belle Rose. Zamierza udowodnić, że ktoś inny zabił moją matkę, ciotkę... i samego Lemara.

Max wydał z siebie pomruk niezadowolenia. Jolie spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

– Więc pani to Jolie Royale? – zapytał Curry. – Jedyna ofiara, która przeżyła masakrę w Belle Rose?

– Tak. I zgadzam się z Theronem, że Lemar Fuqua nie był zabójcą. Oboje chcemy doprowadzić do wznowienia śledztwa. Chcemy znaleźć i ukarać prawdziwego mordercę, i przywrócić Lemarowi dobre imię. Wczoraj po południu prokurator okręgowy Newman dał nam zgodę na przejrzanie wszystkich dokumentów dotyczących sprawy Belle Rose. Theron i ja pracowaliśmy do jedenastej wieczorem w piwnicy biura szeryfa, wertując stare akta.

– Sugeruje pani, że istnieje związek między masakrą w Belle Rose a tym, co przytrafiło się panu Carterowi? – spytał Curry.

– Trudno mieć pewność – odparła – ale to bardzo prawdopodobne.

– Dlaczego sądzisz, że zachodzi tu jakiś związek? – zapytał Max. – Czy znaleźliście w tych aktach coś, co wskazywałoby na niewinność Lemara?

Jolie zgromiła go wzrokiem.

– Nie znaleźliśmy akt, nie było ich tam. Ale może o tym wiedziałeś?

– Niech cię diabli, skąd mogłem wiedzieć? – Max zmrużył gniewnie oczy.

Niczym dwaj rewolwerowcy ze starego westernu stali naprzeciwko siebie, preżąc mięśnie i wpatrując się w siebie badawczo.

– Panno Royale, prawdopodobnie będziemy potrzebowali pani zeznania. – Uwaga Curry'ego chwilowo rozproszyła napięcie między nią a Maksem. – Przekażę informacje, których pani udzieliła, komisarzowi i zobaczymy, co on o tym sądzi. W międzyczasie chciałbym się skontaktować z funkcjonariuszami, którzy zajęli się miejscem przestępstwa. Mam nadzieję, że znaleźli coś, co doprowadzi nas do sprawców napaści. – Curry ruszył do wyjścia, lecz po chwili przystanął i obejrzał się przez ramię. Kiwnąwszy głową w stronę Yvonne, powiedział do Maksa: – Proszę zapewnić panią Carter, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby złapać sukinsynów, którzy skatowali jej syna.

Gdy tylko Curry zniknął w korytarzu, Jolie złapała Maksa za ramię i pchnęła do drzwi.

– Chcę z tobą porozmawiać. Na osobności.

Bez słowa zastosował się do jej prośby. Kiedy znaleźli się kilka metrów od

poczekalni, zatrzymał się, oparł plecy o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach.

– No, dobrze, słucham – oznajmił.

– Dowiedzieliśmy się dzisiaj z Theronem dwóch rzeczy. Po pierwsze: ktoś wywiera presję na Larry'ego Newmana. Po drugie: ktoś wykradł wszystkie akta dotyczące masakry w Belle Rose.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Tylko dwie osoby w hrabstwie Desmond mają dość władzy, żeby naciskać prokuratora okręgowego i sprawić, by dokumenty policyjne wyparowały w niebyt.

Max wzruszył ramionami.

– Niech cię diabli! – warknęła Jolie. – Te dwie osoby to Roscoe Wells i Maximillian Devereaux.

Wyraz twarzy Maksa zupełnie się nie zmienił, tylko w oczach pojawił się jakiś błysk. Groźba czy po prostu hamowana wściekłość?

– Nawet nie głosowałem na Newmana w ostatnich wyborach. I nic nie wiem o zaginionych dokumentach.

– Spodziewasz się, że ci uwierzę?

– Nie spodziewam się po tobie niczego z wyjątkiem kłopotów. To jedyne, w czym jesteś dobra. Odgrzebywanie starych wspomnień i zmuszanie ludzi do mierzenia się z przeszłością, o której najlepiej zapomnieć.

Podeszła do niego i zatrzymała się, gdy ich ciała dzielilo zaledwie kilka centymetrów.

– Czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek wplątany w tę sprawę zdoła kiedykolwiek zapomnieć o tych bestialskich morderstwach? Czy gdybyś został postrzelony i zostawiony na śmierć przy boku martwej matki, zdołałbyś kiedykolwiek wymazać to z pamięci?

– Pewnie nie – przyznał. – Ale nie masz żadnego dowodu, że wasze śledztwo ma jakikolwiek związek z pobiciem Theron.

– Nie potrzebuję dowodów. Czuję to, po prostu wiem. Ktoś chciał powstrzymać Theron, zanim dotrzemy do informacji, które zmusiłyby prokuratora do wznowienia dochodzenia w sprawie Belle Rose. I Bóg mi świadkiem, dowiem się, kim jest ten pieprzony sukinsyn. Jeśli Theron nie będzie w stanie kontynuować śledztwa, zajmę się tym sama.

Max opuścił ręce i odsunął się od ściany.

– Jeśli twoje podejrzenia są słuszne, to ktoś może ci zrobić krzywdę, a nawet zabić.

– To groźba?

Max stęknął i przewrócił oczami, wbijając wzrok w sufit. Potem, nim Jolie zorientowała się, co zamierza, chwycił ją za ramiona, okręcił i przycisnął do ściany. Serce zabiło jej mocniej. Zadrżała, gdy oparł dłonie o ścianę po obu stronach jej głowy.

– Nikomu nigdy nie grozę. Louis nauczył mnie, że należy raczej obiecywać i zawsze dotrzymywać obietnic.

– Czego jeszcze cię nauczył? Jak kłamać, oszukiwać i zdradzać tych, którzy okazują ci miłość i zaufanie? Jak manipulować prawem i ukrywać przed wszystkimi prawdę? – Tak, Jolie, patrz w te zimne niebieskie oczy. Pokaż mu, że nie dasz się zastraszyć.

– Chryste, czy zdajesz sobie sprawę, co ty wygadujesz? – Twarz Maksa wykrzywiła się złowrogo. – Sugerujesz, że Louis był zamieszany w masakrę w Belle Rose.

– Tylko pośrednio. Mógł ochraniać Georgette. Jeśli twoja matka najęła kogoś... albo przekonała cię, żebyś... – zamilkła, widząc dziką wściekłość rozpalającą oczy Maksa. Nagle poczuła się, jakby utknęła na szczycie wulkanu na chwilę przed erupcją.

Nie odezawszy się słowem, Max zdjął ręce ze ściany i ruszył w głąb korytarza. Dopiero gdy zniknął za rogiem, Jolie wypuściła wstrzymywany oddech. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, drażniła się z ziejącym ogniem smokiem. Jego wściekłość spalił mnie żywcem, pomyślała w popłochu. To tylko kwestia czasu.

*

Nawet ciotka Clarice nie zdołała skłonić Yvonne do opuszczenia szpitala, więc ustalili harmonogram wizyt, by mieć pewność, że nie zostanie sama. Clarice wzięła dzienną zmianę, Amy Jardien popołudniowo-wieczorną, a Jolie nocną. Nowell Landers dotrzymywał Clarice towarzystwa i opiekował się obu kobietami niczym anioł stróż. Im lepiej Jolie poznawała Nowella, tym bardziej go lubiła. Jeśli nie jest rzeczywiście zakochany w ciotce Clarice, to należał mu się Oscar. Członkowie Kościoła baptystów wolnej woli, do którego należała Yvonne, regularnie odwiedzali szpital, przynosząc Clarice i Yvonne posiłki, a także uczestniczyli w modlitwach odprawianych przez wielebnego Chapmana.

Sandy Wells przejęła popołudniowe dyżury, żeby Amy nie musiała zajmować się pacjentami w czasie, gdy towarzyszyła Yvonne. Ike Denton przychodził codziennie koło ósmej wieczorem i parę razy został aż do północy, nie odstępując Jolie i Yvonne, dopóki nie położyły się spać na sofach w poczekalni oddziału intensywnej terapii. Podczas pierwszej wizyty Ike'a Jolie powiedziała mu, że zamierza kontynuować dochodzenie w sprawie masakry w Belle Rose, ale widząc, jak wzburzyło to Yvonne, postanowiła w przyszłości rozmawiać z szeryfem na osobności.

Nie udało się ustalić sprawców pobicia. Komisarz Harper obiecał, że Departament Policji w Sumarville „poruszy każdy kamień, bo stamtąd musieli wypełznąć bandyci, którzy tak brutalnie pobili Therona”. Lokalne gazety poświęciły tej sprawie pierwsze strony, a lokalna stacja telewizyjna codziennie o dziesiątej wieczorem puszczała dokumenty o przestępstwach na tle nienawiści

rasowej. Przedstawiciel NAACP złożył Yvonne dwie wizyty w szpitalu, a Morris Dees, założyciel Południowego Centrum Pomocy Prawnej dla Biednych, rozmawiał z nią przez telefon.

Max przyjeżdżał do szpitala dwa razy dziennie i dzwonił kilkakrotnie pomiędzy wizytami. Jednak od konfrontacji w szpitalnym korytarzu unikał Jolie jak zarazy. Planował swoje wizyty tak, aby wracać do Belle Rose po dziesiątej trzydzieści wieczorem, kiedy Jolie już nie było, a na oddziale intensywnej terapii zjawiać się około wpół do jedenastej rano. Czas, który Jolie spędzała w rezydencji, wystarczał tylko na drzemkę, zjedzenie obiadu i kolacji oraz telefoniczne konsultacje z Cheryl Randall związane z zarządzaniem firmą w Atlancie. Od wypadku Therona Georgette jadła wszystkie posiłki w swoim pokoju, przez co wynajęta tymczasowo gospodyni musiała bezustannie biegać po schodach. Jolie miała wątpliwą przyjemność jedania w towarzystwie Parry'ego i Mallory, którzy sympatyzowali z Theronem i obwiniali ją o jego nieszczęście. Starła się ignorować ich uwagi, ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić.

– Gdybyś nie połączyła sił z synem Yvonne, wątpię, czy cokolwiek wyszłoby z jego planów wznowienia śledztwa – oświadczył Parry. – Zaoszczędziłabyś wszystkim mnóstwa kłopotów, gdybyś wróciła do Atlanty po pogrzebie Louisa.

– Żałuję, że to nie ciebie pobili! – piekliła się Mallory. – Nikt nie życzy sobie twojej obecności w Belle Rose. Nienawidzimy cię!

Mallory była nieznośną dziewczuchą. Czy ja też byłam taka wyszczekana i arogancka jako osiemnastolatka? – zastanawiała się Jolie. Zachowanie Parry'ego Cliftona dziwiło ją. Brat Georgette to odnosił się do niej z ledwo skrywaną wrogością to znów próbował z nią flirtować, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy jej nienawidzi, czy też pożąda. Przypuszczała, że jego namolne konkury wynikały z jej podobieństwa do ciotki Lisette. Możliwe, że czasami, patrząc na nią widział Lisette. Było to jedyne rozsądne wytłumaczenie jego dziwnego zachowania.

Od napadu na Therona minęło pięć dni. Chociaż jego stan się poprawił – lekarze uważali teraz, że przeżyje – wciąż nie obudził się ze śpiączki.

Drzwi windy rozsunęły się i Jolie wyszła na korytarz. Skierowała się do poczekalni na oddziale intensywnej terapii. Przyniosła ze sobą termos z kawą bezkofeinową i przeczytaną do połowy książkę. Trudno jej było zasnąć w szpitalnej atmosferze, a lektura pomagała przetrwać długie godziny, gdy Yvonne odpoczywała.

Podeszła do drzwi i stanęła jak wryta. Poczekalnia była pusta. Jolie spojrzała na zegarek. Za dziesięć jedenasta. Pora wizyt na oddziale intensywnej terapii minęła o dziesiątej. Gdzie się podziały Yvonne i Amy? Gdzie jest Ike? Nie ma się co zastanawiać, powiedziała sobie w duchu. Położyła termos i książkę na sofie i ruszyła prosto do sali chorych. Chciała zapukać, gdy przez mleczną szybę

zobaczyła zbliżającą się do niej pielęgniarkę.

Drzwi otworzyły się i Connie Markham, drobna brunetka o okrągłej twarzy, uśmiechnęła się do Jolie.

– Panno Royale, proszę ze mną. Pani Carter powiedziała, żeby od razu panią przyprowadzić.

– Co się stało? Coś złego?

– Nie, nic złego – odparła Connie. – Pan Carter zaczął reagować. Kiedy o dziesiątej matka weszła się z nim zobaczyć, uściśnął jej rękę.

– Odzyskał przytomność? – dopytywała się Jolie. – Powiedział coś?

Connie potrząsnęła głową.

– Ma otwarte oczy i ściska ręce matki i doktor Jardien. Ale nie poruszył się ani niczego nie powiedział. Zawiadomiliśmy doktora Bainbridge'a, który już tu jedzie.

Gdy Jolie zbliżyła się do parawanu, za którym leżał Theron, wyszedł jej na spotkanie szeroko uśmiechnięty Ike Denton.

– Proszę iść, panno Royale. Pani Carter nie odstępkuje go na krok, a pielęgniarki są bardzo wyrozumiałe, ale wątpię, żeby pozwoliły przebywać tam całej naszej czwórce jednocześnie.

– Dziękuję. – Jolie poklepała szeryfa po ramieniu, podeszła do łóżka i stanęła obok Yvonne.

Theron wyglądał okropnie. Nos, kilka żeber, obie ręce i obie nogi miał złamane. Twarz pokrywały strupy i sińce. Doznał poważnego wstrząsu mózgu i rozległego wewnętrznego krwotoku. Miał szczęście, że w ogóle przeżył. Na sam jego widok w Jolie burzyła się krew. Chciała, żeby faceci, którzy mu to zrobili, zostali złapani i ukarani. Najchętniej skatowałaby ich tak, jak oni skatowali Therona.

Yvonne objęła Jolie w pasie.

– Wraca do zdrowia. Słyszysz, co mówimy, i potrafi odpowiedzieć. Ściska raz moją rękę na „tak” i dwa razy na „nie”. – Pchnęła Jolie bliżej łóżka. – Powiedz coś do niego. Zadaj pytanie.

Jolie schyliła się i wzięła Therona za rękę.

– Cześć. Najwyższy czas, żebyś się obudził i dał nam znać, jak się czujesz. – Leżał z otwartymi oczami, które wyglądały na ślepe. – Boli?

Ścisnął jej dłoń jeden raz.

– Nie mogą mu czegoś dać? – zapytała Jolie, zwracając się do Yvonne.

– Jest na lekach przepisanych przed doktora Bainbridge'a – wyjaśniła Amy Jardien stojąca po drugiej stronie łóżka. – Gdy lekarz go zbada i stwierdzi, że Theron jest przytomny, zmieni odpowiednio dawki.

Palce Therona zacisnęły się na dłoni Jolie.

– Co takiego? – zapytała. – Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobiła? Pojedynczy uścisk.

Jak się domyślić, o co mu chodzi? Czy gra w zgaduj-zgadulę miała jakikolwiek

sens? Pewnie nie, ale musiała spróbować?

– Potrzebujesz czegoś ze swojego mieszkania?

Dwa uściski.

– Czy to ma coś wspólnego z Yvonne?

Dwa uściski.

– Chodzi o noc, kiedy zostałeś napadnięty?

Brak odpowiedzi.

– Chodzi o to, dlaczego zostałeś napadnięty?

Pojedynczy uścisk.

– O sprawę masakry w Belle Rose?

Pojedynczy uścisk.

Yvonne i Amy przysunęły się bliżej.

– Może nie powinnaś go dalej wypytywać – Yvonne miała łzy w oczach. – Nie powinien się denerwować.

Theron uściśnął dwukrotnie dłoń Jolie, zrobił pauzę i powtórzył przeczenie.

– Myślę, że nie chce, żebym przestała go pytać – powiedziała. Jeden uścisk. Jolie uśmiechnęła się. Yvonne załkała.

– Chcesz, żebym zrobiła dla ciebie coś w sprawie masakry w Belle Rose?

Jeden uścisk.

– Chcesz, żebym zajęła się nią, nie czekając na ciebie, i doprowadziła do wznowienia dochodzenia?

Jeden uścisk.

Odetchnąwszy z ulgą, Jolie spojrzała na Yvonne, która pokiwała głową. Jolie uniosła dłoń Theron'a i wtuliła w nią policzek.

– Obiecuję, że doprowadzę do wznowienia dochodzenia. Gdy tylko poczujesz się lepiej...

Dwa uściski.

– Nie chcesz, żebym czekała?

Dwa uściski.

– Okej. Zacznę jutro z samego rana. Obiecuję.

Jeszcze raz uściśnął jej dłoń, a potem rozprostował palce, dając do zrozumienia, że jest zmęczony. Jolie puściła jego rękę, odwróciła się i wyszła za parawan, gdzie wciąż czekał szeryf Denton.

– Słyszał pan? – zapytała.

– Tak.

– Pomoże mi pan?

– Jak tylko będę mógł – odparł Ike. – Proszę powiedzieć, czego pani potrzebuje.

– Chcę porozmawiać ze wszystkimi funkcjonariuszami, którzy pracowali w biurze szeryfa dwadzieścia lat temu. I dowiedzieć się, czy szeryf Bendall nadal żyje, a jeśli tak, to gdzie teraz mieszka.

– Dostarczę pani listę osób, które pracowały u nas we wczesnych latach osiemdziesiątych, a jeśli Bendall otrzymuje emeryturę, wystarczy się dowiedzieć, dokąd wysyłają czeki.

– Świetnie. – Podała mu rękę. – Jutro zaczynamy śledztwo.

*

Kwadrans później Connie Markham weszła do pokoju pielęgniarek. Upewniła się, że jest sama, i podeszła do telefonu. Nie spuszczać oczu z drzwi, podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

– Kto, do cholery, dzwoni tak późno? – warknął głos po drugiej stronie linii.

– To ja, Connie. Connie Markham ze szpitala.

– Aha. Masz jakieś wieści o Theronie Carterze?

– Tak, proszę pana. Odzyskał przytomność. Nie może się ruszać ani mówić, ale odpowiada na pytania, ściskając dłoń rozmówcy.

– Cholera! Miał umrzeć.

– Wraca do zdrowia. I... dziś wieczorem poprosił pannę Royale, żeby kontynuowała śledztwo.

– A to skurwysyn!

Connie usłyszała odgłosy kroków w korytarzu. Serce zamarło jej na ułamek sekundy.

– Trzeba ją powstrzymać i wyeliminować Cartera.

– Ale panie Wells, już mówiłam, że nie zabiję Theroną Cartera. Zrobię wszystko, o co pan poprosi, ale nie popełnię dla pana morderstwa.

– Uspokój się, Connie. Nie proponuję, żebyś zajęła się tym sama. Chociaż mógłbym cię do tego zmusić, prawda? Wiesz, co się stanie, jeśli odmówisz współpracy. Jedno moje słowo i twój brat nigdy nie wyjdzie z pudła o własnych siłach.

– Błagam, panie Wells...

– Rób tylko to, co do tej pory: informuj mnie, co się dzieje. Jeśli stan Cartera nadal będzie się polepszał, wyślę kogoś, kto się nim zajmie. Teraz trzeba przede wszystkim powstrzymać Jolie Royale.

Rozdział 16

Ike Denton podał Jolie kubek mrożonej herbaty. Podniósłszy wzrok znad biurka, uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję.

– Nie zrażaj się – powiedział. – Wciąż czeka nas rozmowa z Lindenem Singletonem. Będzie tu lada chwila. A Willie Norville przeniósł się do córki w Oklahomie, więc możemy do niego zadzwonić, gdy tylko Nellie zdobędzie numer.

Jolie przytknęła chłodny papierowy kubek do ciepłego policzka.

– Dwaj policjanci nie żyją, jeden mieszka w Oklahomie, a dwaj, z którymi rozmawialiśmy, nie powiedzieli nic interesującego.

Nellie Keenum stanęła w drzwiach. Odchrząknęła znacząco, po czym wetknęła głowę do środka i oznajmiła:

– Mam adres, pod który wędrują czeki dla Aarona Bendalla.

– To wspaniale. – Jolie odstawiła kubek na biurko Ike'a.

– Niezupełnie – skrzywiła się Nellie. – To adres poczty w Dothan.

– Kurwa! – mruknął Ike.

– Nie rozumiem, w czym problem. Jeśli czeki idą do Dothan, to znaczy, że Bendall tam mieszka, prawda? – Jolie przeniosła wzrok z Nellie na Ike'a.

– Niekoniecznie. – Ike spojrzał na Nellie. – Czy już...

– Tak, sprawdziłam. W Dothan nie mieszka żaden Aaron Bendall. Nie mam tam telefonu, nie korzysta z żadnych usług. Brak jakiegokolwiek śladu.

– Co to znaczy? – spytała Jolie.

– To znaczy, że ktoś inny odbiera czeki i przesyła je dalej do Bendalla – wyjaśnił Ike. – Jakiś jego krewny albo po prostu ktoś, komu Bendall za to płaci. Zresztą to nieważne. Liczy się tylko to, że Bendall najwyraźniej nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, gdzie mieszka. A dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

– Właśnie, dlaczego nie chce, żeby go znaleziono? – podchwyciła Jolie z uśmiechem. Odkrycie tajemnicy otaczającej miejsce pobytu Aarona Bendalla było pierwszym przełomem w śledztwie.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – zapytała Nellie.

– Tak – odparł Ike. – Spróbuj zdobyć numer telefonu Williego Norville'a. Mieszka z córką w Oklahomie. Zdaje się, że córka nazywa się Meny Watkins.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Nellie wróciła do swojego biura, ale po chwili znowu stanęła w drzwiach w towarzystwie drobnego chudego staruszka. – Przyszedł pan Linden Singleton.

Ike powitał emerytowanego policjanta, nim ten przekroczył próg gabinetu.

– Chodź, Lin – zaprosił go, uściskawszy serdecznie jego dłoń. – Siadaj. Nellie, przynieś Linowi kawy. Jaką kawę pijesz, Lin?

– Z mlekiem, bez cukru. – Linden zajął jeden z dwóch foteli naprzeciw biurka i

spojrzał na Jolie. – Pani jest córką Louisa Royale'a, prawda?

– Tak, jestem Jolie Royale.

– Pani ojciec był dobrym człowiekiem. – Lin przypatrywał się jej uważnie. – Wygląda pani jak ciotka. Jak Lisette Desmond.

– Tak, proszę pana, tak mówią.

– Była najpiękniejszą kobietą jaką widziałem. – Lin spojrzął na Ike'a. – O co wam chodzi? Nellie powiedziała mi przez telefon, że potrzebujecie informacji na temat śledztwa, w którym brałem udział, kiedy Aaron Bendall był jeszcze szeryfem.

– Zgadza się. – Ike usiadł obok Lina. – Chodzi o masakrę w Belle Rose.

– Chryste, to dopiero była popaprana sprawa. Słusznie nazwali te morderstwa masakrą. Wiecie, byłem jednym z funkcjonariuszy, którzy znaleźli się na miejscu jako pierwsi. Ja i Earl Farris. – Spojrzał na Jolie. – Panno Royale, na pewno chce pani o tym słuchać?

– Tak, panie Singleton, chcę.

Lin kiwnął głową.

– Gdyby Earl żył, opowiedziałby wam dokładnie, co tam zastaliśmy. Nigdy tego nie zapomnę. Aż do śmierci.

– Panie Singleton? – przerwała mu Jolie.

– Tak?

– Pamięta pan, kto zadzwonił na policję, żeby zgłosić morderstwa? – Mówiono jej, że ciała znalazła ciotka Clarice po powrocie z butik, ale była ciekawa, czy Linden Singleton nie pamięta tamtego dnia inaczej.

– Myślałem, że pani wie. Znalazła ich panna Clarice. Od tamtej pory trochę sfiksowała, biedaczka. – Lin popukał się palcem w głowę. – Nie wiem, jak była w stanie wykonać ten telefon. Ale jakoś jej się udało. Powiedziała, żeby przysłać karetkę. Kiedy ją znaleźliśmy, nie mogła mówić. Zupełnie ją otumaniło. Miała dziwne oczy i gapiła się tępo gdzieś w przestrzeń.

W każdym razie weszliśmy tylnymi drzwiami, te od frontu były zamknięte, i wpadliśmy prosto do kuchni. Zobaczyliśmy pannę Audrey – panią Royale – leżącą koło stołu i pannę Clarice, która siedziała na podłodze z drugiej strony i podtrzymywała panią panno Jolie. Tuliła pani głowę do piersi i gładziła panią po policzku. Całą sukienkę i ręce miała we krwi, biedactwo.

Jolie z wysiłkiem przełknęła ślinę. Nikt nigdy nie opowiadał jej ze szczegółami o tamtym dniu.

– Jak tylko zorientowaliśmy się, że panienka jeszcze żyje, choć ledwo – Lin spojrzął na nią i zobaczyła żal w jego oczach – skontaktowaliśmy się z centralą, żeby pośpieszyli się z tą karetką. Earl został z panną Clarice i panienką i wezwał wsparcie, a ja zacząłem przeszukiwać dom. Muszę przyznać, że miałem cholernego stracha, że morderca wciąż jest na miejscu zbrodni.

– Ale nikogo nie zobaczyłeś? Nikogo żywego? – zapytał Ike.

– Nie – pokręcił głową Lin. – Na schodach znalazłem pannę Lisette. Nawet martwa była piękna. – Westchnął głośno. – A potem znalazłem jego, w jej sypialni. Leżał twarzą do ziemi ze strzelbą w garści. Gdyby sukinsyn nie był już martwy, zatłukłbym go gołymi rękami.

– Powiedz nam, Lin, czy kiedykolwiek miałeś wątpliwości, że Lemar Fuqua zabił siostry Desmond, a potem odebrał sobie życie? – spytał Denton.

– Nie było powodu. Wskazywał na to cały materiał dowodowy. – zerknął na Jolie. – Bez urazy, ale panna Lisette nie powinna była kręcić z... – spojrzał na Ike'a i odwrócił prędko wzrok. – Cóż, ludzie gadali, że gdyby nie zabawiła się z Lemarem Fuqua, wciąż by żyła. Jej siostra też.

– Jak pan myśli, dlaczego zamordował również moją matkę? – zapytała Jolie.

– Czy to nie oczywiste? Ponieważ była w domu i wiedziała, że jest na piętrze w pokoju panny Lisette. Prawdopodobnie usłyszała strzał i... – Lin podrapał się po brodzie. – Ale wiecie, jedno w tym wszystkim zawsze mnie zastanawiało. Nie zamordował pani Royale w kuchni. Zabił ją na zewnątrz, a potem wniósł ciało do środka. Miał jej krew na koszuli i rękach. Musiał więc zabić pannę Lisette, a potem chciał uciec i natknął się na panią Royale.

– Dlaczego zaciągnął ciało mamy do kuchni, zanim wrócił na górę do pokoju ciotki Lisette, żeby się zabić?

– Nie wiem – przyznał Lin. – Jak powiedziałem, zawsze mnie to zastanawiało.

– A co sądził o tym szeryf Bendall? – spytał Ike.

– Aaron? Nie pamiętam, żeby w ogóle o tym wspominał.

Nellie zapukała, otworzyła drzwi i podała Linowi kawę.

– Z mlekiem i bez cukru – oznajmiła, po czym spojrzała na Ike'a. – Mam ten telefon, o który pan prosił.

– Dziękuję. Zajmę się tym później. – Kiedy wyszła, Ike zwrócił się znowu do Lina: – Pamiętasz, żeby coś jeszcze wydało ci się w tej sprawie dziwne?

– Właściwie nic, chociaż... cóż, pan Louis Royale zdawał się mieć wątpliwości co do winy Lemara Fuqui. Ale nikt inny w to nie wątpił, oprócz siostry Lemara. A później słyszałem, że panna Clarice Desmond również zeznała, że uważa Lemara za niewinnego. Ale wszyscy wiedzieli, że to był Fuqua.

– Tata wątpił w winę Lemara?

– Tak, ale szeryf powiedział panu Royale'owi prosto z mostu, że dowody wskazują go jednoznacznie jako sprawcę i że nikt inny nie mógł tego zrobić.

– Czy przesłuchiowano innych podejrzanych? – spytał Ike. Lin potrząsnął głową.

– Nie było żadnych innych podejrzanych. Żadnych, których można by poważnie wziąć pod uwagę.

– Czy szeryf przesłuchiwał w związku ze sprawą kogoś innego? – zmienił taktykę Ike.

– Jasne, że tak. Tak jak ten detektyw z biura przestępstw kryminalnych. Nie pamiętam jego nazwiska. Sanderson, Henderson, jakoś tak. Musieliśmy wezwać biuro na pomoc. Nasza policja nie była odpowiednio wyposażona do zajmowania się czymś takim jak masakra w Belle Rose. W każdym razie tamten facet doszedł do tego samego wniosku co szeryf Bendall. – Lin podniósł kubek do ust i napił się kawy.

– Kogo przesłuchiowano? – zapytała Jolie.

– Kogo? – Lin zastanawiał się przez chwilę. – Cóż, pani była przesłuchiwana, panno Jolie. W szpitalu. I oczywiście panna Clarice, ale przez jakiś czas była zupełnie oszołomiona. Zdaje się, że lekarz faszerował ją psychotropami. Przesłuchiwaliśmy pana Royale'a i... – zamilkł nagle, strzelając oczami to na Jolie, to na Ike'a.

– Kogo jeszcze? – nie ustępowała Jolie.

– Proszę pani, to nie jest sprawa, o której powinna pani słuchać. – Lin spojrzał na Ike'a, oczekując wsparcia.

– Wątpię, żebyś powiedział pannie Royale coś, o czym by już nie wiedziała – odparł Ike. – Wszyscy w Sumarville słyszeli, jakie alibi miał pan Royale.

– Proszę się nie przejmować, panie Singleton – zapewniła Jolie. – Wiem, że ojciec był z Georgette Devereaux, kiedy zamordowano moją matkę.

– Nie ma w Sumarville faceta wolnego od pokus – powiedział Lin. – Pani tata nie był złym człowiekiem. Po prostu nie oparł się pokusie. A Bóg mi świadkiem, Georgette Devereaux była niezła du...

Ike chrząknął ostrzegawczo.

Lin zerknął na Jolie przepaszająco, po czym wstydliwie spuścił wzrok.

– Cóż, przesłuchaliśmy pana Royale'a i panią Devereaux. No i Parry'ego Cliftona, ponieważ był zaręczony z panną Lisette. – Lin pokręcił głową z ubolewaniem. – Nigdy nie widziałem tak załamane go faceta. Parry musiał cholernie kochać pannę Lisette. – Wypił kilka łyków kawy i odstawił kubek na biurko. – Przesłuchano jeszcze Maksa Devereaux.

– Czy Max miał alibi? – spytała Jolie.

– Niestety nie pamiętam. Zresztą to było bez znaczenia. Nikt nie traktował poważnie plotki, że zamordował panią Royale, żeby utorować drogę swojej matce.

– Czy coś jeszcze wydawało ci się w tej sprawie dziwne? – zapytał Ike.

– Nie. To już wszystko. Więc jak? Powiecie mi wreszcie, dlaczego interesujecie się sprawą sprzed dwudziestu lat, która została dawno rozwiązana?

– Theron Carter – na pewno słyszał pan, co mu się przydarzyło – powiedziała Jolie. Lin skinął głową. – Otóż Theron wierzy, że Lemar Fuqua był niewinny. A ja się z nim zgadzam. Uważamy, że Lemar został zamordowany przez tę samą osobę, która zabiła moją matkę i ciotkę.

Lin wydał z siebie przeciągły gwizd.

– Otwieracie puszką Pandory. Ludzie nie lubią, jak im się przypomina takie potworności.

– Chcemy tylko dotrzeć do prawdy – odparła Jolie. Lin spojrzał na Ike'a.

– Przepytowałeś innych funkcjonariuszy biorących udział w dochodzeniu?

– Rozmawialiśmy z Carlem Bowlingiem i Erniem Dupuis i chcemy się skontaktować z Williem Norvillem. – Ike wstał i zaczął chodzić po gabinecie.

– Powinniście pogadać z wdową po Earlu Farrisie – zasugerował Lin. – Może będzie coś wiedziała. Earl jako jedyny kwestionował winę Lemara. Szeryf powiedział mu, że nie ma żadnych wątpliwości i lepiej nie wkładać kija w mrowisko, więc trzymał język za zębami. Ale możliwe, że zwierzył się ze swoich podejrzeń żonie, zanim umarł. Oczywiście, jak już powiedziałem, nie sądzę, żeby Earl miał rację, ale jeśli chcecie odgrzebywać tę paskudną sprawę, powinniście pogadać z Ginnie.

Ike podał Linowi rękę.

– Dziękuję, że przyszedłeś i porozmawiałeś z nami.

Lin uścisnął mu dłoń i spojrzał na Jolie.

– Powinna być pani ostrożna, panno Jolie. Czasami lepiej nie budzić starych demonów. Nigdy nie wiadomo, może się pani dokopać do czegoś, czego wolałaby pani nie wiedzieć.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Jolie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Ike powstrzymał ją gestem, po czym zamknął drzwi.

– Proponuję, żebyśmy wzięli od Nellie numer Williego Norville'a i od razu do niego zadzwonili – powiedział. – Ciekawe, czy będzie równie rozmowny jak Lin.

– Kiedy umarł Earl Farris?

– Słucham?

– Earl Farris. Kiedy umarł?

– Nie wiem. Lata temu.

– A dokładnie?

– Piętnaście, dwadzieścia... Co ci chodzi po głowie?

– Nie wiesz, kiedy ani jak umarł? – Jolie wstała zza biurka.

– Nie mam pojęcia. Nie było mnie wtedy tutaj. Przez kilka lat uczyłem się w college'u, a przez parę następnych pracowałem poza stanem.

– Poproś Nellie, żeby się dowiedziała, kiedy i jak umarł Farris.

Ike pokiwał głową.

– Dlaczego nie zapytałaś o to Lina?

– Bo wydaje mi się, że pan Singleton zaczynał się denerwować. Mam wrażenie, że zastanawiał się nad tą sprawą przez te wszystkie lata i boi się, że Earl Farris miał rację, wąpiąc w winę Lemara, Jeżeli Earla zamordowano, żeby zamknąć mu usta, to każdy, kto mówi za dużo, nawet teraz, może być w niebezpieczeństwie.

– A ciebie może ponosić wyobraźnia. – Ike podszedł do drzwi. – Wezmę numer

Norville'a i poproszę Nellie, żeby dowiedziała się czegoś o śmierci Earla Farris.

*

– Tak, panie Wells – powiedział Willie Norville. – Zadzwoił do mnie szeryf Denton i wypytywał o sprawę masakry w Belle Rose. Rozmawiała ze mną Jolie Royale we własnej osobie.

– Co im powiedziałaś?

– Absolutnie nic.

– Jakie pytania zadawali?

– Czy pamiętam coś dziwnego na temat sprawy i samego dochodzenia.

– Z kim jeszcze rozmawiali?

– Ze wszystkimi zastępcami szeryfa, którzy jeszcze żyją. Z Bowlingiem, Dupuis'm i Singletonem.

– Z nikim innym?

– A z kim jeszcze mogliby rozmawiać?

– Na przykład z Ginny Farris.

– Ginny Ponders. Wyszła powtórnie za mąż jakieś pięć lat po tym, jak Earl został... umarł. Ale wydaje mi się, że już się rozwiodła.

– Tak, zgadza się. Ginny Ponders. Dobra, dopilnuj, żeby nie puściła pary z gęby.

*

Jolie zaparkowała wóz na popękany betonowy podjeździe tuż za czarną hondą civic i jeszcze raz zerknęła na karteczkę z adresem: Sunrise Avenue 132. Wcześniej zadzwoniła, żeby umówić się na dogodną porę – Ginny Farris-Ponders pracowała w sklepie Rite Foods i kończyła zmianę o szóstej. Jolie spojrzała na zegarek. Punkt dziewiętnasta.

– Proszę wpaść koło siódmej – powiedziała Ginny. – Zdamę wziąć prysznic, zjeść kolację i trochę odpocząć.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

– Porozmawiam z panią, bo uważam, że ma pani prawo poznać prawdę. Ale nie powiem niczego policji, a jeśli doprowadzicie do otwarcia dochodzenia, nie zgodzę się zeznawać.

Co wiedziała Ginny Farris-Ponders? I kogo się bała?

Parterowy żółty domek z ciemnozielonymi okiennicami stał w głębi podwórza, więc prawie nie miał tylnego ogródka. Starannie skoszona trawa schludnie przyszyty krzewy i para starych dębów dodawały posesji uroku. Porządny domek przy ulicy porządnym domków wzniesionych w latach czterdziestych, a za nim gęsty las. Las Włóczęgów. Ojciec opowiadał, że ludzie nazwali go tak, bo jego skrajem biegły stare tory kolejowe i w czasach wielkiego kryzysu włóczędzy szukający dorywczej pracy często mieszkali w pobliskich pieczarach.

Jolie wysiadła z samochodu, przewiesiła przez ramię torebkę i ruszyła

brukowaną dróżką w stronę frontowego wejścia. Przeszkłone drzwi prowadzące na ganek były otwarte, więc uznała, że Ginny oczekuje jej przybycia. Kiedy jednak podeszła bliżej i zajrzała do środka, nie zauważyła śladu niczyjej obecności. Nacisnęła dzwonek przy framudze i zaczęła. Spokojna okolica, pomyślała. Nawet psy nie szczekają. Ale gdzie jest Ginny? Zadzwoiła jeszcze raz. Cholera! Czyżby się rozmyśliła?

Nacisnęła dzwonek po raz trzeci. Nadal nic. Instynktownie wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Powinnam wejść czy nie? Tak, powinienam. Wejść i zobaczyć, czy Ginny jest w domu.

Stała w progu saloniku oświetlonego przez przedwieczne słońce, które wpadało przez duże podwójne okna.

– Pani Ponders?

Brak odpowiedzi.

– Ginny, gdzie pani jest?

Cisza.

Dreszcz przeszedł jej po grzbiecie, lecz zignorowała go, tłumacząc sobie, że nie ma się czego bać. Zawołała Ginny kilka razy, idąc przez salon i jadalnię do kuchni. Zapach gotowanego mięsa wypełnił jej nozdrza. Zerknęła na kuchenkę. Na żeliwnej patelni smażyły się kotlety, a obok stał garnek gotujących się ziemniaków. Ginny robiła kolację, czyli musiała być gdzieś niedaleko.

Przez na wpół otwarte drzwi zerknęła na oszklony tylny ganek. Czyżby Ginny wyszła na zewnątrz?

– Ginny?

Jolie weszła na ganek. Zamrugła nerwowo, wmawiając sobie, że to złudzenie. Na podłodze leżała kobieta z szeroko otwartymi niewidzącymi oczyma i świeżą czerwoną pręgą na szyi. Jolie chciała krzyknąć, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. O mój Boże! O Boże! Uciekaj! Uciekaj natychmiast!

Kiedy odwróciła się, by zawrócić, kątem oka dostrzegła kogoś ukrytego w cieniu za półkami z doniczkami. Zabójca! Przerazona, wbiegła do domu.

Mężczyzna ruszył za nią, jego ciężkie kroki zadudniły o podłogę. Pędząc przez kuchnię, chwyciła krzesło i rzuciła je na ziemię, tarasując drogę napastnikowi. Wbiegając do jadalni, usłyszała głośny trzask, gdy krzesło uderzyło o kuchenną ścianę.

– Nie uciekniesz mi, suko!

Niemal czuła jego palący oddech na karku.

Ike Denton chciał jej towarzyszyć, ale Ginny powiedziała, że nie będzie rozmawiać z szeryfem. Jakaż była głupia, sądząc, że zwykła rozmowa z tą kobietą niczym jej nie grozi! Przecież знаła już okoliczności śmierci Earla Farris'a i powinna wiedzieć, że komuś bardzo zależy, żeby nie rozmawiała z wdową po nim. Farris zginął w trakcie dochodzenia w sprawie masakry w Belle Rose. Postrzelił

się, kiedy czyścił jeden ze swoich pistoletów.

Jolie zdołała wbiec do salonu. Tam ją dogonił. Jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu. Próbowwała krzyczeć, ale wydobyła z siebie tylko ochryple rzeżenie. Pociągnął ją w tył, strącając z ramienia torebkę. Przed oczyma mignął jej dziobaty policzek i długie ciemne bokobrody. Otworzyła usta i tym razem przerażenie znalazło wyraz. Wrzasnęła. Napastnik uderzył ją w twarz.

O, mój Boże, zabije mnie!

Przeszklone drzwi na ganek otworzyły się z takim impetem, że prawie wypadły z zawiasów. Drugi mężczyzna rzucił się w jej kierunku z dziką furią na twarzy. Max Devereaux. W walce, która się wywiązała, została pchnięta na podłogę. Odpełzła na czworakach od dwóch mężczyzn splecionych w śmiertelnej potyczce. Zabójca Ginny wymierzył silny cios w brzuch i Maks cofnął się o parę kroków, dając mu czas do ucieczki. Lecz już po chwili rzucił się za nim w pogoń.

Jolie siedziała na podłodze w salonie. Gdyby próbowała wstać, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Drżącą dłonią chwyciła pasek torebki i przyciągnęła ją do siebie. Musi zadzwonić po pomoc. Jak najszybciej. Szarpiąc się z suwakiem, usłyszała dudnienie kroków, trzask tylnych drzwi... a potem strzał.

Max! Zdołała wstać i opierając się o ściany, ruszyła do kuchni. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – czego mogłaby użyć jako broni. Wybrała jedną z ciężkich żelaznych patelni wiszących na ścianie za kuchenką. Uniosła ją i gotowa do zadania ciosu wyszła ostrożnie na ganek.

Max stał w ogródku przy drzewie, trzymając się prawą dłonią za lewe ramię. Jolie zbiegła po drewnianych schodkach i popędziła prosto do niego.

– Dzwon po policję – jęknął. Spomiędzy jego palców sączyła się krew.

– Jesteś ranny!

– Dzwon po policję!

Skinęła głową, rzuciła patelnię i chwyciła za torebkę. Wyciągnęła telefon i wybrała numer. Gdy tylko skończyła rozmawiać, rzuciła się ku Maksowi, prawie się z nim zderzając.

– Wysyłają karetkę. – Delikatnie wzięła go za rękę i odsunęła dłoń od rany. – Och, Max. Nie zdawałam sobie sprawy, że miał pistolet.

– Tak, zaczął do mnie strzelać, a potem uciekł do lasu. Pewnie zostawił tam samochód. – Patrzył, jak Jolie krzywi się, oglądając jego ramię. – Nie potrzebuję karetki. Kula tylko mnie drasnęła.

– On mógł cię zabić. Masz szczęście, że...

– Ja? Cholera, to ciebie mógł zabić. I na pewno by to zrobił, gdybym nie zjawił się na czas.

Pokiwała głową.

– Ale jak to się stało, że się tu znalazłeś?

– Uznałem, że musimy porozmawiać, oczyścić atmosferę. Więc zacząłem

dzwonić po ludziach, próbując cię namierzyć. Rozmawiałem z szeryfem Dentonem, który powiedział mi, że spotykasz się o siódmej z wdową po Earlu Farrisie.

– Wiedziałeś, że grozi mi niebezpieczeństwo? – Jolie wyszarpnęła bluzkę ze spodni i oddała kawałek miękkiego materiału.

– Ike wydawał się zdenerwowany, więc zadałem mu parę pytań. Powiedział, czego się dowiedzieliście od Lindena Singletona, i nie spodobało mi się to, co usłyszałem.

Jolie rozpruła szerzej dziurę po pocisku w koszuli Maksa, złożyła oderwany kawałek swojej bluzki i przyłożyła prowizoryczny kompres do krwawiącej rany.

– Uważaj, do cholery – syknął Max.

– Przepraszam.

– Powinnaś mieć więcej rozumu i nie przychodzić tutaj sama.

– Teraz też to wiem. Ale dzięki temu nie ma już wątpliwości, że ktoś nie chce, żeby wznowiono dochodzenie w sprawie masakry w Belle Rose.

– Tak, na to wygląda. Ten ktoś próbował zabić najpierw Theroną, a teraz ciebie.

– Max?

– Tak?

– Przepraszam, że cię podejrzewałam.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem usłyszeli wycie syren. Jolie objęła Maksa ramieniem i razem wyszli przed dom, czekając na policję i karetkę.

Rozdział 17

– Powinien pan zostać na noc na obserwacji – powiedział doktor Andrews. Lekarz dyżurny wydawał się zaniepokojony stanem Maksa, co z kolei wzmagало niepokój Jolie. A miała prawo troszczyć się o zdrowie Maksa – w końcu uratował jej życie. Max wstał z leżanki.

– Kula tylko mnie drasnęła. Nic mi nie jest. Wracam do domu.

– Ale stracił pan sporo krwi i zawsze istnieje ryzyko infekcji...

– Wracam do domu – powtórzył Max. Wszedł zza parawanu i skierował się do wyjścia.

Jolie ruszyła za nim, ale po chwili przystanąła i spojrzała na doktora.

– Przepraszam. Jest bardzo uparty. Obiecuję, że się nim zajmę i dopilnuję, żeby brał antybiotyków i środek przeciwbólowy, i...

– Chodźmy – warknął Max.

– Widzę, że będzie idealnym pacjentem. – Jolie uśmiechnęła się słabo do lekarza.

Szeryf Denton i komisarz policji Harper czekali na Maksa przy przeszklonych, otwieranych elektronicznie drzwiach izby przyjęć. Jolie stanęła dwa kroki za nimi. Dom Ginny Pounders znajdował się w granicach Sumarville, podlegał więc jurysdykcji policji miejskiej, ale szeryf miał dość powodów, by interesować się jej zabójstwem. Jolie i Max wyjaśnili funkcjonariuszom, którzy przybyli na miejsce, co się zdarzyło, Max podał nawet rysopis człowieka, który go postrzelił. Jolie przekonała ich, że Max potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej. Ranny odmówił jazdy karetką, ale zgodził się, żeby Jolie odwiozła go do szpitala swoim samochodem.

– Czy lekarz pozwolił ci opuścić szpital? – Ike Denton popatrzył na Maksa podejrzliwie.

– Oczywiście. – Max spojrzał znacząco na Jolie, powstrzymując ją od sprzeciwu.

– Powiedziałem, żeby wyrzucili moją koszulę. I tak była do niczego.

– Co się dzieje z naszym miasteczkiem! – Komisarz Harper pokręcił łysiejącą głową. – Od pięciu lat nie było tu żadnej zbrodni, a teraz w ciągu niespełna tygodnia mamy mężczyznę pobitego niemal na śmierć przed własnym domem, kobietę z podejrzanym gardłem i mężczyznę, którego ktoś chciał zastrzelić.

– Może Sumarville płaci cenę za zatuszowanie prawdy w sprawie masakry w Belle Rose. – Jolie popatrzyła Harperowi prosto w oczy.

– Co o tym wszystkim sądzisz, Ike? – spytał komisarz. – Panna Royale twierdzi, że Theron Carter został pobity, bo ktoś chciał go powstrzymać od wznowienia dochodzenia, a Ginny Pounders zginęła, bo mogła ujawnić jakieś informacje, którymi dysponował jej zmarły mąż.

– Dowody zdają się potwierdzać przeświadczenie panny Royale – odparł

Denton. – Myślę, że trzeba się temu przyjrzeć.

– A co pan myśli, panie Devereaux? – Leon zwrócił się do Maksa. Jolie wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Opinia Maksa miała w hrabstwie Desmond ogromne znaczenie.

– Uważam, że Theron Carter potrzebuje ochrony dwadzieścia cztery godziny na dobę – odparł. – Chciałbym, aby lokalne siły porządkowe zapewniły mu ją na dzisiejszą noc. Jutro z samego rana skontaktuję się z prywatną agencją ochrony w Memphis i poproszę, żeby przysłali tu paru swoich ludzi.

Jolie otworzyła szeroko usta. Czy dobrze słyszała?

– Oczywiście, panie Devereaux. – Leon o mało się nie uklonił.

– Zostanę przy Theronie na noc – zaproponował Ike. – Rano zastąpi mnie jeden z zastępców aż do przyjazdu ochroniarzy z Memphis.

– Och, to nie będzie konieczne – zaproponował komisarz. – Mogę postawić na straży swoich ludzi.

– Niech Ike zostanie na noc – powiedział Max – a rano dogadacie się co do reszty. Chcę tylko mieć pewność, że Theron będzie chroniony.

– Może pan na nas polegać – zapewnił Leon.

Max i Ike wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zawierając ciche przymierze. Jolie objęła Maksa w pasie.

– Chodź. Wracamy do domu.

Kącki jego ust uniosły się lekko.

– Ale się rządzi, co?

– Żebyś wiedział. – Jolie pchnęła go delikatnie. – Więc lepiej zamknij się i rób, co ci każe. Kiedy ktoś zostaje postrzelony, ratując mi życie, pilnuję, żeby o siebie dbał.

Ike uśmiechnął się, a Leon Harper otworzył szeroko oczy.

Jolie wyprowadziła Maksa na zewnątrz, cały czas obejmując go w pasie. Szedł wolniej niż zwykle, więc domyślała się, że rana bardzo go boli. Ale Max był prawdziwym mężczyzną, a każdy wie, że prawdziwi mężczyźni nie odczuwają bólu. Nigdy nie rozumiała, dlaczego przyznanie się do bólu, strachu czy smutku uważają za mazgajstwo.

Właśnie wcisnęła guzik pilota, żeby otworzyć samochód, gdy na parking wjechał harley, a tuż za nim srebrny mercedes. Pojazdy zatrzymały się obok siebie.

– No, świetnie – mruknęła Jolie.

– Cholera! – Max zamknął oczy, jakby modlił się o cierpliwość. Nowell Landers zeskoczył ze swojego stalowego wierzchowca, a potem pomógł Clarice zejść z siodła i zdjąć czerwony metalizowany kask. Jolie ledwo powstrzymała się od śmiechu. Widok drobnutkiej, nieskazitelnie ubranej damy z Południa, zsiadającej z motocykla był nader komiczny. Clarice pobiegła w ich stronę. Nowell zdjął kask i powiesił go na kierownicy.

– Max, nic ci nie jest? Kiedy dowiedzieliśmy się, że jesteś ranny, przyjechaliśmy tak szybko, jak się dało. – Zatraskany wzrok Clarice padł na duży opatrunek na jego ramieniu. Kwadrat białej gazy zdążył już nasiąknąć świeżą krwią. – Co się stało? Policjant, który odstawił twój samochód do Belle Rose, powiedział, że wywiązała się jakaś sprzeczka i doszło do strzelaniny.

Nowell podszedł do Clarice i otoczył ją ramieniem.

– Odchodziła od zmysłów z niepokoju – powiedział.

Z mercedesa wyskoczyła Mallory. Ruszyła do Maksa, ale zatrzymała się nagle, widząc jego zabandażowane ramię.

– Boże, co się stało? Naprawdę cię postrzelono? – Spojrzała na Jolie. – Co mu zrobiłaś?!

– Spokojnie. – Max objął i przytulił siostrę. – Nic mi nie jest. To tylko draśnięcie. Nic poważnego. Nie ma się czym przejmować.

Nie pozwólmy rozpieszczonej, samolubnej Mallory martwić się o cokolwiek i kogokolwiek, dopowiedziała w myślach Jolie.

Georgette dołączyła do nich tuż po Mallory. Jej twarz była mokra od łez. Parry zamykał pochód – zataczał się, więc nadkładał drogi. Pijany jak zwykle.

– Co się, do cholery, stało? – spytał.

– Zostałem postrzelony – odparł Max. Mallory znów spojrzała na Jolie.

– Ty go postrzeliłaś! – krzyknęła. – Dlaczego nie siedzisz w więzieniu? Jak śmiesz...

– O Boże. – Georgette zachwiała się.

Max podtrzymał Mallory, a Parry zdawał się zupełnie nieświadomy, że jego siostra zaraz zemdleje. Jolie chwyciła macochę w samą porę, by ta nie upadła na chodnik.

– To nie Jolie mnie postrzeliła. – Max delikatnie odsunął siostrę i wyciągnął ręce w stronę matki.

– Trzymam ją – zapewniła Jolie, sapiąc z wysiłku. Georgette była szczupłą kobietą ale Jolie nie nawykła do dźwigania ciężarów. – Uważaj na ranę. Musieli założyć aż dwadzieścia szwów, żeby ją zamknąć.

Nowell podszedł do Jolie, wziął na ręce omdlałą Georgette i zaniósł ją do mercedesa. Max spojrzał na Mallory.

– Wiem, wiem – mruknęła, krzywiąc się – mam się zająć matką. Ale najpierw powiedz, kto cię postrzelił.

– Nie mam pojęcia. – Max skinął głową w stronę mercedesa. – Opowiem wam wszystko, kiedy wrócimy do domu. Trochę kręci mi się w głowie po zastrzyku, który mi dali, i muszę usiąść. Mallory, wsiądź do samochodu z wujkiem Parrym i zaopiekujcie się matką. Ja muszę porozmawiać z Jolie. – Kiedy ani wuj, ani siostra nie ruszyli się z miejsca, dodał: – Idźcie. Zobaczcie, co z matką.

Clarice poklepała Jolie po plecach.

– Do zobaczenia w domu – powiedziała i ruszyła w stronę mercedesa. Nowell stał przy otwartych tylnych drzwiczkach i rozmawiał z powoli wracającą do siebie Georgette. Kiedy Parry i Mallory wsiedli do auta, Max odwrócił się do Jolie.

– Powiniennem jechać do domu razem z nimi – powiedział.

– Jasne – odparła, starając się nie okazać rozczarowania. Miała nadzieję, że Max zostanie, wsiądzie do jej samochodu i razem pojedą do Belle Rose. Co z tobą? – upomniała się w duchu. Przecież to Max Devereaux. Syn Georgette. Twój wróg.

Nie, nie był już jej wrogiem. Był człowiekiem, który ją ocalił. Zaryzykował dla niej życie. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że nadejdzie dzień, gdy pomyśli o Maksie jako o swoim rycerzu w lśniącej zbroi.

Kiedy ruszyła w stronę auta, Max chwycił ją za rękę. Wstrzymała oddech.

– Jedźcie do domu! – zawołał do rodziny. – Jolie i ja pojedziemy do apteki w Wal-Mart. Mam recepty, które powiniennem dzisiaj wykupić.

Ogarnęła ją euforia. Kontroluj się, nakazała sobie w duchu. Zapanuj nad emocjami w stylu „daj pocałować, żeby się zagoiło”, zanim zrobisz coś głupiego.

– Chodźmy – powiedział Max. – Zanim zdążą zaprotestować.

Wsiedli do samochodu i Jolie włączyła silnik.

– Zdajesz sobie sprawę, że Theron nie jest jedyną osobą, która potrzebuje ochrony? – W głosie Maksa pobrzmiwała niezwykła łagodność.

Jolie wycofała wóz z przyszpitalnego parkingu i wjechała prosto w Milton Avenue.

– Sugerujesz, że moje życie jest w niebezpieczeństwie?

– Tak.

Skręciła w lewo w Dearborn Street, która prowadziła do centrum handlowego Wal-Mart na skraju miasteczka.

– Myślisz, że powinnam zatrudnić ochroniarza?

– Nie – odparł. – Sam dopilnuję, żeby nic ci się nie stało. Od tej pory możesz mnie uważać za osobistego ochroniarza.

*

Roscoe Wells ścisnął słuchawkę z taką siłą, że zbieleły mu kłykcie.

– Niech cię diabli, pierdolony skurwysynu! Co ci strzeliło do tej durnej czachy? Miałeś ją tylko nastraszyć, a nie zabić.

– Nie była zbyt lękliwa, a jak ją przycisnąłem, zaczęła się bronić. Próbowwała dźgnąć mnie nożem, więc tylko obróciłem ostrze i poderznąłem jej gardło jej własną bronią.

– Czy Devereaux i Jolie Royale widzieli twoją twarz?

– Wątpię, żeby dziewczyna dobrze mi się przyjrzała, ale facet tak.

– A ty pozwoliłeś im żyć, ćwoku.

– Devereaux wziął mnie z zaskoczenia. Nie mogłem wyciągnąć gnata, kiedy okładał mnie pięściami po pysku. Skąd mogłem wiedzieć, że nie ma broni i jeśli

zostanę, żeby ich wykończyć, nie wyjmie spluwy i nie kropnie mnie pierwszy?

– Więc zwiąłeś jak ostatni tchórz, a teraz policja ma twój rysopis.

– Tak, ale jestem już setki kilometrów od Sumarville. Nie musi się pan martwić. Wiem, jak się zadekować. Nikt mnie nie znajdzie.

– Dobrze by było, gdybyś wyjechał z kraju.

– Już to zrobiłem.

Sygnal telefoniczny zapiszczał Roscoe'owi w uchu. Jasna cholera, gdzie się podzieli łebscy faceci, którzy wiedzą, jak wykonywać polecenia i nie włączyć ludziom w oczy? Co się stało z profesjonalistami, którzy potrafią wykonać robotę i nie dać się złapać? Nie znał tego człowieka, rekomendował go kolejny stary znajomy. Nigdy się nie spotkali. Mówił do niego „Wesley”, ale równie dobrze mógł to być tylko pseudonim. Miał dobre referencje, ale z drugiej strony, ostatnio wybór białych lumpów gotowych na wszystko za właściwą cenę znacznie się skurczył.

– Tato, w co się znowu wplątałeś?

Garland stał w drzwiach gabinetu Roscoe'a.

Psia mać, nie słyszał, jak syn wchodzi. Mógł podsłuchać jego rozmowę z Wesleyem.

– Co usłyszałeś? – zapytał.

– Jak mówisz komuś, że powinien wyjechać z kraju.

Roscoe odetchnął z ulgą.

– To nic takiego. Tylko drobne zawirowanie. Nie przejmuj się.

– Martwię się, że wcześniej czy później wplądziesz się w jakąś aferę. Mimo tego, co obwieściłeś światu, wiem, że wciąż utrzymujesz kontakty z bezwzględными ludźmi. Nie chciałbym patrzeć, jak wszystko, na co pracowałeś przez tyle lat, wali się w gruzy z powodu jakiegoś głupiego błędu.

– Nie zrobię żadnego błędu. Umiem zacierać ślady. Przecież wiesz. – Roscoe popatrzył na Garlanda. Swojego jedyne go syna. Swojego następcę. – Powiedz mi, chłopcze, zastanowiłeś się nad kandydowaniem do Kongresu? Uruchomiłem już cały mechanizm. Wystarczy twoje słowo i możemy zacząć kłaść fundamenty.

– Sam nie wiem, tato. Nie jestem pewien, czy nadaję się na polityka.

– Bzdura. Politykę masz we krwi. Twój prapradziadek był gubernatorem. Wellsowie uczestniczyli w życiu politycznym Missisipi jeszcze przed wojną secesyjną.

– Wiem. I obiecuję, że zastanowię się nad zdobyciem w Kongresie miejsca, które opuszcza Tom Watkins.

Roscoe podszedł do Garlanda, klepnął go po plecach i uśmiechnął się.

– Świetnie. Zastanów się nad tym. I nie martw się o mnie. Potrafię o siebie zadbać. – O ciebie też. Zawsze to robiłem i nigdy nie przestanę.

– Obiecujesz, że jak będziesz potrzebował mojej pomocy... prawnej pomocy...

Roscoe parsknął śmiechem.

– Wszystko będzie dobrze. Przestań się martwić. Mam mały problem, ale to nic, z czym sobie sam nie poradzę, i nic, czym powinienes się przejmować. – Nie musisz się przejmować, synu. Wszystko, co zrobiłem – w przeszłości i teraz – żeby zatrzeć prawdę o masakrze w Belle Rose, zrobiłbym jeszcze raz. Nie ma powodu, by ktokolwiek podejrzewał, że byłeś w to w jakikolwiek sposób zamieszany.

*

Jolie nie mogła spać. Nie mogła nawet leżeć. Krążyła w tę i z powrotem po pokoju. Wciąż powracały do niej sceny z domu Ginny Ponders. Nawet z szeroko otwartymi oczyma widziała jej poderżnięte gardło. I krew. Mnóstwo krwi.

Ponury chłód pełzał po jej grzbiecie. Niemal czuła rękę zabójcy chwytającą ją za ramię. Zadrżała, przymknęła na chwilę powieki i potrząsnęła głową, próbując odgonić strach. Mogła dzisiaj umrzeć, zginąć jak Ginny Ponders. Gdyby nie zjawił się Max. Gdyby Max nie zaryzykował dla niej życia.

Tego wieczoru pojechała z nim do Wal-Mart, żeby wykupić antybiotyki i środki przeciwbólowe. W drodze do Belle Rose milczeli. Max zasypiał i budził się kilkakrotnie.

– Przestań wreszcie walczyć z wpływem zastrzyku – poradziła mu.

– Tak jest, szefie!

Miał rację. Przywykła do roli przywódcy i wydawania rozkazów. A w tym wypadku, żeby zapanować nad sytuacją, musiała spacyfkować rodzinę Maksa. Gdy przyjechali do Belle Rose, wszyscy wybiegli z domu, a Georgette i Clarice zaczęły rozczulać się nad Maksem, jakby był sześciolatkiem, który obtarł sobie kolano. Jeden Parry okazał się pomocny. Pomógł jej wprowadzić po schodach ślaniającego się siostrzeńca, mimo iż sam ledwo trzymał się na nogach.

Kiedy znaleźli się w korytarzu, Mallory bezceremonialnie odepchnęła ją od brata.

– Pomogę wujkowi położyć Maksa do łóżka. Ty zrobiłaś już więcej, niż trzeba.

Złośliwa smarkula, pomyślała Jolie.

– Tu są leki. – Podała Mallory papierową torebkę, a ta capnęła ją bez słowa.

Jolie poszła do swojego pokoju, wrzuciła zakrwawione ubrania do kosza na brudną bieliznę i wzięła długi prysznic. Wyszorowała się dokładnie od stóp do głów, włożyła lekką bawełnianą piżamę i położyła do łóżka. Zdrzemnęła się jakąś godzinę, a gdy się obudziła, miała wrażenie, że słyszy wołanie Maksa. Dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że to był tylko sen.

Przyznaj się, pomyślała, chcesz zobaczyć, co u Maksa. Chcesz się przekonać na własne oczy, że nic mu nie jest. Tak, do cholery, właśnie to chcę zrobić!

I nic w tym złego. Przecież nikt się nie dowie. Wszyscy już śpią, a Max pewnie wciąż jest oszołomiony po zastrzyku, który zrobili mu w szpitalu. Mogłaby cichaczem przekraść się przez korytarz i zajrzeć do jego pokoju, tylko żeby się

upewnić, że spokojnie śpi. Jeśli to zrobi, może sama zdoła zasnąć.

Wsunęła stopy w białe frotowe kapcie, podeszła do drzwi i wyszła na korytarz. Cisza. Tylko te przytłumione nocne skrzypienia charakterystyczne dla starych domów. Przemknęła na palcach przez długi, szeroki korytarz, który wiódł z jej sypialni do pokoju Maksa. Położyła rękę na klamce i rozejrzała się. Żywego ducha. Nacisnęła gałkę i uchyliła drzwi. Srebrne światło księżyca padło na drewnianą podłogę i podwójne dębowe łóże.

Otworzyła drzwi nieco szerzej i zrobiła kilka niepewnych kroków. Max leżał na boku plecami do drzwi. Nie był przykryty i miał na sobie tylko ciemne jedwabne bokserki. Poczowała wzrastające podniecenie. Nie, nie rób tego, upomniała się w duchu. Nie pozwól, żeby zaczęło ci zależeć na Maksie Devereaux.

Podeszła do łóżka, nie spuszczając z niego wzroku. Pragnęła go dotknąć. Pragnęła pieścić jego kark, plecy, szeroką pierś i...

Przez chwilę wsłuchiwała się w jego spokojny, miarowy oddech. Nigdy się nie dowie, jeśli go dotknie, nie będzie nawet wiedział, że była w jego pokoju.

Wyciągnęła rękę i koniuszkami palców przeczesła jego gęste ciemne włosy.

Jęknął.

Cofnęła dłoń.

Max odwrócił się i złapał ją za nadgarstek. Wstrzymała oddech.

– Lunatykujesz, *chere*? – wyszeptał i pociągnął ją na łóżko.

Rozdział 18

Zaskoczona Jolie nie odpowiedziała, tylko spojrzała na Maksa, szukając w półmroku jego oczu. Krew szumiała jej w uszach, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Leżała na Maksie i przez cienką tkaninę piżamy czuła ciepło bijące od jego ciała. Przytuliła się do niego instynktownie, a on puścił jej nadgarstek i płynnym ruchem chwycił ją za tył głowy, wplatając palce we włosy. Napięcie zawibrowało wokół nich z taką intensywnością, że zdawało się niemal namacalne.

Rozchyliła wargi. Nie wiedziała, czy robi to po to, żeby się odezwać, czy westchnąć, i nie dane jej było się nad tym zastanowić. Max przysunął jej głowę do siebie i przywarł ustami do jej warg z żarłoczną namiętnością. Zareagowała natychmiast, równie spragniona pocałunku jak on. Dzika, drapieżna żądza eksplodowała w niej z siłą, jakiej przedtem nie знаła. Zsunął dłoń po jej karku i plecach aż na biodra. Poczwała twardey członek na brzuchu i ból pożądania stał się niemal nie do wytrzymania.

Max oderwał usta od jej warg, by zaczerpnąć oddechu.

– Obawiam się, że nie jestem w najlepszej formie – powiedział, wtulając twarz w jej szyję.

– Och, Max, twoje ramię! – Zsunęła się z niego. Pogładził ją po policzku.

– I co teraz, *chere*? – Ujął ją za podbródek i powiódł kciukiem po jej dolnej wardze. – Nawet się nie lubimy.

Poczwała się, jakby wielki ciężar przygniótł jej pierś.

– Wiem. Do dzisiaj cię nienawidziłam. Albo tak mi się wydawało.

Jego palce prześliznęły się po jej szyi, wywołując dreszcz, od którego stwardniały jej sutki.

– Za dużo w nas emocji. I za silnych. Byłoby nam trudno nawiązać zwyczajny romans.

Słyszała, co mówił, i doskonale rozumiała, że miał rację. Ale jej ciało nie pojmowało, dlaczego nie może dostać tego, czego tak bardzo pragnie.

– Nie przyszłam do twojego pokoju, żeby... przyszłam, bo myślałam, że...

– Przyszłaś, bo nie mogłaś się powstrzymać.

– Musiałam sprawdzić, jak się czujesz, upewnić się, że nic ci nie jest. – Uniosła rękę i dotknęła jego policzka. – Uratowałeś mi życie.

– To potężny afrodyzjak.

Uśmiechnęła się.

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Jesteś bystrą kobietą. Musisz zdawać sobie sprawę, że mogę być dla ciebie niebezpieczny. – Pochylił się i pocałował zagłębienie między jej piersiami. Westchnęła. – Tak to już między nami jest. Ja pragnę ciebie, a ty mnie.

– Tak, wiem.

– Możesz się jeszcze uratować, jeśli za chwilę wyjdiesz. Tylko na tyle starczy mi siły woli.

– Chcesz, żebym...

Położył palec na jej wargach.

– Kiedy do tego dojdzie, nie będzie już odwrotu. To, co jest między nami, to nie jakieś zwykłe zauroczenie.

O, Boże! Miał rację.

– Nie chcę tego – powiedziała. – To nieodpowiednia pora. A ty jesteś nieodpowiednim facetem.

Westchnął.

– Rozumiem.

Jolie zmusiła się, żeby wstać z łóżka.

– To... do zobaczenia jutro.

– Oczywiście. Mamy wiele do zrobienia.

Skinęła głową i ruszyła do drzwi. Już wychodziła z pokoju, gdy zawołał:

– Jolie?

Obejrzała się przez ramię. Max uniósł się na łokciu.

– Sądzisz, że właśnie tak się czuli, kiedy zdali sobie sprawę, jak bardzo siebie pragną?

– Kto? – spytała, choć знаła odpowiedź.

– Twój ojciec i moja matka.

– Nie wiem — odparła, po czym odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju. Kiedy znalazła się w środku, oparła plecy o drzwi, odchyliła głowę do tyłu i wzięła głęboki oddech. To nie mogło się dziać. Po prostu nie mogło! Nie chciała czuć tak potężnej namiętności do Maksa. I nie chciała uwierzyć, że ten rodzaj pożądania kierował ojcem, gdy wdał się w romans z Georgette. Jeśli tak było, musiał czuć się równie bezsilny jak ona teraz. Ale przede wszystkim nie chciała nazywać swoich uczuć. To nie może być miłość, na Boga. Tylko nie pożerająca wszystko miłość, dla której ludzie zrobiliby wszystko, byle być razem.

Nawet zabić?

*

Jolie zeszła na śniadanie późno. Wszyscy już zjedli i opuścili jadalnię. Nalała sobie kawy, dodała solidną porcję śmietanki i z filiżanką w dłoni wyszła na korytarz. Zanim zajrzała do pokoju Maksa, zeszła na dół, i zobaczyła tylko puste, starannie zasłane łóżko. Musiała z nim porozmawiać. Po kilku godzinach niespokojnego snu obudziła się ze świadomością, że nie może dopuścić, żeby doszło między nimi do czegoś poważnego. Bez względu na pokusę – a Bóg jej świadkiem, że ją miała – Max był dla niej niewłaściwym mężczyzną. Nawet na krótką metę.

Pomyślała, że jeśli Max wciąż jest w Belle Rose, to siedzi w gabinecie Louisa.

Teraz – w swoim gabinecie.

Wynajęta tymczasowo gospodyni stała w korytarzu przy drzwiach do kuchni i wydawała instrukcje służbie. Jolie poczekała, aż wszyscy udadzą się do swoich obowiązków, a potem zapytała panią Tanner:

– Czy pan Devereaux jest w domu?

– Tak, proszę pani. W gabinecie.

– Dziękuję.

– Panno Royale?

– Słucham.

– Pan Devereaux prosił, żeby przyszła pani do niego po śniadaniu – powiedziała gospodyni. – Widzę, że znalazła pani kawę. Sprzątnęłam wszystko o dziesiątej, tak jak poleciła pani Royale, ale jeśli życzy sobie pani, żebym coś przygotowała, to...

– Nie, dziękuję.

Pani Tanner uśmiechnęła się i zniknęła w kuchni.

Jolie ruszyła niespiesznie w stronę gabinetu. Jej uczucia toczyły walkę ze zdrowym rozsądkiem. Pragnęła zobaczyć Maksa, paść mu w ramiona i całować go długo i namiętnie. Jednak rozum podpowiadał, że powinna być powściągliwa, nawet chłodna, a w rozmowie od razu przejść do sedna.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Wejść czy najpierw zapukać? To wprawcie jej dom, ale zwykła uprzejmość nakazywała zapukać. Uniosła rękę i zapukała.

– Proszę – usłyszała głos Maksa.

Serce zabiło jej jak szalone. Otworzyła drzwi i przestąpiła próg. Max siedział za biurkiem w skórzanym fotelu. Kiedy ją zobaczył, wstał.

– Wejdz, proszę. Czy pani Tanner powiedziała ci...

– Tak, powiedziała, że czekasz na mnie w gabinecie.

Wyszedł zza biurka sprężystym krokiem, zupełnie jakby nie został postrzelony zaledwie piętnaście godzin wcześniej. Miał na sobie grafitowo-szare spodnie i lnianą bordową koszulę rozpiętą pod szyją. Luźna elegancja. Dziwne, jak bardzo to określenie do niego pasowało. Nawet w dżinsach wyglądał elegancko.

Max zatrzymał się przed masywnym antycznym biurkiem.

– Dobrze spałaś?

– Prawdopodobnie równie dobrze jak ty.

Kąciki jego ust uniosły się lekko.

– Strasznie daleko stoisz, przy samych drzwiach.

– Tak jest bezpieczniej.

Uśmiechnął się szeroko.

– Czujesz się, jakby przejechał po tobie walec, *chere*?

Jolie zamknęła za sobą drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Musimy porozmawiać o... Nie stać mnie na to, żeby zajmować się tym, co jest między nami. Mam wiele innych, ważniejszych spraw... spraw, które pilnie

wymagają mojej uwagi.

– Ja pilnie wymagam twojej uwagi.

Zrobił krok w jej stronę; Jolie przywarła do drzwi i uniosła dłonie, powstrzymując go. Przystanął.

– W porządku, Jolie. Nie podejść bliżej. – Wrócił do biurka, przysiadł na blacie i skrzyżował ręce na piersi. – Postąpilibyśmy bardzo głupio, wdając się w coś osobistego. Nasze stosunki i tak są dostatecznie skomplikowane. Seks jeszcze bardziej by wszystko utrudnił. Poza tym wciąż nienawidzisz mojej matki i zamierzasz pozbyć się mojej rodziny z Belle Rose. Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Tylko że chwilowo skupiłaś się na poszukiwaniu prawdy, a nie na zemście. Przejęłaś śledztwo Theron Cartera i zamierzasz doprowadzić je do końca.

Jolie parsknęła.

– Widzę, że wśród licznych talentów masz również dar czytania w myślach.

– Całkiem nieźle mi poszło z opisem twoich uczuć. Miałaś zamiar powiedzieć mi wszystko, co przed chwilą ode mnie usłyszałaś, prawda?

Pokiwała głową.

– Cieszę się, że patrzysz na to tak samo jak ja.

– Nie na wszystko. – Przyglądał się jej uważnie. – Ale na razie, zgadzam się, że odkrycie prawdy o tamtym dniu stanowi nasz priorytet.

– Nasz?

– Ktoś wynajął trzech zbirów, żeby zabili Theron. Podejrzewam, że jeden z nich zamordował Ginny Ponders, postrzelił mnie i napadł na ciebie. Nie ma wątpliwości, że człowiek, który stoi za tym, nie chce, żeby odgrzebywano sprawę masakry w Belle Rose. Niestety wie również, że nie zamierzasz ustąpić, dlatego twoje życie może być w niebezpieczeństwie.

– A co z twoim życiem? Widziałeś twarz zabójcy.

– To był tylko wynajęty pionek – odparł. – Już dawno stąd zniknął. Pojechał do Meksyku albo Ameryki Południowej. Na razie nie stanowią zagrożenia dla człowieka, który pociąga za sznurki, ale ty owszem.

– Więc jeśli nie zaangażujesz się w to bardziej...

– Już jestem zaangażowany.

– Bo zostałeś postrzelony?

– Nie, *chere*. Ponieważ ktoś próbował cię zabić.

– Max...

– Powiedziałem ci kiedyś, że bronię tego, co moje.

– Ale ja nie jestem... nie jestem...

– Nie?

Siedział na krawędzi biurka i nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby się do niej zbliżyć, a jednak czuła żar jego pożądania z drugiego krańca pokoju.

– Powiedziałaś, że nie będziemy... zgodziłeś się, że...

Max wstał. Jolie wstrzymała oddech, myśląc, że do niej podejdzie. Zamiast tego okrążył biurko, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

– Dzień dobry, poproszę z komisarzem Harperem. Mówi Max Devereaux.

Jolie zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Tak, panie komisarzu, panna Royale i ja przyjedziemy złożyć oficjalne zeznania. – Zerknął na zegarek – Około wpół do dwunastej.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Jolie.

– Skontaktowałem się z agencją ochrony z Memphis. Przyślą dwóch najlepszych ludzi do całodobowej straży przy Theronie. Wynająłem też prywatnego detektywa, żeby namierzył Aarona Bendalla. Mam przeczucie, że Bendall wie, co się stało z zaginionymi aktami.

– Zrobiłeś to wszystko dziś rano? O której wstałeś?

– O szóstej.

– Ty naprawdę zamierzasz mi pomóc, prawda?

– Już ci pomogłem – odparł.

– Tak, wiem. Uratowałeś mi życie. Jestem ci za to wdzięczna.

– Nie o to mi chodziło. Mówiłem o tym, że poprosiłem znajomego z Biura Przepływów Kryminalnych, żeby się dowiedział, który z ich detektywów przyjechał tu dwadzieścia lat temu.

– I dowiedziałaś się?

– Tak. Tym detektywem był niejaki Kirby Anderson. Ma teraz siedemdziesiąt lat i mieszka w domu starców. Cierpi na alzheimera.

– Czyli od niego niczego się nie dowiemy. Ale może pozwolą nam zajrzeć do swoich akt?

– Bardzo się zdziwisz, jeśli ci powiem, że wszystkie dokumenty Biura Przepływów Kryminalnych dotyczące masakry w Belle Rose zaginęły?

– Cholera!

– Prawdopodobnie Anderson został specjalnie wyznaczony, żeby reprezentować biuro, i to on ukrył te dokumenty wiele lat temu.

Jolie zrobiła kilka kolejnych kroków i zatrzymała się pół metra od Maksa.

– Teraz mogę spokojnie wykluczyć cię z grona podejrzanych.

– Dziękuję, doceniam to. – Nie uśmiechnął się, ale jego oczy błysnęły wesołością.

– Mój ojciec mógł być odpowiedzialny za zatuszowanie sprawy dwadzieścia lat temu, ale nie teraz. Więc kto nam zostaje? Na mojej liście jest już tylko jedno nazwisko. Roscoe Wells.

– Dlaczego Wellsowi miałoby zależeć na zatuszowaniu prawdy o tym, co się stało w Belle Rose?

– Musiał być w to zamieszany – odparła. – Ale dlaczego miałby chcieć śmierci

mojej matki, ciotki Lisette i Lemara? Jaki mógł mieć motyw?

– Dobrze pytanie. Roscoe to stary lis z listą grzechów długą na kilometr, ale zamordowanie trojga osób nie jest w jego stylu.

– Więc co to mogło być? Nikt inny nie ma tak dużej władzy i wpływów, żeby manipulować detektywem z biura przestępstw kryminalnych i szeryfem.

– I może również koronerem.

– Nie pomyślałam o tym. Kto był wtedy koronerem? Czy nie doktor Madry?

– Tak, Horace Madry – potwierdził Max. – Dla pewności sprawdziłem dziś rano, czy rzeczywiście był miejskim koronerem w osiemdziesiątym drugim roku. Był. Ale Horace nie żyje. Zmarł dwa lata temu w wieku osiemdziesięciu lat.

– A gdybyśmy odwiedzili Roscoe'a i...

– Odradzam. – Max pokręcił głową i zbliżył się do Jolie jeszcze o pół kroku. – Do niczego by się nie przyznał. Zaprzeczyłby wszystkiemu i zrobiłby to ze świętym oburzeniem rasowego polityka. Gdybyśmy go teraz oskarżyli, tylko odkrylibyśmy karty. Potrzebujemy dowodów.

– Potrzebujemy zaginionych dokumentów. Musi być w nich coś, co wskazuje na jego winę.

– Po Wellsie można się spodziewać wszystkiego, co najgorsze, ale słowo daję, że nie potrafię sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego miałby zamordować dwie z sióstr Desmond. Albo zlecić zabójstwo. Roscoe zawsze traktował Desmondów jako arystokrację stanu Missisipi o pozycji równej własnej rodzinie.

– Jak Roscoe zareagował, kiedy Felicia oznajmiła, że zamierza za ciebie wyjść?

– Dlaczego dopuścił do ślubu swojej córki z bękartem bez żadnego rodowodu? – Max prychnął. – Powiedziała mu o tym już po fakcie. Wzięliśmy ślub potajemnie.

– Tak, rzeczywiście. Teraz przypominam sobie, jak ciocia Clarice wspominała mi, że były z Georgette bardzo zawiedzione, że nie mieliście wspianego wesela.

– Spieszyło nam się ze ślubem – wyjaśnił Max.

– Ach tak?

– Felicia powiedziała, że jest w ciąży.

– W ciąży?

– Chociaż nie była. Oczywiście dowiedziałem się o tym dopiero po paru miesiącach.

– Czemu miałaby kłamać w tak ważnej sprawie?

– Bo zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później przekonam się, jaką egoistyczną suką była naprawdę. Postanowiła usidlić mnie, zanim przejrzę na oczy.

Jolie usłyszała w jego głosie nie tylko gniew, ale i cierpienie. Nie zastanowiwszy się nad konsekwencjami, pogładziła go po policzku.

– Tak mi przykro, Max. Bardzo ją kochałeś?

Nakrył dłonią jej rękę i przycisnął mocniej do twarzy.

– Tak, ale szybko zabiła we mnie to uczucie. Po roku małżeństwa nienawidziłem

jej.

– A teraz?

Pokręcił głową.

– Teraz, kiedy o niej myślę, nie czuję nic. Może tylko gorycz.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Okna duszy, jak ktoś kiedyś powiedział.

To, co zobaczyła w jego oczach, nie miało nic wspólnego z przeszłością żadnego związku z utraconą miłością.

Zdjął jej dłoń ze swojego policzka i przytknął do ust. Instynkt ostrzegł Jolie, by się wycofała, lecz pierwotny zew natury okazał się silniejszy.

Kiedy Max wziął ją w ramiona i nakrył wargami jej usta, nie opierała się. Zarzuciła mu ręce na szyję, gdy położył dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją do siebie.

Nie usłyszeli otwieranych drzwi. Zatraceni w żarliwej namiętności, spalani przez nieugaszoną żądzę nie usłyszeli nawet okrzyku zdumienia.

– Co się, do cholery, dzieje?! – zawołała Mallory. – Max, co ty wyprawiasz?

Jolie i Max oderwali się od siebie, dysząc ciężko, z wypiekami na twarzach.

– Powinnaś była zapukać – powiedział Max. – Tego wymaga zwykła grzeczność.

– Pieprzyć grzeczność! – Wzrok Mallory wwiertcił się w Jolie. – Zechcesz mi wytłumaczyć, dlaczego przyssałeś się do jej twarzy? Nie można się tak napalić na kobietę.

– Myślę, że dość już powiedziałaś, Mallory – upomniał ją Max.

– Jeszcze nawet nie zaczęłam! – Uśmiechnęła się, ale jej niebieskie oczy pałały gniewem.

– Zaczęłaś i skończyłaś – odparł Max. – Cokolwiek zobaczyłaś, to nie twój interes.

– A właśnie że mój. Jolie to nasz wróg, pamiętasz? A tylko idiota sypia z wrogiem. Nie sądziłam, że jesteś idiotą, braciszku.

– Mallory, ostrzegam cię. – Max spiorunował ją wzrokiem. Ignorując groźbę, Mallory natarła na Jolie.

– Nic dla niego nie znaczysz, wiesz o tym? On ma inne kobiety. Jedną w szczególności. Taką którą rżnie, kiedy mu się zachce. I która wie o dawaniu rozkoszy takiemu facetowi jak Max znacznie więcej, niż ty dowiesz się kiedykolwiek. Chcesz wiedzieć, co to za kobieta... ta, którą Max lubi pierdolić?

– Mallory... – warknął Max przez zęby.

– Eartha Kilpatrick. Pamiętasz ją? Tę cycatą rudowłosą lalę, która prowadzi zajazd Sumarville? Dyma ją od dobrych paru lat.

Max rzucił się naprzód, złapał Mallory za ramię i wyprowadził na korytarz. Jolie stała jak sparaliżowana. Co za różnica, jeśli nawet Max ma długotrwały romans z Earthą Kilpatrick? Nie jest przecież jej własnością. Więc czemu tak bardzo boli

myśl o tym, że uprawia miłość z inną? W jej głowie kłębiło się od koszmarnych wizji Maksa leżącego nago w objęciach ponętnej rudowłosej kobiety.

Słyszała jego głos, niski i ostry jak stal, gdy rozmawiał z siostrą w korytarzu. I słyszała gorzką tyradę Mallory. Lecz słowa zlewały się w niezrozumiały bełkot.

Max wrócił do gabinetu, zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył w jej stronę. Spojrzała mu w oczy.

– Eartha Kilpatrick i ja jesteśmy przyjaciółmi – wyjaśnił. – Gdyby to było pięćdziesiąt lat temu, ludzie powiedzieliby, że od paru lat jest moją metresą.

Jolie pokiwała głową. Nic mnie to nie obchodzi, nic mnie to nie obchodzi.

– Nasz związek... Eartha wie, że jej nie kocham i nie mam zamiaru się z nią żenić.

Jolie znów pokiwała głową. Niech cię diabli porwą, Maksie Devereaux, za to, że tak mi na tobie zależy.

– Powiedz coś, do cholery.

– Co mam powiedzieć?

Przeczesał nerwowo włosy, sapnął głośno i odwrócił się od niej. Wstrzymała oddech.

– Powiedz, żebym trzymał się od ciebie z daleka. Powiedz, że nie chcesz mnie więcej dotknąć. Powiedz, że mnie nienawidzisz.

– Nienawidzę cię!

Jolie wybiegła z gabinetu, zostawiając Maksa klnącego na czym świat stoi.

Rozdział 19

Sutтона obudziło walenie do drzwi. Kogo lichy niesie? Zerknął na elektroniczny zegarek stojący na nocnej szafce. Jedenasta piętnaście. Dla większości ludzi za późno, żeby jeszcze spać, ale dla faceta pracującego wieczorami wczesna pora. Gdy po zamknięciu baru recepcjonista nie zjawiał się w robocie, R.J. zastępował go i siedział za kontuarem aż do siódmej rano. Tak właśnie było tego dnia.

– R.J., proszę, wpuść mnie – zawołała Mallory Royale, ciągle dobijając się do drzwi.

R.J. wyskoczył z łóżka. Co ona tu, do cholery, robi? Chwycił z podłogi dzinsy, które rzucił tam o siódmej trzydziści tego samego ranka, wciągnął je i ruszył boso do drzwi.

Gdy tylko je otworzył, Mallory zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego nagą pierś. Poczł na skórze jej gorące łzy.

– Co się stało, kotku? – Objął ją i zamknął kopniakiem drzwi. – Co cię tak zdenerwowało?

– Nie chcę o tym rozmawiać – odparła. – Chcę tylko ciebie.

– Masz mnie, laleczko. Jestem cały twój. – Pocałował ją w czubek głowy. – Nie płacz. Bez względu na to, co się stało, jakoś sobie poradzimy.

Zadarła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Kochaj się ze mną, R.J. Kochaj się ze mną tu i teraz.

– Chcesz, żebym się z tobą kochał?

– Tak. – Otarła łzy.

– Jesteś pewna? – Kurde, Sutton, pogięło cię czy jak? Odkąd to zaglądasz w zęby darowanemu koniowi? Kobieta mówi, że chce, żebyś ją przeleciał, a przecież wiesz, że jesteś zwarty i gotowy.

Mallory skinęła głową.

– Tak.

R.J. nie robił tego z dziewczicą od czasów, kiedy sam był prawiczkiem i zabawiał się z Valerie Hovater w jej pokoju, gdy pod nieobecność rodziców opiekowała się młodszymi braćmi. Przez te lata zarwał sporo młodych, niedoświadczonych lasek, ale nigdy nie miał do czynienia z taką jak Mallory. Mimo silnego postanowienia, by nigdy się nie angażować, wiedział już, że czuje do Mallory coś, czego nie czuł do żadnej innej. Nie miłość, ale coś więcej niż zwykłą chęć dobrania się jej do majtek.

– Wejdz. – Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę łóżka.

– Nie biorę pigulek ani niczego takiego – wyznała nerwowym głosem.

– Nie szkodzi. Mam zabezpieczenie. Nie przejmuj się.

Słaby uśmiech zadrgał jej na wargach.

– Myślę... myślę, że cię kocham. Jasna cholera!

– Tak? – Obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. Miał przed sobą żywą gadającą chodzącą laleczkę. Daruj sobie te kretyńskie wyrzuty sumienia, upomniał się w duchu. Jeśli nie ty, to byłby inny facet. Tak się składa, że po prostu masz farta.

Spojrzała na niego tymi swoimi wielkimi błękitnymi oczyma, w których nagle pojawiła się niepewność.

Przesunął grzbietem dłoni po jej policzku, szyi i dalej po różowym topie odkrywającym brzuch. Westchnęła, gdy jego palce spoczęły na jej nagiej skórze tuż pod biustem.

– Kocham w tobie wszystko – powiedział. – Twoje piękne błękitne oczy. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Twoje długie lśniące włosy. – Przeczesał palcami jej włosy. – I twoje cudowne ciało. I to, jak się czuję, kiedy jesteśmy razem. – Znał wszystkie czułe słówka, wszystkie komplementy, które rozmiękczają kobietom serca i rozchylają im uda.

Kiedy chwycił dół jej bluzki i podciągnął do góry, pomocnie uniosła rękę. Zanim miała okazję zmienić zdanie, już pieścił jej pośladki, a potem rozpiął suwak szortów. Wciągnęła głęboko powietrze, ale nie próbowała go powstrzymać. Po sekundzie stała przed nim w samych majteczkach i staniku. R.J. gwizdnął przeciągle.

– Kurczę, kotku, jesteś wystrzałowa. – I była. Wcale nie bajerował. Obrzuciła go wzrokiem.

– Sam jesteś niczego sobie. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo takiego.

– To jest nas dwoje. – Pocałował ją, wsuwając język do jej ust, a jednocześnie włożył rękę pod majtki, obmacując jej jędrną, krągłą pupę.

Gdy oderwali się od siebie, by zaczerpnąć tchu, był już twardy jak skała i rozpalony do czerwoności. Zaczął kąsać delikatnie jej ucho, obsypał pocałunkami szyję, a potem wprawnym ruchem rozpiął stanik, zsunął go i odrzucił na podłogę. Podniósł ją lekko i wtulił twarz w jej nagie piersi. Przez sekundę myślał, że eksploduje tu i teraz. Nie tknął żadnej dziewczyny, odkąd zaczął się spotykać z Mallory, i na gwałt potrzebował seksu.

Mallory drżała i jęczała. Poprowadził ją w stronę łóżka, a gdy jej nogi oparły się o brzeg materaca, położył ją delikatnie. Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Szczwana bestia. Wiedziała, jak bardzo jej pragnie. Porzuciwszy wszelkie pretensje do delikatności, jednym szarpnięciem ściągnął jej majtki i cisnął na podłogę, po czym pośpiesznie zdjął spodnie.

– Och! – Mallory wlepiła wzrok w jego erekcję.

– Podoba ci się, kotku?

– Taak.

O mało nie zakrztusiła się na tym słowie. Żeby się tak zakrztusiła na moim fiucie, pomyślał. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw podstawy.

– Jest cały twój – powiedział jej. – Chcesz go teraz?

– Taak.

R.J. otworzył szufladę nocnej szafki, wyjął z pudełka prezerwatywę i założył. Podpierając się rękoma, żeby jej nie zgnieść, próbował wsunąć członek między ściśnięte uda.

– Rozłóż nogi i pozwól mi wejść. – Pochylił głowę i ujął zębami sterczącą brodawkę.

Kiedy lekko ją ścisnął, Mallory jęknęła i rozchyliła uda. Zaczął ssać jej pierś, podczas gdy jego penis szukał wejścia do jej ciała. Boże wszechmogący, ale była ciasna!

Kiedy wszedł w nią do połowy, naprężyła się i krzyknęła. Cholera, była wilgotna, a on wykonał robotę już w pięćdziesięciu procentach. Nie zamierzał teraz przerywać. Nie ma mowy. Wątpił, żeby mógł przestać, nawet gdyby chciał – a nie chciał.

– Rozluźnij się, kotku. Za pierwszym razem będzie trochę bolało.

– R.J., nie...

Uniósł jej biodra i napał, wchodząc w nią aż do końca. Pisnęła jak rozdrażniona kotka i wbiła mu paznokcie w plecy.

– Boli – poskarżyła się.

Wysunął się z niej na kilka centymetrów, a potem natarł znowu. Chwyliła go za ramiona, wczepiając się w niego kurczowo.

– Przestań! Mówiłam, że to boli.

– Przecież tego chciałaś – odparł, nie przestając się poruszać. – Spróbuj się rozluźnić. Obiecuję, że następnym razem ci się spodoba.

– Następnym razem?

Dlaczego nie mogła po prostu się zamknąć? Jeszcze kilka pchnięć i by skończył. A jeśli zaczeka, zrobi to znowu i tym razem dopilnuje, żeby ją zaspokoić. Ignorując jej jęki, podjął przerwane dzieło. W ciągu paru minut eksplodował, zagłębiony w niej po samą rękojęść. Gdyby jeszcze nie miał na sobie kondoma, byłoby naprawdę super.

Może następnym razem. W końcu była dziewicą, więc nie złapię żadnego syfa. Ale nie brała pigułek, więc mogła zajść w ciążę. Co tam, jakie są szanse, że zmaiszuje jej bachora, jeśli tylko raz zrobi to bez gumki?

*

– Gdzie Jolie?

Yvonne otworzyła powieki, gdy tylko usłyszała głos syna.

– Theron? – Podniosła głowę i spojrzała w oczy skupione na jej twarzy.

– Mamo. – Jego głos był zachrypnięty i szorstki.

– O, dzięki ci, Boże. – Łzy zakreśliły się w jej oczach.

– Gdzie jest Jolie?

– W Belle Rose. Chcesz, żebym do niej zadzwoniła?

Theron skinął głową.

– Zadzwoń do niej. I do Ike'a.

– Ike'a Dentona?

Jeden z ochroniarzy wynajętych przez Maksa wetknął głowę za parawan.

– Czy wszystko w porządku, pani Carter?

– Tak, dziękuję. Właściwie nawet lepiej niż w porządku. Mój syn może mówić.

Uśmiechnęła się do barczystego mężczyzny w niebieskim mundurze i z pistoletem przy pasie. Dziękowała Bogu, że jest tutaj, aby bronić Theron.

– Kto to? – spytał Theron.

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu prawdę. W końcu odparła:

– To prywatny ochroniarz. Max go wynajął.

– Dla mnie?

– Tak.

– Dlaczego?

Yvonne pogłaskała syna po policzku.

– Nie przejmuj się tym, kochanie. Musisz wypoczywać i wracać do zdrowia.

– Co się stało? Dlaczego Max uważa, że potrzebuję ochrony?

– Nic się nie stało – skłamała. – Po prostu Max obawia się, że ktoś znowu będzie próbował cię skrzywdzić.

– Zadzwoń do Jolie. Chcę się z nią zobaczyć.

– Dobrze, za chwilę.

– Teraz.

*

Georgette i Parry siedzieli obok siebie na bliźniaczych bujanych fotelach. Ona piła sok ze świeżych pomarańczy a on mimożę szczerze podlaną drogim szampanem. Przez lata przywykli do tego, co najlepsze. Na szczęście Louis nigdy nie skąpił na nic pieniędzy. Był bardzo hojny nie tylko dla niej, ale również dla Parry'ego, Maksa i Mallory.

– Strasznie jesteś dziś milkliwa, Georgie.

– Tak sobie myślę.

– O czym? O tym, że Max dał się postrzelić, ratując życie Jolie?

– Hm. Coś między nimi jest – powiedziała Georgette.

– Max jest mężczyzną a Jolie piękną kobietą. Pewnie chce ją przelecieć. Szczerze mówiąc, sam chętnie bym ją bzyknął.

– Parry! Czy zawsze musisz być taki ordynarny?

– Nie zawsze jestem ordynarny – odparł. – Ale myślałem, że przy tobie nie muszę udawać. Nie musimy zakładać żadnych masek, kiedy jesteśmy tylko we dwoje.

– Przy Louisie też mogłam być sobą. Nie przeszkadzało mu, że nie urodziłam się damą. Chyba nawet lubił, kiedy puszczały wszystkie bariery i zachowywałam się

jak dziwka.

– Bardzo ci go brakuje, prawda?

Nikt nie był w stanie nawet sobie wyobrazić bólu, jaki sprawiało jej przeżywanie każdego kolejnego dnia bez Louisa. Gdyby Bóg był naprawdę miłosierny, zabrałby ją z tego świata w tej samej chwili, w której zabrał jego.

– Czuję się, jakbym umarła razem z nim – odparła. – Tylko moja dusza została uwięziona w żywym ciele.

– Jezu, Georgie, nie mów takich rzeczy. Aż ciarki chodzą mi po plecach.

– Nigdy nikogo nie kochałeś, tak jak ja kochałam Louisa.

– Kochałem Lisette. – Dokończył drinka i odstawił szklanekę na stół.

– Naprawdę? Zawsze w to wątpiłam. Myślałam, że podobało ci się w niej przede wszystkim to, że pochodzi z elitarnej rodziny i żeniąc się z nią zyskasz szacunek.

– Częściowo tak. Ale naprawdę ją kochałem. I byłbym dobrym mężem, gdybym miał taką szansę.

Georgette wzięła brata za rękę.

– Wiem, mój drogi, wiem. – Uścisnęła jego dłoń. – Obiecuj mi coś.

– Co takiego?

– Obiecuj, że bez względu na wszystko, nawet jeśli okaże się, że Lemar Fuqua nie zabił Audrey i Lisette, nie pozwolisz, żeby Maksowi stało się coś złego. Musimy go chronić.

Parry pocałował ją w policzek i powiedział:

– Georgie, Max ich nie zamordował. Chyba nie myślałaś przez te wszystkie lata, że on...

– Wydaje mi się, że znam prawdę – wyznała Georgette. – Od samego początku byłam pewna, że Lemar Fuqua nie zabił Audrey i Lisette.

– Skąd ta pewność?

– Bo wydaje mi się, że wiem, kto zabił całą trójkę.

– Tak, Georgie? Naprawdę?

– Tak, Parry. Naprawdę.

*

Mallory próbowała wyjść, ale R.J. nie chciał jej puścić. Mocowała się z nim, a gdy opadła z sił, płakała i błagała, lecz bez skutku. Przyszła do niego, bo potrzebowała pocieszenia. Pragnęła kogoś, kto by się nią zaopiekował. Pokochał. A R.J. wykorzystał tylko ją, nie zważając na to, że sprawia jej ból. Jak mogła tak bardzo się pomylić? Myślała, że mu na niej zależy, że jest jedyną osobą, której może zaufać i która jej nie zdradzi.

– Chodź, kotku. – R.J. wziął ją na ręce. Nie miała siły się opierać, gdy niósł ją do łazienki.

Postawił ją pod prysznicem i odkręcił kurek. Sam stanął pod zimnym początkowo strumieniem i dopiero kiedy woda zrobiła się ciepła, zamienił się z nią

miejskami. Była cała obolała, prawdopodobnie bardziej dlatego że napięła mięśnie, gdy w nią wszedł, niż z powodu samego seksu. I czuła pieczenie między nogami. Dlaczego ludzie uprawiają seks, skoro to takie okropne?

R.J. namydlił gąbkę i umył jej plecy i pośladki. Kiedy rozsunął jej nogi i umył intymne miejsca, nie protestowała. Potem odwrócił ją i dokładnie namydlił piersi i brzuch. Nie mogła na niego patrzeć. Nienawidziła go za to, co jej zrobił, za to, jak bardzo ją zawiódł. R.J. odłożył gąbkę i spojrzał na Mallory.

– Jesteś na mnie bardzo zła? – spytał. Nie odpowiedziała.

– Mogę cię udobruchać – obiecał.

Zgromiła go wzrokiem.

– Nie wierzysz mi?

Pokręciła głową. Nienawidziła go! Nie mógł odwrócić tego, co zrobił.

R.J. nie czekał na jej zgodę. Po prostu pocałował ją w usta. Zaczęła się wić, ale złapał ją za nadgarstki, przytrzymał jej ręce nad głową i pogłębił pocałunek. Choć bardzo go w tej chwili nienawidziła, jej ciało zareagowało. Jak to możliwe, że po tym, jak ją potraktował, wciąż go pragnęła?

Jego dłoń błędziła po jej piersiach i brzuchu, aż wreszcie powędrowała niżej, na wzgórek łonowy. Kiedy rozchylił jej uda, jęknęła, ale nie ustąpił i zdołał wsunąć w nią dwa palce.

– Boli cię tam, kotku?

– Jasne, że boli, ty draniu.

Zachichotał.

– Za chwilę sprawię, że poczujesz się znacznie lepiej.

Wyciągnął palce i zaczął ją pieścić. Z każdym jego ruchem ciało Mallory rozluźniało się, aż wreszcie ogarnęła ją błoga rozkosz. R.J. uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej?

– Mm-hm.

– Rozluźnij się, kotku, i daj się temu ponieść. Dojdiesz dla mnie na szczyt. Będziesz drżała, będziesz dygotała, będziesz krzyczała. – Nie przestawał jej pieścić coraz mocniej i szybciej. – Jak zrobię to z tobą następnym razem, będzie tak samo, tylko lepiej.

Wiła się i skręcała, wypychając do przodu biodra. Wreszcie dotarła na szczyt. Falująca rozkosz rozlała się po jej ciele. Potem opadła w jego ramiona i wtuliła głowę w jego pierś.

– Zuch dziewczyna.

R.J. zakręcił wodę, pomógł Mallory wyjść z kabiny, owinał ją ręcznikiem i posadziwszy na komódce, wytarł się drugim ręcznikiem. Mallory siedziała nieruchomo, wciąż nie do końca pojmując, co się przed chwilą stało. Nie zdążyła ochłonać, a R.J. znowu postawił ją na nogi i zaprowadził do sypialni. Zdarł z niej ręcznik i pociągnął do łóżka. Tym razem podniósł ją i posadził na sobie.

– Jeszcze raz, Mallory. Tylko że teraz będzie ci dobrze. Obiecuję.

Odmów. Nie pozwól mu wsadzić tego wielkiego twardego kutasa i narazić cię znowu na ból. Zanim zdążyła zaprotestować, uniósł jej pośladki i nakierował tak, że czubek jego męskości zaczął drażnić jej kobiece płatki. Zesztywniała. R.J. złapał ją za biodra i nabił na swój sterczący pal. Westchnęła, czekając na ból. Ale ból nie nadchodził. Tylko lekkie pobudzenie, a po kilku posuwistych pchnięciach przyjemny dreszczyk.

Unosił i opuszczał jej biodra w równym, powolnym rytmie, za każdym razem trafiając w najwrażliwszy punkt w jej wnętrzu. Wkrótce przejęła inicjatywę, ujeżdżając go jak ogiera w galopie. Z jedną dłonią wciąż na jej biodrze, drugą pieścił jej twarde sutki.

– O, Boże, RJ.

– Szybciej, kochanie, szybciej.

Przyspieszyła, ale tempo wciąż było dla niego za wolne. Chwycił ją za biodra, podrywając ją i nasadzając na siebie coraz szybciej, aż eksplodowała w szalonym orgazmie. Sam dotarł na szczyt sekundę później.

Mokra od potu Mallory osunęła się i wtuliła w jego ciało.

– Było lepiej, prawda, kotku? – Trącił nosem jej szyję. Westchnęła.

– Tak. Znacznie lepiej.

Dopiero gdy kochali się po raz trzeci, zdała sobie sprawę, że za drugim razem nie użył prezerwatywy. Cóż, teraz nic nie mogła na to poradzić.

– Tym razem się zabezpiecz – upomniała go.

Zrobił, o co prosiła, a potem wszedł w nią. Obsypała go pocałunkami, pragnąc więcej i więcej rozkoszy, którą właśnie odkryła.

– Naucz mnie tego – powiedziała.

– Czego chcesz się nauczyć? – zapytał.

– Wszystkiego.

– To trochę potrwa. Kilka dni, tygodni, miesięcy.

– Zgoda, ale pierwszą lekcję daj mi już teraz.

Rozdział 20

– Wspaniała wiadomość! – Clarice uściskała Yvonne i uśmiechnęła się promiennie. – Bóg wysłuchał naszych modlitw. Oddał nam naszego kochanego Theron.

– Przywitaj się z nim – powiedziała Yvonne.

– Nie powinnam mu przeszkadzać, gdy odpoczywa. Nie może się przecież męczyć.

– Nonsens. Theron chce cię zobaczyć. – Yvonne pociągnęła Clarice za rękę, a potem spojrzała na jej nieodłącznego towarzysza. – Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zaczekasz tutaj?

– Ależ skąd – odparł Nowell. – Clarice bardzo się martwiła o Theron. Dobrze jej zrobi, jak go zobaczy i zamieni z nim kilka słów. Przekona się, że Theron wraca do zdrowia.

Yvonne i Clarice weszły do sali. Theron leżał na plecach, wciąż podłączony do rozmaitych aparatów, które monitorowały jego funkcje życiowe. Gdy zbliżyły się do łóżka, otworzył oczy i uśmiechnął się, a potem wpatrywał się to w jedną, to w drugą. Serce Yvonne zabiło szybciej. Czemu tak się nam przygląda? – pomyślała.

– Nie wiem, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej. – Głos Theron, wciąż był odrobinę chropawy.

– Czego nie zauważyłeś? – spytała Clarice.

– Jak bardzo jesteście do siebie podobne.

Yvonne wstrzymała oddech.

– To oczywiste, że jesteśmy podobne – odparła Clarice, jakby nie było w tym nic dziwnego. – Yvonne i ja przypominamy wyglądem tatusia. Audrey i Lisette były podobne do mojej mamy, a Lemar do swojej matki.

– Theron, pozwól mi wyjaśnić... – Yvonne przez całe życie ukrywała przed synem prawdę, obawiając się jego reakcji. I oto Clarice wyjawiała, że są siostrami, w taki sposób, jakby prowadziła rozmowę o pogodzie.

– Co tu wyjaśniać? – Theron spojrzał na matkę.

– Nie powiedziałam ci, bo...

– Bo myślałaś, że wolałbym nie wiedzieć, że mój dziadek był biały.

– Ale ja zawsze chciałam ci o tym powiedzieć – zapewniła Clarice. – Chciałam, żebyś wiedział, że jestem twoją ciocią tak samo, jak jestem ciocią Jolie. Zawsze kochałam cię równie mocno jak ją.

Wilgotna mgiełka zasnęła orzechowe oczy Theron. Oczy, które odziedziczył po Samie Desmondzie.

– Ja... ja nie wiedziałem – odparł. – A powinienem był się domyślić. Zawsze traktowałaś mnie, jakbym był dla ciebie wyjątkowy. Muszę przyznać, że zaczęło mi to przeszkadzać, kiedy dorosłem. Po prostu wydawało mi się bez sensu. I

denerwowało mnie, że ty i mama jesteście sobie takie bliskie.

Yvonne westchnęła. Jej syn właśnie poznał jedną tajemnicę. Ale była jeszcze jedna, którą dzieliły z Clarice i która związała je równie mocno jak siostrzane uczucie. Przysięgli, że tego sekretu nigdy nikomu nie wyjawia.

– Ludzie podejrzewali, że Yvonne i Lemar są Desmondami – powiedziała Clarice – ale obiecaliśmy tatusiowi, kiedy leżał na łożu śmierci, że zachowamy prawdę w rodzinie. – Zniżyła głos. – Bo widzisz, tata nie chciał, żeby ludzie źle myśleli o Sadie. W końcu był żonaty z moją mamą, kiedy urodzili się Yvonne i Lemar. A tatuś był bardzo honorowy. Nie chciał okryć hańbą Sadie i mojej mamy.

– Jak możesz mówić, że był honorowy? Dopuszczał się cudzołóstwa, a na dodatek wykorzystał swoją służącą. – Oczy Theroną pociemniały.

Clarice zrobiła oburzoną minę.

– Nie wykorzystał....

– Sam Desmond i mama się kochali – wtrąciła się Yvonne.

– Chyba sama w to nie wierzysz – zaproponował Theron. – Bez względu na to, co powiedziała ci babcia...

– Wiem to od niego. – Yvonne spojrzała synowi prosto w oczy. – Zanim umarł, wyznał mi, że bardzo zależało mu na pani Mary Rose, ale to moja mama była miłością jego życia.

– To prawda – potwierdziła Clarice. – Ale nawet po śmierci mamy nie mógł się ożenić z Sadie. Wtedy, pod koniec lat czterdziestych, małżeństwa międzyrasowe były niezgodne z prawem.

– Więc wujek Lemar był przyrodnim bratem Lisette. – Theron zamknął oczy.

– Lemar i Lisette nie mieli romansu – powiedziała Clarice. – Wiedzieli, że są rodzeństwem. I przyjaźnili się od małego. Łączyła ich mocna więź, ale nie miała charakteru erotycznego. Nigdy.

– Dlaczego nie powiedziałyście o tym szeryfowi, kiedy prowadzono śledztwo w sprawie masakry w Belle Rose? – Theron otworzył oczy i wbił wzrok w matkę.

– Powiedziałam mu o tym – odparła Yvonne. – Naprawdę mu powiedziałam, ale mi nie uwierzył. Uznał, że kłamię, bo chcę oczyścić dobre imię brata.

– Parę miesięcy później, kiedy doszłam do siebie, potwierdziłam zeznanie Yvonne. – Po policzkach Clarice popłynęły łzy. – Szeryf oświadczył, że to bez znaczenia, czy Lisette i Lemar byli rodzeństwem. Jeśli nawet, to ich romans był jeszcze bardziej ohydny.

– Szeryf zareagował tak – powiedział Theron – bo chciał, żeby Lemara uznano za mordercę.

– Ale dlaczego? – zdumiała się Yvonne.

– Dzwoniłaś do Jolie? – spytał.

– Ja dzwoniłam – odparła Clarice. – Już tu jedzie. Prosiła, żeby ci przekazać, że macie nowego sprzymierzeńca.

- Kogo?
- Jak to kogo? Maksa, rzecz jasna.

*

Komórka Jolie zadzwoniła, gdy wyszli z Maksem z posterunku policji. Słyszając głos ciotki Clarice, natychmiast pomyślała o Theronie. Wiedziała, że ciotka jest w szpitalu.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej. Theron zaczął mówić. I chce się z tobą zobaczyć.

Podzieliła się z Maksem dobrą nowiną i natychmiast ruszyli do szpitala. Max zaparkował porsche. Kiedy Jolie sięgnęła, żeby otworzyć drzwiczki chwycił ją za rękę.

- To nie przejdzie – powiedział.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– O twoje milczenie. Przez całą drogę do miasta i z posterunku aż tutaj mówiłaś tylko „tak” albo „nie”.

– A co miałam mówić? Zgodziliśmy się, że cię nienawidzę, a fakt, że czujemy do siebie miętę, niczego nie zmienia.

- Więc twój plan to ignorowanie tego i nadzieja, że jakoś nam przejdzie?

– Coś w tym guście. – Otworzyła drzwiczki, wysiadła i nie czekając na niego, ruszyła w kierunku szpitala.

Max dogonił Jolie w recepcji, gdy szła do windy. Obserwowała go kątem oka, dziękując Bogu, że na nią nie patrzy i nie próbuje dotknąć. Wiadomość o jego romansie z Earthą Kilpatrick dała jej idealną wymówkę. Choć prawdę mówiąc, nie była nawet w połowie tak wstrząśnięta jego „metresą”, jak udawała. Nie mogła przecież oczekiwać, żeby taki facet jak Max żył w celibacie. Seks parował ze wszystkich porów jego skóry.

Jolie przycisnęła guzik ze strzałką do góry i zaczęła. Po chwili drzwi windy rozsunęły się i wysiedli z niej wszyscy pasażerowie. Max wszedł za Jolie do środka. Jechali na górę w ogłuszającej ciszy. Gdy drzwi znowu się otworzyły, Jolie wyskoczyła z windy i pobiegła w głąb korytarza. Nie mogła się doczekać spotkania z Theronem, ale przede wszystkim nie chciała być sam na sam z Maksem ani chwili dłużej.

W poczekalni zastała Yvonne, ciotkę Clarice i Nowella Landersa. Yvonne i Clarice wstały i podbiegły do niej.

– Postaraj się go nie denerwować – poprosiła Yvonne. – Mówi, że potrafi zidentyfikować wszystkich trzech mężczyzn, którzy go zaatakowali. Komisarz Harper już tu jedzie, żeby spisać zeznanie.

Jolie ścisnęła Yvonne za rękę.

– Powiem mu, co się stało w domu Ginny Ponders. Musi wiedzieć wszystko co ja.

- Rozumiem, że musisz mu to powiedzieć, ale pamiętaj, że Theron nie powinien

się denerwować. Wciąż jest bardziej słaby.

Clarice objęła Yvonne.

– Jolie zależy na Theronie i nie zrobi niczego, żeby go skrzywdzić. – Spojrzała na Maksa stojącego w drzwiach. – Musisz z nią pójść do Theron. Pielęgniarki wygoniły nas z sali, bo za bardzo się wzruszył, i prosiły, żebyście poczekali do następnej pory odwiedzin.

– A kiedy to będzie? – spytał Max.

– Za godzinę – odparła Yvonne. – Ale Theron żądał natychmiastowego spotkania z Jolie. Zagroził, że w przeciwnym razie zdemoluje szpital.

– To może nie powinniśmy czekać. – Max spojrzał na Jolie, która pokiwała głową. – Zapytajmy, czy nas wpuszczą.

*

Kiedy Jolie opowiadała Theronowi o wydarzeniach ostatnich dni, zauważył, że Max patrzy na nią w szczególny sposób. Był ciekaw, co między nimi zaszło, ale nie mógł spytać o to Jolie w obecności Maksa.

– Dziękuję, że wynająłeś dla mnie ochronę – powiedział. – Sam mogę zapłacić. Tylko poinformuj agencję, żeby przysłała mi rachunek.

– Pozwól, że ja zajmę się rachunkami – odparł Max. – Ty skup się na powrocie do zdrowia.

– Max ma rację. – Jolie siedziała na krześle przy łóżku, ściskając dłoń Theron. – Zajmiemy się wszystkim, a ty się kuruj. Nie przestaniemy szukać, dopóki się nie dowiemy, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia w Belle Rose. Oboje jesteśmy pewni, że Lemar nie zamordował mojej matki i ciotki.

Theron spojrzał Maksowi w oczy.

– Zaopiekujesz się Jolie, prawda? Nie pozwolisz, żeby spotkało ją coś złego?

– Jej bezpieczeństwo to mój priorytet – zapewnił Max.

– Jeśli coś jej się stanie, odpowiesz mi za to – ostrzegł go Theron. – Jolie i ja... jesteśmy jak rodzina.

– Rozumiem. – Max skinął głową i spojrzał na Jolie, która natychmiast odwróciła wzrok.

– Informujcie mnie na bieżąco o wynikach, dobrze? – poprosił Theron.

– Oczywiście – obiecała Jolie. – Przecież to twoje śledztwo. Max i ja wykonujemy tylko czarną robotę.

– Uważaj na siebie – powiedział Theron. – Nie ryzykuj bez potrzeby.

– I kto to mówi! – zażartowała.

Wysoka czarnoskóra pielęgniarka zajrzała za parawan.

– Obawiam się, że musicie państwo już iść. Komisarz Harper przyjechał spisać zeznanie pana Cartera, a nie pozwolę, żeby przesiadywało tu pół Sumarville.

Jolie bardzo delikatnie uściskała Theron, a potem pocałowała go w policzek.

– Bądź grzeczny i nie kłóć się z pielęgniarkami.

Theron złapał ją za rękę.

– A ty bądź ostrożna i nie rób niczego głupiego. – Mało brakowało, a dodałby: „kuzynko”. Minie trochę czasu, zanim oswoi się z myślą, że Desmondowie to rodzina. Rodzina jego matki.

*

Wieczorem Max i Jolie zgromadzili wszystkich, włącznie z obrażoną Mallory, w głównym salonie. Jolie zastanawiała się, jak zareagują na przesłuchanie, zwłaszcza Georgette i Parry. Niewykluczone, że jedno z nich znało prawdę, a może nawet ponosiło odpowiedzialność za morderstwa.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Parry, siadając obok siostry.

– Tak, drogi chłopcze, wyjaśnij nam, co się dzieje. – Clarice zajęła miejsce na sofie przy Nowellu. Oznajmiła, że jej narzeczony powinien zostać bo wkrótce będzie członkiem rodziny.

Max zesztywniał, usłyszawszy o ślubie Clarice i Nowella, ale gdy Jolie posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, postanowił milczeć. W tej chwili musieli sobie radzić z każdym problemem po kolei.

– Skoro ciocia Clarice chce się wydać za swojego podstarzałego hipisa, pewnie będziemy mieli podwójny ślub – zaszydziła Mallory.

– Zamknij się, Mallory – skarcił ją Max. – Siadaj i trzymaj język za zębami.

– Tak jest! – Mallory zasalutowała i klapnęła na obitą aksamitem otomanę naprzeciwko fotela matki.

– Cicho, kochanie. – Georgette poklepała córkę po ramieniu. Max potoczył wzrokiem po salonie, aż wreszcie spojrzał na Jolie.

– Jak wiecie, Theron Carter i Jolie postanowili wznowić śledztwo w sprawie masakry w Belle Rose i...

– I Theron wylądował na intensywnej terapii, a Jolie o mało nie dała się zabić – wszedł mu w słowo Parry, rekapitulując najważniejsze fakty.

– Nie zapominaj, że Max został postrzelony – dodała Clarice.

– Musieliście zdać sobie sprawę – ciągnął Max – że ktoś usiłuje powstrzymać dalsze dochodzenie. To zaś oznacza, że Lemar Fuqua nie zamordował Audrey Royale i Lisette Desmond.

– Zawsze wierzyłam w niewinność Lemara – powiedziała Clarice.

– Dlatego Max i ja chcemy was poprosić o udzielenie wszelkich informacji na temat tamtego feralnego dnia. – Jolie unikała wzroku macochy.

– Nie wiem, jak mogłoby to pomóc... – Georgette zerknęła błagalnie na brata.

– Georgie ma rację. – Parry zmarszczył brwi. – Co dobrego może wyniknąć z rozpamiętywania przeszłości?

– Ja... ja nie chcę tego pamiętać. – Clarice potrząsnęła nerwowo głową. Nowell objął ją opiekuńczo.

– Proszę, ciociu – powiedziała Jolie. – Jeśli ja jestem gotowa przypominać sobie

szczegóły tego, co mnie wtedy spotkało, to ty też na pewno możesz. Gdybym tylko pamiętała, kto do mnie strzelał.

– Krew – zaszkodziła Clarice. – Tyle krwi. Zostawiłam samochód za domem, jak zawsze, i weszłam przez kuchnię. – Oczy Clarice rozszerzyły się, jakby wpadła w trans. – Zobaczyłam ciało Audrey. Nie żyła. A potem zobaczyłam Jolie. Dzięki Bogu wciąż żyła. Chyba zadzwoniłam na policję. Nie pamiętam dokładnie. Usiadłam na podłodze i wzięłam Jolie na ręce. – Westchnęła ciężko. – Reszta wspomnień zupełnie mi się zatarła. Dobrze pamiętam tylko to, co wydarzyło się wiele dni później.

– Czyli nigdy nie widziałaś ciała cioci Lisette ani Lemara? – zapytała Jolie. Clarice pokręciła głową.

– W ogóle nie wyszłam z kuchni.

– Ciociu, czy to prawda, że Lisette i Lemar mieli romans? – spytał Max.

– Litości, nie. Lemar był naszym bratem. Przyrodnym bratem.

W salonie zaległa cisza.

– Yvonne i Lemar byli dziećmi dziadka? – spytała w końcu Jolie, zaskoczona, lecz nie zszokowana, jakby na jakimś poziomie świadomości zawsze to wiedziała.

– Tak, oczywiście. – Usta Clarice wygięły się w lekkim uśmiechu. – Więc sama rozumiesz, że nie mogło być mowy o żadnym romansie. Tylko o uczuciach rodzinnych.

– To jaki Lemar mógł mieć motyw, żeby zamordować siostry? – zastanawiał się Max. – Jeśli nie zazdrość, to co? Nienawiść?

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła energicznie Clarice. – Lemar nikogo nie nienawidził, a już najmniej Lisette. A wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że nie skrzywdziłby nawet muchy. Był takim dobrym i łagodnym człowiekiem.

Max zwrócił się do Parry'ego.

– Czy podejrzewałeś, że Lisette miała z kimś romans?

– Co? – Parry wydawał się urażony pytaniem. – Ja...eee... oczywiście, że nie. Byliśmy zaręczeni, mieliśmy wziąć ślub. Kochaliśmy się i planowaliśmy wspólną przyszłość.

– Przepraszam, że mówię źle o zmarłej – powiedziała Jolie – ale dano mi do zrozumienia, że moja ciotka Lisette była dość rozwiązła, że zanim się zaręczyliście, miała wielu kochanków.

– Lisette była wolnym duchem – odparł Parry. – I za to ją kochałem. Nie była jakąś tam zgorzkniałą cnotką.

– Rozumiem. – Jolie spojrzała mu w oczy. – Więc nie miałeś powodu, żeby być o nią zazdrosny?

– Wolałabym, żebyście nie mówili takich okropnych rzeczy o Lisette. – Drobne ramiona Clarice zeszytywniały nawet pod kojącym dotykiem Nowella.

– Przepraszam, ciociu. – Jolie zrobiła krok w jej kierunku – ale musimy się

dowiedzieć, kto mógł mieć motyw do zamordowania mamy i cioci Lisette.

– Nie podoba mi się, że praktycznie zasugerowaliście, że ja mógłbym mieć motyw – mruknął Parry, nadymając policzki jak ropucha.

Max podszedł do Jolie i przez ułamek sekundy wydawało się, że położy jej dłoń na ramieniu. Nie zrobił tego jednak.

– O nic nikogo nie oskarżamy. Ale Jolie ma rację. Im więcej dowiemy się o tym, co się wtedy działo, tym większe szanse, że znajdziemy prawdziwego mordercę i powstrzymamy go, zanim znowu zaatakuje.

– O, mój Boże – jęknęła Georgette. – Dlaczego musimy jeszcze raz przeżywać ten koszmar? Mój biedny Louis był zupełnie rozbity. – Popatrzyła na Jolie. – Przez wiele dni nie opuszczał szpitala. Siedział tam i czekał modląc się, żebyś przeżyła. A ja nie mogłam przy nim być, nie mogłam go pocieszyć. Musiałam się trzymać z daleka.

Jolie nie podobała się miłość i oddanie w głosie Georgette, nie chciała przyjąć do wiadomości, że macocha naprawdę kochała jej ojca.

– Czy ktokolwiek z was pamięta cokolwiek, co mogłoby wskazywać na kogoś innego niż Lemar.

– Oprócz Maksa? – zapytał Parry.

– O co ci chodzi, do cholery? – Milcząca od dłuższego czasu Mallory zażądała wyjaśnień.

Parry wzruszył ramionami. Złośliwy uśmiezek przebiegł mu przez twarz.

– Były takie plotki. Ludzie gadali, że może to Max zabił Audrey Desmond, żeby zrobić miejsce dla Georgie u boku Louisa.

– To wredne, wstrętne kłamstwo! – wrzasnęła Mallory. – Max nigdy by...

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Jolie. – Ktoś, może nawet prawdziwy zabójca, celowo rozpuścił te pogłoski, tak samo jak ktoś rozpowszechnił plotkę o romansie Lisette i Lemara.

Mallory uspokoiła się.

– W takim razie dowiedzcie się, kto rozpuścił te plotki.

Georgette wstała z sofy i ze splecionymi nerwowo rękoma podeszła do Jolie.

– Twój ojciec uważał, że Lemar był niewinny. Rozmawiał o tym z Bendallem, ale szeryf zapewnił go, że nikt inny nie mógł się dopuścić tych morderstw. Nawet wiele lat później Louis od czasu do czasu wpadał w przygnębienie i zadreślał się tym. Nieraz przekonywałam go, żeby odpuścić tę sprawę. Nie mogłam patrzeć, jak bardzo cierpiał, gdy wspominał masakrę w Belle Rose. Oboje czuliśmy się winni. – Spojrzała Jolie prosto w oczy. – Przez te wszystkie lata chciałam ci powiedzieć... że jest mi strasznie przykro z powodu tego, co spotkało twoją matkę. Louis i ja... kochaliśmy się i pragnęliśmy być razem, ale nie w ten sposób, nie kosztem życia Audrey.

Jolie zeszywniała. Z trudem powstrzymywała łzy, które mogły zatopić w niej

przekonanie, że powinna nienawidzić Georgette do końca życia.

– Mamo... – odezwał się Max łagodnym, pełnym troski głosem.

– To moja wina, że Louis nigdy nie nalegał na wznowienie śledztwa i pogodził się z myślą, że to Lemar zamordował Audrey i Lisette. – Georgette wyciągnęła ręce ku Jolie. – Proszę, wybacz mi to. I wybacz ojcu. On nigdy nie przestał cię kochać. Nigdy nie przestał mieć nadziei, że wrócisz do domu.

Jolie nie mogła dłużej powstrzymać łez. Boże, ukój ból. Spraw, żeby minął. Nie była w stanie słuchać słów prawdy, lecz jednocześnie w głębi serca wiedziała, że wyrządziła ojcu wielką krzywdę.

– Nie... nie... – odwróciła się i wybiegła z pokoju. Kiedy uciekła na frontową werandę, długo tłumione uczucia uwolniły się w spazmie płaczu.

– Jolie! – zawołał Max.

Oparła czoło o kolumnę i wczepiła w nią rozdygotane dłonie. Max podszedł do niej, odwrócił do siebie i wziął w ramiona. Przytuliła się do niego, głośno łkając.

– Ach, *chere*.

Tulił ją, a ona miała nadzieję, że nigdy jej nie puści.

Rozdział 21

Jolie i Max – z nieoficjalną pomocą szeryfa Ike'a Dentona – rzucili się w wir szeroko zakrojonego śledztwa. Komisarz Harper nie wspierał ich, ale też nie przeszkadzał im w działaniu. Z początku mieszkańcy Sumarville – zarówno czarni, jak i biali – mieli obawy przed rozmową o morderstwach, które wstrząsnęły miasteczkiem dwadzieścia lat wcześniej. Udało się jednak namówić kilka osób do opowiedzenia o tamtych niespokojnych dniach, gdy Sumarville ostro się podzieliło. Czarni wierzyli, że Lemar był niewinny; większość białych wciąż uważało go za mordercę. Ale nikt, bez względu na rasę, nie mógł powiedzieć o Lemarze złego słowa. Mieszkańcy Belle Rose współpracowali z Maksem i Jolie, wspominając wydarzenia owego dawno minionego dnia, a także dzieląc się wspomnieniami o ludziach i wypadkach, które poprzedzały morderstwa, i o tym, co było potem. Jolie czuła się niemal winna, że nie pamięta twarzy zabójcy, twarzy, która powinna prześladować ją do końca życia. Ale przecież go nie widziałam, powtarzała sobie. Słyszałam tylko kroki.

Choć trudno było jej to przyznać, zaczęła zdawać sobie sprawę, jak bardzo Georgette kochała jej ojca. Jej spojrzenie, wyraz twarzy, ton głosu, gdy mówiła o Louisie, zdradzały głębię uczuć, jakimi go darzyła. Oczywiście nie umniejszało to zbrodni, której się dopuścili, angażując się w cudzołożny romans, ani nie zmieniało faktu, że ojciec ożenił się z Georgette tak szybko po śmierci jej matki.

Gdy biedna ciocia Clarice płakała, opowiadając o dniu zbyt bolesnym by go pamiętać, Nowell Landers stał przy jej boku, troskliwy i współczujący. Intuicja podpowiadała Jolie, że ten człowiek rzeczywiście kocha jej ciotkę, że nie chce ożenić się z nią z wyrachowania. Max nie podzielał jej zdania. Choć z drugiej strony, Max z natury był pesymistą.

Parry początkowo wzbraniał się przed rozmową o swoim związku z Lisette, ale po naleganiach Maksa otworzył się i przyznał nawet, że z powodu rozwiązości najmłodszej siostry Desmond wielu mężczyzn mogło pragnąć jej śmierci.

– Byliśmy ulepieni z jednej gliny – powiedział. – Myślę jednak, że nasze małżeństwo byłoby udane, gdyby... gdyby Lisette nie została zamordowana.

Po ośmiu dniach nie znaleźli się ani odrobinę bliżej udowodnienia niewinności Lemara Fuqui niż na początku. Ale Jolie nie zamierzała się poddawać. Podobnie jak Max. Nie rozmawiali o jego motywach, odkąd zasugerował, że zaangażował się w sprawę ze względu na nią.

Jolie musiała przyznać, że świetnie pracuje im się razem i są bardzo zgrani. Jeszcze nigdy nie czuła tak silnej więzi z inną osobą. Utrzymywała jednak emocjonalny dystans, tylko z rzadka pozwalając sobie na czulsze spojrzenie lub przelotny dotyk. Nie śmiała poddać się požądaniu, które wrzało pod samą powierzchnią. Bez względu na to, co się stanie w ciągu następnych tygodni, kiedy

wszystko się skończy, ich drogi się rozejdą. Chciała mieć pewność, że gdy będzie opuszczała Sumarville na dobre, nie ucierpią na tym jej serce i duma.

Stan Therona powoli się poprawił. Jolie zdawała mu codzienne raporty ze śledztwa i widziała, jak bardzo chciałby się w nie bezpośrednio zaangażować. Yvonne wróciła do swoich obowiązków w Belle Rose z zastrzeżeniem, że będzie mogła odwiedzać syna dwa razy dziennie. Wynajęci przez Maksa ochroniarze wciąż pilnowali Therona dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Choć nie ustawiali w staraniach, by zebrać dowody, które pozwoliłyby na powtórne otwarcie śledztwa, na razie nie doszło do żadnych brutalnych incydentów, nikt nie rzucał im kłód pod nogi. Ale Jolie wiedziała, że Max nie czuje się zupełnie spokojny. Oboje kontynuowali poszukiwania, a jednocześnie zastanawiali się, kiedy i gdzie czeka ich kolejny cios ze strony przeciwnika.

Jolie poleciała na dwa dni do Atlanty. Musiała zająć się pilną sprawą zawodową, a także załatwić upoważnienia dla Cheryl, żeby mogła wypisywać czek i podejmować decyzje podczas jej nieobecności. W ciągu zaledwie kilku tygodni oderwała się od terażniejszości, a skupiła na przeszłości. Wiedziała, że nie będzie mogła wrócić do swojego życia i kariery w Atlancie, dopóki nie odkryje prawdy o masakrze w Belle Rose i raz na zawsze nie upora się z tragedią sprzed lat.

Podczas lotu do Sumarville myślała tylko o Maksie. Nic więc dziwnego, że gdy wysiadła z samolotu i zobaczyła go w małej grupce ludzi czekających na płycie lotniska, ruszyła w jego stronę niemal biegiem. On też rzucił się niemal biegiem na jej spotkanie i niewiele brakowało, by zderzyli się ze sobą w pół drogi.

– Dobry lot? – zapytał.

– Tak, na ile to możliwe w jednej z tych maszyn do opylania pól – wskazała głową dwusilnikowy samolot stojący na pasie.

Wziął od niej torbę, zarzucił na ramię, a potem objął Jolie w pasie.

– Chodź. Jesteśmy umówieni na kolację.

– My?

– Spotykamy się z Sandy i Garem Wellsami w restauracji zajazdu Sumarville.

Wyszli z terminalu na nieznośny skwar i ruszyli w stronę parkingu.

– Skoro wykluczaliśmy przesłuchanie Roscoe'a Wellsa we własnej osobie...

– Ty to wykluczyłeś. – Jolie z trudem dotrzymywała Maksowi kroku.

– Nieważne. – Otworzył bagażnik swojego porsche i wrzucił torbę do środka. – Rzecz w tym, że Sandy odrzuca wszystko, w co wierzy ojciec, a Gar nie pochwała przeszłości Roscoe'a.

– I co z tego? – spytała. Kiedy Max otworzył przed nią drzwiczki, zajęła fotel pasażera, a potem podniosła na niego wzrok. – Jak to, że dzieci Roscoe'a mają inne poglądy niż on, może wpływać na nasze śledztwo?

Max wsiadł do wozu, włączył silnik i wyjechał z parkingu.

– Jeśli zapytamy Sandy i Gara o możliwość związku Roscoe'a z zatuszowaniem

sprawy dwadzieścia lat temu i niedawnymi atakami na Theroną i ciebie, będą z nami szczerzy i opowiedzą wszystko, co wiedzą – wyjaśnił.

Gdy rozwiane gorącym wiatrem włosy zasłoniły jej twarz, Jolie zerknęła ukradkiem na Maksa. Na przystojnego, seksownego Maksa, który stał się dla niej o wiele zbyt ważny.

– Okej, zgadzam się, że Sandy będzie z nami szczerą – powiedziała. – Ale skąd pewność, że Gar nie poleci prosto do ojca i nie wygada, że go podejrzewamy?

– Jestem pewien, że... jeśli poproszę, żeby zachował w tej sprawie milczenie.

– Ty powinieneś podpytać Sandy – przerwała mu Jolie. – A ja Gara.

– Co? – Max odwrócił głową i zgromił ją wzrokiem, po czym spojrzał znowu na szosę.

– Sandy skoczyłaby dla ciebie w ogień, więc można spokojnie założyć, że jeśli coś wie, to na pewno ci o tym powie.

– Sandy jest wspaniałą kobietą, ale nigdy nie łączyło nas nic poza przyjaźnią. – Max przerwał, najwyraźniej czekając na jej reakcję, a kiedy się jej nie doczekał, podjął: – Nie wiedziałem, że zdążyłaś się zorientować, że Gar się tobą interesuje.

– Tak?

– Tak. Wieczorem po pogrzebie Louisa, zaraz po odczytaniu testamentu zapytał, czy miałbym coś przeciwko temu, żeby zaprosił cię na randkę, gdy tylko rozwiążemy problemy prawne.

– To miłe. Lubię Gara, ale nie miałam pojęcia, że... że interesuje się mną w ten sposób. Uznałam po prostu, że skoro przyjaźniliśmy się w dzieciństwie, chciałby...

– Nie flirtuj z Garem.

– Co proszę?

– Nie flirtuj dzisiaj z Garem.

– A to czemu?

– Bo nie chcę, żeby wziął to na poważnie. Jeśli go potem odrzucisz, możesz go mocno zranić.

– Może wcale go nie odrzucę.

– Nie próbuj posługiwać się Garem, żeby wzbudzić we mnie zazdrość. To by było nie fair w stosunku do niego. Poza tym, nie miałby pojęcia, jak sobie poradzić z taką kobietą jak ty.

Co za tupet! Sugerować, że flirtowałaby z Garem tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość akurat w nim.

– On nie wiedziałby, jak sobie ze mną poradzić, ale ty tak?

Filuterny uśmiech przebiegł mu po twarzy, ale nie spojrzał w jej stronę, gdy odparł:

– Sądzę, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista.

Jolie prychnęła głośno, po czym zamilkła. Coś podpowiadało jej, że nie zdołałaby wygrać w tym sporze.

*

Jaskrawopomarańczowa kula słońca unosiła się nad zachodnim horyzontem. Yvonne i Clarice siedziały na ganku w bujanych fotelach, popijając świeżą lemoniadę. Po raz pierwszy od dwóch tygodni Yvonne pozwoliła sobie na chwilę relaksu, zapominając na moment o Theronie i zmartwieniach związanych z tym, co przyniesie przyszłość. Bóg jeden wiedział, jakie tajemnice mogły wyjść niedługo na jaw.

– Ale gorąco – westchnęła Clarice, wachlując się koronkowym wachlarzem, który kiedyś należał do jej matki.

– Jutro będzie tak samo – odrzekła Yvonne.

Clarice napiła się lemoniady i odstawiła prawie pustą szklanekę na stolik między fotelami.

– Może pozwolą ci zabrać jutro Theroną do domu.

– Może. Doktor Bainbridge powiedział, że albo jutro, albo pojutrze.

– Myślę, że Theron całkiem dobrze zniósł wiadomość o naszym pokrewieństwie.

Wzrok Clarice napotkał spojrzenie Yvonne i siostry uśmiechnęły się do siebie. Czułe, słodko-gorzkie uśmiechy, w których kryło się coś więcej niż przyjaźń – nawet więcej niż siostrzana miłość.

– Znacznie lepiej niż się spodziewałam – przyznała Yvonne. – Oczywiście, gdy dokładniej to przemyśli, może...

– Nie może się wyprzeć swoich korzeni. Nikt nie może.

– Chyba masz rację.

Milczały przez kilka minut, bujając się dalej w fotelach. Wilgotna przedwieczorna bryza zaczęła się lekko ochładzać.

– Wiatr się wzmaga. – Yvonne wciągnęła powietrze w nozdrza. – I trochę się ochłodziło. Będzie padać.

– Yvonne?

– Hm?

– Jestem pewna, że Jolie i Max podejrzewają Roscoe'a.

Serce Yvonne podskoczyło do gardła. Samo brzmienie jego imienia przywoływało w jej pamięci zdarzenia, o których wolałyby zapomnieć.

– Mam nadzieję, że uda im się to udowodnić – powiedziała. – Nic nie sprawiłoby mi takiej przyjemności, jak widok tego drania na stryczku. Sama chętnie założyłabym mu pętlę na szyję.

– Nie wątpię. – Clarice nie przestawała się wachlować. – A ja bym ci pomogła.

– Taki człowiek jak Roscoe jest zdolny do wszystkiego, nawet do morderstwa. Ktoś powinien go obnażyć i pokazać światu, że jest wciąż tą samą rasistowską świnią jaką był czterdzieści lat temu. Trzeba go ukarać za... – Yvonne splótła nerwowo dłonie. Jeśli Jolie i Max udowodnią, że Roscoe manipulował dochodzeniem w sprawie masakry w Belle Rose, może ten bezduszny potwór

zostanie wreszcie ukarany. Naprawdę nie miało dla niej znaczenia, za który ze swych licznych grzechów będzie musiał zapłacić, byle tylko rzeczywiście zapłacił. Najlepiej życiem. Były czasy, gdy myślała o zabiciu go. Yvonne westchnęła.

– Często zastanawiam się, czy dobrze postąpiłyśmy. Gdybyśmy powiedziały panu Samowi o tym, co...

– Przysięgłyśmy, że nie powiemy o tym nikomu, że będzie to nasz sekret do końca życia. Zawarliśmy pakt.

– Czasy się zmieniły. Teraz ludzie mogliby nam uwierzyć. Mogłybyśmy...

– Nie!

Yvonne pokiwała głową.

– Pewnie masz rację. Lepiej zatrzymajmy to dla siebie. Poza tym, ujawnienie jednej zbrodni Roscoe'a nie byłoby żadnym dowodem, że popełnił inną. Musimy po prostu poczekać, aż Jolie i Max znajdą dowody przeciwko niemu.

Kiedy życie Theron wisiało na włosku, Yvonne nie miała czasu myśleć o czymkolwiek prócz syna. Jej dni i noce upływały na modlitwach i oczekiwaniu. Ale teraz, gdy Theron wracał do zdrowia, zaczęła się zastanawiać, kto wynajął zbirów, którzy mieli go zabić. Tylko jedno nazwisko przychodziło jej do głowy. Nawet Jolie i Max uważali, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że Roscoe Wells maczał w tym palce.

Może czasy się zmieniły; może ludzie uwierzyliby, gdyby opowiedziały teraz swoją historię. Nawet gdyby żadna ze stron nie zdołała przedstawić dowodów na swoją korzyść, same zeznania jej i Clarice wystarczyłyby, żeby na zawsze pogrzebać polityczną karierę Roscoe'a. Może powinna mu o tym przypomnieć, a nawet go zastraszyć. Nie byłaby w stanie spotkać się z nim oko w oko, nie zdobyłaby się na postawienie stopy w jego domu, ale mogła zadzwonić. Mogła sprawić, że zacznie się wić jak w ukropie.

Yvonne i Clarice siedziały w milczeniu przez dobry kwadrans, gdy ryk harleya Nowella Landersa rozdarł powietrze.

Clarice skoczyła na równe nogi i podbiegła do barierki. Złapała za poręcz i spojrzała w dół na drogę.

– Mam sekret – powiedziała.

– Jaki sekret? – Yvonne natychmiast zorientowała się, że tajemnica musi mieć związek z mężczyzną siedzącym na motocyklu, który zatrzymał się właśnie na podjeździe. – Coś o Nowellu?

– Zawsze dzieliłyśmy się naszymi sekretami, prawda?

– Tak – odparła Yvonne. – Przez całe życie.

Clarice podbiegła do niej i pociągnęła ją za rękę, żeby wstała. Kiedy Yvonne podniosła się z fotela, Clarice podskoczyła radośnie.

– Nigdy nie zgadniesz, kim jest naprawdę Nowell Landers. – Łzy szczęścia stanęły jej w oczach.

- Kim? – Złe przeczucie ścisnęło Yvonne w żołądku.
- Jonathanem, oczywiście. Mój słodki Jonathan wreszcie do mnie powrócił.

*

Jolie spojrzała przez stół na Garlanda Wellsa. Uśmiechnął się. W trakcie kolacji stało się jasne, że odniósł mylne wrażenie, iż Max zorganizował podwójną randkę, żeby on i Jolie mogli się do siebie zbliżyć. A fakt, że Max często prosił Sandy do tańca, podbudowywał jeszcze to fałszywe przekonanie.

- Gar, musimy porozmawiać.

Gar wyciągnął rękę i nakrył spoczywającą na białym lnianym obrusie dłoń Jolie.

- Pewnie Max powiedział ci, co do ciebie czuję.

O, cholera!

- Wspomniał, że chciałbyś zaprosić mnie na randkę.

Gar odwrócił jej dłoń i pogłaskał czule.

– Cieszę się, że zaczęliście się do siebie odzywać. W końcu Max jest nie tylko moim klientem, ale także przyjacielem. Nie chciałbym...

– Nie jestem w tej chwili zainteresowana randkami z kimkolwiek – oświadczyła Jolie, starając się, by zabrzmiało to jak najprzyjaźniej. – Max i ja połączyliśmy siły, właściwie z konieczności, żeby doprowadzić do wznowienia sprawy masakry w Belle Rose. Przepytujemy każdego, kto może wiedzieć cokolwiek na temat tego, co się wtedy stało.

– Obawiam się, że nie rozumiem, do czego zmierzasz. – Puścił jej dłoń i cofnął gwałtownie rękę.

Wydaje się dziwnie nerwowy, pomyślała Jolie. Zbladł jak ściana, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze.

- Nic ci nie jest? – spytała.

– Dzisiejsza kolacja to nie była podwójna randka, prawda?

– Nie – odparła. – I przykro mi, jeśli Max zasugerował ci coś przeciwnego.

– Biedna Sandy. – Gar potrząsnął głową.

Jolie spojrzała na pary tańczące na parkiecie. Sandy uśmiechała się do Maksa z rozmarzonym wyrazem twarzy. Boże drogi, czy on działa tak na wszystkie kobiety? Powiodła wzrokiem na drugi koniec sali i zatrzymała się na rudowłosej kobiecie za barem. Eartha Kilpatrick obserwowała Maksa i Sandy z ponurą miną. Nie, nie złą czy nienawistną. Była w niej raczej zrezygnowana akceptacja. Kolejna ofiara podbojów Maksa zdająca sobie sprawę, jak mało prawdopodobna była ich wspólna przyszłość.

– Zabawne – zauważyła Jolie – kiedy byliśmy dziećmi, nie miałam pojęcia, że Sandy podkochuje się w Maksie. Byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, ale tym jednym sekretem nigdy się nie podzieliłyśmy.

– Wiedziała, że też się w nim podkochujesz – odparł Gar. – Dlatego nigdy ci nie powiedziała.

– Wiedziała? Ale jak to...

– Nie maskowałaś tego zbyt dobrze. Za każdym razem, gdy Max był w pobliżu, patrzyłaś na niego jak urzeczona. On oczywiście nigdy tego nie zauważył, ale Felicia owszem. Często dręczyła Sandy, mówiąc, że Max nigdy jej nie pokocha, mając do wyboru ciebie i ją.

– To okrutne ze strony Felicii.

– Bo Felicia była okrutna. – Gar westchnął. – Zawsze żałowałem, że nie ostrzegłem Maksa, zanim się z nią ożenił.

Jolie poczuła się nagle winna. Winna, że była w objęciach Maksa. Winna, że go pocałowała. Winna, bo wiedziała, że pragnął jej w sposób, w który nigdy nie zapragnie Sandy.

– Nieodwzajemniona miłość naprawdę potrafi dać w kość – mruknęła pod nosem.

– Tak, rzeczywiście – przyznał Gar.

Jolie popatrzyła na niego z niepokojem. O, Boże, proszę, żeby to nie znaczyło, że jest we mnie zakochany! Pełen żalu uśmiech zadrgał na jego wargach.

– Nie przejmuj się. Nie miałem na myśli ciebie. Kochałem się w pewnej kobiecie na zabój wiele lat temu. Była ode mnie starsza, bardziej doświadczona i kompletnie mnie zauroczyła.

– Och, Gar, co się stało?

– Umarła. – Przymknął powieki, jakby ból wciąż był świeży.

– Tak mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– To dawne dzieje. Poza tym ona mnie nie kochała. Była zaręczona z innym. – Otworzył oczy i utkwiał wzrok w Jolie. – Przypominasz mi ją. Jesteś tak bardzo podobna do niej z tamtych czasów. I chyba jesteś w tym samym wieku co ona dwadzieścia lat temu.

– Mój Boże! Mówisz o ciotce Lisette. Kochałeś się w niej?

Gar parsknął śmiechem.

– Tak, razem z połową facetów w hrabstwie.

Myśli Jolie wirowały niczym fragmenty układanki, których nie sposób do siebie dopasować. Jedno miało jednak sens: Roscoe Wells był jakoś związany z masakrą w Belle Rose. A jego syn kochał się w jednej z ofiar. Przypadek? Może. A może nie.

– Przepraszam, że o to pytam, ale... – zawahała się. – Czy miałeś romans z ciotką Lisette? A jeśli tak, to czy wiedział o tym twój ojciec?

– Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem. Nawet Maksowi.

– Czyli byliście kochankami?

– Tak, byliśmy, ale... Co sugerujesz?

– Niczego nie sugeruję – zapewniła. – Po prostu staram się dopasować do siebie

elementy układanki. Więc miałeś romans z moją ciotką, ale ona nie traktowała tego poważnie. Planowała wyjść za Parry'ego Cliftona, a ty...

– A ja chciałem, żeby wyszła za mnie. Ale wyśmiała mnie, kiedy się oświadczyłem. Powiedziała, że jestem jeszcze dzieciakiem i że było nam razem fajnie, ale... – Gar zamknął oczy i pokręcił głową. – Nie zabiłem jej, jeśli o to ci chodzi. Nigdy bym jej nie skrzywdził.

– A twój ojciec?

– Tata? Nie miał pojęcia o mnie i Lisette.

– Jesteś pewien?

– Myślisz... mój Boże, uważacie z Makssem, że mój ojciec miał coś wspólnego z masakrą w Belle Rose, prawda?

– Sądzymy, że był zaangażowany w zatuszowanie sprawy, w zniknięcie dokumentów z biura szeryfa i...

Sandy i Max wrócili do stolika, nim zdążyła dokończyć. Max odsunął dla swojej towarzyszkę krzesło, a potem usiadł naprzeciwko niej, u boku Jolie.

Sandy popatrzyła na Gara i Jolie.

– Zdaje się, że odbyliście tę samą rozmowę, co ja z Makssem. – Spojrzała na brata. – No i co ty na to, braciszku? Uważasz, że nasz ojciec jest zdolny do popełnienia morderstwa?

– Prawdopodobnie – odparł Gar. – Ale jaki mógłby mieć motyw do zabicia Lisette i Audrey? Desmondowie i Wellsowie przyjaźnili się od pokoleń.

– Dokładnie o to samo zapytałam Maksa. – Sandy przeniosła wzrok na Jolie. – Bóg mi świadkiem, nie wzięłabym w obronę tego starego drania, gdybym uważała, że jest winny, ale w tym przypadku nie przychodzi mi do głowy żaden motyw.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nawet jeżeli Gar się myli i Roscoe wiedział o jego romansie z Lisette, zastanawiała się Jolie, nie stanowiło to jeszcze motywu morderstwa. Nie, to nie mogło być to. Musiało chodzić o coś innego. Ale o co? Jakiego istotnego faktu nie wzięli pod uwagę w swoich kalkulacjach?

Ciszę przerwał telefon komórkowy Maksa. Jolie westchnęła. Sandy drgnęła. Gar jęknął.

– Przepraszam. – Max wyjął z kieszeni aparat. – Halo, tu Devereaux.

Słuchał kogoś, mrużąc od czasu do czasu potakująco. W ciągu całej rozmowy popatrywał na nią z ukosa. W końcu powiedział:

– Tak, dzięki. To może być przełom, na który czekaliśmy.

– Max? – Jolie chwyciła go za ramię.

– Chwileczkę. – Wyciągnął notes i długopis z wewnętrznej kieszeni marynarki i coś zapisał.

– I co? – Jolie spojrzała na niego niecierpliwie.

– To sprawa zawodowa.

Gar wstał od stołu.

– Było... ciekawie. Ale myślę, że już pójdę. A ty, siostrzyczko?

Sandy pokiwała głową.

– Tak, ja też. Wstąpię do szpitala i zobaczę, co u Theron. Amy na pewno też tam jest. Od kiedy przeniesiono go do osobnego pokoju, każdego wieczoru spędza z nim co najmniej parę godzin.

Kiedy wstała, Max podniósł się z krzesła. Pocałowała go w policzek, a potem pochyliła się i uścisnęła Jolie.

– Mam nadzieję, że uda wam się odkryć, kto naprawdę zabił Audrey i Lisette. I modłę się, żeby mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

Gar uścisnął Maksowi dłoń, a potem poklepał Jolie po ramieniu.

– Uważajcie na siebie.

Gdy tylko Sandy i Gar znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Max chwycił Jolie za rękę i pociągnął ją, żeby wstała.

– Co, do...

– Dzwonił Hugh Pearce, prywatny detektyw, którego wynająłem – oznajmił. – Znalazł Aarona Bendalla.

Rozdział 22

Max wynajął prywatny samolot, który miał ich zawieźć prosto na Key West. Wyruszyli po śniadaniu następnego ranka i przylecieli na miejsce przed porą obiadu. Ustalili, że nie podziela się nowinami z nikim oprócz Theron i Yvonne, która miała poinformować resztę rodziny, że wyjechali z miasta, bo wymagało tego śledztwo. Nie tyle nie ufali reszcie mieszkańców Belle Rose, ile obawiali się, że gdyby komuś przez przypadek wymyknęło się, że udali się na Key West, żeby przesłuchać Aarona Bendalla, ta informacja mogła łatwo trafić do Roscoe'a Wellsa.

Na Key West powitało ich gorące tropikalne słońce, wilgoć i oceaniczna bryza. Przy lotnisku czekał już wynajęty samochód i szofer z instrukcjami, żeby zawieźć ich do hoteliku w centrum starego miasta. Dyrektor hotelu, chudy, ogorzały mężczyzna o zapadniętych policzkach nazwiskiem Fritz, powitał ich serdecznie i dla Jolie szybko stało się jasne, że wiedział, kim jest Maximillian Devereaux. A przynajmniej zdawał sobie sprawę, jaki Max jest bogaty.

– Apartament już czeka, panie Devereaux. Jeśli czegoś państwu potrzeba, proszę bez wahania dać mi znać. Jestem do państwa dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Apartament z dwiema sypialniami, który im przydzielono, był urządzonej w stylu karaibskim, z ratanowymi i bambusowymi meblami i ścianami w pastelowych odcieniach zieleni, żółci i błękitu, na których wisiały pejzaże przedstawiające okolicę, wykonane prawdopodobnie przez lokalnych artystów. Bukiety wspaniałych egzotycznych kwiatów ozdabiały każdy stół. Wszystko to tworzyło radosną i odprężającą wakacyjną atmosferę. Tyle tylko, że Max i Jolie nie przyjechali tu, aby wygrzewać się na plaży, nurkować lub pływać wynajętym katamaranem.

Boy hotelowy ulokował torbę Maksa w sypialni po lewej, a bagaże Jolie w pokoju po prawej stronie. Zdażyła tylko obejrzeć swoją sypialnię i otworzyć drzwi prowadzące na balkon, gdy kelnerzy nakryli do stołu i wnieśli do salonu lunch.

– Tylko lekka przekąska – oznajmił pan Fritz, gestem ręki nakazując kelnerom, aby wyszli. – Sałatka owocowa, pieczywo, krewetki z rusztu i butelka chablis.

Jolie spojrzała na etykietę na butelce. Francois Raveneau Chablis Montee de Tonnerre rocznik 1999. Dla Maksa Devereaux wszystko co najlepsze. Pan Fritz osobiście otworzył wino.

– Dziękuję. – Max uściśnął dłoń dyrektora. – Jak się stąd dostać na przystań Maloneya? Po obiedzie panna Royale i ja zamierzamy odwiedzić znajomego, który tam cumuje.

– To zaledwie parę minut stąd. Narysuję dla pana plan i zostawię go w recepcji.
– Pan Fritz uklonił się nisko, wychodząc z apartamentu.

Jolie zaczęła się przyglądać pysznym potrawom, a Max nalał wina do dwóch

kryształowych kieliszków.

– Moglibyśmy pójść prosto na przystań – powiedziała Jolie.

– Ledwo tknęłaś śniadanie – odparł. – A może minąć sporo czasu, nim będziemy mogli zjeść kolację, więc pomyślałem, że powinniśmy przed odwiedzeniem pana Bendalla zjeść lekki lunch.

– Jakie są szanse, że kiedy go znajdziemy, powie nam cokolwiek? – Jolie usiadła na odsuniętym przez Maksa krześle, a potem wzięła ze stołu białą lnianą serwetkę i okryła nią kolana.

– Jeśli się nie mylimy i ktoś, prawdopodobnie Roscoe Wells, zapłacił szeryfowi za milczenie, to sądzę, że za stosowną cenę powie nam wszystko, co wie.

– Chcesz powiedzieć, że zapłacimy mu za informacje. – Jolie wzięła widelec i zabrała się do jedzenia owocowej sałatki.

– Że będziemy musieli mu zapłacić, to pewne – odparł Max. – Ciekawe tylko, ile.

*

Godzinę później Max zaparkował wynajęty samochód przy przystani; potem razem z Jolie zaczęli szukać „Magnolii Missisipi”, łodzi, na której według informacji prywatnego detektywa mieszkał Aaron Bendall. Przy moło cumowało mnóstwo jachtów, począwszy od eleganckich i koszmarnie drogiej jednostek mieszczących dwanaście osób, a kończąc na maleńkich dwuosobowych motorówkach.

„Magnolia Missisipi” okazała się dwusilnikową łodzią średnich rozmiarów, która mogła pomieścić cztery osoby. Musiała kosztować co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie najgorzej jak na emerytowanego szeryfa z hrabstwa Desmond. Na pokładzie stał wysoki, grubokościsty mężczyzna z siwiejącą brodą, ubrany w luźną kwiecistą koszulę i szerokie dżinsowe szorty.

– Aaron Bendall? – zawołał Max.

Mężczyzna odwrócił się, popatrzył na nich, uśmiechnął się szeroko i pomachał im na powitanie.

– No, no, niech mnie diabli, jeśli to nie Max Devereaux i Jolie Royale. – Skinął na nich ręką. – Zapraszam na pokład. Spodziewałem się waszej wizyty.

*

Theron zamknął oczy i udawał, że śpi. Wiedział, że to jedyny sposób, żeby matka, ciocia Clarice i Amy przestały się nad nim trząść. Gdy tylko wszystkie trzy wyszły na paluszkach z pokoju, odetchnął z ulgą. Nie, żeby nie odpowiadała mu ich troskliwa opieka, ale wszystko powinno mieć swoją miarę. Po tym, jak rano wypisano go ze szpitala, matka uparła się, żeby zamieszkał w jej domu, dopóki nie wyzdrowieje, a wzięwszy pod uwagę fakt, że mógł jedynie samodzielnie jeść i jeździć na wózku inwalidzkim do łazienki, postanowił się z nią nie spierać. Ale obawiał się, że oszaleje, jeśli któraś z nich znowu go zapyta, czy niczego nie

potrzebuje.

Przez niedomknięte drzwi sypialni słyszał ich rozmowę.

– Muszę lecieć, pani Carter – powiedziała Amy. – Wrócę wieczorem.

– Przyjedź na kolację – zaprosiła ją Yvonne.

– Ale będę się mogła wyrwać dopiero po siódmej – odparła Amy.

– Nie szkodzi. Przyjedź, kiedy będziesz mogła. Sama twoja obecność poprawia Theronowi humor.

Frontowe drzwi zamknęły się, a chwilę później ryk silnika dał mu znać, że Amy wsiadła do swojego mustanga.

– Uroczą dziewczyną – zauważyła Clarice. – I widać, że wprost szaleje na punkcie Theron.

– Myślę, że on też ją lubi. – Yvonne westchnęła. – Jakże byłabym szczęśliwa, gdyby ożenił się z taką wspaniałą dziewczyną jak Amy. Już najwyższy czas, żebym doczekała się wnuków.

– Och, byłoby cudownie. Dzieci w Belle Rose, po tylu latach.

Theron zamknął oczy i pogрузzył się w myślach zawieszonych między światem marzeń i jawy. Minie trochę czasu, zanim przywyknie, że jego matka jest przyrodną siostrą Clarice Desmond, a jego dziadek był białym potomkiem właścicieli niewolników. Wracając myślą do wspomnień dzieciństwa, zdołał przywołać w pamięci niewyraźny obraz babki, Sadie Fuqui. Była drobną kobietą o delikatnych rysach i dużych czarnych oczach. Pamiętał, jak mu śpiewała. Sam Desmond umarł, zanim Theron przyszedł na świat, ale w salonie rezydencji widział jego portret. Przedstawiał władcze, potężnego mężczyznę o kasztanowych włosach i lśniących orzechowych oczach.

Theron westchnął i dał się ponieść głębiej w krainę dzieciństwa. Myśli stały się postrzępione i mgliste. Pogрузzył się w letargu. Wkrótce zapadł w lekki sen.

Kiedy się obudził, podparł się leniwie na łokciu. Słyszał głos matki. Czyżby ciocia Clarice wciąż tu była? Za oknem nadal świeciło słońce, więc nie nadszedł jeszcze wieczór. Zerknął na budzik stojący na nocnej szafce i zachichotał. Spał zaledwie godzinę. Wykorzystując techniki, jakich nauczył go fizykoterapeuta, Theron wygramolił się z łóżka i usiadł na wózku inwalidzkim. Ktoś zamknął drzwi, kiedy spał, dlatego nie słyszał słów matki i nie wiedział, do kogo były skierowane. Otworzywszy drzwi, wyjechał na wąski korytarz. Matka stała pośrodku salonu z telefonem przy uchu.

– Tak, tu Yvonne Carter.

Podjechał bliżej, zamierzając dać matce znać, że się obudził, ale zanim zdążył zwrócić na siebie uwagę, jej następne słowa sprawiły, że znieruchomiał.

– Nie boję się ciebie, ale ty powinienes się bać mnie.

Z kim, do cholery, rozmawia? – zastanawiał się Theron.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że nie zrobią wszystkiego, co konieczne, żeby mój

syn był bezpieczny. Nie mogę udowodnić, że wynająłeś ludzi, żeby go zabili, ale obiecuję ci jedno: jeśli jeszcze raz spróbujesz go skrzywdzić, ja i Clarice pójdziemy do szeryfa i wniesiemy oskarżenie przeciwko tobie.

Theron jeszcze nigdy nie słyszał, żeby matka mówiła do kogoś z taką wściekłością i nienawiścią w głosie. W głowie kłębiło mu się od niepokojących pytań, ale stłumił je, koncentrując się na podsłuchiowaniu rozmowy.

– Chodzi mi o inne przestępstwo – powiedziała Yvonne. – To, którego ofiarami byliśmy Clarice i ja.

Serce podskoczyło Theronowi do gardła.

– Nie, to nie będzie moje słowo przeciwko twojemu. To będzie twoje słowo przeciwko słowu Clarice Desmond i mojemu.

O czym, do jasnej cholery, mówiła?

– Nie szkodzi, że ludzie myślą że Clarice jest szalona, a ja jestem tylko Murzynką przewrażliwioną na punkcie rasizmu. Nawet jeżeli nie spędzisz w więzieniu ani jednego dnia, to nie zagłosuje na ciebie żaden czarny wyborca. I sporo białych będzie wątpiło w twoją niewinność. Twoja kariera polityczna będzie skończona. I wszelkie twoje nadzieje związane z Garlandem zostaną pogrzebane na zawsze.

Garland? Garland Wells? Wielki Boże, jego matka rozmawiała z Roscoe'em Wellsem. I wiedziała o czymś, za co mógł pójść do więzienia, o czymś, czego była świadkiem razem z Clarice.

– Zastanów się dobrze nad tym, co powiedziałam. – Yvonne trzasnęła słuchawką.

Jej ręka trzęsła się, gdy cofnęła ją od telefonu. Theron wjechał do pokoju. Kiedy go usłyszała, wstrzymała oddech, a potem odwróciła się w jego stronę.

– Nie wiedziałam, że już nie śpisz – powiedziała, przypatrując się mu niepewnie.

– Z kim rozmawiałaś? – spytał.

Zawahała się i przez chwilę zastanawiał się, czy go nie okłamie.

– Z Roscoem Wellsem – odparła.

– Dlaczego dzwoniłaś do tego sukinsyna?

– Chciałam go ostrzec.

– Przed czym?

– Powiedziałam mu, że jeśli wynajął tych ludzi, żeby cię zabili, to niech lepiej nie próbuje tego po raz drugi.

– Dlaczego Roscoe Wells miałby się ciebie bać? Co takiego ty i Clarice o nim wiecie?

Yvonne zeszywniała, jakby nagle zamieniła się w kamień. Zdawała się nawet nie oddychać.

– Mamo?

Brak reakcji.

– Odpowiedz!

Cisza.

– Słyszałem, jak mówiłaś, że to przestępstwo, którego padłyście ofiarami razem z Clarice. Co, do cholery, zrobił ci Roscoe Wells?

– Muszę iść do Belle Rose i przygotować kolację. – Yvonne odwróciła się w stronę kuchni. – Ale przedtem muszę wstawić pieczeń dla nas. Amy przyjeżdża dziś na kolację. Potrzebujesz czegoś, zanim...

Theron podjechał do niej, chwycił ją za nadgarstek i syknął:

– Do jasnej cholery, powiedz, co on ci zrobił!

– Proszę, nie używaj przy mnie takich słów.

– Mamo...

– Przyślę jedną ze służących z Belle Rose, żeby się tobą zajęła, póki nie wrócę. Nie zabawię tam długo.

– Nie potrzebuję niczyjej opieki – powiedział Theron. – Poradzę sobie przez parę godzin sam.

– Dobrze. Ale zadzwoń do mnie, jak będziesz czegoś potrzebował.

Yvonne wyszła do kuchni. Theron zacisnął pięści i zmarszczył brwi. Znał matkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie wyciągnie od niej informacji, na której mu zależało. Podjechał do telefonu, podniósł słuchawkę i wstukał numer.

– Rezydencja Royale'ów – odezwał się głos jednej ze służących.

– Mógłbym rozmawiać z Clarice Desmond?

*

R.J. wszedł w Mallory, czując, jak napięcie narasta w nim z każdym pchnięciem. Odkąd wprowadził ją w rozkosze seksu, dziewczyna aż się do tego paliła. A on nie był aż tak głupi, żeby odmawiać. Osiągnąwszy orgazm, jęczała i mruzczała, starając się wycisnąć z niego jak najwięcej przyjemności. Po kilku sekundach R.J. sam eksplodował.

– Ach, kotku – wysapał, gdy fala błogości oblała jego ciało. Mallory uniosła głowę.

– Jeszcze raz – poprosiła. – Zrób to jeszcze raz.

– Słodki Jezu, Mał, daj facetowi chwilę na regenerację. – Zsunął się z niej i obrócił się na plecy.

Mallory usiadła i pochyliła się nad jego penisem.

– Potrzebujesz zachęty?

– Jak weźmiesz go teraz do buzi, posmakujesz naszych soków – powiedział.

– Chciałbyś, co?

– Drocysz się ze mną?

– Wcale.

Uniosła na wpół nabrzmiały członek i włożyła go do ust, a potem zacisnęła wargi. Jej język zatańczył wokół czubka, obmywając najwrażliwszą część żołądki.

R.J. wygiął do przodu biodra i pchnął jej głowę w dół, zmuszając ją do połknięcia go w całości. Zakrztusiła się parokrotnie, zanim zaczął wysuwać się z niej rytmicznie. Kiedy znów osiągnął erekcję, przerwała. R.J. jęknął z zawodem. Oblizła jego męskość aż po koniuszek, a potem obsypała go pocałunkami od pępka aż po szyję.

– Zerznij mnie znowu – poprosiła. – Jesteś gotowy.

– Niech cię, Mallory.

Siadła na nim okrakiem i pochyliła się, żeby mógł pieścić jej piersi. Zrobili to znowu jak para dzikich zwierząt. I tym razem, gdy przeżyli orgazm, Mallory osunęła się na niego, mrużąc jego imię. W ciągu kilku minut zasnęła. R.J. głaskał jej długie czarne włosy i zastanawiał się, jak, do cholery, dał sobie tak bardzo zawrócić w głowie osiemnastoletniej smarkuli.

Była seksowna i dzika. Słodka i zabawna, i pełna życia. Nigdy nie znał nikogo takiego jak Mallory Royale. Przy niej czuł się kimś wyjątkowym. Nigdy wcześniej nie przytrafiło mu się nic podobnego. I napędzało mu to niezłego pietra.

Oprócz drugiego razu, gdy uprawiali seks, zawsze używał prezerwatywy. Do dziś. Powiedziała mu, że poszła do ginekologa i bierze pigułki antykoncepcyjne. Musiał przyznać, że się ucieszył. Pieprzenie bez gumki było fantastyczne. Ale R.J. wiedział, że stąpa po cienkim lodzie. Mallory nie była taką sobie zwykłą rozrywkową dziewczyną. Uwielbiała seks, ale kochała go. I po raz pierwszy w życiu R.J. zaczął się zastanawiać, jak rzucić dziewczynę, nie łamiąc jej serca.

*

– Zapraszam na pokład. – Aaron Bendall przyzwał ich machnięciem ręki.

Max wszedł za Jolie po kładce na łódź. Bendall wyciągnął z turystycznej lodówki dwie puszkę piwa i podał je gościom.

– Nie, dziękuję. – Jolie potrząsnęła głową.

Max wziął puszkę, otworzył, pociągnął łyk, a następnie skupił wzrok na Bendallu.

– Dlaczego się pan nas spodziewał?

– Och, mam mnóstwo znajomych i utrzymuję kontakt z paroma kumplami w Sumarville – odparł Bendall. – Słyszałem, że o mnie pytacie. – Otworzył drugą puszkę, uniósł ją w toaście, a potem wypił połowę zawartości jednym długim haustem. Beknął i otarł wargi grzbietem dłoni. – Zatrudniliście nawet prywatnego detektywa, żeby mnie znalazł.

– Zajęło mu to sporo czasu – zauważył Max. – Niełatwo pana odszukać.

– Bo się ukrywam.

– Dlaczego? – zapytała Jolie.

Bendall wybuchnął rehotliwym śmiechem.

– Oj, panno Royale, proszę nie udawać przy mnie głupiej. Zdaję sobie sprawę, że wiecie, że z biura szeryfa zniknęły ważne dokumenty. Akta dotyczące masakry w

Belle Rose.

– Więc wiedział pan o ich zniknięciu? – Jolie zgromiła go wzrokiem.

– Oczywiście, że wiedziałem. Jak pani myśli, kto je zabrał? – Bendall pociągnął kolejny łyk piwa.

– Czyli przyznaje pan, że wykradł pan te akta? – Max zsunął ciemne okulary na tyle, by Bendall zobaczył jego oczy.

– Powiedzmy po prostu, że wiem, gdzie znajdują się oryginalne dokumenty, a także kopie. – Bendall dokończył piwo, zgniótł puszkę i rzucił ją na wieko lodówki.

– Co musimy zrobić, żeby dostać oryginalne akta? – spytał Max. Bendall zacmokał.

– Oryginały nie będą tanie.

– Ile? – Serce Jolie zabiło szybciej.

– Oryginały leżą w skrytce bankowej, podobnie jak jeden komplet kopii. Mój adwokat ma drugi.

– Panna Royale zapytała, ile. – Max wsunął okulary z powrotem na nos.

– Mam tu wygodne życie – emeryturę od stanu Missisipi i dodatkowy comiesięczny czek od starego znajomego.

Nie musieli pytać, kim jest ów „stary znajomy”. Któż by inny, jeśli nie Roscoe Wells?

– Podaj cenę, Bendall – warknął Max.

– Milion dolarów. – Bendall roześmiał się znowu, tym razem ciszej i z mniejszym przekonaniem.

– Mogę przelać tę sumę do lokalnego banku do jutra rana – oznajmił Max, jakby chodziło o garść drobniaków. – Podaj nazwę banku i godzinę. Dostaniesz pieniądze, jeśli ja dostanę akta. I ostrzegam, jeśli mnie wyrolujesz, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz.

– Z milionem dolarów mogę znowu zniknąć. Ruszyć dalej na południe.

– Podaj nazwę banku.

– Pierwszy Bank Stanowy przy Whitehead Street, jutro o jedenastej przed południem.

Kiedy Bendall wyciągnął dłoń, żeby przybić interes, Max obrzucił ją tylko obojętnym wzrokiem.

– W takim razie do zobaczenia jutro o jedenastej w Pierwszym Banku Stanowym.

Nie uściskawszy Bendallowi ręki, chwycił Jolie za ramię i pociągnął za sobą. Kiedy schodzili na ląd, ani razu nie obejrzel się za siebie.

– Skoro jesteście tacy mili, dam wam darmową podpowiedź – zawołał Bendall.

Max i Jolie zatrzymali się, wciąż odwrócen do niego plecami.

– Jak będziecie przeglądać akta, nie przegapcie najważniejszej wskazówki. –

Bendall zrobił efektowną pauzę. – Lisette Desmond była w ciąży. I nigdy nie zgadniecie, kto był ojcem. – Emerytowany szeryf zarechotał złośliwie.

Jolie już miała się odwrócić, ale Max pociągnął ją za ramię.

– Nie – szepnął.

Kiedy oddalili się na kilkaset metrów, powiedziała:

– Nigdy nie słyszałam, żeby ciotka Lisette spodziewała się dziecka. Myślisz, że możemy mu wierzyć?

– Nie. – Max nie zwolnił nawet kroku.

– To dlaczego...

– Jest pazerny. Za milion dolarów sprzedałby rodzoną matkę.

– Max, to ogromna suma. Mogę uzyskać milion w gotówce, ale to zajmie kilka dni, może nawet parę tygodni.

Kiedy zeszli z mola, Max zatrzymał się i ujął w dłoń jej podbródek.

– Ściągnę tu całą sumę do jutra rana. Uznaj to za prezent od ojca. Bez jego porad nie byłbym dzisiaj bogaty.

– Max, nie musisz...

Przesunął kciukiem po jej wargach.

– Jeszcze się nie zorientowałaś, *chere*? Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Rozdział 23

Przez ostatnie piętnaście lat powodziło mu się, naprawdę mu się powodziło. Po przejściu na emeryturę praktycznie zniknął z powierzchni ziemi. Przez kilka lat starał się nie zagrzać nigdzie miejsca, ale gdy zorientował się, że jest stosunkowo bezpieczny, osiadł na Key West. Roscoe Wells płacił mu co miesiąc za milczenie – niedużo, ale starczało na godziwe życie. Wolał nie naciskać Roscoe'a o większe pieniądze, bo, prawdę mówiąc, bał się trochę starego drania. Jasne, zatrzymał akta sprawy, a na wszelki wypadek przekazał kopie swojemu prawnikowi; ale z facetem o rozległych kontaktach z niebezpiecznymi ludźmi trzeba zawsze uważać. Teraz nagle wszystko się zmieniło – może nawet na lepsze. Kto by pomyślał, że Jolie Royale połączy siły z Maksem Devereaux, żeby odgrzebać przeszłość i doprowadzić do wznowienia starej sprawy? Byli skłonni zapłacić mu za akta milion dolarów. Z takimi pieniędzmi mógłby się zaszyć w Ameryce Południowej albo na jakiejś wysepce na Pacyfiku i żyć jak król. Wątpił, by nawet Roscoe go tam znalazł. W każdym razie, wcześniej sukinsyn zgnije w więzieniu razem ze swoim ukochanym synalkiem. Ale nie śpieszmy się za bardzo. Rozważmy wszystkie opcje. Czemu nie skontaktować się z Roscoem i nie poinformować go, jaką dostałem ofertę. Kto wie, może przebiję stawkę? Na przykład o dwieście pięćdziesiąt tysięcy? I nie musiałbym się przejmować, że któregoś dnia dopadnie mnie jeden z jego zbirów. Tak, zadzwonię i zobaczę, co ma do powiedzenia. W końcu, jeśli się nie zgodzi, mogę zainkasować milion od Maksa Devereaux i zwinąć żagle, zanim Roscoe zdąży mnie namierzyć.

*

Clarice odczekała, aż Yvonne przyjdzie i zakrzątnie się w kuchni, a potem wymknęła się frontowymi drzwiami. W końcu Theron powiedział, że chce z nią porozmawiać w cztery oczy. Na pewno miał mnóstwo pytań o swojego dziadka. Jakież historie mogła mu opowiedzieć o Samie Desmondzie! Jej ojciec był niezwykle ciekawym człowiekiem, pod wieloma względami wyprzedził swoją epokę. Zbliżając się do domku, zobaczyła Therona siedzącego na wózku na ganku. Zamachała mu.

– Dziękuję, że przyszłaś! – zawołał, unosząc dłoń w powitalnym geście. Clarice wspięła się na ganek i podeszła do niego. Kiedy pocałowała go w policzek, lekko zeszytniał.

– Tak bardzo nalegałeś, że przybiegłam do ciebie, gdy tylko Yvonne zajęła się gotowaniem.

– Usiądź, proszę... ciociu Clarice. – Wskazał fotel na biegunach stojący przy wózku.

Znowu nazwał ją ciocią. Jak wspaniale! Obawiała się, że dłużej potrwa, nim zaakceptuje ją jako członka rodziny. Usiadła obok siostrzeńca.

– No dobrze, o co chodzi? Czego tak pilnie chcesz się dowiedzieć? Jestem prawdziwą kopalnią informacji o rodzinie Desmondów. Pytaj o wszystko.

– To, o co chcę zapytać, nie dotyczy Desmondów, tylko ciebie... i mamy.

Dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach.

– Wiem, że nigdy nie rozumiałaś i nie akceptowałaś tego, jak bardzo byliśmy sobie bliskie, ale...

– Chodzi o coś więcej niż tylko o siostrzaną miłość, prawda?

– Obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz. – Clarice splotła nerwowo dłonie. Theron nie mógł podejrzewać prawdy. – Od dziecka byliśmy sobie bliskie. Jesteśmy nie tylko siostrami, ale również przyjaciółkami.

– Rozumiem to – odparł Theron. – Ale chcę się dowiedzieć, co jeszcze was ze sobą związało? Jaką tajemnicę ukrywacie?

– Tajemnicę? – On nie może wiedzieć, pomyślała Clarice. Nie ma mowy, żeby dowiedział się o tym, co się stało. Oprócz niej tylko trzy osoby znały prawdę: Yvonne, Roscoe i Jonathan.

– Mama zadzwoniła dzisiaj do Roscoe'a Wellsa. Z groźbą.

Clarice westchnęła i przyłożyła rękę do serca.

– Nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. – Podejrzewała, że Yvonne podejmie wszelkie konieczne kroki, żeby odstraszyć Roscoe'a i dopilnować, aby Theronowi znów nie stała się krzywda. Ale dlaczego nie podzieliła się z nią swoimi planami?

– Wiedziałaś, że zamierzała do niego zadzwonić?

– Brałam pod uwagę, że może to zrobić. Skoro Jolie i Max podejrzewają Roscoe'a o sterowanie zamachem na twoje życie, trudno jej się dziwić.

– Co takiego Roscoe zrobił mojej mamie? Jakie przestępstwo popełnił na twoich oczach?

– Skąd w ogóle wiesz o... Podśлуchałaś jej rozmowę?

Pokiwał głową.

– Muszę poznać prawdę. Co Roscoe zrobił?

– Pytałaś Yvonne? – Clarice wstała i zaczęła krążyć nerwowo po ganku, szepcząc do siebie: – On nie może się dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć. Nigdy.

– Zapytałam, ale odmówiła odpowiedzi. Od razu zmieniła temat.

– Nie mogę ci powiedzieć. Nikomu nie mogę powiedzieć. Nigdy.

Obawiała się, że ten dzień nadejdzie. Tajemnice wcześniej czy później wychodzą na jaw i zdarza się, że dopiero wtedy wyrządzają największe krzywdy. Czterdzieści dwa lata temu razem z Yvonne podjęły decyzję, którą uznały za najlepszą dla wszystkich. Gdyby powiedziały o tym Sadie, ona powtórzyłaby to tacie. A Sam Desmond bez wątplenia zabiłby Roscoe'a i resztę życia spędził w więzieniu. A gdyby nie pojechały wtedy z Yvonne do Nowego Orleanu pod pretekstem wyprawy na zakupy, musiałyby codziennie przypominać sobie o tym,

co się wydarzyło, gdy jako nastoletnie dziewczyny wybrały się do lasu na jeżyny.

Theron podjechał do Clarice, wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

– Wystarczy, żebyś odpowiedziała „tak” albo „nie”. Czy Roscoe zgwałcił moją matkę?

Clarice jęknęła jak skaleczone dziecko. Nie pytaj. Nie pytaj. Nie mogę odpowiedzieć. Nie mogę.

– Nie, nie, nie. Nie mogę powiedzieć. Nigdy. Nikomu. To nasz sekret. Przysięgłyśmy nie wyjawić go nikomu do końca życia.

– Boże! A więc to prawda. Wiedziałem. Wiedziałem, gdy tylko usłyszałem, jak rozmawia z tym sukinsynem. – Theron uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Kiedy... kiedy to się stało? W którym roku?

Kiedy? W którym roku? Jakie to miało znaczenie?

– Sekrety. Sekrety. Tyle sekretów – zapłakała.

– Muszę wiedzieć jeszcze jedno. Błagam, ciociu Clarice. Powiedz... czy Roscoe Wells jest moim ojcem?

*

Mattie wyszła na patio z bezprzewodowym telefonem w dłoni. Wygrzewający się przy basenie Roscoe podniósł wzrok.

– Telefon do pana, panie Wells.

– Kto dzwoni?

– Nie przedstawił się. Powiedział tylko, że to ważne.

– Nie dadzą człowiekowi ani odrobiny spokoju. – Wyciągnął rękę po telefon. Gdy tylko go wziął, Mattie oddaliła się pośpiesznie. Bezczelna baba. – Roscoe Wells, słucham?

– Witaj, Roscoe. Jak ci leci?

– Kto mówi, do cholery?

Mężczyzna zachichotał.

– Nie pamiętasz mnie? Jestem facetem, któremu od piętnastu lat wysyłasz co miesiąc czek.

– Bendall! Gdzie jesteś, do diabła? Lepiej zaszyj się dobrze, żeby nikt cię nie znalazł.

Znowu chichot.

– To nie takie proste, chyba że ma się znacznie więcej forsy niż ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że Max Devereaux nie wyrzucił pieniędzy w błoto, zatrudniając prywatnego detektywa, żeby mnie wysledził – odparł Aaron Bendall. – Devereaux i Jolie Royale pojawili się dzisiaj u mnie... i wystąpili z bardzo ciekawą propozycją.

– Jaką propozycją?

– Devereaux zaoferował okrągły milion w zamian za oryginały akt masakry w Belle Rose.

– Skurwysyn!

– Jutro rano ma mi przekazać pieniądze. Wyznaczyliśmy już czas i miejsce wymiany.

– Jeśli dasz Maksowi te dokumenty, dopilnuję, żebyś nie pożył na tyle długo, by wydać choćby centa z tego miliona.

– Mógłbyś ułatwić życie nam obu – powiedział Bendall. – Czekam na kontrpropozycję... taką, żebym nie mógł odmówić.

– Ty dupku. – Dlaczego dwadzieścia lat temu nie zorientował się, że Aaronowi Bendallowi nie można ufać? Czemu nie zaaranżował śmiertelnego wypadku, którego ofiarą padłby szeryf, a potem nie zniszczył tych cholernych akt, zanim skurwiel zdążył je wykraść i zaczął go szantażować?

– Jesteś gotów zaproponować więcej niż milion? Ze względu na swoją przyszłość? Ze względu na przyszłość Garlanda?

– Zamknij pierdoloną jadaczkę! – Przez całe życie skrupulatnie zacierał ślady, pilnując, aby żaden z jego czynów nie zemścił się na nim w przyszłości. Ale to nie swoje zbrodnie tuszował przez te lata, nie swoje grzechy utrzymywał tak wysokim kosztem w tajemnicy.

– Czas mija. Czy słyszę milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy?

– Milion i dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

– Do dziesiątej jutro rano – powiedział Bendall.

– Nie wiem, czy uda mi się zorganizować...

– Spotykam się z Devereaux o jedenastej, chyba że o dziesiątej dostanę twoje pieniądze.

– Dostaniesz te cholerne pieniądze do dziesiątej. – Roscoe wstał z leżaka i zaczął się nerwowo przechadzać po patio. – Ale przekażesz mi te akta. I kopie.

Zanim wszystko dobiegnie końca, będzie miał znacznie więcej niż same akta. Będzie mógł przypiąć do pasa kilka nowych skalpów. Zdarzy się kilka „wypadków”. Zacznie od Maksa i Jolie. Potem zajmie się tą pieprzoną suką Yvonne Carter i jej ambitnym synalkiem.

*

Max przyglądał się jej z balkonu swojej sypialni, gdy zanurkowała do wody. Dziwne, ale była jedną z zaledwie czterech osób korzystających tego popołudnia z hotelowego basenu. Choć z drugiej strony, hotel nie należał do dużych. Miał tylko trzydzieści pokoi. Sporo gości było prawdopodobnie na zakupach lub na plaży, a wielu innych pożeglowało w morze łowić ryby lub nurkować.

Ciało Jolie miało w sobie słodką zmysłowość, każdy centymetr jej krągłości był wręcz idealny. Pożądał jej. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety. Kiedy po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę, był zaskoczony głębią swojej namiętności. Kochał kiedyś Felicię i uwielbiał uprawiać z nią seks, ale nigdy nie było między nimi tego skręcającego wnętrzości pożądania, tego głębokiego bólu, który

obiecował rozkosz spełnienia. Do Jolie czuł to wszystko, a nawet więcej; wcześniej czy później ona także będzie musiała przyznać, że czuje do niego to samo.

Wydawało się mało prawdopodobne, by czekała ich wspólna przyszłość. Nawet gdyby Jolie poddała się emocjom, wątpił, by kiedykolwiek zapomniała, że on jest synem Georgette Devereaux. Nienawiść do jego matki mogła się okazać silniejsza od uczuć do niego.

Co za ironia losu, że jedyna kobieta, której pożądał tak bardzo, iż stawał się słaby i podatny na zranienie, była córką Louisa Royale'a. Próbował przekonać samego siebie, że gdyby ją posiadał, iskrzące między nimi erotyczne napięcie zelżałoby na tyle, że byłby w stanie nad nim zapanować. Ale co, jeśli to by nie wystarczyło? Jeśli tylko jeszcze bardziej by jej pragnął?

Zadzwoił telefon. Max podszedł do aparatu stojącego na szafce przy łóżku i podniósł słuchawkę.

– Devereaux.

– Max, nie wiem, co zamierzasz zrobić z milionem dolarów, ale wszystko jest przygotowane do przelewu. Pieniądze zostaną zdeponowane na koncie pod twoim nazwiskiem w Pierwszym Banku Stanowym w Key West jutro o dziesiątej trzydzieści rano.

– Dzięki, Danny Lee, doceniam, że tak szybko to załatwiłeś – powiedział Max. – I pewnie nie muszę ci mówić, że cała transakcja musi zostać zachowana w najściślejszej tajemnicy. – Tak jak jego ojciec i dziadek, Danny Lee Loveless był dyrektorem oddziału Pierwszego Banku Narodowego w Sumarville i długoletnim przyjacielem rodziny Royale'ów.

– Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc? – zapytał Danny Lee. – Od lat jestem twoim konsultantem finansowym, więc jeśli zamierzasz zainwestować...

– To osobista inwestycja – powiedział Max.

– Kapuję. W każdym razie pieniądze będą na ciebie czekały.

– Jeszcze raz dziękuję. – Max zakończył rozmowę, a potem wykręcił numer dyrektora hotelu.

– Watson Fritz. W czym mogę pomóc?

– Tu Max Devereaux. Chciałbym, żeby wymyślił pan powód, żeby na następne dwie godziny zamknąć hotelowy basen dla wszystkich gości z wyjątkiem mnie i panny Royale. I proszę, żeby przyniesiono mi do pokoju kąpielówki. Niech pan je doliczy do rachunku za apartament.

– Tak jest, panie Devereaux. Sądzę, że basen powinien zostać natychmiast zamknięty w celu usunięcia drobnej usterki technicznej. Przewiduję, że naprawa potrwa około dwóch godzin. I osobiście wybiorę dla pana kąpielówki, a potem natychmiast przyślą je na górę.

– Jeszcze jedno.

– Słucham?

– Chciałbym zamówić kolację do apartamentu na wpół do ósmej. Jeśli chodzi o menu, zdaję się na pana.

– Oczywiście, panie Devereaux.

Max odłożył słuchawkę i wrócił na balkon. Jolie wyszła właśnie z wody, wyżeła włosy, a następnie owinęła się białym hotelowym ręcznikiem. Ustronny, otoczony wysokim żywopłotem basen i gwarancja, że nikt im nie przeszkodzi, stwarzały idealną okazję, żeby zastawić miłosne sidła. Zamierzał mieć Jolie Royale w łóżku jeszcze tej nocy.

*

Nowell Landers tulił Clarice, próbując ją uspokoić. Wciąż bełkotała coś niezbornie i kręciła nerwowo głową.

– Theron, jak mogłeś tak ją zdenerwować? – Yvonne stała nad synem z marsową miną. – Przecież wiesz, jaka jest wrażliwa!

– Przepraszam, że Clarice... ciocia Clarice tak się wzburzyła. Przysięgam, nie miałem pojęcia, że zacznie tak wariować. – Theron usiłował się bronić, ale widząc zmarszczone brwi i zaciśnięte usta matki, zorientował się, że niełatwo uzyskać przebaczenie. Często najlepszą obroną jest atak, pomyślał. – Gdybyś odpowiedziała na moje pytania o Roscoe'a Wellsa, nie musiałbym prosić o wyjaśnienia cioci.

– Co ci powiedziała, zanim tak bardzo się zdenerwowała?

– Właściwie nic.

– Ale dalej ją naciskałeś, aż w końcu straciła panowanie nad sobą i uciekła w swój własny świat. – Yvonne spojrzała na Clarice. – Jest taka delikatna, niewiele trzeba, żeby wytrącić ją z równowagi. A wspomnienie Roscoe'a Wellsa i wydarzeń sprzed czterdziestu lat zupełnie ją rozbiło.

– Nie powinniśmy wezwać lekarza? – zapytał Theron z troską. Nie chciał wyrzucić Clarice krzywdy. Wiedział, że od masakry w Belle Rose była trochę zbzikowana, ale nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

– Żaden lekarz nie jest w stanie jej pomóc – odparła Yvonne. – Cieszę się, że od razu zadzwoniłeś. Na szczęście właśnie zjawił się Nowell. Ma na nią lepszy wpływ niż ktokolwiek.

Nowell trzymał Clarice w ramionach i rozmawiał z nią cicho.

– Chcesz wrócić do domu, kochanie? Zrobię ci herbaty, a potem możemy posiedzieć w altance i odpocząć.

– Tak, Jonathanie, byłoby miło – odparła Clarice. – Chcę, żebyś poznał moje siostry, Audrey i Lisette... i Yvonne. Będą druhniami na naszym ślubie. – Zachichotała. – Ludzie się zdziwią, jak zobaczą z nami Yvonne. Ale nic mnie to nie obchodzi. Jest moją siostrą, wiesz... i moją najlepszą przyjaciółką.

Nowell i Yvonne wymienili współczujące spojrzenia. Theron zwiesił głowę.

– Wrócimy teraz do Belle Rose. – Nowell sprowadził Clarice po schodkach, a

potem obejrzał się przez ramię. – Zadzwoń później i dam znać, jak się czuje.

– Dobrze, dziękuję. – Yvonne patrzyła, jak Clarice i Nowell idą drogą w kierunku rezydencji. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, odwróciła się do Theron. – Nasza tajemnica nikogo nie powinna obchodzić. Rozumiemy się, synu? A jeśli postanowimy wykorzystać ją, żeby cię chronić, to też nie twoja sprawa. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek wypytywał o nią Clarice.

– A jak zapytam Roscoe'a Wellsa?

Yvonne otworzyła szeroko oczy.

– Nie zbliżaj się do tego człowieka!

– A odpowiesz chociaż na pytanie, które bezpośrednio mnie dotyczy?

Matka spojrzała na niego zdumiona.

– Czy Roscoe Wells jest moim ojcem?

– Nie, nie jest, Bogu dzięki. I jak chcesz, mogę to przysiąc na wszystkie Bibliie świata – odparła ze łzami w oczach.

Rozdział 24

Za niespełna dwadzieścia cztery godziny będą mieli akta masakry w Belle Rose. Musiały zawierać prawdę na temat morderstw. W przeciwnym razie czemu kosztowałyby aż milion dolarów? Ale bez względu na to, jak bardzo Jolie pragnęła zajrzeć do starych dokumentów, przerażała ją myśl o tym, co tam znajdzie. Fotografie z miejsca zbrodni. Zdjęcia jej matki, ciotki i Lemara. Raport kryminologiczny, raport balistyczny, raport funkcjonariuszy, którzy pierwsi przybyli na miejsce zbrodni, raport koronera. I Bóg jeden wie, co jeszcze. Wskazówki, które mogą ich doprowadzić do prawdziwego zabójcy czy żelazne dowody jego winy? Jolie posmarowała ramiona i nogi olejkami do opalania, a potem położyła się na szezlongu przy basenie. Czekanie aż do jutra rana nie będzie łatwe; dwie godziny, które minęły od ich spotycania z Aaronem Bendallem, już zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Podniosła z suchego ręcznika okulary przeciwsłoneczne, założyła je i przymknęła powieki.

Odpręż się, Jolie, powiedziała sobie w duchu. Przejmowanie się jutrem nie przyspieszy czasu. Zresztą, ucieczka od Maksa na parę godzin też cię przed nim nie uratuje. Spójrz prawdzie w oczy, to tylko krótka przerwa. Zdażyła się przekonać, że z Maksym Devereaux trzeba się poważnie liczyć, kiedy czegoś pragnął. A nie ulegało wątpliwości, że pragnął jej.

– Panie i panowie, obawiam się, że muszę państwa prosić o opuszczenie terenu basenu – oświadczył Fritz. – Musimy dokonać niewielkich napraw obiektu. Najmocniej przepraszam za wszelkie niedogodności. Basen powinien zostać udostępniony ponownie za kilka godzin.

Jolie westchnęła. Właśnie kiedy się wygodnie usadowiła, zaczęła się relaksować i miała pewność, że uciekła tymczasowo od towarzystwa Maksa, dyrektor hotelu postanawia zamknąć basen. Świetnie. Po prostu cudownie. Wstała z szezlonga, zebrała rzeczy i ruszyła za innymi gośćmi.

Fritz zbliżył się do niej i powiedział:

– Panno Royale, proszę nie wychodzić. Obiekt nie jest zamknięty dla pani.

– Nie rozumiem. Przecież...

– Dziękuję, panie Fritz. – W furtce ocienionego zielenią przejścia prowadzącego z hotelu stanął Max. W dłoniach trzymał szklanki z drinkami.

– Ach. – Jolie pojęła w lot, co się stało. Max Devereaux zapragnął całkowitej prywatności na basenie, więc pstryknął palcami i dyrektor hotelu zamknął obiekt dla reszty gości.

Pan Fritz zniknął pośpiesznie, zamykając za sobą dekoracyjną drewnianą furtkę. Max podszedł do niej. Spokojnie, pomyślała. Tylko spokojnie. To nic, że wygląda w swoich granatowych kąpielówkach jak grecki bóg. Facet jest przystojny, cholernie przystojny. Ale nic nie zajdzie między nimi. Musiałaby być głupia, żeby

paść mu w ramiona.

Max podał jej drinka. Rzuciła ręczniki i olejek na ziemię, a potem wyciągnęła rękę i wzięła szklanę, uważając, żeby nie dotknąć jego dłoni. Usiadł na szezlongu obok tego, z którego właśnie wstała, i wziął łyk drinka.

– Hm. – Odstawił szklanę na ziemię. – Barman powiedział, że ten koktajl nazywa się Korolowa Bryza.

Jolie spojrzała na niego gniewnie.

– Nie zaświtało ci w głowie, że przyszedłam tu, żeby od ciebie uciec?

– Ani na chwilę. – Rozprostował ramiona, splótł dłonie i założył je za głowę. – Nasmarujesz mnie olejkiem?

Jolie usiadła na brzegu swojego szezlonga, spojrzała na szklanę i spróbowała drinka. Owocowy, słodki i przyjemnie odświeżający. Wypiła kilka następnych łyków, po czym odstawiła szklanę i spiorunowała Maksa wzrokiem.

– Jeśli myślisz, że cię dotknę, to chyba ci odbiło. Max zachichotał.

– Czego się tak boisz, *chere*?

– Do cholery, Max, nie nazywaj mnie *chere*! Wkurza mnie, jak tak do mnie mówisz. Pewnie do każdej, która ci się podoba, zwracasz się w ten sposób. Naprawdę myślisz, że kobiety uważają to za romantyczne?

Zdjął okulary słoneczne i spojrzał jej prosto w oczy.

– Nigdy nie nazwałem żadnej innej *chere*. Ani razu.

Nie był to rodzaj wyznania, jakie pragnęła usłyszeć. Nie chciała być dla Maksa pod żadnym względem wyjątkowa. Łatwiej byłoby jej go odrzucić, gdyby wierzyła, że jest tylko jedną w długiej kolejce ogłupiałych z miłości kobiet, które poddały się jego niebezpiecznemu urokowi.

– To dlaczego nazywasz tak mnie? – zapytała.

– Bo to do ciebie pasuje. I pasuje do tego, co do ciebie czuję.

Nie daj mu się zbałamucić słodkimi słówkami. W końcu Max może być taki sam jak jego matka. Może się okazać takim samym manipulatorem, takim samym farbowanym lisem. Ale czy wciąż myślisz tak o Georgette? Czy wciąż jesteś tak pewna swego?

– Podłapałeś to od jakiegoś lowelasa w Nowym Orleanie? A może twój wujek zwraca się w ten sposób do swoich dziwek?

– Przywiązujesz zbyt dużą wagę do tego małego słówka. Jolie położyła się na szezlongu i skrzyżowała ręce na piersiach.

– To ty robisz z tego wielkie halo.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, kto nazywał tak kobietę swojego życia?

Jolie pokręciła głową.

– Niekoniecznie. – Nagłe dławiące przecucie ścisnęło ją w żołądku, natrętna myśl zaczęła formować się w głowie.

– Pewnie już to odgadłaś, prawda? – Wyciągnął rękę i koniuszkami palców

powiódł po jej ramieniu. – Louis nazywał tak moją matkę. To jedno słowo wyrażało całą głębię jego uczuć.

– Jasne, powinnam się była domyślić.

Zacząła wstawać, ale chwycił ją za nadgarstek. Próbowwała się wyszarpnąć, lecz trzymał ją mocno, a potem nagle pociągnął i posadził sobie na kolanach. Siedziała w bezruchu, wstrzymując oddech.

– Puść mnie, Max, proszę.

– Nie mogę.

Kiedy objął ją w pasie i położył na sobie, nie protestowała. Leżała na nim, a ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Max zdjął jej okulary słoneczne. Jego druga dłoń przesunęła się z jej pleców w dół i spoczęła na pośladku. Jolie wzięła głęboki oddech.

– Nie chcę tego – powiedziała.

– Nieprawda. Chcesz.

– Nie, nie chcę. To, co do siebie czujemy, cokolwiek to jest, może nas tylko zranić. Przypomnij sobie, co niepohamowana namiętność zrobiła z moim ojcem i twoją matką. Skrzywdzili tylu ludzi swoim romanssem. A twój wujek nigdy się nie otrząsnął po stracie Lisette. Nigdy się nie ożenił, prawda? Pomyśl tylko, co miłość zrobiła z ciocią Clarice. Ona wciąż kocha swojego Jonathana.

– Zdaje się, że zakochała się w Nowellu Landersie, więc chyba można zakochać się więcej niż raz.

– Ale nie w ten sam szalony, wszechogarniający sposób – odparła Jolie, pragnąc, żeby Max przestał wpatrywać się w nią takim wzrokiem, jakby chciał ją wziąć tu i teraz. – Poza tym ciocia Clarice często myli Nowella z Jonathanem.

– Nowell Landers to oszust – powiedział Max, przygryzając jej ucho. – Wiem, że się ze mną nie zgadzasz, ale...

– O, zgadzam się. Nie ma wątpliwości, że Nowell jest oszustem.

Dłoń Maksa powędrowała na tył jej głowy, jego palce wplotły się w mokre włosy. Westchnęła, gdy dreszcz przebiegł jej po ciele. Nie mogła pozwolić, żeby ją pocałował. Jeśli ją pocałuje, będzie stracona. Na zawsze.

Odchyliła się i opierała dłonie o jego barki.

– Max, wciąż masz kontakt z tym detektywem?

– Co? – Popatrzył na nią półprzytomnie.

– Wyświadczysz mi przysługę?

– Zrobię dla ciebie wszystko, Jolie, jeśli tylko się zamkniesz i dasz mi się pocałować.

– Ach, tak. – Natychmiast powinna z niego zejść. Był podniecony i gotowy, a ona szybko traciła kontrolę nad sytuacją. – Mógłbyś... mógłbyś zadzwonić do tego detektywa i poprosić, żeby sprawdził Jonathana Lenza?

– Po co? Facet nie żyje od trzydziestu pięciu lat.

- Powiedzmy, że mam przecucie. Proszę, zrób to dla mnie.
- Zadzwońię do Hugh dziś wieczorem. Czy to już wszystko?
- Tak, wszystko.

Pociągnął jej głowę w dół. Nie pozwól mu na to, upomniała się w duchu. Ich usta zetknęły się. Delikatnie. Tylko lekkie muśnięcie. Po chwili jego język zatańczył pieszczotliwie na jej wargach. Wtuliła się w niego, ulegając jego urokowi coraz bardziej i bardziej. Jeszcze nigdy nie czuła się z żadnym mężczyzną tak dobrze. Jakby czekała na niego przez całe życie.

- Proszę, Max, ja nie mogę – wyszeptała.

Zamknął oczy. Wszystkie mięśnie jego ciała naprężyły się nagle. Jego dłoń przywarła mocniej do jej głowy i przez ułamek sekundy myślała, że zmusi ją do bardziej intymnego pocałunku. Ale po chwili cofnął rękę sztywnym ruchem, jakby z trudem panował nad własnym ciałem.

- Wstawaj. Natychmiast – wycodził przez zaciśnięte zęby.
- Max, przepraszam. Ale nie mogę sobie na to pozwolić. Boję się, że...

Złapał ją i zepchnął z siebie. Podniosła się na niepewnych nogach, dysząc ciężko. Stała tak, drżąc na całym ciele i obejmując się ramionami. Max zeskoczył z szeslonga, chwycił ją za podbródek i zadarł jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy.

– Możesz odwlekać to, co nieuniknione, ale nie uda ci się uciec. – Puścił ją, odwrócił się i odszedł.

Jolie wypuściła wstrzymywany oddech. To nie miłość, pomyślała. To jakaś choroba. Żądza, która przeczy rozumowi, pożera przeszłość i terażniejszość, uzależnia bardziej niż najsilniejszy narkotyk.

A jeśli Max miał rację, Jolie była bezradna wobec swojego pożądanania.

*

Roscoe zamknął drzwi gabinetu i przekreślił klucz. Mattie wciąż krzątała się po domu, a Garland mógł wrócić lata chwila.

Otworzył dolną szufladę biurka, wyjął notes oprawny w brązową skórę i zaczął go kartkować, aż znalazł numer, którego szukał. Kolejny stary znajomy, który w przeszłości okazał się użyteczny. Roscoe kilka razy powtórzył bezgłośnie rząd cyfr, aż je zapamiętał, po czym schował notes z powrotem do szuflady i zamknął ją na klucz. Podniósł słuchawkę i wykreślił numer. Słuchając sygnału, myślał o tym, co powinien zrobić w pierwszej kolejności. Musiał się zająć Maksem i Jolie. Yvonne była następna. Przez czterdzieści dwa lata ona i Clarice nie pisnęły nikomu słowa. Czuł się bezpieczny, mając pewność, że nigdy nie opowiedzą nikomu o tym, co się stało. Były młode, głupie i bały się go. Uwierzyły w jego groźby. I Bogu dzięki – gdyby Sam Desmond dowiedział się o wszystkim, zatłukłby go gołymi rękami.

*

Parry Clifton siedział w swoim pokoju. Za oknem brzęczały monotonna cykady. Zapadała noc. Powinien był pojechać do miasta, zapłacić dziwce i schlać się do

nieprzytomności. Ostatnimi czasy odzyskiwał spokój tylko wtedy, gdy był tak pijany, że niczego nie pamiętał. Dzieciństwa, kiedy ojciec znęcał się nad nim i siostrą. Młodości, gdy Jules Trouissant sprzedawał jego ciało bogatym starcom mającym słabość do chłopców, a Georgie zmienił z trzynastoletniej dziewczycy w zawodową dziwkę. Ani tych okropnych lat, gdy Georgie była żoną Philipa Devereaux i oboje starali się odnaleźć w środowisku przekłętej arystokracji Sumarville. Ani tych dzikich, szalonych, hulaszczycy dni, gdy zakochał się w Lisette Desmond. Sama myśl o niej sprawiała mu niewysłowiony, szarpiący trzewia ból. Była taka piękna, taka ponętna. I była jego. Ale, niech piekło pochłonie jej niewierną duszę, zdradziła go. I to z tym smarkaczem. Mógłby jej jeszcze wybaczyć romans z Garlandem Wellsem, ale nie kłamstwo.

Po twarzy Parry'ego płynęły łzy. Lisette. Lisette. Wróciłaś, żeby mnie dręczyć? Pragniesz mojego przebaczenia? A jeśli ci wybaczę, czy ty wybaczysz mnie?

Rozdział 25

Jolie pokrzyżowała jego plany na intymną kolację we dwoje w zaciszu apartamentu. Po fakcie zdał sobie sprawę, że po południu przy basenie przycisnął ją trochę za mocno, zadziałał zbyt szybko. Im bardziej stanowczo mówił o sile łączących ich uczuć, tym bardziej Jolie się zapierała, próbując mu udowodnić, że się myli. Jolie Royale jest upartą kobietą. Upartą i pełną obaw. Po dwudziestu latach wróciła do Sumarville pochować ojca, który jej zdaniem ją zdradził, i odkryła, że ktoś manipulował śledztwem w sprawie morderstwa jej matki i ciotki, a potem ledwo uszła z życiem z rąk wynajętego zbira. A pośród tego wszystkiego obudziło się w niej pożądanie do mężczyzny, którego przedtem nienawdziła. Rozumiał jej zagubienie; sam też zdawał sobie sprawę z ironii sytuacji. Córka Louisa i syn Georgette – związani przekłętą namiętnością, która wydawała się dziedziczna. Jego też zaskoczyło to, co poczuł do Jolie.

– Musimy tkwić na Key West do jutra – powiedziała. – Ale to nie oznacza, że muszę siedzieć w hotelu. Zamierzam wyjść na miasto i posmakować trochę tutejszego nocnego życia.

– Idę z tobą. Co chcesz robić? Dokąd pójść?

– Wszędzie, byle daleko od ciebie!

Nie zadała sobie trudu, żeby się pożegnać przed wyjściem; po prostu obróciła się na pięcie, wymaszerowała z apartamentu i trzasnęła drzwiami, zamykając mu je przed samym nosem. Najwyraźniej nie rozumiała, że choć może uciec od niego, nie zdoła uciec przed samą sobą. Trawiące ją pożądanie nie ustąpi; będzie narastało, im bardziej będzie usiłowała je stłumić.

Max odczekał parę minut, a potem ruszył za nią, starając się zachować odpowiedni dystans. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że nie pozwoli jej biegać samotnie po Key West? Każda kobieta byłaby narażona na ryzyko w tym podtropikalnym raj, ale do kobiety tak pięknej jak Jolie faceci zlecieliby się jak ćmy do świecy. A że tak bardzo obawiała się swoich uczuć, mogłaby zrobić coś głupiego tylko po to, żeby udowodnić sobie i jemu, że nie łączy ich nic wyjątkowego. Zaborcza troska, jaka go ogarniała, gdy chodziło o Jolie, nie przypominała niczego, co do tej pory doświadczył. Była staromodna i może trochę prymitywna. Bóg mu świadkiem, że nienawdził siebie za to, że nie potrafi dać jej więcej przestrzeni, że obserwuje ją z ukrycia jak zbir albo odtrącony kochanek.

Podążył za nią na Duval Street, gdzie grupa turystów zebrała się, żeby podziwiać zachód słońca i posłuchać muzyków ubranych w kolorowe stroje. Kiedy Jolie dostrzegła go za plecami, ruszyła prosto w tłum, próbując go zgubić.

Uciekaj, *chere*. Staraj się, jak możesz. Ale bez względu na to, dokąd pójdziesz, i tak cię znajdę.

Ostatnie promienie słońca rozlewały się wspaniałymi barwami po zachodnim

niebie, kobziarz grał *Amazing Grace*. Powoli, lecz pewnie Max zbliżał się do Jolie, manewrując między ludźmi cieszącymi się ostatnimi chwilami mijającego dnia. Kiedy zaszedł ją od tyłu i położył jej ręce na ramionach, westchnęła i obejrzała się za siebie.

– Dobrze się bawisz? – spytał. Gniew błysnął w jej błękitnych oczach.

– Przestań za mną łązić!

– Czemu nie poprosisz o coś łatwiejszego... na przykład, żebym przestał oddychać.

Ledwo dostrzegalne drzenie przebiegło po jej ciele.

– Przestań. Proszę. – Szamotała się w jego ramionach, próbując się oswobodzić.

– Co mam przestać? – wyszeptał jej do ucha. – Pragnąć cię do szaleństwa? Myśleć o tuleniu cię i całowaniu, i kochaniu się z tobą... przez całą noc.

Wyrwała mu się i pobiegła w głąb ulicy. Kilku ludzi zauważyło ich szamotaninę, ale gdy Max nie rzucił się za nią w pogoń, nie zareagowali.

Dopiero po dłuższej chwili ruszył w stronę, w którą uciekła. Wkrótce spostrzegł jej czerwoną letnią sukienkę, kiedy znikwała w drzwiach kawiarni Margaritaville. Stał na chodniku przed lokalem i słuchał głośnej muzyki dobiegającej ze środka. Gdy uznał, że miała dość czasu, by się rozgościć i poczuć w miarę bezpiecznie, wszedł do kafejki. Czekał przy barze, aż zamówi kolację. Kiedy przyniesiono jej jedzenie, wziął swojego drinka i dosiadł się do jej stolika. Jolie spojrzała na niego gniewnie.

– Idź sobie, Max.

Wzruszył ramionami.

– Myślisz, że jak będziesz to powtarzać dostatecznie często, słowo stanie się ciałem?

– Nie wolno tracić nadziei.

Odstawił szklanekę, skrzyżował ramiona i oparł je o stół, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Rzeczywiście nie wolno tracić nadziei.

– Czy dasz mi przynajmniej zjeść w spokoju kolację? – Popatrzyła na talerz i znów podniosła wzrok.

– Jeśli zamierzasz wywalić mi to wszystko na głowę, to odradzam.

– Przez myśl mi to nie przeszło. – Figlarny uśmiech zadrgał w kącikach jej ust.

– Jasne, że nie.

– Jeśli ty zostajesz, to ja idę. Max wzruszył ramionami.

Jolie sięgnęła do torebki po portmonetkę, wyjęła kilka banknotów i rzuciła je na stół.

– Kolacja jest zapłacona. Smacznego. – Podniosła się z krzesła i odeszła. Podbiegł kelner, popatrzył na nietknięty talerz jedzenia, a potem na Maksa.

– Pani zmieniła zdanie – wyjaśnił Max. – Wie pan, jakie są kobiety. Wstał i

wypadł na ulicę, a potem uśmiechnął się, widząc ją przecnicę dalej. Nie biegła. Nie szła nawet szybkim krokiem. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że niezbyt się stara, żeby przed nim uciec? Śledził ją przez pół Duval Street ze świadomością, że Jolie wie, że jest zawsze pół przecnicy za jej plecami.

Jaskrawe światła i głośna muzyka dochodząca z knajpki zapraszały gości do wejścia, kusząc obietnicą dobrej zabawy. Tego wieczoru występował zespół country. Gdy Max wszedł za Jolie do lokalu, zauważył, że parkiet jest pełen ludzi. Jolie stała przy barze i rozglądała się po sali. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie odwróciła wzroku. Gdy przedzierał się do niej przez tłum, nie ruszyła się z miejsca. Czekala na niego. Nie łudził się jednak, że postanowiła się poddać. O, nie. Zmieniła po prostu taktykę.

Zbliżył się do baru i wyciągnął do niej rękę, bez słowa zapraszając ją do tańca. Po krótkim wahaniu przyjęła jego dłoń i dała się zaprowadzić na środek parkietu. Max nie poczuł żadnego oporu, gdy przyciągnął ją do siebie. Oparłszy głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy, westchnęła i wtuliła się w niego mocno. Był w stanie myśleć tylko o jednym: jeśli samo trzymanie Jolie w ramionach sprawiało mu taką przyjemność, to jak by się czuł, kochając się z nią?

Jolie toczyła walkę nie do wygrania, ale nie zamierzała się jeszcze poddawać. Max był jak ziejący ogniem smok, który szuka swojej dziewicy, plądrując wsie i niszcząc wszystko, co napotka na drodze. Gdyby walczyła tylko z nim, mogłaby liczyć na zwycięstwo, ale miała przeciwko sobie również własne pożądanie. Czy jeśli da mu trochę tego, czego oboje pragną, to wystarczy? Nie pojmowała, dlaczego ją to spotkało. Dlaczego Max Devereaux zawrócił jej w głowie tak szybko i tak bardzo? Nie potrzebowała w życiu tego rodzaju komplikacji i wiedziała, że on też ich unika. Co najdziwniejsze, odnosiła wrażenie, że oboje są równie bezsilni w obliczu iskrzącej między nimi namiętności.

Tańczyli przytuleni do siebie. Jego muskularne nogi ocierały się o jej uda. Jej twarde sutki muskały jego potężny tors. Bicie jej serca uspokoiło się; rozluźniła się. Max wsunął dłoń pod jej włosy i ujął delikatnie jej szyję. Jego druga ręka powędrowała w dół po jej plecach i spoczęła na pośladku.

Mimo tej fizycznej bliskości Jolie czuła się bezpieczna. W miejscu publicznym sprawy nie zajdą już dalej. Ogarnęło ją radosne poczucie wolności. Mogła wykraść te chwile z rzeczywistości bez wyrzutów sumienia, bez krzywdy dla nikogo. Dopóki trwał taniec, mogła udawać, że istnieje tylko tu i teraz. Nie ma jutra, kiedy spotkają się z Aaronem Bendallem i wymienią milion dolarów na akta masakry w Belle Rose. Nie ma wczoraj, gdy śmierć i zdrada wykopały między nimi rów nie do zasypiania.

Ale muzyka ucichła zbyt szybko. Jolie nie była w stanie odejść. Miała obezwładniające poczucie, że jest tam, gdzie powinna być. Po chwili, gdy zmusiła się, żeby unieść głowę z jego ramienia, zespół zaczął grać następną melodię,

wolniejszą od poprzedniej. Max przytulił ją mocniej.

– Nie uciekaj – wymruczał. – Jeszcze nie.

Posłusznie oparła głowę na jego ramieniu. Tańczyli jeden taniec za drugim; czas przestał istnieć. Jak długo tu byli, fantazja mogła trwać bez końca.

Nagle muzyka zmieniła się z wolnej na szybką. Tańczący zaczęli tupać nogami i klaskali do rytmu. Jolie odsunęła się od Maksa, a on chwycił ją za rękę i poprowadził do wyjścia. Tropikalna bryza owiała ich spocone ciała. Max ruszył w stronę hotelu, ale Jolie powstrzymała go.

– Chodźmy na spacer – powiedziała, gotowa użyć każdej wymówki, by opóźnić to, co nieuchronne.

– Chyba żartujesz.

– Tylko krótki spacer na plaży, żebyśmy ochłonęli. Proszę.

– Nie chcę ochłonąć – odparł. – Chcę się jeszcze bardziej rozpalic.

– Max, nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego.

Złapał ją za ramiona i utkwiał w niej pałający wzrok.

– Wracamy do hotelu. Natychmiast. Jak znajdziemy się na miejscu, możesz pójść do łóżka sama albo spędzić noc ze mną. Twój wybór.

– Obawiam się, że straciłam zdolność podejmowania racjonalnych decyzji – wyznała. – Jeśli od razu wrócimy do hotelu, nie jestem pewna, czy będę miała siłę, żeby się oprzeć.

Zacisnął dłonie na jej ramionach i zaklął pod nosem.

– Jak możesz mówić coś takiego facetowi, który z ledwością panuje nad pożądaniem?

– Myślisz, że nie pragnę cię równie mocno, równie boleśnie? Ale jeśli to zrobimy, będziemy żałować. Wiesz, że mam rację.

Poderwał ją z ziemi i wziął na ręce.

– Będziemy żałować, jeśli tego nie zrobimy.

Ruszył prężnym krokiem w stronę hotelu, który znajdował się zaledwie przecznicę dalej.

– Max, co ty wyprawiasz? – Zarzuciła mu ręce na szyję, żeby nie stracić równowagi.

– To, co powinienem zrobić już dawno: biore, czego pragnę.

– Zwariowałeś. Jeśli sądzisz, że zdziałasz coś ze mną, zachowując się jak jaskiniowiec, to lepiej jeszcze raz się zastanów.

– W tej chwili mogę myśleć tylko o własnej satysfakcji.

Przeniósł ją przez pustą hotelową recepcję do windy, która zawiozła ich pod sam apartament. Bez wysiłku otworzył drzwi i wniósł ją do środka. Salon między ich sypialniami tonął w półmroku, rozjaśniony tylko złotym światłem małej lampki.

– Postaw mnie na ziemi – rozkazała. – Nie zmusisz mnie do niczego wbrew mojej woli.

Zignorował jej żądanie i pchnął drzwi swojej sypialni, otwierając je na oścież. Mleczna poświata księżycy rozpraszała ciemności. Max przeniósł Jolie przez pokój i rzucił ją na środek łóżka. Boże, on nie ustąpi! Jolie podpełzła do brzegu materaca i zeskoczyła na ziemię. Zanim zdążyła zrobić krok, zastąpił jej drogę.

Chwycił ją za biodra i przycisnął do siebie, ocierając się twardą męskością o jej podbrzusze. Przyłgnęła do niego, szukając intymniejszego kontaktu. Wsunął ręce pod jej sukienkę, złapał za majtki i zdjął je jednym ruchem.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Chciała mu ulec. Pragnęła mu się oddać i przyjać w zamian wszystko, co jej ofiaruje.

– Max, nie jestem pewna. Boję się...

Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie, pochylił głowę i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. Całował wspaniale, po prostu niewiarygodnie.

Kiedy wreszcie oderwali od siebie usta, musnął nosem jej szyję i szepnął:

– Pożądanie kogoś tak, jak ja pożadam ciebie, jest przerażające. Zrobiłbym wszystko, żeby cię zdobyć.

Pchnął ją łagodnie na łóżko i osunął się na nią, dysząc ciężko. Podwinął jej sukienkę, rozpiął spodnie i obnażył pulsującą męskość. Otworzyła szeroko oczy, gdy bez żadnych wstępów rozchylił jej uda i wszedł w nią. Wypełnił jej myśli, serce i ciało. Nagła świadomość, że nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny tak jak Maksa, pobudziło ją do uległości, mimo iż jego zachowanie graniczyło z gwałtem.

Chwycił jej biodra, ustalając miarowy rytm. Kiedy zagłębiał się w niej i wysuwał, wiła się pod nim, jęcząc z rozkoszy Max stękał, dyszał, szeptał słowa miłości i oddania. W miarę jak napięcie narastało w niej, obiecując spełnienie, poruszała się coraz szybciej.

– O, Boże, Max... tak... tak...

Zaczęła szczytować z intensywnością która eksplodowała w niej, zalewając ciało spiętrzoną falą rozkoszy. Gdy z jej gardła wyrwał się okrzyk spełnienia, Max zadrżał i też eksplodował w potężnym orgazmie. Potem osunął się na nią. Był to ciężar, który zniosła z rozkoszą.

Objęła go i wtuliła twarz w jego szyję. Wiedziała, że nic już nie będzie takie jak przedtem, ale nie przejmowała się tym. W tej chwili liczył się dla niej tylko to ten mężczyzna, którego kochała i nienawidziła jednocześnie.

Rozdział 26

Jolie leżała obok Maksa z oczami wpatrzonymi w ciemny sufit. Jeszcze nigdy nie przeżyła takiego seksu, tak surowego, prymitywnego, pochłaniającego. Sama intensywność, z jaką pożądała Maksa, przerażała ją. Jak to możliwe, że pragnęli siebie tak rozpaczliwie, że tracili zmysły, kiedy byli razem? Tak długo uważała go za wroga, że nawet teraz, przeżywszy z nim najbardziej upojne chwile, broniła mu dostępu do swojego serca. Nie miała odwagi mu wyznać, że posiadał moc, która mogła ją nie tylko zranić, ale także zniszczyć.

– Nienawidzę cię – powiedziała cicho.

– Wiem. Ja też cię nienawidzę, bo tracę przy tobie kontrolę. Do tej pory zawsze potrafiłem zapanować nad emocjami. – Wstał z łóżka. – Czuję się, jakby przejechał mnie walec.

– Cóż, skoro już to zrobiliśmy... skoro byliśmy już ze sobą, nie ma powodu, żeby...

Max odwrócił się błyskawicznie, chwycił ją za rękę i postawił na nogi.

– Chyba nie myślałaś, że raz wystarczy? – Omiótł ją wzrokiem. – Ściągnij wreszcie tę cholerną sukienkę.

– Słucham? – O mało się nie udławiła. Litości, nie była pewna, czy przeżyje następną rundę dzikiego seksu po tak krótkiej przerwie.

– Wezmę prysznic. – Zdjął koszulę i rzucił ją na podłogę. – Wyskakuj z tej sukienki i przyłącz się do mnie.

Zdjął buty, pozbył się skarpetek i rozpiął spodnie. Przyglądała mu się z niemałą fascynacją, kiedy zdejmował majtki. Maximillian Devereaux był wspaniałym okazem męskości. Wspomnienie, jak miała go w środku, podnieciło Jolie na nowo. Jak to możliwe, że pragnęła go niemal natychmiast po spełnieniu?

Nie poświęcając uwagi wnioskowi płynącemu z tej myśli, zdjęła sukienkę i stanęła przed nim naga. Obrzucił ją spojrzeniem tak gorącym, że niemal czuła na skórze ciepło, gdy powiódł wzrokiem wzdłuż jej szyi, po piersiach, na brzuch i niżej. Zadrżała, w pełni świadoma swojej fizyczności. Max objął ją w pasie i bez słowa poprowadził do łazienki. Odkręcił wodę i weszli do kabiny prysznicowej. Starannie namydlił jej ciało i mył delikatnie, poświęcając szczególną uwagę piersiom i pośladkom.

Kiedy podał jej mydło, była już w pełni rozbudzona i pragnęła go dotykać, jak on dotykał jej. Umyła jego tors, potem szerokie, muskularne plecy, a jej usta podążyły szlakiem wody spływającej po grzbiecie i jędrnych pośladkach. Starannie ominęła okolice genitaliów i namydliła długie, silne nogi. Podnosząc się, musnęła jego męskość koniuszkami palców, po czym szybko cofnęła dłoń. Max zakręcił wodę i wyprowadził ją z kabiny. Sięgnął po ręcznik i wytarł ją pośpiesznie. Sam wciąż mokry, podniósł ją, posadził na toalecie, rozchylił jej nogi i klęknął między

nimi.

Gdy poczuła jego palce zagłębiające się w jej wilgotny zakątek, westchnęła, unosząc i opuszczając biodra. Pogłębił intymną pieśczość, aż zaczęła więc się i jęczeć. Blisko, tak blisko. Teraz... teraz... teraz! Orgazm uderzył w nią jak fala przyływu, obmywając rozkosznym dreszczem.

Trzymał ją w ramionach, gdy dochodziła do siebie, a potem zaniósł do sypialni. Położył ją na łóżku i stanął nad nią. W księżycowej poświacie wydawał się wielki, ciemny i groźny. Czowała na sobie jego pożądliwy wzrok. Dlaczego tak stoi? Na co czeka?

Jego pierś unosiła się i opadała przy każdym oddechu. Jolie przesunęła się na krawędź łóżka i uklękła.

– Max?

– Hm – zapytał zniekanym głosem.

– Co się stało?

Zamknął oczy i zacisnął pięści.

– Max, przerażasz mnie. – Położyła otwartą dłoń na jego piersi. Zadrżała, czując potężne bicie jego serca.

Chwycił ją za przegub, przewrócił na wznak i pochylił się nad nią. Podniosła wzrok i aż wstrzymała oddech. Jego twarz była ściśnięta bólem.

– Nie chcę cię przerażać – powiedział chrapliwym głosem. – Ale to, co do ciebie czuję... to, co chcę z tobą zrobić, mnie samego przeraża.

– Och, Max. – Wyciągnęła do niego drugą rękę.

Zarzucił jej ramiona za głowę i przycisnął do materaca. Uwięziona pod nim, dysząc ciężko, czekała z utęsknieniem, gotowa ulec jego męskiej potędze. Zagarnął jej usta, całując namiętnie, a potem ruszył na podbój nowych terytoriów. Szyi, ramion, piersi. Przy piersiach zatrzymał się na dłużej, ssąc je żarłocznie, aż wiła się i jęczała z rozkoszy.

– Max...

– Cii. – Zasypał pocałunkami jej brzuch i pępek w drodze do egzotycznych południowych krain.

Rozchylił jej nogi i wsunął głowę między uda. Podniósł na nią wzrok pałający żądzą, a potem zanurzył język w jej wilgotne głębie. Wygięła biodra, unosząc się ku niemu. Pieścił ją głębokimi, mocnymi pociągnięciami, a gdy jęknęła głośno, chwytając go za ramiona, zwiększył nacisk i tempo, aż dotarła na szczyt. Podniósł się, położył na niej i wtargnął w nią z dziką siłą swojego pożądania.

Kiedy eksplodował, drżąc i dysząc od potężnego wyładowania, krzyknęła w kolejnym spazmie rozkoszy.

Max sturlał się z niej, pociągnął ją i położył na sobie. Przyłgnęła do niego, szczęśliwa, że wciąż ma go w sobie, a on oplótł ją ramionami i pocałował w skroń. Kilka minut później zasnęli.

Przed świtem obudził ją i znowu się kochali. Wolniej, dłużej, a jednak nie mniej dziko. Kiedy odpływała w sen, dręcząca myśl przebiegła jej przez głowę. Bez względu na to, ile razy będą się kochać, nigdy nie będzie im dość. Będzie go pragnęła znowu... i znowu... i znowu. Będzie go potrzebować i kochać bardziej i bardziej, aż nadejdzie dzień, gdy stanie się dla niej niezbędny jak powietrze.

*

Gdy Jolie obudziła się, była już jasno. Światło słońca wlewało się do sypialni. Uchyliła powieki i zobaczyła niewyraźny cień wznoszący się nad nią. Zamrugła kilka razy i cień przemienił się w Maksa Devereaux. Stał przy łóżku, już ubrany – O, Boże, która godzina?

Podał jej kawę. Gdy sięgała po filiżankę, uświadomiła sobie, że jest naga. Cofnęła dłoń i zakryła piersi kołdrą.

Max przysiadł na krawędzi łóżka. Odsunął kołdrę i włożył jej do ręki filiżankę.

– Już je widziałem, *chere*.

Miał rację; rzeczywiście je widział. I nie tylko widział, ale dotykał, całował, smakował każdy zakamarek jej ciała.

– Która godzina? – powtórzyła.

– Wpół do dziewiątej – odparł, wstając.

Podniosła filiżankę do ust i napiła się kawy. Była wspaniała. Mocna, aromatyczna z odpowiednią ilością śmietanki. Jolie spojrzała na Maksa.

– Od dawna jesteś na nogach?

– Dość długo, żeby wziąć prysznic, ogolić się i zamówić śniadanie.

Sączyła powoli kawę, rozkoszując się każdym łykiem.

– Powinniśmy pogadać o...

– Nie.

– Ale czy nie uważasz...

– Nie. Powinniśmy skupić się na spotkaniu z Bendallem. Jak tylko dostaniemy akta, wracamy do Sumarville. Musimy je dokładnie przejrzeć i zaplanować dalsze działania. Potem będziemy mieli dość czasu, żeby rozważyć nasze uczucia.

– Podziwiam pańską rzeczywistość i opanowanie, panie Devereaux.

Jolie odrzuciła kołdrę i wstała. Nim doszła do drzwi sypialni, Max dogonił ją, objął i przyciągnął do siebie.

– Powstrzymanie się przed kochaniem się z tobą wymaga ode mnie wiele wysiłku – powiedział. – Więc jeżeli nie chcesz się spóźnić na spotkanie z Bendallem, sugeruję, żebyś jak najszybciej włożyła coś na siebie.

Świadomość, że Max pragnie jej równie mocno jak w nocy, wprowadziła ją w dobry humor.

– To mnie puść – odrzekła z uśmiechem.

Uwolniony z jego objęć, przebiegła przez salon do sypialni. Wyjęła z torby lniane spodnie i bluzkę z bawełnianej dzianiny i poszła do łazienki. Szykując się do

spotkania, które mogło się okazać jednym z najważniejszych w jej życiu, zastanawiała się, jak wytrzyma kilka godzin bez dotyku Maksa.

*

Jolie po raz enty spojrzała na zegarek. Dwunasta trzynaście. Było jasne, że z jakiegoś powodu Aaron Bendall nie zamierza się z nimi spotkać. Max ledwie tłumił wściekłość; Jolie nie mogła usiedzieć na miejscu.

– Nie przyjdzie, prawda?

– Myślę, że to słuszne przypuszczenie.

– Co mogło się stać? Dlaczego zrezygnował z miliona dolarów?

– Nie zrezygnował – odparł Max. – Pewnie ktoś zaproponował mu więcej.

– Roscoe?

– Prawdopodobnie. – Max pociągnął ją za rękę. – Jedźmy na przystań i zobaczymy, czy łódź Bendalla nadal tam jest.

– A jeśli nie?

– Wrócimy do domu. A mój detektyw znowu zacznie go szukać. Ale jeśli facet ma w kieszeni ponad milion dolarów, wątpię, czy kiedykolwiek go znajdziemy.

Łodzi nie było na przystani. Kierownik portu powiedział im, że Bendall wypłynął o dziesiątej czterdzieści i nie zostawił informacji, dokąd się udaje. Max wątpił, czy ktokolwiek usłyszy jeszcze o emerytowanym szeryfie. Skoro Bendall zwinął żagle, to znaczy, że dostał lepszą propozycję.

Przeszli przez molo, minęli rząd zacumowanych jachtów i wrócili na parking. Właśnie wsiadali do samochodu, gdy powietrze przeciął terkot karabinu maszynowego. Pociski zaświszczały wokół nich. Max pchnął Jolie na chodnik i nakrył ją własnym ciałem.

Rozdział 27

– Mallory, telefon do ciebie. – Yvonne zapukała do drzwi sypialni. – Mallory, słyszysz? Telefon.

Mallory mruknęła sennie i zmusiła się, żeby otworzyć oczy.

– Kto dzwoni?

– Nie wiem. Nie przedstawił się.

Serce Mallory zabiło mocniej. To musi być R.J. Usiadła na łóżku, chwyciła słuchawkę i zawołała do Yvonne:

– Już odbieram. Dziękuję.

– Cześć, Mal.

To był R.J. Rozstali się przed trzecią nad ranem. Po wyjeździe Maksa było jej znacznie łatwiej wymknąć się w nocy z domu. Nikt jej nie pilnował, nawet matka, która zdawała się pogrążona we własnym świecie żałoby i cierpienia.

– Już za mną tęsknisz? – zapytała, mięknąc na samą myśl o nim. Zrobił z niej kobietę i kochała go dziko i namiętnie. – Bo ja tak.

– Mal, kotku, posłuchaj...

– O co chodzi?

– Wyjeżdżam do Teksasu. Kumpel zadzwonił do mnie i powiedział, że ma dla mnie fantastyczną robotą.

Mallory poczuła się, jakby uszło z niej całe powietrze.

– Wyjeżdżasz z Sumarville?

– Muszę. Ta fucha jest za dobra, żeby z niej zrezygnować.

– Kiedy wrócisz? – Do mnie, dodała w myślach.

– Właśnie w tym sęk. Bo widzisz, prawdopodobnie nigdy nie wrócę.

– Nigdy? – O, Boże, proszę, niech zaproponuje, żebym z nim pojechała.

– Hej, kotku, było nam fantastycznie, prawda? Mieliliśmy niezłą zabawę. To dobrze, że kończymy to, zanim się sobą znudziliśmy. Mam rację?

– Masz – zdołała wykrztusić przez ściśnięte gardło.

– Jeśli kiedyś będę w okolicy, na pewno do ciebie wpadnę. Ale wtedy będziesz już pewnie... zameżna i w ogóle.

– Tak, pewnie będę zameżna i w ogóle.

– Jesteś odlotową dziewczyną, Mal. Nigdy cię nie zapomnę.

– Ja ciebie też.

– No to pa, kotku. Trzymaj się.

– Pa – wymamrotała.

Słuchawka wypadła jej z dłoni, gdy zsunęła się z łóżka na podłogę. Siedziała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń i słysząc monotony sygnał telefonu.

*

Kolejna seria przeszła drzwi samochodu i roztrzaskała tylną szybę. Gdy grad

kul walił w asfalt pod bagażnikiem wozu, Jolie modliła się żarliwie jak jeszcze nigdy. Max leżał na niej, osłaniając ją przed atakiem. Nagle usłyszała pisk opon i histeryczne krzyki. Po chwili Max zsunął się z niej. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Nie. – Drżącą ręką dotknęła jego policzka. – A tobie?

– Nic. To musiał być bardzo kiepski strzelec, inaczej bylibyśmy już martwi.

– Kolejny wynajęty zabójca?

Max podniósł się z ziemi i pomógł jej wstać.

– Podejrzewam, że został nasłany w nagłej potrzebie. Prawdopodobnie zlecenie przeszło przez kilku pośredników.

– Mógł nas zabić.

– Z taką siłą ognia mógł skosić z tuzin ludzi – powiedział Max. – Zdaje się, że dostał rozkaz, żeby nas nastraszyć, a nie zabić.

– Ostrzeżenie?

– Tak. Poważne ostrzeżenie.

Zgromadził się tłum gapiów. Wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach, ubrany w białe spodnie i pasiastą bawełnianą koszulę wystąpił naprzód i oznajmił:

– Zadzwoniliśmy po policję. Czy któreś z was jest ranne?

Max objął Jolie i przytulił.

– Nic nam się nie stało. Jesteśmy tylko w szoku. Czy ktoś przyjrzał się samochodowi albo strzelcowi?

– To się wydarzyło tak nagle – odparł mężczyzna. – Wątpię, by ktokolwiek zdążył przyjrzeć się strzelcowi. Ale prowadził nową czerwoną furgonetkę Forda.

Max popatrzył na Jolie, chcąc się upewnić, że rzeczywiście nic jej się nie stało. Zmarszczył brwi, gdy zobaczył rozprute lniane spodnie i krew na jej kolanach. Chwytał jej dłonie i obrócił do góry.

– Cholera. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł krew z rozdrapanych opuszków i podniósł jedną a potem drugą rękę do ust.

Jolie położyła mu głowę na piersi i objęła go, drżąc na całym ciele.

*

Max i Jolie spędzili kilka godzin na komisariacie. Potem poszli na szybkie zakupy; potrzebowali nowych ubrań, bo kiedy ich ostrzelano, mieli na sobie jedyny komplet rzeczy na zmianę. W samolocie, wracając do domu, rozważali, co powinni dalej radzić. Zgodnie uznali, że szanse na odzyskanie akt są nikłe.

– Bendall dał nam wskazówkę – przypomniał Max. – Może to niedużo, ale nic więcej nie mamy.

– „Lisette Desmond była w ciąży. I nigdy nie zgadniecie, kto był ojcem” – powtórzyła Jolie słowa Bendalla.

– Czy była w ciąży w chwili śmierci? I dlaczego tożsamość ojca jest ważna? –

zastanawiał się Max.

– Może ojciec dziecka miał powód, żeby ją zabić? Może moja matka i Lemar po prostu weszli mu w drogę?

*

Dotarli do Belle Rose późnym wieczorem. Cała rodzina zebrała się w salonie, oczekując ich przybycia. Georgette i Mallory siedziały na sofie. Nafaszerowana lekami ciocia Clarice zajęła jeden z foteli; Nowell Landers stał za jej plecami. Lekko podpity Parry Clifton opierał się o ścianę koło kominka, Theron siedział w wózku inwalidzkim z matką tuż przy boku.

Kiedy Jolie i Max pojawili się w drzwiach pokoju, wszystkie oczy zwróciły się w ich stronę. Parry uniósł szklanę.

– Witaj, ach, witaj, zwycięzco i bohaterze – powiedział bełkotliwie.

– Zamknij się, wujku – syknęła Mallory. – Jesteś nawalony!

– Kochanie... proszę... – Georgette mówiła do córki, ale patrzyła na Maksa i Jolie.

– Gdzie się, do cholery, podziewaliście? – zapytał Parry. – Wymknęliście się na małe barabara z dala od wścibskich oczu?

– Parry! – Georgette zgromiła brata wzrokiem.

– Zdobyliście je? – zapytał Theron, nie zważając na innych.

– Co mieliby zdobyć? – Clarice zamrużyła powiekami, jakby budziła się ze snu.

– Jolie, kochanie, wyjechałaś w takim pośpiechu. Nawet się nie pożegnałaś.

Max spojrzał na Theron.

– Niewiele brakowało. Zaproponowałem dużą sumę i dobiliśmy targu, ale zdaje się, że ktoś mnie przeliczył.

– Więc ich nie macie? – Theron zacisnął pięści.

– Czego? – spytała Georgette. – Dokąd pojechaliście i co chcieliście kupić?

Jolie podeszła do Clarice i pocałowała ją w policzek.

– Przepraszam, że się nie pożegnałam, ale musieliśmy natychmiast lecieć do Key West – wyjaśniła.

– Fajne miejsce na wakacje – zauważył Parry. – Bardzo romantyczne. Ocean, plaża, piękne zachody słońca.

– Do cholery, Parry, zamknij się wreszcie! – Mallory podeszła do wuja i wzięła się pod boki. – Naprawdę myślisz, że Max zabrałby ją na romantyczne wakacje?

Max odchrząknął.

– Jolie i ja poleciliśmy do Key West, żeby porozmawiać z byłym szeryfem Aaronem Bendallem. Gdy piętnaście lat temu odchodził na emeryturę, zabrał akta dotyczące masakry w Belle Rose.

Georgette westchnęła.

– Dlaczego zabrał te dokumenty?

– Żeby móc kogoś szantażować – odpowiedziała Jolie. – Kogoś, kto nie chciał,

żeby prawda wyszła na jaw. Kogoś, kto wiedział, że w tych aktach znajdują się dowody, które pozwoliłyby oczyścić Lemara Fuquę z zarzutu zabicia mojej matki i ciotki.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. – Parry próbował odstawić drinka na kominek, ale chybił o centymetr i szklanka rozbiła się z trzaskiem o podłogę.

Clarice podskoczyła i krzyknęła. Georgette drgnęła nerwowo.

– Ktoś płacił Bendallowi przez te wszystkie lata za milczenie – powiedział Max. – I ta sama osoba zapłaciła Bendallowi ponad milion dolarów, żeby zniknął razem z dokumentami.

– Milion dolarów? – Mallory otworzyła szeroko oczy. – Zaproponowałeś mi milion dolarów? Dlaczego? Co za różnica, kto zabił te kobiety? Co cię to obchodzi, Max? – Zmrużywszy powieki, utkwiała wzrok w Jolie.

– Mallory, proszę, bądź cicho – wtrąciła się Georgette. – Jesteś taka niewrażliwa. Te kobiety to matka i ciotka Jolie, a także siostry Clarice.

Mallory wzruszyła ramionami.

– W każdym razie finał jest taki, że nie zdobyliście tych dokumentów – powiedział Theron. – A więc nie mamy dowodów, których potrzebujemy do wznowienia dochodzenia. Nie mamy najmniejszej wskazówki, która mogłaby doprowadzić do prawdziwego zabójcy.

Jolie spojrzała na Maksa, milcząco pytając go o zgodę. Pokiwał głową.

– Bendall dał nam coś, co nazwał „darmową podpowiedzią” – oznajmiła. – Tak więc mamy pewien trop, ale jeśli nie ekshumujemy ciała cioci Lisette, nie będziemy mogli go sprawdzić.

– Ekshumować Lisette? – Georgette podniosła się z krzesła.

– Chyba oszalałaś! – Parry zatoczył się i pogroził Jolie palcem. – Po moim trupie! Słyszysz? Nie zakłóćcie spokoju mojej biednej Lisette!

Clarice chwyciła Jolie za rękę.

– Dlaczego chcecie zrobić coś tak okropnego?

Jolie przyklękała przy fotelu ciotki.

– Ponieważ musimy przeprowadzić autopsję.

– Ale czemu? – Clarice wpatrywała się w siostrzenicę zagubionymi oczyma.

– Ciociu, czy Lisette była w ciąży, kiedy umarła?

Clarice wstrzymała oddech.

– W ciąży? O, Boże, Boże. Nikt miał się o tym nie dowiedzieć przed ślubem. Zwierzyła się tylko Audrey i mnie i kazała nam przysiąc milczenie.

Jolie odetchnęła głęboko.

– Wiesz, kto był ojcem?

– Ojcem? – Clarice spojrzała na Parry' ego. – Uznałam, że Parry. W końcu byli zaręczeni i mieli się pobrać.

Z wykrzywioną wściekłością twarzą Parry zamachnął się na Jolie, ale Max

podbiegł do niego i chwycił za rękę. Odwrócił wujka przodem do siebie i zapytał:

– Dziecko było twoje?

Parry zachwiał się niebezpiecznie. Max złapał go za ramię i przytrzymał.

– Oczywiście, że dziecko było moje. Gdybyście zdobyli te akta, przeczytalibyście, że przesłuchiowano mnie w tej sprawie i powiedziałem szeryfowi, że dziecko było moje.

– Biedny Parry – westchnęła Clarice. – Stracił nie tylko Lisette, ale także dziecko.

Jolie wyprostowała się i podeszła do Maksa.

– Nie rozumiem. Jeżeli dziecko było Parry'ego, to dlaczego Bendall uważał, że tożsamość ojca wskaże nam mordercę?

– Może sugerował, że Parry jest zabójcą – odezwał się Nowell Landers.

– Co? – Clarice potrząsnęła głową. – Nie, nie, to bez sensu. Parry i Lisette byli zaręczeni. Kochali się.

– Przynajmniej raz Panna Kuku Na Moniu ma rację – powiedział Parry. – Dlaczego miałbym zabijać kobietę, którą kochałem? Bendall podsunął wam fałszywy trop. Cholera, toż to idiotyzm. – Utkwił gniewny wzrok w Yvonne i Theronie. – Lemar Fuqua zamordował Lisette, bo był w niej szaleńczo zakochany, a nie mógł jej mieć. I zabił Audrey, ponieważ wiedziała, co zrobił.

– To kłamstwo! – wykrzyknął Theron.

– Udowodnij to, chłopcze. Na Boga, udowodnij! – Parry wybiegł z salonu.

Georgette popatrzyła błagalnie na Yvonne.

– Przepraszam za Parry'ego.

– Lemar kochał Lisette tak samo jak kochał Clarice – powiedziała Yvonne. – Było to braterskie przywiązanie, nic więcej.

– W takim razie to niemożliwe, żeby on był ojcem dziecka, którego spodziewała się Lisette – orzekła Jolie.

– Tak, to niemożliwe – powiedziała Yvonne.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to udowodnić – odezwał się Theron. – Ekshumować ciało Lisette i zbadać DNA dziecka.

– Nie możemy tego zrobić bez zgody najbliższego krewnego – powiedział Max.

– Wyrażam zgodę – Clarice ścisnęła mocniej dłoń Nowella. – Jestem jej najbliższą żyjącą krewną. Podpiszę wszystkie niezbędne papiery.

– Po co masz się narażać na takie cierpienie? – spytała Georgette. – Parry przyznał, że to on był ojcem dziecka.

– Bo Lisette Desmond miała wielu kochanków – wyjaśniła Jolie. – Mogła powiedzieć Parry'emu, że to on jest ojcem, podczas gdy naprawdę był nim inny mężczyzna.

– I ten mężczyzna mógł ją zabić – dopowiedziała Yvonne.

– Ciociu Clarice, jeśli naprawdę jesteś gotowa dać nam pozwolenie...

– Tak – potwierdziła Clarice.

– W takim razie jutro rano skontaktujemy się z Ikiem Dentonem i dowiemy się, co trzeba zrobić, żeby ekshumować ciało – powiedział Max.

*

Jolie leżała w ramionach Maksa w podwójnym łóżku w swoim dawnym pokoju. Była to sypialnia młodej dziewczyny, z białymi koronkowymi firankami w oknach, tapetą w biało-różowe pasy na ścianach i wielką antyczną szafą wypełnioną kosztownymi lalkami, które należały do Audrey, Lisette i Clarice, kiedy te były małe. Max zakradł się do jej pokoju, gdy wszyscy już spali. Kochali się z namiętnością równie gorącą jak za pierwszym razem. Potem zasnęli.

Obudzili się tuż przed świtem.

– Powinienem wrócić do siebie – szepnął Max, gładząc nosem jej szyję. Przytuliła się do niego.

– Zostań jeszcze trochę.

– Spróbuj mnie do tego przekonać.

Obsypała wilgotnymi pocałunkami jego pierś i szyję, a potem siadła na nim okrakiem. Kołdra zsunęła się z niej, odsłaniając nagie ciało.

– Nadal chcesz mnie opuścić? – spytała.

– Nigdy nie chcę cię opuszczać. – Max uniósł biodra, muskając członkiem jej łono.

Usiadła wygodniej, ujęła jego męskość i wprowadziła w siebie. Poruszali się w jednym rytmie, najpierw wolno, leniwie, potem coraz szybciej. Razem dotarli na szczyt, jęcząc z rozkoszy i szepcząc słowa wypowiedane w chwilach gorącego uniesienia, a skazane na zapomnienie w zimnym świetle dnia.

*

Yvonne obudziła się i drgnęła nerwowo. Przez chwilę leżała, nasłuchując. Cisza. Co wyrwało ją ze snu? Hałas? Nie, niczego nie słyszała. To zapach ją zbudził.

Wciągnęła powietrze w nozdrza. Dym?

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Znów wciągnęła powietrze. Na pewno dym. Podbiegła do drzwi i otworzyła je silnym szarpnięciem. Uderzyły w nią gęste tumany ciemnego dymu.

Wielki Boże, dom się pali!

Theron!

Rozdział 28

Mieszkańców Belle Rose obudziło wycie syren. Georgette i Clarice wybiegły z pokoiów, krzycząc wniebogłosy. Nikt oprócz Mallory nie zauważył, że Max i Jolie wyłoniли się z jednej sypialni.

– Dom Yvonne się pali – oznajmiła Clarice drżącym głosem. – Z okna zobaczyłam łunę. Dzwonię do Nowella, powiem, żeby spotkał się z nami na miejscu. – Zawróciła do pokoju. – Och, Boże, Boże, żeby tylko Yvonne i Theronowi nic się nie stało.

Max natychmiast przejął dowodzenie. Wydawał pierwsze rozkazy, biegnąc do swojego pokoju, żeby się ubrać. Jolie wpadła z powrotem do sypialni. Zrzuciła szlafrok, naciągnęła dzinsy i koszulkę z krótkim rękawkiem i włożywszy sandały, wybiegła na korytarz. Max, już ubrany, pędził po schodach na dół.

– Poczekaj! – zawołała.

Zatrzymał się i ponaglił ją machnięciem ręki. Ciocia Clarice i Mallory dołączyły do nich kilka chwil później. Parry wychylił głowę z sypialni.

– Co się, do cholery, dzieje? Zaatakowali nas Marsjanie czy co?

– Dom Yvonne się pali – odpowiedziała Georgette, wybiegając ze swojego pokoju. – Jedziemy tam.

Pięć minut później Jolie zaparkowała swojego escalade obok jednej z pomp i razem z Makssem, ciocią Clarice i Mallory wyskoczyła z wozu. Georgette została, żeby poczekać na Parry'ego. Domek Yvonne stojący na terenie plantacji od przeszło stu lat teraz płonął zlocistopomarańczowym żarem niczym drwa w ognisku, trzaskając i zasypując niebo deszczem iskier. Z okien buchały płomienie i gęste kłęby dymu.

Max i Jolie ruszyli w stronę pożaru. Jeden ze strażaków zagroził im drogę.

– Proszę się odsunąć!

– W środku byli Yvonne Carter i jej syn – powiedziała Jolie.

– Wiem, proszę pani. Pan Carter zadzwonił do nas z komórki. – Skinął głową w kierunku karetki zaparkowanej po drugiej stronie płonącego domu. – Matka pomogła mu wydostać się na zewnątrz. Są cali i zdrowi. Nawdychali się tylko dymu.

Podeszła do nich Clarice, podtrzymywana przez Mallory.

– Gdzie Yvonne? Czy ona i Theron...

– Nic się im nie stało – uspokoił ją Max.

– Gdzie teraz są? Chcę ich zobaczyć. Musimy ich zabrać do Belle Rose.

Kiedy podeszli do ambulansu, zjawili się Georgette i Parry. Max zamachał do nich ręką.

Theron siedział w otwartych drzwiach karetki z maską tlenową na twarzy. Sadza pokrywała jego policzki, naga pierś i spodnie pidżamy, miał nabiegłe krwią,

załzawione oczy. Widząc Jolie i Clarice, zdjął maskę. Wyściskały go, jedna przez drugą dopytując się, czy nic mu się nie stało.

Zapewnił je, że czuje się dobrze, i powiedział:

– Znajdźcie mamę.

– A gdzie jest? – zapytała Jolie. – Myślałam, że z tobą.

– Zniknęła parę minut temu – odparł. – Widziałem, jak idzie w stronę Pleasant Hill. Strażacy powiedzieli nam, że to podpalenie. Ktoś wylał naftę na ganek, a potem podłożył ogień. Jak mama to usłyszała, powiedziała: „Ostrzegałam go. Powinien był posłuchać”. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak wściekłej.

Clarice westchnęła.

– Roscoe Wells. Myśli, że pożar to jego sprawka?

Theron skinął głową.

– Znajdźcie ją, proszę. Powstrzymajcie ją, zanim... Cholera, po prostu dopilnujcie, żeby nic jej się nie stało.

Max położył mu dłoń na ramieniu.

– Mallory i ciocia Clarice zostaną tu z tobą a potem zabiorą do Belle Rose. W międzyczasie my znajdziemy Yvonne.

Theron złapał Maksa za rękę,

– Mama mogła wziąć beretkę, którą trzymam w samochodzie. Widziałem, jak otwiera moje ferrari.

– Myślisz, że chce zastrzelić Roscoe'a?

Theron spojrzał na Clarice.

– Co o tym sądzisz? Zamierza go zabić?

Clarice zadrżała i pokiwała głową.

– Pospieszmy się – powiedziała Jolie. – Musimy ją dogonić, zanim dojdzie do Pleasant Hill.

– Ja też jadę – oświadczyła Clarice.

– Nie, zostań tutaj. – Jolie wzięła ciotkę za rękę. – Nie chcę się martwić jeszcze o ciebie.

Nowell Landers zaparkował harleya za rosnącą liczbą pojazdów, które stały na trawniku, i podszedł do Clarice. Gdy tylko go zobaczyła, padła mu w ramiona.

– Nowell się nią zaopiekuje – powiedziała Jolie do Maksa. – Chodźmy.

Minutę później jechali jej półterenówką po wysypanej żwirem drodze prowadzącej do Pleasant Hill. Nie widzieli Yvonne, ale gdy zaparkowali przed rezydencją Roscoe'a, zauważyli, że na parterze pałą się światła. O wpół do trzeciej nad ranem. Wysiedli z wozu i w tej samej chwili pojedynczy wystrzał rozdarł ciszę.

– O, mój Boże! – Jolie rzuciła się w stronę domu. Max pobiegł za nią. Dwuskrzydłowe frontowe drzwi były otwarte na oścież. Max chwycił Jolie za ramię, powstrzymując ją przed wejściem do środka. W przestronnym holu słychać było głosy.

– Do diabła, kobieto, powinnaś być martwa – powiedział Roscoe Wells. – Ty i twój synalek powinniście być spaleni na popiół.

Jolie spojrzała na Maksa. Przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie, i gestem dał znak, żeby poszła za nim. Ruszyli w stronę pokoju, z którego dochodził głos.

– Jesteś nikczemnikiem, Roscoe Wells. Clarice i ja popełniłyśmy błąd, że nie powiedziałyśmy panu Samowi, co zrobiłeś. Zabiłby cię i już nikogo byś nie skrzywdził.

– Więc pomyślałaś, że przyjdiesz tu i mnie zabijesz? Cóż, pukanie z tego pistoleciku nad moją głową nie załatwi sprawy.

Zaczaiwszy się za drzwiami gabinetu, Max i Jolie zajrzeli do środka. Yvonne stała plecami do nich, a Roscoe nie mógł ich widzieć zza biurka. Nagle na spiralnych schodach za nimi zadudniły kroki. Garland Wells z rewolwerem w dłoni zbiegł na dół i popędził w ich stronę.

– Co się, do cholery, dzieje? Słyszałem strzał. – Przeniósł wzrok z Jolie na Maksa; oboje milczeli.

– Garland, czy to ty? – zawołał Roscoe. – Chodź. Trzeba załatwić pewien problem. Masz przy sobie pistolet, prawda, chłopcze?

Gestem ręki Max zachęcił Gara, żeby wszedł do gabinetu. Jolie spiorunowała go wzrokiem. Czy mogą zaufać Garowi? Pokręcił głową, przestrzegając, żeby niczego nie robiła.

Garland wszedł do gabinetu z rewolwerem wymierzonym prosto przed siebie, ale zatrzymał się, gdy zobaczył Yvonne.

– Co się dzieje? – spytał.

Yvonne odwróciła się, wycelowała w niego z pistoletu i cofnęła się o kilka kroków, by mieć obu mężczyzn w polu widzenia.

– Wejdz, Gar – powiedziała spokojnie.

– Yvonne, co ty tutaj robisz? Dlaczego masz pistolet? – Gar opuścił rewolwer.

– Zastrzel ją, chłopcze. Zrób to, zanim znowu do mnie strzeli. – Oczy Roscoe'a rozbłysły, gdy ruszył w stronę syna. – Właśnie próbowała mnie zabić.

– Nie rozumiem. Dlaczego Yvonne chciałyby cię zabić?

– Cholera jasna, strzelaj! Musisz ją zabić. Inaczej nas zniszczy. Zrujnuje twoją karierę polityczną.

Roscoe okrążył biurko i zrobił kilka niepewnych kroków w stronę Gara. Yvonne wycelowała i strzeliła; tym razem kula uderzyła parę centymetrów od stóp Roscoe'a.

– Niech cię diabli, kobieto! – Roscoe spojrzał na syna. – Widzisz, próbuje mnie zabić.

– Powinam była to zrobić czterdzieści dwa lata temu – oświadczyła Yvonne. – Zabicie cię niczego nie zmieni, ale świat pozbędzie się potwora. Clarice i ja

żyliśmy przez te wszystkie lata z tym, co nam zrobiłeś, ale to był tylko jeden z twoich grzechów. Nasłałeś morderców na mojego syna i kazałeś komuś zabić Jolie, bo oboje chcieli odkryć prawdę o masakrze w Belle Rose. A dziś w nocy kazałeś podpalić mój dom, mając nadzieję, że Theron i ja zginiemy w płomieniach.

– O czym ona mówi? – zapytał Gar. – Co ty zrobiłeś?

– Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem, żeby cię chronić – odparł Roscoe, podchodząc do syna. – Chcę, żebyś posłuchał mnie bardzo uważnie. Zastrzel Yvonne, a potem powiemy szeryfowi, że wpadła tu, krzycząc jak opętana, i próbowała mnie zabić. Że musiałeś ją zastrzelić, żeby ratować mnie. Taka będzie zresztą prawda.

– Co znaczy, że zrobiłeś to wszystko, żeby mnie chronić? Chronić przed czym?

– Synu, wiem, co zrobiłeś. – Roscoe wyciągnął rękę do Gara, ale cofnął ją, gdy Yvonne potrząsnęła ostrzegawczo beretką. – Dopilnowałem, żeby nie padło na ciebie żadne podejrzenie. Przekupiłem wielu ludzi i postarałem się, żeby wszystko wyglądało tak, jakby to Lemar Fuqua zabił Lisette i Audrey. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek dowiedział się, że było inaczej. – Wbił wzrok w Yvonne. – Gdyby twój cholerny synalek nie zaczął węszyć, a Jolie nie wróciła do miasta i nie przyłączyła się do niego, to wszystko by się nie wydarzyło.

– Tato, myślisz, że miałem coś wspólnego ze śmiercią Lisette?

– Wiem, że to nie była twoja wina. Lisette była złą kobietą. Faceci wariowali na jej punkcie.

– Myślisz, że ją zabiłem?

– Wszystko w porządku, synu. Naprawdę cię rozumiem. Wiem, że poszedłeś tam tego ranka. Podejrzywałem, że coś między wami było. Nie wiem, co się stało ani dlaczego musiałeś ją zabić, ale...

– Ja nikogo nie zabiłem! – wykrzyknął Gar.

– Widziałem, jak wróciłeś z Belle Rose tamtego popołudnia. Miałeś krew na koszuli. I płakałeś. – Poklepał syna po ramieniu. – Kiedy usłyszałem o zabójstwach w Belle Rose, wszystko stało się dla mnie jasne. Pozbyłem się twojej koszuli, wyciągnąłem ją ze śmieci i spaliłem. A potem zacząłem działać. Musiałem dopilnować, żeby nie padł na ciebie cień podejrzenia. Na szczęście ten bałwan Parry Clifton myślał, że dziecko Lisette było jego.

– Zabiłeś Lisette, Audrey i mojego brata? – Yvonne spojrzała na Garlanda. – Ty?

– Nie, przysięgam, to nie ja...

Roscoe wyrwał Garowi rewolwer i wycelował w Yvonne. Max odepchnął Jolie i rzucił się w stronę Roscoe'a, lecz zanim zdążył do niego dobiec, rozległ się wystrzał. Jolie zdrętwiała. Yvonne! – krzyknęła w duchu. O Boże, Boże!

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Yvonne wciąż stoi z pistoletem w dłoni, a Roscoe Wells zachwiał się na nogach. Co się stało? Czyżby Yvonne zastrzeliła Roscoe'a?

Roscoe padł na podłogę twarzą w dół. Jolie krzyknęła. Pocisk trafił go dokładnie między oczy i wyrwał połowę czaszki.

Gar klęczał przy ojcu, płacząc. Yvonne upuściła pistolet na ziemię.

– Ja... ja do niego nie strzeliłam – wymamrotała.

– Ja to zrobiłem. – Nowell Landers stał w holu ze strzelbą w rękach, a Clarice kilka kroków za nim.

Rozdział 29

Max pomógł Garowi wstać i posadził go na najbliższym krześle. Potem zadzwonił do Ike'a Dentona. Jolie wzięła roztrzęsioną Yvonne za rękę i wyprowadziła na korytarz.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze. Yvonne pokiwała głową, ale się nie odezwała.

Dołączyły do Nowella i Clarice, którzy wyszli na ganek. W Pleasant Hill zaległa głucha cisza.

– Chodź, Gar – powiedział Max. – Nie ma powodu, żebyś tu siedział. Wyjdźmy na zewnątrz jak inni.

– Nie rozumiem, jak ojciec mógł przez tyle lat wierzyć, że zabiłem Lisette. – Gar nie przestawał kręcić głową.

Max pomógł Garlandowi wstać i wyprowadził go na ganek. Wszyscy odwrócili głowy i wbili w niego wzrok. Gar wodził oczyma po twarzach obecnych, jęcząc i drżąc na całym ciele. Wreszcie zupełnie się załamał; padł na kolana i zaniósł się szlochem.

Cholera! Max nie wiedział, co robić, nie wiedział, w co wierzyć. Czy to możliwe, że Garland Wells, jego przyjaciel i zaufany prawnik, był bezwzględnym mordercą? Uwierzyłyby, gdyby chodziło o Roscoe'a, ale nie o Gara. Facet nie był święty, ale miał łagodną naturę.

Pochylił się, objął Gara ramieniem i dźwignął go z ziemi.

– No, Gar, weź się w garść. Płacz niczego nie zmieni.

Gar otarł twarz dłonią i pokręcił głową.

– Nikogo nie zabiłem. Przysięgam. Tak, to prawda, widziałem się tamtego dnia z Lisette. Powiedziała, że jest ze mną w ciąży, ale wyjdzie za Parry'ego i wmówi wszystkim, że to jego dziecko. Tłumaczyła mi, że sam jestem jeszcze dzieciakiem i że zapomnę o niej, kiedy znajdę inną kobietę. – Przeszedł chwiejnym krokiem przez werandę i oparł się o marmurową kolumnę podpierającą portyk. – Myliła się. Nigdy jej nie zapomniałem. I nigdy nie kochałem nikogo tak jak jej.

– Czy ciocia Lisette żyła, kiedy opuszczałeś Belle Rose? – zapytała Jolie.

– Tak, żyła. Pani Audrey też. – Gar zamknął oczy i przycisnął policzek do chłodnego marmuru.

– A Lemar? – spytała Yvonne.

– Jeszcze nie wrócił do domu – odparł. – Minałem go na drodze, kiedy odjeżdżałem.

Max podszedł do Jolie i objął ją. Co teraz czuje? Czy wierzy, że Gar targnął się wtedy na jej życie? Przytuliła się do niego; a on pogładził ją po policzku.

– Roscoe powiedział, że kiedy wróciłeś do domu, miałeś całą koszulę we krwi. – Zadając pytanie, Jolie objęła Maksa w pasie. – To prawda?

– Tak. – Gar wciąż stał odwrócony do nich plecami. – Kiedy wyjeżdżałem z Belle Rose, byłem tak zdenerwowany, że nie zauważyłem, jak pies wyskoczył mi przed maskę. Potrafiłem go, ale jeszcze żył, więc zaniósłem go do samochodu i zawiozłem do doktora Hillarda. Krew na mojej koszuli była krwią psa.

– Dlaczego nie powiedziałeś ojcu, co się stało?

– Nie wiedziałem, że mnie wtedy w ogóle widział. Nie miałem pojęcia, że kiedy usłyszał o masakrze w Belle Rose, uznał, że to ja jestem mordercą. Mój Boże! Gdyby tylko mnie o to zapytał.

– Uważasz, że Hillard pamięta twoją wizytę? – zapytał Max.

– Nie wiem – odparł Gar. Ma prawie osiemdziesiąt lat, kiepsko słyszy i prawie nie widzi. Ale może by sobie przypomniał. Może ma jeszcze stare kartoteki. – Gar uderzył czołem o kolumnę i jęknął. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Tata uznał mnie za mordercę, mataczył przy śledztwie, przekupił ludzi, żeby zrzucić winę na Lemara Fuquę. A dzisiaj próbował zabić Yvonne. Jezu Chryste! Chyba zwariuję.

Nikt nie miał dla Garlanda Wellsa żadnej odpowiedzi. Wszyscy mieli tylko pytania. O dzisiejszy wieczór. O przeszłość.

– Nic ci nie jest, *chere*? – szepnął Max do Jolie.

– Nie wiem. Czuję się, jakbym dostała obuchem w głowę.

Clarice i Yvonne siedziały na schodach ganku, trzymając się za ręce i tuląc do siebie tak mocno, jakby na świecie nie istniał nikt poza nimi. Max wątpił, żeby słyszały cokolwiek z tego, co zostało powiedziane. Strzelba Nowella Landersa stała oparta o ceglany mur, a on wpatrywał się w Clarice.

– Gdzie nauczyłeś się tak strzelać, Landers? – spytał Max.

– Byłem snajperem w Wietnamie – odparł Nowell.

– Zawsze nosisz przy sobie strzelbę?

– Nie. Nie mam nawet rewolweru.

– Więc czyja to strzelba? – zainteresowała się Jolie.

– Należała do Sama Desmonda – wyjaśnił. – Clarice kazała mi ją wziąć.

– Ciocia Clarice kazała ci wziąć strzelbę dziadka? – Jolie wpatrywała się w Nowella z niedowierzaniem.

– Tak. Myślę, że chciała zabić Roscoe'a Wellsa, gdyby Yvonne nie zrobiła tego pierwsza. – Spojrzał na przytulone do siebie przyrodnie siostry.

– Dlatego, że wynajął kogoś do podpalenia domu Yvonne? – zdziwił się Max.

– Czterdzieści dwa lata temu Clarice i Yvonne wybrały się do lasu na jeżyny – powiedział Nowell.

Max i Jolie popatrzyli po sobie zdumieni. Co jeżyny miały wspólnego z zabiciem Wellsa?

– Roscoe polował na zające i dodawał sobie animuszu, pijąc whisky – podjął Nowell. – Zobaczył dziewczęta i... – Nowell odchrząknął – zaczął się dobierać do

Yvonne. Powiedział Clarice, żeby wracała do domu, a on przyśle Yvonne później, kiedy z nią skończy.

– O, nie! – Jolie przygryzła dolną wargę. Max przytulił ją mocniej.

– Zaczął zdierać ze mnie ubranie – Yvonne, wciąż odwrócona do nich plecami, zaczęła wspominać tamte wypadki. – Jego ręce były wszędzie, na twarzy czułam jego śmierdzący alkoholem oddech. Kiedy odpiął spodnie, zaczęłam krzyczeć... Krzyczałam, ile sił w płucach.

– Wtedy uderzyłam go kamieniem w głowę – odezwała się Clarice. Jej drobne ramiona uniosły się i opadły, gdy odetchnęła głęboko. – Ale zamroczyło go tylko na chwilę. Tylko na tak długo, że udało mi się poderwać Yvonne z ziemi.

– Kazała mi uciekać – podjęła Yvonne. – Więc uciekłam. Biegłam i biegłam przed siebie, jak najdalej od niego. Myślałam, że Clarice jest tuż za mną. Dopiero kiedy byłam blisko domu, zorientowałam się, że jej nie ma.

– Roscoe złapał mnie i zgwałcił – oznajmiła Clarice spokojnie. – Kiedy skończył, zszedł ze mnie i zapiął spodnie, powiedział, że to moja wina... że miał ochotę na czarną dupę, więc powinnam była dać mu Yvonne...

Potem powiedział, że jeśli pisnę komuś choć słówko, ludzie mi nie uwierzą, bo zacznie rozpowiadać, że nie pierwszy raz spotkaliśmy się w lesie.

– Kiedy zorientowałam się, że Clarice nie ma, nie wiedziałam, co robić. – Głos Yvonne drżał. – Bałam się. Byłam przerażona. Usiadłam na ziemi i zaczęłam płakać. Nie wiem, jak długo tak siedziałam, zanim Clarice mnie znalazła.

– Przysięgłyśmy sobie wtedy, że nigdy nikomu nie powiemy, co się stało. Wiedziałyśmy, że gdyby tata się dowiedział, zabiłby Roscoe'a, a potem poszedł za to do więzienia. – Clarice puściła rękę Yvonne, wstała i podeszła do Nowella. – Nie powiedziałam o tym nikomu oprócz Jonathana. Chciałam, żeby wiedział, dlaczego nie byłam dziewicą.

– Nie rozmawiałyśmy na ten temat – odezwała się znowu Yvonne – dopóki Clarice nie zorientowała się, że jest w ciąży.

– O, Boże! – Jolie podbiegła do ciotki i przytuliła ją mocno. Clarice poklepała ją po plecach.

– Już dobrze, kochanie.

– Clarice – ciągnęła Yvonne – namówiła ojca, żeby pozwolił jej pojechać do Nowego Orleanu na zakupy. Ja pojechałam z nią.

– Podałam się aborcji. – Clarice pogłaskała Jolie po twarzy. – Była nielegalna, a ja trafiłam na jakiegoś rzeźnika. Strasznie mnie poharatał. O mało nie wykrwawiłam się na śmierć. Yvonne zajęła się mną, zawiozła do Memphis. Musieli mi usunąć macicę.

Jolie ścisnęła ciotkę, która wydawała się spokojna, jakby opowiadała o zdarzeniach z życia innej osoby.

Z oddali dobiegło wycie syren. Parę minut później pod dom zajechał radiowóz, a

tuż za nim karetka.

– Gdzie on jest? – spytał Ike, wyskakując z samochodu.

– Tata jest w gabinecie – odparł Gar.

Szeryf skinął na sanitariuszy, którzy wbiegli do domu, a potem zwrócił się do Maksa.

– Zechcesz mi wytłumaczyć, co się stało?

– Roscoe próbował zabić Yvonne, ale Nowell Landers zastrzelił go pierwszy i ocalił Yvonne życie.

– Więc Wells nie żyje?

– Tak.

– Będą mi potrzebne zeznania wszystkich świadków. – Ike powiódł wzrokiem po obecnych. – Pana Landersa muszę poprosić, żeby pojechał ze mną do miasta. Pozostali mogą...

– Szeryfie – przerwał mu Max – czy panie mogłyby teraz wrócić do domu, a zeznania złożyć jutro? Nowell, Gar i ja opowiemy, co się stało. – Wymienił spojrzenia ze stojącym za plecami Ike'a Nowellem, zawierając niepisaną umowę, by tragedia Yvonne i Clarice pozostała tajemnicą. Denton popatrzył na Yvonne i Clarice, po czym przeniósł wzrok na Jolie.

– Możesz zawieźć ciotkę i panią Carter do domu.

– Dziękuję. – Jolie spojrzała na Maksa.

– Jedź – powiedział. – Wyjaśnij wszystko Theronowi, ale innym powiedz tylko to, co konieczne. Wrócę do domu, jak tylko będę mógł.

*

Jolie siedziała na balkonie i patrzyła na wschód słońca. Dość długo trwało, nim zdołała wytłumaczyć Mallory, Georgette i Parry'emu, co się wydarzyło. Potem musiała zająć się ciotką Clarice i Yvonne, które były w stanie lekkiego szoku. Georgette okazała się zupełnie nieprzydatna, a Parry był zbyt pijany, żeby jakkolwiek pomóc. Na szczęście Mallory zajęła się wujkiem i matką. Clarice nalegała, żeby Yvonne spała w jej pokoju; a po długiej rozmowie z Theronem Jolie zakwaterowała go w jednym z pokoiów gościnnych.

Jak długo Max będzie tkwił w biurze szeryfa? I czy zdoła przekonać Ike'a, że Nowell Landers zabił Roscoe'a w obronie Yvonne? A co z Garem? Czy Ike go aresztuje? Nie mogła się doczekać powrotu Maksa. Po całym zamieszaniu dzisiejszej nocy w jej głowie pozostała tylko jedna trzeźwa myśl: kocha Maximilliana Devereaux.

Była pewna, że Garland Wells nie zabił jej matki i ciotki. Nie pojmowała, dlaczego Roscoe uwierzył, że jego syn popełnił tak potworną zbrodnię? Czy dlatego że sam byłby do tego zdolny?

Wiedziała, że brakuje jej tylko drobnego szczegółu, który by dopełnił całości obrazu. Ale jakiego? Co takiego wszyscy przeoczyli?

Gdy Gar wyjeżdżał tamtego dnia z Belle Rose, jej matka i ciotka jeszcze żyły. Po drodze minął się z Lemarem. Ktoś inny musiał zjawić się w domu, zanim Lemar wszedł do środka. Ale kto? I po co? Myśl, Jolie, myśl. Przypomnij sobie dokładnie, co mówił Gar. Może wie więcej, niż sam sądzi.

– Mogę się przyłączyć? – usłyszała za plecami.

Zerwała się z fotela i odwróciła gwałtownie do tyłu. W drzwiach balkonowych stała Georgette Royale.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– Myślałam, że wszyscy już śpią. Jestem roztrzęsiona po tym, co się stało w Pleasant Hill. W końcu nie co dzień widzi się człowieka z odstrzeloną głową.

Georgette uśmiechnęła się blado.

– Chcę ci podziękować. Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili, gdybyś nie przejęła inicjatywy. Ja nie radzę sobie najlepiej w sytuacjach kryzysowych.

Jolie spojrzała na macochę i po raz pierwszy w życiu pomyślała, że ta pogrążona w rozpacz krucha kobieta, wciąż piękna, mimo że dobiegała już sześćdziesiątki, nie jest potworem.

– Mallory bardzo mi pomogła – powiedziała cicho. – Myślę, że obie odziedziczyłyśmy po tacie talenty przywódcze.

– Louis bardzo cię kochał. Och, Jolie, tylko się nie rozpłacz!

– Tego dnia, kiedy zamordowano moją matkę, zobaczyłam was kochających się w starej chacie w lesie.

– Tak, wiem. Twój ojciec rozumiał, co czułaś. I żałował... oboje żalowaliśmy tak wielu rzeczy.

Jolie odwróciła się i oparła o barierkę. Georgette stanęła przy niej.

– Belle Rose to piękne miejsce. Byłam szczęśliwa, że mogę tu mieszkać – powiedziała. – Ale z Louistem wszędzie byłabym szczęśliwa.

– Bardzo go kochałaś. – Prawda bywa czasami bolesna.

– Powiem Maksowi, że powinniśmy opuścić Belle Rose. Mallory wyjedzie jesienią do college'u, a Clarice prawdopodobnie wyjedzie za Nowella Landersa. Jestem pewna, że Max zostanie w Sumarville, ale Parry i ja powinniśmy się wyprowadzić. Może wrócimy do Nowego Orleanu.

Jolie wpatrywała się w Georgette. Czuła, że macocha coś ukrywała. Ale co?

– Wiesz, kto zabił moją matkę i ciotkę?

Cisza.

– Lemar Fuqua ich nie zastrzelił – powiedziała Jolie. – Ktokolwiek to zrobił, zamordował również jego.

Georgette pokiwała głową.

– To nie był Gar Wells, prawda?

– Nie.

– Więc kto?

Milczenie.

– Albo powiesz mi teraz, albo potem, przy Maksie – zagroziła Jolie.

Georgette skuliła się niczym cieplarniany kwiat, który wędnie, wystawiony na działanie żywiołów. Zrozumiała, że nie może dłużej skrywać swoich tajemnic.

– Początkowo wierzyłam w oficjalną wersję. Że Lemar zabił Audrey i Lisette.

– Kiedy zdałaś sobie sprawę, że nie on był mordercą?

– Sama nie wiem. To nie było w pełni świadome. Nie chciałam, żeby moje podejrzenia okazały się słuszne.

Jolie zamknęła oczy. Czy będzie miała dość siły, by znieść prawdę?

– Dopiero niedawno zaczęłam rozważać taką możliwość – podjęła Georgette. – Dopiero gdy razem z Theronem postanowiliście doprowadzić do wznowienia śledztwa. Kiedy wróciłaś do Belle Rose i zobaczyłam, jak jesteś podobna do Lisette...

– Więc tu jesteś, Georgie. – W drzwiach sypialni Jolie pojawił się Parry. – Zastanawiałem się, dokąd się wymknęłaś.

Georgette spojrzała na Jolie.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała. – Muszę odprowadzić Parry'ego do jego pokoju. Gdy za dużo wypije, potrafi być nieprzyjemny.

Podbiegła do brata, objęła go w pasie i próbowała wyprowadzić na korytarz.

– Co jej mówiłaś? – dopytywał się. – Wyglądałyście na bardzo spoufalone.

– Dziękowałam Jolie za zajęcie się wszystkimi – odparła. – Chodź, Parry. Powinieneś się przespać.

Wyrwał się, odepchnął siostrę i ruszył chwiejnie przez pokój w kierunku Jolie, która przyglądała mu się z balkonu. Georgette wyciągnęła rękę, próbując chwycić brata, lecz uchylił się nadszpiewanie zrecznie.

– Parry!

Georgette rzuciła się za nim, ale nim zdążyła go dogonić, natarł na Jolie. Złapał ją za rękę, obrócił i wykręcił ramiona za plecy. Jedną ręką przytrzymał jej rękę, a drugą złapał ją za gardło.

– Naprawdę myślałaś, że ujdzie ci to płazem, Lisette?

– Parry, nie!... – krzyknęła Georgette.

– Wracaj do swojego pokoju, Georgie – powiedział. – Zajmę się tym. Zawsze dbałem o nasze sprawy, czyż nie? Przecież upozorowałem samobójstwo, gdy udusiłaś Julesa Trouissanta. I zająłem się Philipem.

Georgette jęknęła.

– Dobry Boże, nie. Tylko nie Philipem.

– Oczywiście, że Philipem też. Zawiódł nas. Byliśmy na jego łasce, a on nie potrafił o nas zadbać. Sprzeniewierzył te wszystkie pieniądze i pociągnąłby nas na dno, gdyby poszedł siedzieć. Po prostu pomogłem mu wyjść z tego z honorem.

Umysł Jolie pracował na najwyższych obrotach, usiłując przetworzyć natłok

nowych informacji.

– Zabiłeś Philipa Devereaux? – zdołała wykrztusić. – Myślałam, że popełnił samobójstwo.

Parry ścisnął jej gardło jeszcze mocniej. Z trudem chwytając powietrze, zaczęła się szarpać.

– Puść Jolie – powiedziała Georgette. – Robisz jej krzywdę.

– Dlaczego chcesz jej pomóc? – zapytał. – Dlaczego chciałeś jej powiedzieć, że to ja zabiłem Audrey i Lemara? Zawsze trzymaliśmy się razem. Nigdy się nie zdradziliśmy. Milczałaś, kiedy powiesiłem Julesa na żyrandolu, żeby śmierć wyglądała na samobójstwo. Gdy zastrzeliłem Philipa, też nikomu nie powiedziałaś.

– Dlaczego... dlaczego ich zabiłeś? – wychrypiła Jolie.

– Kogo? – spytał Parry, ciągnąc ją w głąb balkonu.

– Moją matkę, ciotkę Lisette i Lemara.

Georgette podbiegła do balkonowych drzwi.

– Parry, wracaj do środka, proszę cię.

– Za chwilę, Georgie. Tylko pozbędę się Lisette.

– Lisette nie żyje – przypomniała mu. – To jest Jolie, a nie Lisette.

– Też tak myślałem... z początku. – Parry przycisnął Jolie do barierki. – Ale to jest Lisette. Wróciła, żeby mnie prześladować. Chce mnie ukarać za to, co zrobiłem. Ale mogę ją zabić jeszcze raz. I tym razem już nie wróci.

– Proszę, Parry, nie rób tego... nie... – Po policzkach Georgette pociekły łzy. – Nie rób jej krzywdy, proszę.

– Słodka Georgie. Zawsze taka serdeczna. Zabiłem Audrey dla ciebie, wiesz? Była na dworze i rozmawiała z Lemarem, kiedy zastrzeliłem Lisette. Nie usłyszeli strzału, bo w pokoju Lisette głośno grało radio. Słyszałem ich głosy, schodząc na dół. Zobaczyłem, jak Lemar idzie za dom do ogrodu, i pomyślałem sobie: „Czemu nie pozbyć się Audrey dla mojej kochanej Georgie?” Podkradłem się do niej od tyłu, zakryłem jej ręką usta i strzeliłem w głowę. Wtedy wrócił Lemar, pytał, co to za hałas. Wpadłem na genialny pomysł. Zmusiłem go, żeby zaniósł Audrey do kuchni, a przy okazji zakrwawił sobie ubranie. Potem kazałem mu pójść na górę. Jak zobaczył Lisette, zupełnie się rozkleił. Kiedy ukląkł przy jej ciele, zdzieliłem go kolbą w głowę, włożyłem mu w rękę pistolet i... *voilà*, samobójstwo!

O, Boże ratuj mnie! Parry Clifton jest szalony. Jest mordercą i psychopatą. Parry podniósł Jolie i oparł o barierkę. Zaczęła go kopać, ale nie zważał na ból. Wypchnie mnie, zdała sobie sprawę. Zabije mnie!

– Kim był Jules Trouissant? – zapytała, starając się zyskać na czasie.

– Jules był ojcem Maksa – odparł.

– Nie, nie – zaniósła się płaczem Georgette. – To ty uważasz, że był ojcem Maksa, ale nie wiemy tego na pewno. Mówiłam ci, że to mógł być którykolwiek spośród dziesiątek innych mężczyzn.

– Twojego syna spłodził Jules. Nasz demoniczny alfons. Nasz dręczyciel. Człowiek, który sprzedawał nasze ciała. Zasłużył na śmierć. Miałaś prawo go zabić.

– Powiedziałeś mi, że go zabiłam, ale nie przypominam sobie tego. – Georgette padła na kolana. – Parry, jesteś moim bratem i kocham cię. Zawsze cię kochałam. Wiem, że wszystko, co zrobiłeś, zrobiłeś dla mnie! Proszę, zrób dla mnie jeszcze jedno. Puść Jolie.

– Nie mogę.

Do pokoju wpadli Max i Nowell.

– Wujku Parry, co ty wyprawiasz? – Max podszedł do matki i podniósł ją z klęczek. – Co on, do cholery, robi? – zapytał ją cicho.

– Max! – krzyknęła Jolie.

– Myśli, że Jolie to Lisette – szepnęła Georgette. – To on zabił Lisette, a teraz wydaje mu się, że wróciła, żeby go dręczyć. Max, on jest pijany i...

– Szalony. – Max puścił matkę i ruszył na balkon. Parry podniósł Jolie wyżej; jej stopy zadyndały nad poręczą.

– To nie Lisette! – krzyknął Max. – To Jolie Royale. Córka Louisa. Nie rób jej krzywdy.

– Lisette. Jolie. Co za różnica? Jest kobietą, a z kobietami są same problemy. Kochałem Lisette i myślałem, że ona też mnie kocha. Nie przeszkadzało mi, że sypiała z innymi. Sam nie byłem święty. Ale kiedy usłyszałem, jak mówi temu zasmarkanemu chłopakowi Wellsa, że dziecko, którego się spodziewa, jest jego, ale wmówi mi ojcostwo, zrozumiałem, że mnie nie kochała. Zamierzała mnie okłamać. Chciała mi wcisnąć swojego bękarta. Twojej matce udało się oszukać Philipa Devereaux, ale mnie żadna kobieta nie wystrychnie na dudka.

– Nie wszystkie kobiety są takie same – powiedział Max. – Jolie wcale nie jest podobna do Lisette.

– Felicia była. Lubiła ostry seks – zauważył Parry. – Wiedziałeś o tym? Uwielbiała eksperymentować, tak samo jak ja. Pasowała do mnie nawet lepiej od Lisette. Nie kochałem Felicii, więc nie mogła mnie zranić, nie mogła mnie zawieść. Ale zbyt uważnie słuchała moich pijackich wynurzeń, zbyt dobrze zapamiętała rzeczy, o których powinna zapomnieć.

– Co takiego usłyszała? – zapytał Max. – Opowiedziałeś jej o tym, jak zamordowałeś Lisette?

– Szantażowała mnie, głupia suka. Nie miałem wątpliwości, że wcześniej czy później zniszczy mnie i Georgie.

– Zabiłeś Felicię? – Jolie wiedziała, że umrze. Parry Clifton zamordował sześć osób, jedna więcej nie robi mu różnicy.

– Nie zostawiła mi wyboru. – Parry spojrzał na Maksa. – Kurde, chłopie, bez niej jest ci o wiele lepiej. Powinieneś mi podziękować, że cię od niej uwolniłem.

– Cholera jasna! – zaklął Max. – To już przeszłość. Niczego nie można już zmienić. Ale tym razem masz szansę, żeby postąpić, jak należy. Kobieta, którą trzymasz, to nie Lisette. A to, kim jest, ma znaczenie. Słyszysz mnie, wujku Parry?

– Co cię to obchodzi? Ona nic dla ciebie nie znaczy.

– To nieprawda – powiedział Max. – Kocham Jolie.

– Więc jesteś takim samym durniem jak ja. Ona nie jest tak naprawdę Jolie albo Lisette – jest nimi obiema naraz. To wiedźma, która uwodzi facetów tylko po to, żeby ich zniszczyć.

– Jeśli zrobisz krzywdę Jolie, skrzywdzisz również mnie. Jeśli ona umrze, to ja też.

Jolie poczuła, jak uchwyt Parry'ego zaczyna się rozluźniać. O, Boże, upuści mnie!

– Parry, jeśli mnie kochasz, nie rób jej krzywdy – jęknęła błagalnie Georgette. – Zrób dla mnie jeszcze to jedno... proszę.

Parry wpatrywał się w siostrę przez chwilę, która zawieszona między życiem a śmiercią Jolie zdawała się całą wiecznością.

– Naprawdę cię kocham, Georgie.

– A ja ciebie, Parry.

– Wiem. Jesteś jedyną osobą na świecie, która naprawdę mnie kochała.

Jolie uświadomiła sobie nagle, że Parry opuszcza ją z powrotem na balkon. Wstrzymała oddech, modląc się, żeby usłuchał Georgette. Uwolnił ją z uścisku, lecz nim zdążyła zrobić choćby krok, wychylił się przez barierkę i spojrzał w dół.

– Zaopiekuj się nią, Max. Obiecuj, że zawsze będziesz się opiekował naszą małą Georgie. – Parry chwycił się poręczy i przełożył nogę na drugą stronę. W instynktownym odruchu Jolie wyciągnęła ku niemu rękę. Georgette krzyknęła. Max wybiegł na balkon, ale zanim zdołał dopaść wuja, ten skoczył. Max odwrócił się, wziął Jolie w ramiona i mocno przytulił. Drżąc na całym ciele, wtuliła twarz w jego pierś.

Rozdział 30

Jolie zamknęła walizkę. Musiała zdążyć na popołudniowy samolot do Atlanty. Została na pogrzeb Parry'ego, skromną uroczystość przeznaczoną tylko dla członków rodziny. Myślała, że Max poprosi, żeby nie wyjeżdżała z Belle Rose. Nie zrobił tego. Po dramatycznych zdarzeniach sprzed pięciu dni jak zwykle przejął dowodzenie, załatwiając wszystkie sprawy i dbając o potrzeby całej rodziny z wyjątkiem własnych. Prawie nie rozmawiali, zwracał się do niej tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Nie pojmowała, dlaczego traktuje ją, jakby była kimś obcym. Czyż nie wyznał jej miłości? Czy nie powiedział wujkowi, że gdyby umarła, on też by umarł? Czyżby było to kłamstwo mające przekonać Parry'ego, żeby jej nie zabijał?

Jolie postawiła walizkę na podłodze. Nadszedł czas, żeby się pożegnać. Wróciła do Belle Rose zaledwie przed miesiącem. Dziwne, jak bardzo zmieniło się jej życie w tak krótkim czasie. Przyjechała do domu szukać zemsty, a zamiast niej znalazła prawdę... i miłość.

Kiedy idąc w stronę schodów, mijała pokój Mallory, usłyszała dziwne hałasy. Jakby ktoś rzucał przedmiotami o ścianę. Mallory? Któżby inny? Od śmierci Parry'ego była bardzo przygaszona. Max, zajęty uspokajaniem Georgette i nakłanianiem jej, by porzuciła pomysł przyznania się do zamordowania Julesa Trouissanta, nie zauważył, jak bardzo zagubiona i samotna jest jego siostra. Jolie zajrzała do pokoju. Porcelanowa figurka świsnęła jej nad głową i roztrzaskała się o ścianę w korytarzu.

Mallory rozdziawiła usta.

– Cholera! Nie widziałam cię. Nie rzucałam w ciebie, serio.

– Nic ci nie jest?

– A co cię to obchodzi? Kogo to w ogóle obchodzi?

Jolie podeszła do łóżka, na którym siedziała Mallory. Dziewczyna trzymała w ręce cienki kawałek plastiku. Jolie usiadła obok i wyjęła jej z dłoni próbę ciążową. Spojrzała na kolor odczynnika. Niebieski.

Mallory wzruszyła ramionami.

– Tak, jestem w ciąży. Właśnie tego rodzinie teraz trzeba. Max wpadnie w szal, jak się dowie, a matka pewnie dostanie zawału.

– A co z ojcem dziecka?

– Już go nie ma. Wyjechał do Teksasu i nawet nie obejrzał się za siebie. Powiedział, że to dobrze, że się rozstajemy, zanim zdążyliśmy się sobą znudzić.

– Rozumiem.

– Boże, co ja teraz zrobię? Okłamałam go, że biorę pigułki. Ale musiałam zająć w ciążę za drugim razem, kiedy robiliśmy to bez prezerwatywy. – Zakryła twarz dłońmi i jęknęła. – Jestem taką idiotką. Myślałam, że jeśli zajdę w ciążę, on...

chciałam...

Wybuchła płaczem. Kiedy Jolie ją objęła, wtuliła głowę w jej pierś.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Jolie. – Mogę ci pomóc bez względu na to, co postanowisz. Jeśli zdecydujesz się na aborcję, załatwię wszystko i zaprowadzę cię do kliniki. Jeśli będziesz chciała urodzić, możesz przyjechać do Atlanty i zamieszkać ze mną. Dzięki temu miałybyśmy szansę, żeby się bliżej poznać.

Mallory uniosła głowę i spojrzała na siostrę.

– Mogę polecieć z tobą do Atlanty?

Jolie pokiwała głową.

– Nawet dzisiaj, jeśli chcesz.

– Matka i Max nie dowiedzieliby się, że jestem w ciąży?

– Na razie. Ale jeżeli postanowisz zatrzymać dziecko, będziesz musiała niedługo im o tym powiedzieć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Jolie i Mallory podskoczyły i odwróciły jednocześnie głowy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Yvonne – ale wszyscy czekają na was w jadalni.

*

Max stał u stóp schodów. Serce Jolie забиło mocniej, ale jej nadzieje legły w gruzach, gdy zobaczyła jego marsową minę.

– Idź do jadalni – polecił Mallory. – Ja porozmawiam chwilę z Jolie.

– Ale potem muszę wam powiedzieć, co ustaliłam z Jolie – odparła.

– Dobrze. Porozmawiamy o tym później.

Poprowadził Jolie do gabinetu, ale nie zamknął za nimi drzwi. Gdy spojrzała mu w oczy, odwrócił wzrok.

– Chciałem ci powiedzieć, że Hugh Pearce, mój prywatny detektyw, sprawdził, co się stało z Jonathanem Lenziem. Dzisiaj rano przysłał mi raport. I przefaksował kilka zdjęć.

– I?

– Jonathan Lenz nie zginął w Wietnamie. Przez pięć lat figurował w spisie wojskowym jako zaginiony w akcji. Spędził je w wietnamskim obozie jenieckim. Kiedy wrócił do Stanów, wpadł w narkomanię i wszelki słuch o nim zaginął. Ale pojawił się znowu półtora roku temu. – Max wziął z biurka zdjęcia i podał je Jolie.

– Niech zgadnę – powiedziała. – To fotografie Nowella Landersa *vel* Jonathana Lenza.

– Od początku to podejrzewałaś, prawda?

Skinęła głową.

– Mówiłeś jej już?

– Pomyślałem, że ty zechcesz to zrobić.

– Ona już wie. – Przyłożyła rękę do serca. – W głębi duszy ciocia Clarice wie, że

to Jonathan.

*

Po obiedzie, przy którym znów zabrakło Georgette, Jolie powiedziała Mallory, żeby poszła się spakować, a potem porozmawiają z Maksem o jej wyjeździe.

– Będzie się dopytywał, dlaczego z tobą lecę – powiedziała Mallory. – Wie, że nie jesteś... że nie darzyłam cię szczególną sympatią.

– Powiemy mu część prawdy – zaproponowała Jolie. – Wytłumaczymy, że chcemy się lepiej poznać, a ty musisz się na jakiś czas wyrwać z Belle Rose.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby lepiej cię poznać. Może nie jesteś taka zła, jak myślałam.

Jolie uśmiechnęła się.

– Podejrzewam, że przekonamy się, jak wiele nas łączy.

Mallory wykonała radosny piruet i wbiegła po schodach na piętro, a Jolie poszła szukać cioci Clarice. Odnalazła ją w towarzystwie Nowella w altance. Jolie pomachała im, a Clarice zaprosiła ją, żeby do nich dołączyła.

– Wyjeżdżam dziś po południu – oznajmiła Jolie. – Ale mam nadzieję, że będziecie odwiedzać mnie w Atlancie. I to często.

– Dziękujemy, na pewno skorzystamy – odparła Clarice. – Może podczas naszego miodowego miesiąca. Postanowiliśmy nie czekać ze ślubem. Nie będziemy mieli wesela. To by było nie na miejscu. Tylko skromna ceremonia dla bliskiej rodziny tu, w Belle Rose. Chciałabym, żebyś została.

– Och, ciociu... przylecę na ślub.

– Trzydzieści sześć lat czekałam na to, żeby zostać panią Lenz – powiedziała Clarice. – Byłabym głupia, gdybym czekała jeszcze dłużej.

Jolie popatrzyła na Nowella Landersa.

– Myślę, że powinieneś wiedzieć, że prywatny detektyw Maksa przeprowadził małe śledztwo na temat Jonathana Lenza.

– I okazało się, że Jonathan nie zginął w Wietnamie – odezwała się Clarice. – Matka Jonathana nie powiedziała prawdy, tylko to że zaginął w akcji. Ale w głębi serca nigdy nie wierzyłam w jego śmierć.

– Powiedziałaś jej? – Jolie zwrócił się Nowella. – Wiedziała o tym od początku?

– Nie, nie od razu – odparł. – Ale domyśliła się prawdy i w końcu opowiedziałem jej wszystko nazajutrz po tym, jak zastrzeliłem Roscoe'a Wellsa. Kiedy wróciłem z Wietnamu, byłem zupełnie rozbity. Zacząłem brać narkotyki, pić na umór, siedziałem w więzieniu. Cieszyłem się, że matka powiedziała Clarice, że zginąłem. Zmarnowałem wiele lat. Ale półtora roku temu przeszedłem odwyk. I obiecałem sobie, że jeśli przez rok wytrwam w trzeźwości, odwiedzę Clarice. Myślałem, że już dawno wyszła za męża. Kiedy się dowiedziałem, że nie jest z nikim związana, stchórzyłem: wymyśliłem sobie fałszywe nazwisko i zacząłem udawać, że przyjaźniłem się z Jonathanem.

– Jak mogłam poślubić kogoś innego, skoro nigdy nie przestałam cię kochać? – Clarice spojrzała na niego z uwielbieniem.

Jolie uściskała ciotkę i Nowella – Jonathana – a potem ruszyła do domu, żeby zobaczyć, czy Mallory jest już gotowa do wyjazdu. Kiedy szła korytarzem, Georgette wychyliła się ze swojego pokoju.

– Wejdiesz i porozmawiasz ze mną? – poprosiła. Jolie zawahała się. O co mogło chodzić?

– Dobrze, ale tylko na chwilę. Muszę zdążyć na samolot, a mam do załatwienia jeszcze parę spraw.

– To nie potrwa długo.

Jolie weszła za Georgette do pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

– Wiesz, zastanawiałam się kiedyś, czy spaliście z tatą w pokoju mojej matki... w jej łóżku.

– Nigdy nie moglibyśmy się na coś takiego zdobyć. Zanim wzięliśmy ślub, Louis kazał całkowicie zmienić wystrój tego pokoju. Sypialnia, którą dzielił z twoją matką, od lat służy jako pokój gościnny.

– Nie potrafiłam pojąć, jak wy... Nie miałam pojęcia, że dwoje ludzi może się kochać tak mocno, że nie liczy się dla nich nic poza byciem razem.

– Ale teraz rozumiesz, prawda? – Georgette złapała Jolie za rękę. Spojrzały sobie głęboko w oczy. – Kochasz Maksa tak samo jak ja Louisa.

Jolie wyszarpnęła dłoń.

– Nie zostawiaj go, Jolie. Jeśli to zrobisz, umrze. Och, oczywiście nie fizycznie, ale emocjonalnie.

– Max nie chce mnie. Nie kocha mnie. On...

Georgette położyła ręce na jej ramionach.

– Myślisz, że nie jest ciebie godny. Że nie możesz go pragnąć po tym, jak dowiedziałaś się, że jego wuj zamordował twoją matkę i ciotkę.

– Ale to nie wina Maksa...

Georgette potrząsnęła nią lekko.

– Musisz mu powiedzieć, że go kochasz. Że to, że poznałaś prawdę o szaleństwie Parry'ego i jego zbrodniach, i o mnie – o tym, że zabiłam Julesa Trouissanta – nie zmieniło twoich uczuć do niego.

– Czy właśnie dlatego tak dziwnie się do mnie odnosi? Dlatego przestał na mnie patrzeć? Uważa, że nie mogę go kochać z powodu przeszłości?

– Tak. Proszę, idź do niego. Nie wyjeżdżaj z Belle Rose. Mój syn cię kocha... i potrzebuje.

Łzy stanęły Jolie w oczach.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Idę... idę poszukać Maksa. A ty powinnaś porozmawiać z Mallory. W tej chwili bardzo potrzebuje matczynej pomocy.

Jolie wybiegła z pokoju Georgette, zbiegła na dół i wpadła do gabinetu. Był

pusty. Zaczęła przeszukiwać inne pokoje na parterze. W bibliotece natknęła się na Theroną.

– Widziałeś Maksa?

– Właśnie wyszedł. – Theron skinął głową w stronę drzwi. – Powiedział, że musi pojechać do biura i popracować.

– Muszę go zatrzymać.

Wybiegła na korytarz i wypadła na ganek. Max siedział w porsche. Po chwili usłyszała warkot silnika.

– Max! – krzyknęła. – Max! Poczekaj!

Myślała, że jej nie usłyszał, więc popędziła na podjazd. Max zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

– Co się stało? – spytał, podchodząc do niej. Jolie rzuciła mu się na szyję. Zesztywniał.

– Kocham cię, Maksie Devereaux. Kocham cię ponad życie. I jeśli choć przez chwilę myślałeś, że pozwolę ci odejść – teraz albo kiedykolwiek – to postradałeś rozum.

– Jolie, nie rób tego. – Stał nieruchomy niczym posąg. Pocałowała go. Nie zareagował. Pocałowała go po raz drugi. Chwycił ją za ramiona i odepchnął.

– Powiedz, że mnie nie kochasz – oświadczyła. – Powiedz, że nie pragniesz mnie tak bardzo, że to aż boli. Powiedz, że to, co między nami było, co wciąż jest, nie jest ważniejsze od wszystkiego innego na świecie.

– Wiesz, że nie mogę powiedzieć, że cię nie kocham. Ale miłość to za mało. Żadna miłość świata nie zmieni tego, kim jestem.

– A kim jesteś?

– Synem nowoorleańskiej dziwki, która nawet nie wie, kto mnie spłodził, i może oślizgłego alfonsa, który mógł być moim ojcem. Jestem siostrzeńcem człowieka, który zamordował sześciu ludzi, łącznie z moją żoną i twoją matką. Bóg jeden wie, jaka krew krąży w moich żyłach. Jak mogłabyś na mnie patrzeć albo trzymać mnie w ramionach i jednocześnie nie zastanawiać się nad tym wszystkim?

– Jesteś dobrym człowiekiem, Max. Nie obchodzi mnie, kim był twój ojciec, nie obchodzi mnie, że Georgette była kiedyś prostytutką i być może zabiła jakiegoś łajdaka. A Parry... jesteś od niego zupełnie inny. Jesteś silny i odważny, i opiekuńczy, taki, jaki powinien być mężczyzna. Jesteś wszystkim, czego pragnę.

– Czyli chcesz zostać w Sumarville, wyjdiesz za mnie i...

– Tak, tak, tak. Zostanę. Będę gdziekolwiek, byle z tobą. I wyjdę za ciebie choćby dziś, jeśli tylko tak mogę cię przekonać. I chcę mieć z tobą dzieci. Nasze dzieci.

Objął Jolie i przytulił tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Potem puścił ją i odsunął od siebie.

– To twoja ostatnia szansa, żeby zmienić zdanie – rzekł. – Jeśli zostaniesz, już

nigdy cię nie puszcze.

– Zostaje – odparła. – Zostaje z tobą do końca życia.

Ujął w dłonie jej twarz, pochylił głowę i pocałował ją namiętnie. A Jolie wiedziała, że nareszcie jest w domu.

Epilog

Dzień, w którym Mallory zaczęła rodzić, zapisał się w pamięci rodziny złotymi zgłoskami. Dokładnie o dwunastej w południe Mallory poczuła pierwszy skurcz. Dwadzieścia po pierwszej ginekolog poinformował Jolie, że jest w ciąży. O drugiej Theron oświadczył się Amy. A o trzeciej do drzwi rezydencji Belle Rose zapukał R.J. Sutton.

O wpół do szóstej cała rodzina Desmondów-Royale'ów-Devereaux zgromadziła się w poczekalni oddziału położniczego Okręgowego Szpitala Ogólnego w Sumarville. Max i Jolie. Georgette, Yvonne, Clarice i Jonathan. Theron i Amy. O ósmej R.J. Sutton przeciął pępowinę swojej córeczki i przysiągł jej matce, że zaopiekuje się nimi, jak należy.

O dziesiątej czterdzieści pięć Jolie leżała w objęciach Maksa, czując rozlewającą się po całym ciele falę miłosnego spełnienia. Oparła się na łokciu, uniosła głowę i spojrzała na ukochanego męża.

– Ciocia Clarice bardzo się cieszy, że w Belle Rose znowu będzie dziecko – powiedziała. – Za siedem miesięcy chyba zwariuje z radości, bo w Belle Rose będzie już dwoje dzieci.

– Dwoje? – Max spojrzał na nią badawczo.

– Skoro Mallory ma dziewczynkę, to ja chciałabym chłopca. Co ty na to, Max? Chciałbyś, żeby naszym pierwszym dzieckiem był chłopiec?

– Nasze dziecko? Pani Devereaux, czy w ten subtelny sposób próbuje mi pani powiedzieć, że jest w ciąży? Że będziemy rodzicami.

– Tak, panie Devereaux. Jestem w ciąży. I będziemy rodzicami.